

Sulari Gentill

# Kobieta z biblioteki

PRZEŁOŻYŁ  
JANUSZ  
MAĆCZAK



MO  
VA

Sulari Gentill

# Kobieta z biblioteki

PRZEŁOŻYŁ  
JANUSZ  
MAĆCZAK



# Recenzje

*Kobieta w bibliotece* Sulari Gentill to fascynująca powieść. Umieszczenie akcji w bibliotece, metafora czworga nieznajomych przy stole i skomplikowana szkatułkowa fabuła – wszystko to sprawia, że nie sposób oderwać się od lektury. Ta powieść to prawdziwa gratka dla czytelniczek i czytelników, którzy uwielbiają książki o książkach i lubią, gdy zagadki trzymają ich w niepewności aż do ostatniej strony.

– Eva Jurczyk

autorka powieści *The Department of Rare Books and Collections*

*Kobieta w bibliotece* to mistrzowsko skonstruowana powieść kryminalna z zaskakującymi zwrotami akcji, napisana w charakterystycznym dla Sulari Gentill wyrafinowanym inteligentnym stylu. Kolejny sukces tej autorki.

– Ellie Marney

autorka bestsellerowych powieści „New York Timesa”

*Dla Barbary*

*Otwórz mnie ostrożnie...*  
– EMILY DICKINSON\*

---

\* *Open Me Carefully: Emily Dickinson's Intimate Letters to Susan Huntington Dickinson*, Paris Press 1998.

Droga Hannah!

Co teraz piszesz?

Mam nadzieję, że zaczęłaś już coś nowego. Jeśli nie, potraktuj mój list jako doping ze strony fana. Parafrazując Spider-Mana: z wielką liczbą czytelników wiąże się wielka odpowiedzialność.

Ale mówiąc serio, wczoraj zobaczyłem Wątpliwy kraj w księgarni za rogiem. Ona nazywa się Gawron i jest jednym z tych hipsterskich miejsc, w którym razem z książką można dostać niezbyt mocną kawę z kurkumą i mlekiem sojowym oraz przekąskę z zielonej pszenicy i ptasiej karmy. W każdym razie gość w marynarce jest tam rzadkim ptakiem, gdybyś się zastanawiała. Dołączam zdjęcie książki na półce z nowościami. Kupiłem jej kolejny egzemplarz, po prostu aby móc pochwalić się sprzedawczyni, że znam autorkę! Myślę, że była pod wrażeniem. Usłyszałem w jej głosie niewątpliwą nutę podziwu, gdy spytała: „Czy chce pan torbę?”

Tak więc żałuję, że nie mogłem przyjechać do Nowego Jorku, kiedy odwiedziłaś go zeszłej jesieni. Moglibyśmy w końcu spotkać się po tylu latach znajomości korespondencyjnej. Zrekompensuję Ci to za kilka miesięcy: przemierzę morza i przybędę do Ciebie, oczywiście o ile wcześniej nie zjawisz się w Stanach. Może gdybyś umieściła tutaj akcję następnej książki, podróż dałoby się uzasadnić chęcią poznania lokalnego kolorytu. Mimo to jest przecież coś stosownego w tym, że przyjaźń oparta na wspólnej miłości do słów realizuje się poprzez zdalne wymienianie ich między sobą.

Co do Twoich zapytań o to, jak mi idzie z moją książką: no cóż, spędziłem piątek w bibliotece. Napisałem tysiąc słów, a usunąłem półtora tysiąca. Niemniej Bostońska Biblioteka Publiczna to odpowiednie miejsce na spotkanie z muzą. Obawiam się tylko, że wobec mnie muza zachowuje się jak kapryśna kochanka. Miałem nadzieję, że znajdę tutaj natchnienie. Ta biblioteka jest wyjątkowa – a sufit w czytelni przedstawia wspaniały widok. Niestety, przez większość czasu po prostu gapiłem się w niego. Mimo woli zastanawiam się, ilu przede mną

sfrustrowanych pisarzy liczyło tam ozdobne gzymsy. Być może Emerson albo Alcott wpatrywali się pustym wzrokiem w te same tynki albo przynajmniej w ich odpowiednik we wcześniejszym wcieleniu Bostońskiej Biblioteki Publicznej, kiedy jeszcze mieściła się na ulicy Boylston. Jeśli tak rzecz się miała, byłaby to jakaś wątpa pociecha.

W każdym razie niecierpliwie wyczekuję wiadomości o Twoim obecnym projekcie literackim. Jak zawsze byłbym szczęśliwy, gdybyś potrzebowała mojej opinii – mógłbym czytać kolejne rozdziały, w miarę jak je piszesz, i natychmiast dzielić się z Tobą spostrzeżeniami. To dałoby mi jakieś zajęcie podczas tego mojego kryzysu pisarskiego, a być może udzieliłaby mi się Twoja twórcza wena. I może w końcu byłbym w stanie przysłać Ci w zamian jakiś mój tekst, który mogłabyś przeczytać i skomentować.

Pozdrowienia i tak dalej

Leo

# Rozdział pierwszy

Pomysł pisania w Bostońskiej Bibliotece Publicznej okazał się pomyłką. To zbyt wspaniałe miejsce, w którym można przez kilka godzin po prostu wpatrywać się w strop sali czytelników. Autorzy napisali bardzo niewiele książek, mając wzrok zwrócony w górę. Ten strop spogląda w dół na ciebie, osądza cię. Szydzi z ciebie swoją architektoniczną doskonałością, której nie da się osiągnąć po prostu stawianiem kolejnych słów, aż utworzą strukturę. Budzi w tobie pragnienie rozpoczęcia pracy od wzniesienia wielkich łuków, wspaniałej konstrukcji, w którą następnie wpiszesz artystyczne detale – realizując wizję symetrii i spójności. Lecz, niestety, ja nie piszę w taki sposób.

Jestem murarką, która pracuje bez uprzedniego naszkicowania planów. Układam słowa w zdania, a zdania w akapity, tworząc z nich mury o przypadkowych kształtach i kątach. Nie ma w tym żadnej obmyślanej struktury, a jedynie cegły połączone ze sobą tak, by wsparły jakąś opowieść. Nie mam pojęcia, co właściwie buduję ani czy ta budowla się nie zawali.

Być może powinnam pisać w autobusie. To bardziej odpowiadałoby mojej metodzie pisarskiej. Nie jadę całkowicie na chybił trafił – mam z grubsza wyznaczoną trasę, jednak to, kto wskoczy do tego pojazdu i wysiądzie z niego, jest zdeterminowane przez balans nawyku i wyczucia czasu oraz przypadku. Istnieje zawsze możliwość, że trasa w ostatniej chwili ulegnie zmianie wskutek kaprysu pogody albo wypadku drogowego, jakiejś parady czy maratonu. Nie ma w tym



żadnej symetrii, żadnego planu, a jedynie chaotyczna, amorficzna krzątanina ludzkiego życia.

Jednakże stropy mają wspaniałą strzelistą perspektywę, jakiej nie znajdzie się w autobusach. Już wcześniej spoglądały na pisarzy i pisarki. Czy teraz patrzą na jedną z nich? A może tylko na kobietę w bibliotece siedzącą nad pustą kartką?

Może powinnam przestać gapić się w sufit i coś napisać.

Zmuszam się do oderwania wzroku od jego niebotycznej krzywizny. Lampy w zielonych abażurach rzucają elipsy łagodnego blasku, które wyznaczają granice terytorium na blatach w tej miejskiej czytelnicy. Te terytoria niewątpliwie są rozległe, jednak pozostają w obrębie światła twojej lampy. Siedzę na końcu jednego z kilkudziesięciu stołów ustawionych w idealnie równych rzędach. Mój stół znajduje się na tyle blisko środka sali, że gdziekolwiek spojrzę, widzę zielone lampy i głowy pochylone nad książkami. Młoda kobieta obok mnie zdjęła kurtkę, odsłaniając tatuaże pokrywające jej ręce. Ja nigdy nie zrobiłabym sobie tatuażu, jednak ten widok mnie fascynuje. Historia jej życia odmalowana na skórze. Ta kobieta jest jak żywa książka. Ma na sobie ozdobne wzory, portrety i słowa. Mantry miłości i władzy. Zastanawiam się, ile z nich jest fikcją. Jaką historię ja bym opowiedziała, gdybym musiała zapisać ją na własnym ciele? Kobieta czyta Freuda. To mi nasuwa myśl, że studentka psychologii byłaby doskonałą bohaterką powieści sensacyjnej. Studentka, nie ekspertka psychologii. Z ekspertami czytelnikom trudniej się utożsamić, są dla nich odleglejsi ze względu na swój status. Zapisuję na czystej stronie notesu „studentka psychologii” i biorę te słowa w ramkę. I tak oto wskakuję do autobusu. Nie wiadomo, dokąd on jedzie – po prostu wsiadłam do pierwszego, jaki się pojawił.

Pod ramką robię kilka notatek o tatuażach tej kobiety, uważając, by nie gapić się na nią zbyt ostentacyjnie.

Naprzeciwko mnie siedzi młody mężczyzna w bluzie od dresu z logo Wydziału Prawa Uniwersytetu Harvarda. Przedstawia sobą klasyczną postać – szerokie ramiona, mocna szczęka, podbródek z dołkiem – jakby był bohaterem z dawnego komiksu. Od co najmniej dziesięciu minut wpatruje się w tę samą stronę tomu

opartego przed nim. Może uczy się jej na pamięć – albo może spuszcza wzrok, żeby nie gapić się na tę młodą kobietę siedzącą po mojej lewej. Zastanawiam się, kim są dla siebie nawzajem: byłymi kochankami, którzy ze sobą zerwali, czy może on usycha z miłości do niej, a ona traktuje go obojętnie? Albo może na odwrót – to ona prześladowa go swoim uczuciem? Obserwuje go znad książki Freuda? Być może podejrzewa go o coś? On rzeczywiście wygląda na udręczonego. Poczuciem winy? Zerka na zegarek – rolex czy jakiś inny równie oburzająco drogi.

Na lewo od Komikowego Bohatera siedzi kolejny mężczyzna, wciąż młody, lecz już nie chłopak. Ma na sobie sportową kurtkę, a pod nią koszulę i pulower. Nie przyglądam mu się tak otwarcie jak tamtym, ponieważ jest obłędnie przystojny. Ma czarne włosy i oczy, mocno zarysowane brwi. Jeśli zauważy moje spojrzenie, uzna, że mam wobec niego jakieś zamiary. A tak nie jest... no, może trochę. Głównie jednak zastanawiam się, co mógłby wnieść do opowieści.

Pisze na laptopie, co jakiś czas przestaje, a potem znowu patrzy w ekran i zaczyna szybko stukać w klawisze. Dobry Boże, czy to możliwe, że jest pisarzem?

Oczywiście w czytelnicy siedzą też inni ludzie, lecz są dla mnie tylko cieniami, na których jeszcze nie skupiłam uwagi. Przez pewien czas piszę – głównie szkice fabuł. Zarysy tego, co mogłoby łączyć Freudystkę, Komikowego Bohatera i Przystojniaka. Miłosne trójkąty, relacje biznesowe, przyjaźń z czasów dzieciństwa. Może Przystojniak to gwiazdor filmowy, Komikowy Bohater jest jego fanem, a Freudystka – jego wierną obstawą. Uśmiecham się, gdy te scenariusze stają się coraz bardziej absurdalne, a jednocześnie podnoszę wzrok i napotykam spojrzenie Przystojniaka. Wygląda na zaskoczonego i zakłopotanego, ja z pewnością też, gdyż tak się czuję. Otwieram usta, by wyjaśnić, zapewnić go, że jestem pisarką, a nie jakąś gapiącą się pożądliwie stalkerką, ale oczywiście to jest czytelnia, w której nie można głośno się tłumaczyć, przeszkadzając innym w lekturze. Mimo to usiłuję dać mu do zrozumienia, że interesuje mnie tylko jako fizyczny katalizator literackiej postaci, którą tworzę, jednak to zbyt skomplikowany

przekaz, by dało się go wyrazić mimiką. Osiągam tylko tyle, że Przystojniak sprawia wrażenie jeszcze bardziej zmieszanego.

Freudystka śmieje się cicho. Teraz Komiksowy Bohater także unosi głowę nad książki i wszyscy czworo w milczeniu spoglądamy na siebie nawzajem, nie mogąc zganić, przeprosić ani wyjaśnić, żeby nie zakłócić regulaminu czytelnicy.

A potem rozlega się krzyk – rozpaczliwy i przerażony. Nawet gdy milknie, zdaje się wciąż rozbrzmiewać, aż wreszcie uświadamiamy sobie, że zasady zachowania ciszy już nie obowiązują.

– Cholera! Co to było? – szepcze Komiksowy Bohater.

– Skąd dobiegł ten krzyk? – pyta Freudystka, wstając i rozglądając się wokoło.

Ludzie zaczynają zbierać swoje rzeczy i opuszczać salę. Dwaj strażnicy wchodzą energicznym krokiem i proszą, aby wszyscy zachowali spokój i pozostali na swoich miejscach, dopóki nie wyjaśni się, co się stało. Jakiś kretyński student prawa zaczyna mówić coś o nielegalnym zatrzymaniu i bezpodstawnym pozbawieniu wolności, ale większość siada z powrotem i czeka.

– Pewnie to tylko z powodu pająka – mówi Komiksowy Bohater. – Mój współlokator wrzeszczy tak samo, ilekroć zobaczy pająka.

– To była kobieta – zauważa Freudystka.

– Albo facet, który boi się pajaków – upiera się Komiksowy Bohater i rozgląda się, jakby jego cierpiący na arachnofobię kumpel mógł się gdzieś tutaj czaić.

– Przepraszam, jeśli wyglądało, że się na ciebie gapiłem – zwraca się do mnie z wahaniem Przystojniak. Trochę się już zorientowałam w amerykańskich akcentach, więc rozpoznaję, że nie jest z Bostonu. – Moja wydawczyni chce, abym umieszczał więcej fizycznych opisów. – Krzywi się. – Mówi, że w moich manuskryptach wszystkie kobiety są ubrane tak samo, więc pomyślałem... Do diabła, to brzmi okropnie! Przepraszam. Próbowałem opisać twój żakiet.

Uśmiecham się z ulgą. Dobrowolnie wziął winę na siebie. Postanawiam zachować się uprzejmie.

– To oryginalna tweedowa męska marynarka sportowa z wzorem w jodełkę, kupiona w sklepie z wintydzową odzieżą i przerobiona przez krawca, żebym nie wyglądała w niej śmiesznie. – Spoglądam mu w oczy. – Nie zanotowałeś, mam nadzieję, że wyglądam śmiesznie?

Momentalnie się czerwieni.

– Nie, zapewniam cię – duka, a potem chyba orientuje się, że żartowałam, i się śmieje. Ma miły śmiech. Głęboki, ale nie hałaśliwy. – Cain McLeod.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że się przedstawił. Ja też powinnam.

– Winifreda Kincaid, ale nazywają mnie Freddie.

– Ona też jest pisarką. – Freudystka nachyla się i zerka na mój notes. – Robiła notatki o nas wszystkich.

Niech to diabli!

Uśmiecha się.

– Podoba mi się ksywka Freudystka. Brzmi, jakbym była intelektualną superbohaterką. To lepsze niż Dziewczyna z Wytatuowanymi Ramionami czy Kolczykiem w Nosie.

Zatrząskuję notes.

– Niesamowite! – Komiksowy Bohater odwraca się do mnie profilem. – Mam nadzieję, że opisałeś moją lepszą stronę twarzy... i to, że mam dołki w policzkach – dodaje, błyskając zębami w uśmiechu.

Przystojniak znany też jako Cain McLeod jest wyraźnie rozbawiony.

– Jakie było tego prawdopodobieństwo? Wy dwoje powinniście bardziej uważać, obok kogo siadacie.

– Jestem Marigold Anastas – oznajmia Freudystka. – Gdybyście chcieli wiedzieć, jak się to pisze: A-N-A-S-T-A-S – literuje.

Nie chcąc być gorszy, Komiksowy Bohater wyjawia, że nazywa się Whit Metters, i zapowiada, że pozwie nas oboje do sądu, jeśli Cain McLeod albo ja zapomnimy napisać o jego dołkach w policzkach.

Śmiejemy się wszyscy i w tym momencie strażnicy ogłaszają, że kto chce, może wyjść.

– Znaleźliście tę osobę, która krzyknęła? – pyta Cain.

Strażnik wzrusza ramionami.

– To zapewne jakaś idiotka, która uważa się za dowcipną.

Whit z satysfakcją kiwa głową i wypowiada bezgłośnie: „pająk”.

Cain unosi brwi.

– To był sugestywny krzyk – mówi.

Ma rację. W tym krzyku wybrzmiało autentyczne śmiertelne przerażenie. Ale być może to tylko fantazja pisarki. Może ktoś po prostu chciał rozładować trochę napięcia.

– Muszę się napić kawy – oznajmiam.

– Najbliżej jest barek Sala Map – mówi Cain. – Parzą tam całkiem przyzwoitą kawę.

– Czy potrzebujesz więcej danych? – pyta Marigold.

Teraz gdy rękawy kurtki zasłaniają jej ramiona, które wcześniej przykuły moją uwagę, spostrzegam, że ma piękne oczy, zielone i błyszczące jak szmaragdy, w oprawie ciemnej kredki i tuszu do rzęs.

– Tylko kawy – odpowiadam zarówno za Caina, jak i za siebie, gdyż nie jestem pewna, które z nas pytała.

– Mogę pójść z wami?

Dziecięca prostolinijność jej pytania jest rozbrajająca.

– Oczywiście – odpowiadam.

– Ja też? – Teraz pyta Whit. – Nie chcę zostać sam. Gdzieś tutaj na pewno jest pająk.

Tak więc idziemy do Sali Map, żeby odnaleźć przyjaźń, i pierwszy raz w życiu piję kawę z mordercą.



Droga Hannah!

Brawo! Inteligentny i intrygujący wstęp. Wykorzystałaś twórczo moje narzekania. Ostatnie zdanie mrozi krew w żyłach. To wspaniały haczyk. Obawiam się, że wydawca zażąda, byś umieściła je jako zdanie otwierające powieść, żeby przykuło uwagę ludzi, którzy w księgarni rzucają okiem tylko na pierwszą stronę. Mogę powiedzieć jedynie: nie gódź się na to! To zdanie brzmi doskonale tam, gdzie jest.

Jednakże jest ono zarówno błyskotliwe, jak i odważne. Pamiętaj, że rzuciłaś czytelnikom wyzwanie, oznajmiłaś, że jedno z tych trojga (Marigold, Whit albo Cain) okaże się mordercą. Odtąd czytający będą bacznie się im przyglądać. To utrudnia ci odwrócenie ich uwagi od wskazówek w tekście i utrzymanie ich zaciekawienia. Niemniej zdanie jest znakomite – zwłaszcza że wszyscy troje wydają się tacy sympatyczni. Jak powiedziałem, to odważne.

Ośmielam się żywić nadzieję, że skoro umieściłaś akcję powieści w Bostonie, wkrótce zjawisz się tutaj, by zgromadzić materiał. Byłoby wspaniale cierpieć za naszą sztukę twarzą w twarz nad szklaneczkami martini w jakiejś knajpie, jak prawdziwi pisarze! Tymczasem z radością pomogę Ci w kwestiach takich jak wycucie miejsca i tym podobne. Uważaj mnie za Twojego zwiadowcę, Twoje oczy i uszy w Stanach Zjednoczonych.

Parę uwag. Amerykanie nie używają słowa pulower (opis Przystojniaka). Możesz nazwać go swetrem. Poza tym w Stanach kobiety o wiele rzadziej i oszczędniej się tatuują niż w Australii. Nie widziałem tutaj żadnej mającej wytatuowane całe ręce. Oczywiście to nie znaczy, że Marigold nie może mieć takich tatuaży – być może właśnie dlatego Winifredzie rzuciły się w oczy.

Po tym, jak otrzymałem Twój mejl oraz rozdział powieści do przeczytania, wróciłem do czytelnicy bostońskiej biblioteki i niestety okazało się, że nie obowiązują tam żadne jednoznaczne reguły zabraniające rozmów. To bardziej kwestia ogólnych zasad uprzejmości. Jednak łatwo temu zaradzić. Wprowadź pełne dezaprobaty uciszanie ze strony jednego czy dwojga sąsiadów przy stole, a nie zgubisz presji na zachowanie ciszy. Zjadłem lunch w barku Sala Map, więc jeśli będziesz potrzebowała szczegółów wystroju tego lokalu, daj mi znać. Jako

Australijka zapewne kategorycznie wykluczasz kawę, ale ponieważ Winifreda jest Amerykanką, prawdopodobnie nie uzna jej za nieodpowiedni napój.

Czy potrzebujesz opisu jakiegoś miejsca, w którym mieszka Freddie? Jeżeli pieniądze nie stanowią dla niej przeszkody, mogłabyś ulokować ją w dzielnicy Back Bay, nieopodal Bostońskiej Biblioteki Publicznej. Wiele tamtejszych apartamentów mieści się w przebudowanych wiktoriańskich kamienicach z elewacją z piaskowca, jednak Freddie musiałaby być chyba dziedziczką fortuny, żeby stać ją było na zamieszkanie w którymś z nich! Czy ona jest rokującą debiutantką usiłującą dopiero zdobyć pozycję, czy autorką o międzynarodowej sławie? W tym pierwszym przypadku przypuszczalnie mieszka w dzielnicy takiej jak Brighton czy Allston. Daj mi znać, czy chcesz, żebym obejrzał dla ciebie kilka tamtejszych budynków.

Wczoraj dostałem dziesiąty list z odmową opublikowania mojego dzieła. Chyba powinienem jakoś uczcić tę okrągłą liczbę. Może kupię sobie ciastko. W tym liście napisano, że mój styl jest elegancki, ale odnoszą wrażenie, iż wybrałem niewłaściwy gatunek literacki – co, jak przypuszczam, jest zawołowanym sposobem przekazania, że chcą, aby mój bohater był wampirem, a punktem kulminacyjnym stała się inwazja obcych... i to nie taka, jaką wydaje się zaabsorbowany nasz prezydent.

Wiem, Hannah, że te powtarzające się odmowy stanowią rytuał przejścia, jednak, szczerze mówiąc, to boli. Nie wiem, czy jestem dostatecznie silny jak na tę profesję. Wspaniale musi być znaleźć się na poziomie, na którym stać cię na płacenie rachunków i masz pewność, że cokolwiek napiszesz, zostanie przynajmniej na serio rozważone. Moje stadium wydaje się tylko rytuałem poniżenia.

Twój trochę zniechęcony

Leo

## Rozdział drugi

Nadal odczuwam lekki podziw, ilekroć wkraczam na lśniąca szachownicę posadzki w holu domu Carrington Square. To jedna z tych wiktoriańskich kamienic z elewacją z piaskowca, z których słynie dzielnica Back Bay – ze wspaniałym dwuspadowym dachem i perfekcyjnie odnowionym wnętrzem. Okna mojego mieszkania z jedną sypialnią wychodzą na wewnętrzny dziedziniec, na którym znajdują się park w stylu angielskim i fontanny z kutego żelaza. Mieszkanie jest pięknie umeblowane i ozdobione – a cena wynajmu pod tym adresem zazwyczaj przekracza możliwości finansowe skromnego pisarza. W salonie po obydwu stronach marmurowego kominka są wbudowane w ścianę regały, a na nich stoją dzieła wszystkich poprzednich zdobywców stypendium Sinclaira, którymi byli rezydujący tutaj pisarze. Ta kolekcja jest równie inspirująca, co onieśmielająca. Wspaniałe powieści w niemal wszystkich gatunkach literackich, stworzone w ciągu roku, w którym dany pisarz mieszkał w tym apartamencie. Przez mniej więcej pięćdziesiąt lat funkcjonowania stypendium niewątpliwie kilkakrotnie zmieniono umeblowanie i dekoracje, jednak te regały pozostały nietknięte, otoczone czcią. Są celem istnienia i sercem tego miejsca – czasami wydaje mi się, że słyszę jego bicie.

Być może właśnie te regały początkowo sparaliżowały moje pióro. Sądziłam, że tutaj z łatwością odnajdę słowa. Czas i miejsce wydawały się idealne do pisania – marzenie urzeczywistnione i utwierdzone przez ową nagrodę. A jednak czułam się tu bezwartościowa, niepewna. Dusiałam się i przez pierwszy miesiąc usuwałam więcej, niż pisałam. Lecz nie dziś.



Dzisiaj wróciłam z biblioteki ożywiona, w radosnym nastroju. Zasiadaliśmy się w barku Sala Map kilka godzin – Cain, Whit, Marigold i ja. Było to bardzo dziwne – czworo nieznajomych, którzy zda się, rozpoznali się nawzajem, jakby już wcześniej przyjaźnili się ze sobą w jakimś zapomnianym życiu. Rozmawialiśmy o najróżniejszych kwestiach, przez większość czasu śmialiśmy się i bez skrępowania żartowaliśmy do siebie. Czułam się swobodnie i oddychałam pełną piersią po raz pierwszy, odkąd wsiadłam do samolotu w Sydney.

Cain jest publikowanym pisarzem – jego pierwszą książkę zrecenzowano w „New York Timesie”. Tego ostatniego mi nie powiedział; wygooglowałam go w drodze do domu. „Washington Post” nazwał go jednym z najbardziej obiecujących młodych powieściopisarzy amerykańskich, a jego debiutancka powieść stała się czymś w rodzaju sensacji. Marigold rzeczywiście studiuje psychologię na Harvardzie, a Whit zawała tam prawo, czym jednak zdaje się nie przejmować. Według niego to jedyny sposób, by uniknąć wciągnięcia go do rodzinnej firmy prawniczej.

Tak więc uwagę mam początkowo zaprzątniętą czym innym, gdy na schodach natykam się na Lea Johnsona.

– Cześć, Freddie! – rzuca.

Leo też jest pisarzem rezydującym w domu Carrington Square. Pochodzi z Alabamy, chociaż myślę, że kiedyś studiował na Harvardzie. Otrzymał stypendium naukowo-badawcze będące, zdaje się, amerykańskim odpowiednikiem stypendium Sinclaira i zajmuje mieszkanie kilkoro drzwi od mojego.

– Jak było w bibliotece? – pyta. Mówi z łagodnym przeciągłym akcentem południowca, skłaniającym cię, żeby zwolnić i chwilę pogawędzić. – Dużo napisałaś?

– Skąd wiesz, że byłam w bibliotece?

– Och, widziałem cię w barku Sala Map. – Poprawia okulary na nosie. – Wpadłem do biblioteki, żeby odebrać książkę, którą zarezerwowałem, a potem

chciałem się napić kawy i przypadkiem cię tam zobaczyłem. Pomachałem, ale chyba mnie nie zauważyłaś.

– Oczywiście, że nie zauważyłam, bo inaczej poprosiłabym, żebyś do nas dołączył – odpowiadam.

Lea najprędzej ze znanych mi tutaj osób mogłabym nazwać kimś w rodzaju kolegi. Opowiadam mu o tym krzyku.

Śmieje się.

– Pewnie to jakaś wariatka albo rodzaj inicjacji do klubu studenckiego. Wiele klubów na Harvardzie jest teraz koedukacyjnych.

Pytająco unoszę brew, nie bardzo wiedząc, jaki to ma związek z krzykiem.

– Wygląda to na jakiś figiel, który wylał się w głowie nastolatka płci męskiej – wyjaśnia. – Ale oczywiście wymagano, by splątała go kobieta.

Uśmiecham się.

– Nie sądzisz, że mogły to zaplanować kobiety?

– Nie sądzę, by kobieta mogła uznać to za zabawne. Natomiast mężczyzna byłby zachwycony tym swoim nadzwyczajnym żartem.

– Pamiętaj, że ty to powiedziałeś, nie ja. – Spoglądam w górę schodów. – Chciałbyś wpaść do mnie na kawę?

Leo kręci głową.

– Nie, proszę pani. Widzę w twoich oczach błysk rodzącej się opowieści. Zostawię cię w spokoju, żebyś mogła ją zapisać. Za parę dni porównamy nasze notatki.

Zgadzam się z ulgą. Rzeczywiście odczuwam nieodparty impuls pisania. I jeszcze bardziej lubię Lea za to, że rozumie.

Wchodzę do mieszkania, ściągam pantofle, moszczę się na sofie i natychmiast otwieram laptop. Zaczynam pisać, wykorzystując przydomki Przystojniak, Komiksowy Bohater i Freudystka. Pojawiają się na stronie ekranu niczym frotaż wzięty z życia, o kształtach i wymiarach stworzonych ze słów. Później dam im

prawdziwe nazwiska; chwilowo nie chcę zatamować strumienia pomysłów próbą wyboru dla nich odpowiednich nazwisk.

Rozmyślam o tym krzyku. On także ma swoje miejsce w tej opowieści. My czworo szczegółowo o nim dyskutowaliśmy. Jak coś takiego mogło pozostać niewyjaśnione? Skoro ktoś krzyknął, musiał mieć powód. Whit znowu napomknął o pająku. Podejrzewam, że ma jakąś fobię z tym związaną.

Uzgodniliśmy wszyscy, że spotkamy się jutro w BBP. Właściwie to Cain i ja postanowiliśmy się spotkać, żeby stworzyć swoistą grupę pisarzy. Marigold i Whit uznali, że powinni się znaleźć w każdej grupie, bez względu na jej cel.

– Możemy dzielić się z wami naszymi opiniami o tym, co piszecie – nalegała Marigold.

– I inspirować was – dorzucił Whit.

Tak więc na tym stanęło.

Włączam telewizor, początkowo tylko po to, żeby coś leciało w tle. Pracuję, więc nadawany program jest dla mnie jedynie niewyraźnym mamrotaniem, które łączy mnie z realnym światem, gdy tworzę własny; ledwie zauważalną kotwicą. Dopóki nie słyszę słów „Dziś w Bostońskiej Bibliotece Publicznej”.

Podnoszę wzrok. Reporter mówi do kamery: „...personel sprzątający znalazł w Bostońskiej Bibliotece Publicznej zwłoki młodej kobiety”.

Zamykam laptop, podkreślam dźwięk i pochylam się do telewizora. Zwłoki. Mój Boże, ten krzyk! Reporter nie mówi już nic więcej dla mnie użytecznego. Przełączam na inną stację, ale doniesienie brzmi z grubsza tak samo. Ciało nie zidentyfikowano, wiadomo tylko, że to była młoda kobieta.

Dzwoni mój telefon. To Marigold.

– Serwis informacyjny! Widziałaś tę wiadomość?

– Tak.

– Tamten krzyk! – Marigold wydaje się raczej podekscytowana niż przestraszona. – To na pewno ona!

– Ciekawe, dlaczego od razu jej nie odnaleziono?

– Może zabójca ukrył ciało?

Uśmiecham się.

– Marigold, nie wspomniano ani słowem o zabójstwie. Mogła krzyknąć, bo spadła ze schodów.

– Gdyby spadła ze schodów, ktoś od razu by ją znalazł.

Fakt.

– Myślisz, że jutro zamkną bibliotekę?

– Może pomieszczenie, w którym została znaleziona, ale z pewnością nie całą bibliotekę. – Marigold zniża głos do półszepotu. – To musiało być w pobliżu Sali Batesa.

– Też tak pomyślałam.

– Wychodząc, mogliśmy go minąć. To znaczy zabójcę.

Śmieję się, chociaż rzeczywiście to możliwe.

– Gdyby to była powieść, co najmniej wpadlibyśmy na niego.

– Więc nasze spotkanie jutro nadal aktualne?

Nie waham się. Sprzątaczką zatrudnioną przez Fundację Sinclaira przychodzi we wtorki, a ja wolę uniknąć poczucia, że przeszkadzam albo jestem leniwa czy niechlujna. To nieodłączne od sytuacji, gdy jesteś dorosła i masz kogoś, kto po tobie sprząta.

– Zamierzam przyjść. Przynajmniej dowiemy się, czy bibliotekę na jakiś czas zamknięto.

Rozmawiamy jeszcze trochę o innych sprawach. Marigold musi napisać referat na temat lęku nieletnich przed rozdzieleniem z matką, który nazywa „o maminsynkach i kobietach, które ich tworzą”. Śmieję się głośno, a potem ustalamy miejsce spotkania, na wypadek gdyby nie wpuszczono nas do BBP.

Lecz po zakończeniu rozmowy wracam myślami do krzyku i tego, że go usłyszałam. Usłyszałam, jak kobieta umierała, i nie wiem skąd, ale miałam pewność, że była przerażona. Czuję w żołądku wagę tego faktu.

W wiadomościach telewizyjnych już nazywa się ten incydent morderstwem. Nie jestem pewna, czy mają więcej informacji, czy po prostu w nieunikniony sposób nakręcają sensację.

Pogląsniam telewizor i powracam do pracy, mając wyrzuty sumienia z powodu tego, że bez względu na to, co czuję wobec śmierci tej nieszczęsnej kobiety, nie zahamowało to ani nie spowolniło potoku słów, które wystukuję na klawiaturze. Pojawiają się szybko i splatają w zdania mocne i rytmiczne, które zaskakują mnie swoją klarownością. Mam wrażenie, że to trochę nieprzyzwoite pisać tak dobrze po takiej tragedii. Ale piszę. Historię o nieznanym złączonym krzykiem.



Droga Hannah!

Dobrze rozegrane, moja przyjaciółko, dobrze rozegrane! Z tym stypendium Sinclaira to fantastyczny pomysł. Zdołałaś umieścić Winifredę w dzielnicy Back Bay bez obciążania jej olbrzymim majątkiem. I w dodatku może być Australijką.

I umieściłaś mnie w tej opowieści! Z akcentem południowca i moim własnym stypendium naukowo-badawczym. Jestem do głębi poruszony! Zapomniałaś nadmienić, że Leo jest wysoki i nadzwyczaj przystojny, ale przypuszczam, że to oczywiste. Co więcej, ukradkiem wprowadziłaś czwartą możliwość do twojej deklaracji, że sprawca zabójstwa był obecny w Sali Map, gdy Freddie piła tam kawę. Czy taki był Twój zamysł?

Co do twojego pierwszego pytania: tak, uważam, że Sala Batesa byłaby następnego dnia otwarta. Najwyraźniej morderstwa nie popełniono tam, lecz w jednym z pobliskich pokoi bądź korytarzy. To daje wiele opcji wyboru – poniżej zamieściłem listę kilku propozycji.

Przy niektórych z nich mogłabyś stanąć przed koniecznością rozważenia kwestii głośności tego krzyku. Jeżeli był na tyle głośny, że usłyszano go w obrębie Sali Batesa, zabójstwo istotnie musiałoby wydarzyć się w jednym z przyległych

pomieszczeń. Z ciekawością zobaczę, jak wyjaśnisz, dlaczego przeszukanie nie dostarczyło żadnych odpowiedzi.

Nawet zajrzałem do BBP, by się przekonać, czy rzuci mi się w oczy coś przydatnego. Jest kilka przewodów wentylacyjnych, którymi dźwięk mógłby dotrzeć z dalej położonego pomieszczenia, ale żeby zyskać pewność, potrzebowałabyś w gruncie rzeczy planów tego budynku. Trochę obawiam się wypytywać, żeby nie uznano, że coś knuję, ale jeśli nadarzy się sposobność, zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć.

A teraz inna kwestia z twojego mejla... O Boże, Hannah, dziękuję, naprawdę nie oczekiwałem, że zaproponujesz pokazanie mojego manuskryptu twojej agentce. Czuję się zakłopotany, że mogłabyś pomyśleć, iż próbowałem ukradkiem podsunąć Ci ten pomysł. Zapewniam cię, że tak nie było. A chociaż duma nie pozwala mi przyjąć Twojej pomocy, jestem zbyt zdesperowany, by ją odrzucić.

Zatem do tego manuskryptu jest dołączona resztką mojej godności. Pamiętaj, abym się o tym nie dowiedział, jeśli uznasz go za okropny i nikomu nie pokażesz. A ja nigdy Cię o to nie spytam, ponieważ musi istnieć jakiś sposób, by nasza przyjaźń przetrwała pomimo mojego braku talentu. Wyrażam to tak nieporadnie, co zapewne źle wróży losom mojego manuskryptu, ale jestem wdzięczny i wzruszony, że chciałabyś mi pomóc.

Tak czy owak, czekam niecierpliwie na Twój następny rozdział i zobaczę, czy uda mi się znaleźć jakieś odpowiednie miejsce na umieszczenie twoich zwłok.

Raz jeszcze z wyrazami wdzięczności i podziwu

Leo

## Rozdział trzeci

Spostrzegam Caina w restauracji Newsfeed w gmachu Johnsona BBP, gdzie się umówiliśmy, i macham do niego. Uśmiecha się na mój widok, co mi przypomina, jak bardzo jest przystojny. Kupuje kawę i szaleńczo daje mi znaki, chcąc się dowiedzieć, czy ja też chcę. Przytakuję, a gdy docieram do niego, podaje mi filiżankę macchiato.

– Bez cukru, tak?

Jestem pod wrażeniem, że zapamiętał.

Znajdujemy wolny stolik, siadamy, popijamy kawę i czekamy na Marigold i Whita. I oczywiście rozmawiamy o zwłokach odkrytych wczoraj wieczorem.

– Jak myślisz, gdzie je znaleziono? – pytam.

W gruncie rzeczy nie znam zbyt dobrze tej biblioteki. Korzystam z niej dopiero od kilku dni.

– Właśnie tego nie potrafię rozgryźć – odpowiada. – Usłyszeliśmy jej krzyk, więc to musiało być gdzieś w pobliżu Sali Batesa, ale to miejsce zostało już przeszukane.

– Chyba że krzyk w istocie nie miał żadnego związku ze śmiercią tej kobiety.

Marszczy brwi.

– Prawda, to możliwe. Krzyk mógł być tym, co autorzy kryminałów nazywają... – robi pauzę, by spotęgować efekt – zmyłką.

Uśmiecham się.

– Nadal byłyby to cholerny zbieg okoliczności.

– Jednak w realnym świecie takie zbiegi okoliczności się zdarzają, nawet jeśli w książkach wyglądałyby na naciągane – mówi Cain.

Przeprasza i wstaje, spostrzegłszy gazetę pozostawioną na sąsiednim stoliku. Wraca z egzemplarzem „Boston Globe” i siada obok mnie, trzymając gazetę między nami. Relacja o znalezieniu zwłok w bibliotece publicznej jest zamieszczona na pierwszej stronie. Czytamy ją uważnie, siedząc ramię w ramię i popijając kawę.

Dowiadujemy się, że ciało znaleziono w Galerii Chavannes przygotowywanej do jakiejś jutrzejszej imprezy. Kobieta nazywała się Caroline Palfrey. To nazwisko niewiele mówi Australijce takiej jak ja, ale Cain mamrocze:

– Braminka.

– Jak ci kapłani? – pytam trochę zdezorientowana.

– Jak klasa społeczna – odpowiada i wyjaśnia, że Palfreyowie wywodzą się z długiej linii tak zwanych Braminów, czyli członków tradycyjnej bostońskiej wyższej sfery.

– Są bogaci?

– Więcej niż bogaci – mówi. – Bramini są integralną częścią establishmentu Wschodniego Wybrzeża. Tworzą odrębną kulturę. Z pewnością w Australii istnieje jakiś ich odpowiednik. Rodziny o starych nazwiskach, które cieszą się prestiżem, gdyż same go ustanawiają.

Uśmiecham się, przypominając sobie Margaret Winslow z zarządu Fundacji Sinclaira, ogromnie dumną z tego, że należy do szóstego pokolenia Australijczyków. W kraju najstarszej na świecie żyjącej cywilizacji autochtonów, której historia liczy około sześćdziesięciu tysięcy lat, sześć pokoleń wydaje się marnym powodem do dumy. A jednak ona się tym przechwalała, rozprawiała z przesadnym entuzjazmem o posiadłości w pobliżu miasta Wagga Wagga, którą jej praprapradziadek objął w połowie dziewiętnastego wieku, o ziemi, którą wyplewił i uprawiał. Ziemi należącej do aborygeńskiego plemienia Wiradjuri.



- Zapewne – odpowiadam. – Ale ja nie obracam się w tych kręgach.
- Myślę, że właśnie na tej hermetyczności zasadza się istota owych kręgów.
- Czy piszą tu, co zaszło w tej Galerii Chavannes? – pytam, przeglądając artykuł, by znaleźć odpowiedź.

– Właściwie nie. – Wskazuje na odpowiednie zdanie. – Znalazła ją sprzątaczką, więc galeria prawdopodobnie była już pusta.

- Ciekawe, czy Marigold albo Whit znali ofiarę.

– O wilku mowa – mówi Cain, gdy oboje wchodzi do restauracji Newsfeed, i macha do nich.

Marigold spostrzega go, chwyta Whita za ramię i ciągnie w naszym kierunku. Oczy jej błyszczą, policzki ma zarumienione. Rzuca okiem na gazetę.

- Więc już to przeczytaliście?

– Tak. Czy znałaś...

– Nie, ale Whit ją znał.

– Właściwie nie – protestuje Whit. – Pracowała w „Ragu”.

– W „Ragu”?

– To lokalny tabloid. – Whit wzrusza ramionami. – Zajmowała się głównie relacjonowaniem wydarzeń z dziedziny sztuki, a od czasu do czasu pisywała artykuły na inne tematy. Skrobałem dla nich tekst, kiedy byłem na pierwszym roku studiów, i wtedy natknąłem się na Caroline.

– Ty piszesz? – pytam zaskoczona, ponieważ wcześniej o tym nie wspomniał.

– Na studiach licencjackich próbowałem wielu rzeczy, a to był tylko kawałek o futbolu. Nie nazwałbym tego literaturą.

Niemniej związek Whita z ofiarą, chociaż wąty, czyni całą tę sprawę trochę bardziej realną. Patrzę na niego i odnoszę wrażenie, że nie jest tak zblazowany, na jakiego wygląda.

– Słyszałeś coś o tym, co się stało?

Wzrusza ramionami.

– Plotki o jej byłym chłopaku. Gość nie potrafił odpuścić.

– Kto to taki? – pyta Marigold. – Wiesz, jak się nazywa? Jest studentem? Gdzie...

– Wyluzuj, Sherlocku. – Whit powstrzymuje ten zalew pytań. – Za kogo mnie masz?

– No, myślałam...

– Że ja po nocach przesłuchuję ludzi, żebyś mogła wkroczyć i dokonać obywatelskiego aresztowania?

Śmieję się. Marigold przewraca oczami.

Ona i Whit odmawiają kawy. Cain i ja dopijamy naszą, po czym wszyscy udajemy się do biblioteki, jednak dowiadujemy się, że Sala Batesa jest zamknięta – a właściwie całe drugie piętro. Drogę zagraadza strażnik ulokowany u podnóża schodów. W barku Sala Map roi się od ludzi, których tak jak nas nie wpuszczono do Sali Batesa, a także reporterów i rozmaitych policjantów – ale Cain i ja już piliśmy kawę.

– Czy znaleziono następne zwłoki? – pyta Whit i robi krok albo dwa w kierunku schodów, lecz strażnik poleca nam, żebyśmy odeszli.

– Wygląda na to, że dziś nie posiedzimy w bibliotece – narzekam.

– Ale przecież zamierzaliśmy porównać notatki dotyczące naszych książek – protestuje Marigold.

Napotykam spojrzenie Caina.

– Czyżby? – rzucam.

– Ty i Whit nie piszecie książek – przypomina jej.

– Zainspirowaliście nas, żebyśmy zaczęli – odpowiada z uśmiechem.

Nie mogę się powstrzymać i odwzajemniam jej uśmiech. Mina Whita nie świadczy o tym, aby był szczególnie zainspirowany.

Uśmiech Marigold jest typowo amerykański – szeroki, szybki i optymistyczny. Kiedy się uśmiecha, można sobie wyobrazić łopoczący za nią gwiaździsty sztandar i niemal poczuć zapach szarlotki. Podobnie rzecz się ma z uśmiechem Whita. Natomiast uśmiech Caina jest inny – powolniejszy, nieco kpiący i ukazujący mniej

zębów. Jednak wszyscy oni uśmiechają się, gdy mówią – i chyba właśnie ta różnica czyni ich Amerykanami. Wydaje się, że Australijczycy nie potrafią jednocześnie uśmiechać się i mówić – oczywiście chyba że kłamiemy. A wtedy uśmiech jest mimowolny, zdradzający oszustwo.

– O czym myślisz? – pyta Cain, przyglądając mi się z zaciekawieniem.

Mówię mu.

– O rany! To dość powierzchowna uwaga! – rzuca Marigold wyraźnie niepewna, czy powinna poczuć się urażona.

– Wybacz. Tak działa umysł pisarki.

– To interesujące. – Cain przechyla głowę na bok i mierzy mnie uważnym spojrzeniem, a ja natychmiast się uśmiecham. – W takim razie skąd wiesz, kiedy Amerykanie kłamią?

– Nie wiem. Może nie umiecie kłamać.

Strażnik piorunuje nas wzrokiem. Widocznie według niego zachowujemy się podejrzanie i być może podsłuchał naszą rozmowę. Wszyscy równocześnie posyłamy mu uśmiechy.

– Moglibyśmy przejść przez plac, znaleźć jakiś bar i zjeść burgery – proponuje Whit. – Możemy nauczyć Freddie odpowiedniego uśmiechania się, na wypadek gdyby kiedykolwiek chciała dostać pracę w McDonalddie.

– Jestem pisarką – mówię. – To stwarza inne możliwości.

W restauracji Boston Burger Company przy ulicy Boylston o tej porze dnia jest cicho i spokojnie. Otwarto ją dopiero przed kilkoma minutami i nie napłynęli jeszcze klienci na lunch. Zajmujemy stolik i zamawiamy krążki cebulowe i nachosy.

Marigold od razu pyta mnie, jak mi idzie tworzenie postaci Freudystki.

– Pomyślałaś o jakimś amancie dla niej? Kimś nadzwyczaj seksownym. Nie zadowoliliby się zwykłym przeciętniakiem. On musi mieć perspektywę kariery i solidny kapitał.

– Naprawdę? – pytam z niedowierzaniem.

Wydaje się niespójne, że ktoś tak wytatuowany i poprzekłuwany kolczykami ma takie tradycjonalistyczne, wręcz merkantylne oczekiwania.

Wzrusza ramionami.

– Serce nie służy.

Zerkam na Whita i Caina. Żaden nie ma ochoty tego skomentować.

Po drobnej zachęcie ze strony Marigold opowiadam im o powieści, którą zaczęłam pisać. Zazwyczaj na tym etapie pracy nie wyjawiam jej rezultatów, jednak w tym przypadku wydaje się to uzasadnione, nawet niezbędne, ponieważ ta historia zaczyna się od krzyku słyszanego przez grupę osób. Poza tym jestem podekscytowana, pragnę porozmawiać o tej powieści, przedyskutować różne możliwości. Whit i Marigold natychmiast dają coś od siebie. Marigold trąkocze z entuzjazmem, a Whit wtóruje jej, dorzucając dziwaczne dowcipne uwagi – i nawet gdy komentują historię, podsuwają mi gotowe dialogi. Cain jest powściągliwszy, rozważniejszy – wypytuje o punkty widzenia, zasadniczy konflikt, luki fabularne. Jego pytania pomagają mi nadać kształt kłębiącym się mglistym wątkom, z którymi się zmagam. Intryguje go moja metoda pisarska polegająca na tym, że nie obmyślam z góry intrygi, ale w jego pytaniach nie ma cienia krytycyzmu, a ja usiłuję wyjaśnić mu moją metaforę autobusu w taki sposób, żeby nie wyjść na kompletnie pomyloną.

Cain pokazuje nam na laptopie schemat fabuły swojej powieści, opisuje motywy i wątki poboczne wynikające z głównego założenia. Przypomina to rozsnuć pajączkę sieć, aby pochwycić opowieść. Jestem tym zafascynowana i trochę żałuję, że moja praca nie zaczyna się od siateczki babiego lata.

Jego książka to historia bezdomnego mężczyzny, Isaaca Harmona, który koczuje w Bostońskiej Bibliotece Publicznej i jej okolicach. Z humanistycznego przesłania tej powieści wyłaniają się motywy związane z przeszłością bohatera, jego samopoznaniem oraz komentarz społeczny. Nakreślony przez Caina plan określa powiązania, punkty, w których różne wątki się spotykają i splatają albo

znów rozgałęziają. Pytam go o źródła opowieści i o to, gdzie znalazł Isaaca Harmona, wokół którego obraca się cała narracja.

– Kiedy miałem piętnaście lat, uciekłem z domu. Wylądowałem w Bostonie i przez parę tygodni sypiałem na ulicach.

– Uciekłeś? Dlaczego? – pytam.

– Zwyczajny melodramatyczny postępek nastolatka – odpowiada. – Wytrzymałem tylko dwa tygodnie. Byłoby o wiele krócej, gdybym nie spotkał Isaaca Harmona. Chronił mnie przed wpadnięciem w prawdziwe tarapaty i postarał się, abym nie umarł z głodu, dopóki nie byłem gotowy na powrót do domu.

– Twoi rodzice z pewnością odchodzili od zmysłów.

Śmieje się.

– Właściwie nie do końca. Myśleli, że wyjechałem na wakacje z kumplem. Byli wściekli, ale nie zaniepokojeni. Tak więc ten mój dramatyczny gest nie odniósł skutku. Ale dzięki niemu poznałem Isaaca.

– Czy nadal utrzymujesz z nim kontakt?

W jego oczach migocze mroczny cień. Dopiero po chwili milczenia Cain odpowiada:

– Od czasu do czasu dzwonił do mnie. Spotykałem się z nim, zapraszałem go na burgera. Rozmawialiśmy. Zginął mniej więcej pięć lat temu.

– Przykro mi – szepczę.

Intuicja podpowiada mi, że Cain nie mówi o przypadkowej śmierci.

– Jak zginął? – pyta Whit takim tonem, jakby dowiadywał się, gdzie Cain kupił buty.

– Ktoś zadźgał go nożem.

– Och, cholera – wyrywa się Whitowi.

– Został zamordowany? – pyta Marigold, sprawiając wrażenie bardziej zaintrygowanej niż wstrząśniętej.

Cain przytakuje.

– Policja zdaje się sądzić, że to była kłótnia o miejsce do przenocowania na ulicy czy coś w tym rodzaju. Dowiedziałem się o śmierci Isaaca tylko dlatego, że nadal miał w kieszeni kartkę z moim numerem telefonu i adresem. Policjanci ją znaleźli i pomyśleli, że być może jestem jego krewnym.

Whit potrząsa głową.

– Kiepska sprawa, stary.

– A więc to jest historia Isaaca? – pytam z wahaniem, bo nie jestem pewna, czy Cain chce o tym rozmawiać.

Wiem, pisze o tym, ale to co innego. Słowa zapisujemy w samotności i w tym odsłanianiu jest osobliwa intymność. Mamy czas, żeby przywyknąć do jakiegoś subiektywnego odkrycia, zanim z konieczności zaufamy czytelnikom i podzielimy się nim z nimi.

– Przypuszczam, że w pewnym sensie. – Cain nakłada kopiec odsmażanej fasoli i sera na kukurydziany chips za mały do tego celu. – Częściowo jego, częściowo moja, a częściowo po prostu wymyślona przeze mnie.

– To magiczna formuła – mówię.

Cain uśmiecha się do mnie i znów uświadamiam sobie, że jest przystojny.

– Czy kiedykolwiek go znalezione? Człowieka, który zabił twojego przyjaciela? – pyta nadal zaciekawiona Marigold.

– Nie.

– Jakie to smutne. – Marigold przygląda mu się przenikliwie. – Czy to cię dręczy?

Cain zastanawia się nad tym pytaniem.

– Chyba tak. Jednak bardziej to, że on umarł na zimnie, samotny i cierpiący z bólu. – Krzyżuje ramiona na piersi. – Isaac bywał... porywczy. Ktokolwiek go zabił, mógł to zrobić ze strachu czy z gniewu albo był chory psychicznie. Na ulicach sypia wielu przestraszonych, gniewnych i chorych ludzi.

Ciekawi mnie, czego doświadczył podczas tych dwóch tygodni życia na ulicach. Lecz go nie pytam. Niektóre historie powinno się opowiadać z własnej

woli, a nie pod presją.

– Wielu przestraszonych, gniewnych i chorych ludzi sypia co noc w łóżkach – zauważa Whit.

Cain obrzuca go spojrzeniem. Whit się wzdryga.

– Przepraszam, stary. Nie zamierzałem...

– Nie, masz rację. – Cain wystukuje coś na klawiaturze. – To zgrabne zdanie.

Nie masz nic przeciwko temu, że bym je wykorzystał, co?

Śmieję się.

Cain celuje we mnie palcem ponad ekranem laptopa.

– Nie udawaj, że nie postępujesz tak samo.

Marigold opiera łokcie na stole i układa podbródek na dłoniach.

– Więc co zrobimy w związku z Caroline Palfrey?

– A co według ciebie mielibyśmy zrobić? – pyta Whit.

– Nie możemy udawać, że nic się nie stało, i tak po prostu żyć dalej. Ktoś został zabity zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym siedzieliśmy. To z pewnością zmienia naszą sytuację.

Whit ostrożnie wyciąga krążek cebulowy z ich sterty polanej miodowym sosem barbecue i posypanej tartym serem.

– Jeśli cokolwiek ma nas zmusić, abyśmy ujawnili nasze prawdziwe tożsamości superbohaterów walczących ze złem, to niewątpliwie właśnie to zdarzenie.

– Marigold, tamtego dnia w Sali Batesa było mnóstwo ludzi – mówi Cain łagodniej.

– Niezrobienie niczego wydaje się czymś nieprzyzwoitym. Usłyszeliśmy, jak ona umarła – mówi z powagą Marigold.

– Nie jestem pewien, co możemy zrobić – wyznaje Cain.

– A co, jeśli nigdy się nie dowiedzą, kto zabił Caroline? – pyta Marigold drżącym głosem. – Usłyszeliśmy jej krzyk. To był krzyk o pomoc, a my go słyszeliśmy.



Droga Hannah!

Czyta się to dobrze. Mam wrażenie, że poznałem już ich wszystkich lepiej – na tyle, aby poczuć zaciekawienie ich indywidualnymi historiami. Chyba osiągnęłaś właściwe proporcje. Każde z nich wydaje się kimś o wiele pełniejszym niż na początku. I znów bardzo podoba mi się ostatnie zdanie. Jest niepokojące – zwłaszcza jeśli kiedykolwiek słyszało się czyjś krzyk.

Drobna kwestia terminologiczna. Amerykanie nie używają zwrotu „sypianie na ulicach”. Prawdopodobnie zrozumielibyśmy jego sens na podstawie kontekstu, lecz brzmi trochę niecodziennie w dialogu prowadzonym przez amerykańską postać. Jednak to zgrabne określenie, mniej przygnębiające niż bezdomność i mniej oklepane.

Co do Twojego pytania, czy odległość między Bostońską Biblioteką Publiczną a Uniwersytetem Harvarda da się pokonać pieszo: tak, jeśli jest się niemieckim turystą. Wszyscy inni ludzie pojechaliby taksówką, uberem albo autobusem. Byłby to autobus linii 57 bądź 86. Jeśli zaś chodzi o metro, należałoby pojechać zieloną linią do Park Street, czyli stacji metra naprzeciwko BBP, która mieści się przy skrzyżowaniu ulic Boylston i Dartmouth. Na tej stacji trzeba się przesiąść do czerwonej linii, którą dotrze się do Harvardu. Mój opis przypuszczalnie jest trochę zanadto szczegółowy, ale wolę podać Ci zbyt wiele detali niż za mało.

W każdym razie, czy to oznacza, że zamierzasz uczynić plac Copley Square centrum akcji Twojej powieści? Rzeczywiście podoba mi się, że zabrałaś swoich bohaterów do restauracji Burger Company przy ulicy Boylston, chociaż miałaś do wyboru wiele innych miejsc. Dołączam listę lokali, które nie są zbyt drogie. Powinnaś wiedzieć, że na tym placu znajdują się dwa kościoły – Trinity oraz Old South Church. Wyobrażam sobie, że Caroline mogłaby uczęszczać do jednego z nich albo obu. Dołączam parę fotografii. Daj mi znać, czy chciałabyś, żebym zrobił kilka zdjęć ich wnętrza.



W zależności od pory roku, w jakiej umieszczasz akcję powieści, Twoja czwórka mogłaby spokojnie spotkać się przy fontannie na Copley Square, mając lunch na wynos. Jest tam też hotel Fairmont Copley Plaza, ale byłby o wiele za drogi jak na zwykły lunch.

Naprawdę ciekawi mnie, jak zamierzasz poprowadzić dalej tę opowieść od tego punktu. Twój bohaterowie właściwie nie mają powodu, by zaangażować się w śledztwo. Gdy przeczytałem, że Caroline Palfrey pracowała w gazecie, pomyślałem przez chwilę, że Cain mógł ją znać albo może ona przeprowadziła z nim wywiad, jednak wydaje się, że nie idziesz w tym kierunku – a może tak? Przepraszam, nie zamierzam zgadywać, jak poprowadzisz narrację. Uznaj to za komplement, że już mnie to obchodzi.

Czy wiadomo coś nowego o tym, kiedy mogłabyś przyjechać do Stanów? Nie żebym miał coś przeciwko roli Twojego człowieka w Bostonie – to dla mnie przyjemność i naprawdę dobrze się bawię – ale bycie widzianym ze sławną autorką ogromnie pomogłoby mojej reputacji!

Teraz wiadomość o mnie: tak się składa, że moja dawna przyjaciółka z czasów college'u grywa w tenisa z Alexandrą Gainsborough, agentką literacką. Diana zaprosiła nas oboje na kolację w nadziei, że to towarzyskie spotkanie twarzą w twarz mogłoby skłonić pannę Gainsborough do rzucenia okiem na moje dzieło. Muszę przyznać, że trochę się denerwuję. Być może ta nieszczęsna kobieta ma serdecznie dość bycia osaczaną przez zdesperowanych pisarzy, podczas gdy chce po prostu spokojnie zjeść kolację. Jak mam podejść do tego z choćby odrobiną towarzyskiego wdzięku i dystansu, skoro w gruncie rzeczy pragnę ją błagać, żeby dała szansę mojej książce? Nie martw się, nie zrobię tego – chyba że będę musiał. W każdym razie, trzymaj za mnie kciuki.

Z ostrożnym optymizmem

Leo

## Rozdział czwarty

Moja muza i ja przez trzy dni przebywałyśmy w mieszkaniu zamknięte na klucz. W tym czasie jedyną istotą ludzką, jaką widziałam, był Leo, a nawet jego odstraszyło roztargnione błędne spojrzenie, jakim go obrzuciłam.

– Piszesz? – spytał, mierząc mnie wzrokiem.

Widocznie wyglądałam na piszącą.

– Tak. Chciałbyś wejść na drinka?

– Mówisz to tylko z uprzejmości?

– Tak – przyznałam.

Uśmiechnął się.

– W takim razie przełożmy to na kiedy indziej.

Poczułam, że wyraz mojej twarzy staje się mniej napięty.

– Dziękuję, Leo. Przepraszam, już drugi raz cię spławiam.

– Nie przejmuj się żadnym z nich, Freddie. – Zdjął okulary i mrużąc oczy, popatrzył w głąb mieszkania. – Ja na twoim miejscu nawet nie otworzyłbym drzwi. Mam tylko nadzieję, że przeze mnie nie wypuściłaś swojej muzy.

– Nigdzie nie pójdzie. Połamalam jej nogi.

Leo znieruchomiał, trochę zaskoczony.

Uśmiechnęłam się.

– Żartuję. Przekupiłam ją australijskimi ciasteczkami czekoladowymi.

Potrząsnął głową.

– Wy, Australijczycy, macie swoją mroczną stronę.

– Bzdura. Jesteśmy przyjaznymi alkoholikami, którzy lubią urządzać grille i przeklinać.

Na odchodne rzucił:

– Życzę powodzenia twojej muzie!

To było dwa dni temu. Moja historia nadal nadchodzi falami, napływające gwałtownie pomysły wlewają się na stronice szybciej, niż jestem w stanie je zapisać. Nie znalazłam jeszcze prawdziwych nazwisk dla Przystojniaka, Komiksowego Bohatera i Freudystki, lecz to chyba nie ma znaczenia. Dzieje się tak być może dlatego, że nie jestem jeszcze gotowa do oddzielenia ich od realnych pierwowzorów, do powstrzymania tego pędu odkrycia, tego podekscytowania nową przyjaźnią, które zdają się same kształtować opowieść. Narracja jest dziwna – niepodobna do niczego, co wcześniej napisałam. Biblioteka zyskuje własną świadomość – wydaje się czujna, cierpliwa, groźna. Krzyk staje się głównym motywem, echem bezgłośnego wołania każdej postaci o więź i przyjaźń, o pomoc.

Sercem tej opowieści jest Freudystka. I ma to serce na dłoni jednej z wytatuowanych rąk. Szczera, tryskająca energią i trochę romantyczka, wierzy w sprawiedliwość i lojalność i idzie przez życie ze swoistą dziecięcą niewinnością. Ale coś w niej chce ostrzegać ludzi, aby trzymali się na dystans, ukryć jej naturalną serdeczność pod objawami ulicznej brutalności. Zastanawiam się przez pewien czas, co jest przyczyną jej nieufności wobec nieznanym: trudne dzieciństwo, brak stabilności, nawet jakaś tragedia. Być może to po prostu kwestia gustu. Przypuszczam, że Marigold najzwyczajniej lubi tatuaże i kolczyki, jednak Freudystka będzie musiała mieć bardziej skomplikowaną osobowość.

Komiksowy Bohater jest prostolinijski i wyluzowany niemal tak jak Australijczycy. Stosuje bierny opór, który okazuje się jednak skuteczny. Młody mężczyzna usiłujący dowieść rodzicom, że nie dorasta do ich ambicji. Jego zadurzenie we Freudystce być może ma źródło w tym samym odruchu odrzucania cudzych oczekiwań.

Chociaż opowieść koncentruje się na Freudystce, to z jakiegoś powodu opisuję Przystojniaka jako bohatera. Jestem na tyle samoświadoma, że rozpoznaję przyczynę ciepła, z jakim przedstawiam tę postać. Śmieję się z siebie, lecz mimo to on mnie fascynuje.

Uświadamiam sobie, że rozmyślałam o tych tygodniach, które Cain spędził na ulicy. Zastanawiam się, czy przyczyną jego ucieczki z domu było coś więcej niż bunt nastolatka. Cain nie wydaje się skłonny do wykonywania dramatycznych gestów bez powodu, ale znam go zaledwie kilka dni albo mógł się zmienić, wydorosnąć.

Przewijam wszystkie strony, które napisałam w ciągu minionych kilku dni. Manuskrypt jest trochę szalony i chaotyczny – zastanawiam się, czy autobus nie jedzie zbyt szybko i nie zbacza z drogi. Ogarnia mnie przelotny smutek, że w tej opowieści nie ma odpowiedniczki mnie. Czuję się poniekąd wykluczona, chociaż sama podjęłam decyzję o pominięciu siebie.

Dzwoni telefon i przez kilka nerwowych sekund usiłuję go zlokalizować pod stertami książek oraz talerzy, na których kiedyś były tosty. Ledwie zdążam odebrać, zanim włączy się poczta głosowa.

To Cain.

– Czy masz ochotę zrobić sobie przerwę?

Waham się. Nie dlatego, że nie chcę przestać pisać, ale ponieważ nie jestem nawet ubrana.

– Teraz?

– Och, przepraszam, w czymś ci przeszkodziłem? Nie zamierzałem...

Odpowiadam szczerze, gdyż w tym momencie nie przychodzi mi do głowy nic oprócz prawdy.

– Jestem w piżamie, nawet nie wzięłam prysznic.

Śmieje się.

– Ile czasu potrzebujesz?

– Co najmniej godzinę. Wymagam kapitalnego remontu.

– Dobrze, zrób, co zdołasz. Spotkamy się o pierwszej na Copley Plaza.

Zerkam na zegarek. To za półtorej godziny.

– Nie odpowiadam za rezultat.

– Obniżę moje oczekiwania – odpowiada. Słyszę w jego głosie uśmiech, który widzę oczami wyobraźni. – Może zaczekam na ciebie przy fontannie?

Jestem już w drodze do łazienki. Widocznie długotrwałe tkwienie w mieszkaniu dało mi się we znaki bardziej, niż sądziłam, bo ogarnia mnie ekscytacja na myśl o wyjściu z domu i spotkaniu z Cainem. Podświadomie wiem, że tak naprawdę chodzi tylko o niego, jednak powinno się zachować godność nawet w rozmowie z samą sobą. Trzy dni wystarczą, by każdego doprowadzić do obłędu, a ja prawdopodobnie potrzebuję rozmowy z kimś o tej opowieści, upewnienia się, że nie zmierza w jakimś wątpliwym kierunku. Poza tym kończy mi się jedzenie – to będzie okazja do uzupełnienia zapasów.

Biorę prysznic, ubieram się, a na koniec owijam szyję wełnianym szalikiem i wciągam rękawiczki. Przez chwilę napawam się przelotną dziecinną przyjemnością włożenia po raz pierwszy nowych rzeczy. Kupiłam je w ubiegłym tygodniu z myślą o jesieni. Rzadko jest tak zimno, by nosić je w domu, więc wciąż są dla mnie nowością. Macham dłońmi w jaskrawożółtych rękawiczkach do mojego odbicia w lustrze. Sprawiają, że czuję się trochę lepiej zakorzeniona w Bostonie. Chyba nic bardziej nie identyfikuje cię jako „przyjezdnej Australijki” niż chodzenie po mieście, trzęsąc się z zimna.

Plac Copley Square znajduje się w odległości tylko krótkiego spaceru od mojego domu. Biorę ze sobą laptop. Na tym etapie wolę mieć go pod ręką – z powodów, które nie mają żadnego związku z tym, czy zamierzam albo spodziewam się pisać. Kiedy stanę się już starszą panią, jedno ramię będę miała prawdopodobnie krzywe wskutek dźwigania laptopów, jakby były jakąś przenośną aparaturą podtrzymującą życie – czym być może rzeczywiście dla mnie są.

Fontannę na Copley Square zaprojektowano w stylu rzymskiego akweduktu – ma łuki oraz kanały, z których do sadzawki tryska woda. Jednak w rzeczywistości

nie jest stara, zwłaszcza w porównaniu z budynkami na tym historycznym placu. Nie wyróżnia się też szczególną urodą, ale cały teren sprawia miłe wrażenie, a dzień jest piękny. Rześki i jaskrawy, złagodzony przez ciepły blask amerykańskiej jesieni. Cain spostrzega mnie, gdy się zbliżam, i podbiega.

– Spóźniłam się? – pytam, nagle zaniepokojona, że zmarnowałam zbyt wiele czasu na rozważanie, w co się ubrać.

– Skądże. Czy przerwałam ci twórczy impet?

Przecząco kręcę głową.

– Nie... uratowałeś mnie przed mną samą. Szczerze mówiąc, miło jest się przejść.

Odczuwa wyraźną ulgę.

– Więc może się przespacerujemy, zanim znajdziemy jakiś lokal, w którym zjemy lunch? Chyba że masz już dość chodzenia?

Nie mam.

Chociaż po przyjeździe do Bostonu dołączyłam do paru wycieczek po mieście z przewodnikiem, spacerowanie po tych samych ulicach z Cainem to co innego. On nie opowiada starych historii związanych z oglądanymi zabytkami, lecz szuka nowych. Szuka miejsc i szczegółów, które można by wpleść w sieć opowieści o Isaacu Harmonie. To jak gra w to, co mogłoby się tu wydarzyć – i wkrótce biorę w niej udział.

Dochodzimy do drzwi wejściowych sklepu z antykami. Cain przystaje i spogląda na nie, jednak nic nie mówi. Ponaglę go. Być może na wystawie jest coś, co wiąże się z przeszłością bohatera jego książki.

Krzywi się.

– Właśnie tutaj próbowałam przespać się pierwszej nocy po tym, jak wysiadłem z autobusu, którym przyjechałem z Charlotte.

– Och, rozumiem. – Wejście jest szerokie i osłonięte, ale nieprzyjemnie tu pachnie i nawet za dnia tę stronę ulicy spowija zimny cień. – I co się stało?

– Zjawił się ćpun, który zwykle tu sypiał, i ciężko mnie pobił.

– O mój Boże!

– Tak się złożyło, że Isaac spał tam. – Cain wskazuje prześwit między dwoma budynkami po drugiej stronie jezdnii. – Podszedł, uspokoił gościa, dał mu parę papierosów i zabrał mnie ze sobą.

– Musiałeś być przerażony.

– Nie dość przerażony. Isaac usiłował nakłonić mnie, żebym wrócił do domu albo przynajmniej poszedł do schroniska dla bezdomnych. Kiedy odmówiłem, pozwolił mi trzymać się przy nim. – Cain zerka na mnie. – Wydajesz się zszokowana.

– Tylko tym, że wróciłeś do domu dopiero po dwóch tygodniach. – Spoglądam mu w oczy. Są ciemne, niemal czarne. – Sytuacja tam musiała być bardzo zła.

– Mój ojczym... – Potrząsa głową. – Nie dogadywaliśmy się.

– A gdy wróciłeś?

– Po moim powrocie długo nie było go w domu.

– A twoja matka?

– Mama się z nim rozstała. Mieszka teraz w Minnesocie.

Oglądam się na wejście.

– Umieścisz tę historię w twojej książce?

– Nie wiem. Nie mogę opisywać siebie, ale myślę, że to, co Isaac dla mnie zrobił, jest ważne. On nie był święty, Freddie. Nie pomagał każdemu. Widziałem, jak postępował wręcz podle, ale postanowił ocalić mi życie. Ta jego decyzja wydaje się interesująca. Nie mogę jej pominąć.

– Więc nie pomiń. Po prostu zmień tego, komu pomógł. Może dziewczynie... albo psu.

– Psu? – jęczy. – Chcesz, żebym obsadził w mojej roli psa?

– Niech to będzie miły pies, bez pcheł ani wścieklizny.

Cain zerka na zegarek.

– Za rogiem jest naprawdę świetna wegetariańska knajpka. Będzie dobra na lunch?

– Tak, jasne.

Zaskakuje mnie, że zauważył, iż jestem wegetarianką. Dwukrotnie jedliśmy razem, ale nie przypominam sobie, żebym to oznajmiła, tylko nie zamawiałam potraw mięsnych.

Na rogu niewielki tłumek przygląda się występowi ulicznego performerera, więc Cain bierze mnie za rękę, żebyśmy się nie zgubili, gdy lawirujemy między ludźmi. Restauracja dwa domy za rogiem nazywa się Karma. Najwyraźniej cieszy się popularnością, jest zatłoczona, jednak udaje się nam jakoś zdobyć stolik przy oknie.

– Na pewno ci to nie przeszkadza? – pytam, gdy oboje studiujemy menu. – Naprawdę nie mam nic przeciwko jadaniu w zwykłych restauracjach. Zawsze są w nich także dania wegetariańskie.

– I miałyby mnie ominąć całe to... tofu? – mówi, robiąc minę.

Wydaje się, że ten grymas przywołuje kelnera. Zamawiamy burgery z soczewicy i mleczne koktajle owocowe. Znow pogrążamy się w rozmowie o naszej pracy, Bostonie i – co nieuniknione – o Caroline Palfrey.

– Rozmyślałem o tym krzyku – oznajmia mi Cain. – Wszyscy go usłyszeliśmy, a jednak tę kobietę nie od razu znaleziono. Zastanawiałem się, jak to możliwe.

Kiwam głową.

– To trochę przypomina odwrotność zagadki zamkniętego pokoju.

Patrzy na mnie z lekkim zdziwieniem.

– Wybacz, zapomniałam, że nie jesteś autorem powieści kryminalnych. – Próbuję mu to wyjaśnić. – Zagadka zamkniętego pokoju polega na tym, że ofiara zostaje znaleziona w pomieszczeniu zamkniętym na klucz od wewnątrz. Właściwie zagadką jest, w jaki sposób morderca wszedł, a potem wyszedł.

Marszczy brwi.

– Więc kiedy powiedziałaś, że to jest odwrotność zagadki zamkniętego pokoju...



– Powiedziałaś, że trochę ją przypomina – precyzuję. – Ale owszem, usłyszeliśmy krzyk Caroline. Jak mówi Marigold, usłyszeliśmy, jak umarła. Jednak strażnicy nie znaleźli tam jej ciała. A potem po kilku godzinach się pojawiło. Zagadką jest to, gdzie było jej martwe ciało między krzykiem a momentem, w którym je odnaleziono.

– Może to nie Caroline krzyczała.

– Ach tak, teoria zbiegu okoliczności.

– A czym innym mogło to być?

– No cóż, musielibyśmy wziąć pod lupę tych strażników, którzy sprawdzili najbliższe pomieszczenia – myślę na głos. – Może ciało Caroline przez cały czas tam było. Może ktoś miał powód, by zraportować, że Galeria Chavannes jest pusta.

Zaskakuje nas stukanie w okno, przy którym znajduje się nasz stolik. Unosimy głowy i widzimy Marigold i Whita. Po kilku sekundach szaleńczego sygnalizowania i gestykulacji wchodzi i dosiadają się do nas.

– Czy mieliśmy spotkać się na lunchu? – pyta Marigold. – Bardzo przepraszam...

– Nie, nie mieliśmy – odpowiadam z niejasnym poczuciem winy. – Cain i ja po prostu umówiliśmy się, żeby podyskutować o naszych książkach.

– Och, tak? – mówi Marigold.

Wygląda na trochę zawiedzioną, a ja czuję się okropnie.

– Utknąłem w mojej powieści – śpieszy z wyjaśnieniem Cain. – Musiałem sprawdzić kilka lokalizacji i pomyślałem, że Freddie być może chciałaby mi towarzyszyć... jako obca w tym mieście i w ogóle. Zobaczyła teraz kilka najbardziej zaniedbanych rejonów Bostonu.

– Co za ulga! – wtrąca Whit. – Przez chwilę myślałem, że zapomniałem przekazać wiadomość.

– A co wy tu robicie? – pyta Cain.

– Zmierzalam do biblioteki – wyjaśnia Marigold. – Zobaczyłam Whita po drugiej stronie ulicy i przeszłam przez jezdnię, żeby się z nim przywitać.

Whit szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Ja szedłem na donuty do cukierni, kawałek drogi stąd, kiedy spostrzegłem was w oknie, a potem ona z piskiem przebiegła przez jezdnię.

– Nie piszczałam! – zaprzecza Marigold i szturcha go żartobliwie.

Cain uśmiecha się do mnie.

– Zatem nazwiemy to zbiegiem okoliczności.



Droga Hannah!

Kolacja była urocza. Diane się postarała – podała homary, posadziła mnie obok Alex i przy deserze poruszyła temat mojego dzieła, ponieważ ja do tego czasu wciąż nie zdobyłem się na odwagę, by samemu o nim wspomnieć. Na deser była absolutnie wspaniała mikstura czekoladowa, którą byś się zachwyciła!

Poświęciłem wcześniej sporo czasu na dokładne przygotowanie elokwentnego streszczenia dzieła w kilku z pozoru rzuconych mimochodem zdaniach – imponujący skrótowy opis zasadniczej koncepcji. Dodałem kilka pełnych zamyślenia pauz oraz mruknięcia, żeby sprawić wrażenie spontaniczności.

Pocziwa Diane wciąż zadawała mi pytania, żeby rozmowa nie zeszła na inny temat i żebym mógł „z ociąganiem” mówić o mojej pracy.

W każdym razie Alex dała mi swoją wizytówkę i poprosiła, abym przysłał jej manuskrypt.

Tak więc, jak możesz sobie wyobrazić, jestem w siódmym niebie – tak wysoko, że widzę Plutona!

Pamiętam, jak mi mówiłaś, że chwili, gdy pierwszy raz w życiu słyszy się od wydawcy „tak”, nie da się z niczym porównać. Jeszcze tego nie doświadczyłem, więc nie mogę potwierdzić, ale „może tak” też jest fantastyczne. Właśnie dlatego

nie mam żadnych uwag dotyczących Twojego ostatniego rozdziału. Po prostu jestem zbyt szczęśliwy, by móc się skupić. Przeczytam go ponownie jutro – do tego czasu na pewno trochę się uspokoję – i napiszę do Ciebie później, jeśli będę miał jakieś spostrzeżenia albo sugestie dotyczące realiów Bostonu.

Przed wysłaniem zamierzam jeszcze raz sprawdzić dzieło pod kątem literówek itp.

Trzymaj za mnie kciuki, kiedy nie będziesz pisała.

Pełen nadziei

Leo

## Rozdział piąty

Tego wieczoru lądujemy w moim mieszkaniu, jemy zamówioną pizzę i po prostu spędzamy razem czas. Whit myszkuje w kuchni i przygotowuje deser lodowy z bananami i bitą śmietaną, który podaje w dużej salaterce z czterema łyżeczkami. Jestem zaskoczona tym, jak swobodnie czuję się z tymi ludźmi, których jeszcze tak niedawno w ogóle nie znałam. Dzisiaj opowiadam im o mojej zwariowanej rodzinie i byłych chłopakach, o żenujących momentach w życiu i różnych osobistych okropnych historiach, których nie zamierzałam komukolwiek wyjawiać. Być może ma to jakiś związek z winem, co nie znaczy, że którekolwiek z nas pije go za dużo – a jedynie tyle, by nabrać trochę odwagi do otworzenia się. I w tym naszym – aczkolwiek lekkim – upojeniu alkoholowym są wzajemne zaufanie i rodząca się między nami przyjaźń.

Marigold opowiada o jej dwunastu latach nauki klasycznego baletu i próbuje nam zademonstrować, że nadal potrafi stanąć na pointach. Okazuje się, że nie potrafi – już nie albo w każdym razie nie w tym momencie. Mówi o tańcu, który uwielbiała, i dyscyplinie, której nienawidziła. I poprzez te historie dostrzegam jej tradycyjalistycznie konserwatywne wychowanie nacechowane wysokimi aspiracjami. Widzę młodą kobietę w trakcie procesu przedefiniowywania siebie. Marigold pokazuje nam swój pierwszy tatuaż, balerinę leżącą na plecach w swobodnej zrelaksowanej pozie.

Whit reaguje pierwszy.

– Kurde! Czy ona nie żyje?

Krztuszę się winem. Cain zamiera, spodziewając się wybuchu Marigold.

Ale dziewczyna tylko się śmieje.

– Miała odpoczywać, ale być może nie żyje. Może to był omen.

– Czy to Myszka Miki? – pytam, przyglądając się wizerunkowi częściowo ukrytemu pod koszulą.

– Tak – odpowiada i zdejmuję koszulę, ukazując tatuaże pokrywające każdy centymetr jej ciała poniżej obojczyka.

Wspiera dłonie na biodrach i obraca się powoli, żebyśmy zobaczyli każdy tatuaż. Jestem świadoma jej nagości, lecz za bardzo intryguje mnie widok jej wytatuowanej skóry, bym poczuła się zszokowana. Cain bierze wdech, a Whit nalewa sobie kolejną szklankę wina.

– Jest też Donald – dodaje Marigold. – Nad biodrem.

– Boże, mam nadzieję, że mówisz o tym kaczorze – mamrocze Whit.

Na jej drobnych piersiach widnieją wytatuowane kwiaty. Tatuaże są eklektyczne, a jednak żaden nie stanowi dysonansu ze skomplikowanym spójnym obrazem całości. Pytamy o konkretne wzory, a Marigold wyjaśnia okoliczności ich powstania.

Cain wypytuje ją o igły i poziom bólu wiążącego się z wykonaniem każdego tatuażu.

– Najbardziej bolały te wokół żeber. – Mówiąc to, dotyka tej okolicy ciała. – Wrzeszczałam, jakbym była... no, po prostu wrzeszczałam.

– Gdzie umieścisz następny? – pyta Whit, okrążając ją w poszukiwaniu niewytatuowanego fragmentu skóry.

– Poniżej talii nie mam żadnego tatuażu – wyjaśnia Marigold. Podciąga nogawkę dżinsów i pokazuje nam nietkniętą skórę. – Ale nie jestem pewna, czy zechcę mieć jeszcze jakiś.

– Dlaczego? – pytam, ponieważ jestem ciekawa jej pobudek, a nie dlatego, że uważam, by potrzebowała kolejnych dzieł na ciele.

– To arbitralnie wyznaczona granica. To znaczy zawsze będę miała miejsce na jakiś idealny tatuaż, jeśli na taki natrafię. Chodzi mi o to, żebym nie była ukończona. Nie chcę być kompletna... jeszcze nie. – Z powrotem wciąga koszulę. – A wy w ogóle się nie tatuujecie? – Spogląda na mnie. – Czy w Australii ludzie tego nie robią?

– Och, oczywiście, że robią. Mnóstwo ludzi robi sobie tatuaże. I mnóstwo ludzi nie. Ja nie robię.

Whit wali się na sofę.

– Policja mnie przesłuchiwała – oznajmia.

Przez chwilę tylko wpatrujemy się w niego w milczeniu.

– Do diabła, dlaczego nie powiedziałaś?

– Mówię teraz.

– Byłoby dziwne, gdyby cię nie wypyтали – zauważa Cain. – Prawdopodobnie rozmawiają z każdym, kto znał Caroline Palfrey.

– Prawdopodobnie porozmawiają też z wami – mówi przeproszającym tonem Whit.

Marigold patrzy na niego podejrzliwie.

– Dlaczego?

– Aby potwierdzić, że kiedy ta kobieta zmarła, byłem w Sali Batesa.

– Och, mój Boże! Zapytali cię o alibi?

– Tylko o to, gdzie wtedy byłem.

– Trzymasz się, Whit? – pytam łagodnie, gdyż wygląda na trochę roztrzęsionego.

– Jasne, nic mi nie jest. – Krzywi się. – Widziałem zdjęcie jej ciała.

– Pokazali ci zdjęcie zwłok?

– Nie. Zobaczyłem je wiszące na tablicy, gdy szedłem do pokoju przesłuchań.

– Czy to było bardzo okropne? – pyta Marigold.

– Niezbyt. Musiała zostać uderzona w głowę. Miała krew we włosach, ale poza tym wyglądała w pewnym sensie spokojnie. Jakby spała.

– Czy wspomnieli coś o tym, dlaczego tak późno odnaleziono ciało? – pyta Marigold, napełniając winem swoją szklankę.

Odpowiedź Whita mnie zaskakuje.

– Tak. Ponoć Galerię Chavannes przygotowywano przed jakąś imprezą, która miała się odbyć następnego dnia. Ciało leżało pod stołem bufetowym – nakryte obrusami, kokardami i innymi takimi rzeczami. Znalezione je tylko dlatego, że jedna ze sprzątaczek była pedantyczna i podniosła obrus, żeby przejechać odkurzaczem pod stołem.

– Dobry Boże! Czy wciągnięto cię w śledztwo? – pytam, zastanawiając się, skąd on tyle wie.

Prycha.

– Mnie nie, ale moich starych. Palfreyowie od lat są klientami kancelarii adwokackiej Metters i Putnam.

– Rodzice ci o tym powiedzieli?

– Nie wprost. To byłoby nieprofesjonalne, a moi rodziciele zawsze zachowują się profesjonalnie. Ale podsłuchałem ich rozmowę, kiedy wpadłem do nich do domu. – Wypuszcza powietrze z płuc. – Sądzę, że przesłuchanie mnie przez policję stawia ich w trochę niezręcznej sytuacji. Gdyby się ich nie znało, można by się niepokoić o konflikt interesów.

Nie do końca wiem, jak zareagować, ale Marigold, która być może jest nieco bardziej wstawiona niż reszta nas, obejmuje go.

Whit wygląda na zaskoczonego.

– Dlaczego to robisz?

– Po prostu pomyślałam, że potrzebujesz wsparcia.

– Nic mi nie jest, Marigold. Policja mnie przesłuchała, nie torturowała.

Cain powraca do tematu Caroline Palfrey.

– Czyli ten ktoś, kto zabił Caroline, zdołał niepostrzeżenie ukryć ją pod stołem? I to zanim dotarli tam strażnicy?

– Teoretycznie tak.

– Być może morderca był przebrany za kogoś z firmy cateringowej – podsuwam. – Strażników nie zdziwiłaby obecność kogoś takiego, zwłaszcza że zwłoki znaleziono o wiele później.

– Masz rację – przyznaje Cain. – Albo może wcale nie był przebrany. Mógł naprawdę być pracownikiem cateringu.

– Nabijasz się ze mnie?

– Wcale nie. Zabijanie to nie zawód, Freddie, tylko coś, co na ogół robi się dorywczo. – Otwiera następną butelkę wina. – Może zabójca pracował w firmie cateringowej i znał Caroline. Może miał powód, żeby ją zamordować.

– Albo zabójczyni – zauważa Marigold. – Mogła ją zabić kobieta.

– Albo zabójczyni – zgadza się Cain, podając jej szklanekę wina.

– Jednak na miejscu zbrodni zazwyczaj są plamy krwi czy coś w tym rodzaju – mówię. Nadal wydaje mi się dziwne, że zwłok nie znaleziono od razu. – O ile nie zabito jej, gdy była pod stołem bufetowym, strażnicy powinni byli coś zauważyć.

– Mogła być pod tym stołem – mówi Whit.

– Jak to?

– Mogła szukać upuszczonego kolczyka albo chcieć się ukryć. – Wzrusza ramionami. – Być może próbowała uniknąć spotkania kogoś. Ja kiedyś wbiegłem do damskiej toalety, chowając się przed moją byłą dziewczyną.

– Bardziej sensowne byłoby ukrycie się w męskiej – mamrocze Cain.

– Och, to prawda! – wykrzykuje Whit. – Następnym razem tak postąpię.

– Co wy dwaj zrobiliście waszym byłym, że musicie się przed nimi chować? – pyta Marigold, szturchając go.

Whit uśmiecha się i unosi brwi.

– Dżentelmena nie wypytuje się o jego erotyczne sprawy.

– Nie jesteś dżentelmenem – ripostuje Marigold.

Już dawno minęła północ, a oni są zapewne zbyt pijani, by bezpiecznie wrócić do domu. Są zbyt pijani, by w ogóle móc wrócić do domu. Przynoszę więc z bieliźniarki na korytarzu dodatkowe poduszki i koce i przygotowuję posłania



w salonie dla Caina i Whita. Rzucają monetą o to, kto będzie spał na sofie. Cain przegrywa i przypada mu posłanie na podłozie.

Przynoszę mu dodatkowe poduszki z mojego łozka.

– Na pewno sobie poradzisz? – pytam.

– Sypiałem na ulicach, pamiętasz?

Whit prycha.

– Przez dwa tygodnie!

Bez cienia skrępowania czy zawstydzienia rozbiera się do bielizny.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu, że przenocujemy u ciebie? – pyta mnie Cain. – Przypuszczalnie chcesz jeszcze popracować.

Rzucam okiem na Whita, który już wyciągnął się na sofie. Wyraźnie nigdzie się nie wybiera.

– Nie ma sprawy – odpowiadam. – Jesteście materiałem do mojej książki.

Marigold dzieli łozko ze mną. Jest na tyle duże, że to nie będzie niewygodne. Parzy dla nas herbatę i zamyka drzwi, żebyśmy mogły swobodnie pogawędzić.

– On ci się podoba? – pyta.

– Kto?

– Cain.

– Czy my jesteśmy dwunastolatkami?

Chichocze.

– Whit i ja wam przeszkodziliśmy.

Wypijam łyk herbaty. Wygląda na to, że mamy piżama party.

– Cain i ja spotkaliśmy się, żeby porozmawiać o naszych książkach. Uznaliśmy, że ty i Whit macie coś lepszego do roboty niż przysłuchiwanie się, jak pleciemy o wątkach pobocznych i motywach albo o niesłusznie odrzuconych przysłówkach czy nadużywaniu metafor.

Marigold rozważa moje słowa.

– Nie mamy niczego lepszego do roboty.

– Czy nie staracie się zdobyć stopni naukowych... albo kolejnych, wyższych?

Marszczy nos.

– No tak, ale to w gruncie rzeczy jest nieistotne.

Śmieję się.

– My czworo poznaliśmy się zaledwie kilka dni temu. Jak wszystko inne może być nieistotne?

– Nie wszystko, tylko zajęcia na studiach. – Wzrusza ramionami. – Tak naprawdę nie ma znaczenia, czy na nie chodzimy. Whit chce oblać, a ja jestem kimś w rodzaju geniusza.

Mówiąc to, uśmiecha się, lecz ani przez chwilę w to nie wątpię.

Przyciąga nogi do klatki piersiowej, obejmuje je rękami i opiera podbródek na kolanach.

– Ale czy nie uważasz, że jest coś wyjątkowego w tym, że my czworo się spotkaliśmy? Mam wrażenie, jakbym już wcześniej was znała.

Możliwe, że jestem bardziej pijana, niż sądzę, bo wiem, co ma na myśli. Odstawiam kubek na nocny stolik i odchylam głowę do tyłu na poduszkę.

– Czy ty i Whit znaliście się przed naszym pierwszym dniem w bibliotece?

– Nie. Widywałam go tam, ale nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. – Wślizguje się pod kołdrę. – Ciekawe, czy któreś z nas w ogóle odezwałoby się do pozostałych, gdybyśmy nie usłyszeli krzyku Caroline.

Zastanawiam się nad tym. Teraz wydaje się już nie do pomyślenia, żebyśmy mogli nie nawiązać ze sobą znajomości.

Marigold mówi dalej cichym melodyjnym głosem i zasypiam, gdy wspomina coś o Whicie i sabotażu.



Droga Hannah!

Myślę, że być może zakochałem się w Marigold! Prawdopodobnie gdybym naprawdę ją spotkał, doprowadziłaby mnie do szału, ale na stronach Twojej powieści jest fascynująca. W każdej scenie przyćmiewa pozostałych. To nie znaczy, że oni są bezbarwni... ale ta Marigold!

Zastanawiam się, czy nie powinnaś dać czytelnikom wyobrażenia o tym, jak wygląda Winifreda. Opisała nam Przystojniaka, Komiksowego Bohatera i Freudystkę, ale właściwie nie wiemy nic o jej wyglądzie. A ja chcę wiedzieć, dlaczego Caina bardziej interesuje ona niż Marigold. Jasne, oboje są pisarzami, jednak musi być w tym coś więcej. Oczywiście powodem mogłyby być inne cechy Freddie, nie jej wygląd, ale gdy tworzysz postać tak urzekającą jak Marigold, czytelnik będzie ciekawy, dlaczego ten facet woli jej przyjaciółkę. Chyba że wcale nie woli Freddie... (w tym momencie rozbrzmiewa dramatyczna muzyka).

Widzę w telewizyjnych programach informacyjnych, że Australia znów zмага się z gwałtownymi pożarami. Muszą być naprawdę groźne, skoro wiadomości o tym docierają nawet do Stanów Zjednoczonych. W gruncie rzeczy niewiele tutaj wiemy o Australii. To zapewne głupie pytanie, dowodzące mojej straszliwej ignorancji w zakresie geografii Twojego kraju, ale czy jesteś bezpieczna? Wyobrażam sobie, jak piszesz na komputerze kolejny rozdział, a płomień liżą twoje drzwi. Dziś w Bostonie spadł pierwszy śnieg – niedużo, lecz dość, by ostrzec nas o nadchodzącej zimie. Wielkie płatki, jak na tych uroczych kartkach świątecznych. Czy ktoś jeszcze wysyła takie kartki? Przypuszczam, że opisywanie Twojej bandy podczas bostońskiej zimy musi być dla Ciebie dziwne, gdy musisz znosić dokuczliwą falę upałów na drugim krańcu świata.

W każdym razie przyszło mi do głowy parę rzeczy, z którymi Freddie mogłaby mieć do czynienia, kiedy Ty oblewasz się potem. Wydaje się, że przeciwwagą fal upałów na Twojej półkuli są epoki lodowcowe na naszej.

Apartament w miejscu takim jak Carrington Square na pewno ma dobre ogrzewanie, więc pojawi się kwestia wkładania i zdejmowania warstw odzieży, ilekroć Freddie będzie opuszczać budynek albo do niego wracać. Jeśli wychodzi wczesnym rankiem, będzie musiała uważać na oblodzone chodniki. To niezła frajda, kiedy jest się dzieciakiem, lecz znacznie mniejsza, gdy złamie się biodro.

Szalik i rękawiczki są w porządku, ale rozsądniejsze osoby noszą jakąś czapkę – pamiętaj jednak, że my tutaj nie używamy słowa uszanka. Freddie nie ma samochodu, więc nie będzie musiała odgarniać śniegu, ale być może Cain będzie musiał. Albo Leo – ponieważ, powiedzmy to sobie wprost, taka charyzmatyczna postać zasługuje na odegranie większej roli w tej historii.

Nie miałem jeszcze żadnej wiadomości od Alexandry Gainsborough, ale zapewne jest jeszcze za wcześnie, by oczekiwać odpowiedzi czy choćby tylko mieć na nią nadzieję. Oczywiście marzyłem, że Alex zachwyci się manuskrytem i przeczyta go jednym tchem, zapominając o wszystkich innych obowiązkach, a gdy w końcu go odłoży, natychmiast zadzwoni do genialnego autora i zaproponuje mu podpisanie umowy, zanim ktokolwiek mógłby ją ubiec. Lecz – jak powiedziałem – to tylko marzenie.

Chyba lepiej będzie, jeśli na tym zakończę ten list i postaram się nie rozmyślać znów o Alex czytającej dzieło.

Twój zawsze pełen upartej nadziei

Leo

## Rozdział szósty

Kosz upominkowy dostarczono do recepcji w holu o posadzce z wzorem w szachownicę. Gdy schodzę, by go odebrać, pani Weinbaum i jej szwagierka, pani Jackson, które mieszkają na parterze, rozmawiają o tym koszu, gdyż zapewne widziały, jak go przyniesiono. Są ubrane w eleganckie płaszcze i nieco zawadiackie kapelusze. Gdybyśmy były w Sydney, pomyślałabym, że zamierzają spędzić dzień na wyścigach, ale tutaj być może po prostu wybierają się na zakupy. Nie zauważają mnie.

– Jogurt? Jaki mężczyzna przysyła jogurt... i jajka? – mówi z dezaprobatą pani Weinbaum, ściągając umalowane ołówkiem brwi.

– Może ona jest chora? – Pani Jackson przygląda się bacznie zawartości dużego kosza stojącego na kontuarze recepcji, jakby sporządzała inwentarz. – Jest też kawa. I ser.

– Dzień dobry – mówię.

Nie okazują ani śladu zakłopotania z powodu tego, że zostały przyłapane na oglądaniu przesyłki przeznaczonej dla mnie.

– To przyszło do ciebie – oznajmia mi pani Jackson.

– Jakie to urocze – mówię i wyjmuję kartkę z bukietu kwiatów leżącego na wierzchu.

*To dlatego, że zapomnieliśmy wczoraj kupić zapasy, a potem Whit zjadł wszystko, co ci zostało. Wracaj do pracy. Nie chcę być odpowiedzialny za*

*przeszkadzanie w tworzeniu arcydzieła – Cain.*

Widocznie kiedy wczoraj spotkałam się z Cainem, wspomniałam o konieczności uzupełnienia zapasów albo może zauważył, że nie mam w kuchni zbyt wiele jedzenia. Dziś rano Whit usmażył i pożałował te resztki produktów spożywczych, jakie mi zostały, zanim Cain wyprowadził ich oboje, żebym mogła wrócić do pisania.

Uśmiecham się. Od co najmniej trzech godzin umieram z głodu, obawiając się poprosić żonę o przerwę na kupno jedzenia. Ona jest kapryśna i łatwo się obraża, więc prawdopodobnie nadąsałaby się, gdybym nie poświęciła jej całej mojej uwagi, podczas gdy zaszczyca mnie swoją obecnością. Być może pisarze przymierają głodem na poddaszach właśnie dlatego, że muza literacka to sadystyczna faszystka. Pani Weinbaum i pani Jackson chichoczą z satysfakcją, mylnie interpretując mój uśmiech. Gawędzę z nimi chwilę i zapewniam je, że jogurt nie oznacza, iż jestem chora.

– Dobrze robi na kłopoty żołądkowe – informuje mnie mimo to pani Weinbaum.

Portier wnosi mi na górę kosz, gdyż jest wielki i ciężki, stawia go na kuchennym stole i wychodzi, a ja rozpakowuję zawartość. Mleko, płatki zbożowe, jajka, kawa, pomidory, jabłka, suszone owoce, ser, migdały, czekolada, trzy rodzaje ciasteczek, chleb, masło orzechowe, dżem, jogurt i bukiecik żółtych szklarniowych róż. Robię sobie kanapkę z żytniego chleba z masłem orzechowym i serem i chowam wszystkie produkty, rozkoszując się zarówno przekąską, jak i tym życzliwym gestem Caina. Dzwonię do niego, żeby mu podziękować, ale ma wyłączony telefon. Zapewne on także pracuje. Zostawiam wiadomość na poczcie głosowej i w chwili, gdy się rozłączam, opadają mnie wątpliwości, czy aby nie była zanadto egzaltowana.

Przeglądam korespondencję, którą wyjęłam ze skrzynki. Są dwa listy dotyczące stypendium Sinclaira i kartka świąteczna od mojej babki. To jedna z tych tanich pocztówek, jakie kupuje się w supermarkecie w pakietach po pięćdziesiąt sztuk

w cenie mniejszej niż koszt ich wysłania – srebrne płatki śniegu na czerwonym tle. Jest dopiero listopad, ale babcia lubi, kiedy kartki świąteczne od niej przychodzą jako pierwsze. Traktuje każde Boże Narodzenie niczym wyścig, okazję do zademonstrowania swojej chlubnej sprawności. Czuję przelotne ukłucie tęsknoty, gdy myślę o domu. Babcia będzie miała ubraną choinkę, a jej mieszkanie jest już udekorowane plastikowymi świętymi mikołajami i wyciętymi z tektury reniferami. Na frontowym trawniku będzie stał olbrzymi nadmuchiwany bałwan, zdeformowany po kilku sezonach wystawienia na letnie słońce, z wyblakłą nadrukowaną facjatą, ze szwami pomarszczonymi wskutek upału. Boże Narodzenie w Australii bywa czasem lekcją wycucia ironii.

Z filiżanką kawy i ciasteczkami wracam do laptopa. Centralną postacią jest Freudystka nękana pamięcią o krzyku, a teraz także dziwnymi wspomnieniami o zamordowanej balerinie. Nie potrafi wyjaśnić tych dręczących ją chaotycznych obrazów. Opisuję subtelnie jej przerażenie, tak aby narrację napędzało to, co nie zostało wypowiedziane. Zdaję sobie bowiem sprawę, że nadmiar emocji mógłby łatwo ściągnąć tę opowieść w stronę melodramatu. Nie jestem jeszcze pewna, co oznaczają jej wspomnienia. Właściwie nie mam o tym pojęcia. Autobus nadal dopiero się rozpędza i zbiera pasażerów. Przez jakiś czas zastanawiam się nad obrazem w jej umyśle, rozważam powody, dla których mógłby się tam znaleźć. Czy Freudystka była naocznym świadkiem morderstwa, ofiarą, której udało się przeżyć, albo może zabójczynią?

W gruncie rzeczy nie biorę na serio tej ostatniej możliwości. Na tym etapie nie chcę niczego wiedzieć na pewno, nie chcę ryzykować, że ta wiedza wsączy się w manuskrypt i rozcieńczy tajemnicę. Tak więc jadę tym autobusem i jest mi niemal obojętne dokąd, gdy skupiam się na pędzie i rytmie, na tym, kto do niego wchodzi, gdzie siada, czy rozmawia, czyta, czy po prostu wygląda przez okno. Kierowca autobusu jest tylko niewyraźnym cieniem, elementem niezbędnym do zapewnienia transportu, i chwilowo całkiem go ignoruję.

Zaopatrzona w wiktuały z kosza Caina nie opuszczam mieszkania ani tego dnia, ani następnego. Jestem mgliście świadoma, że Cain nie oddzwonił, ale być może

absurdem jest oczekiwanie, że zatelefonuje, aby podziękować mi za to, że zatelefonowałam, by mu podziękować. Można by tak bez końca. Jednak wciąż zastanawiam się, czy wiadomość, którą zostawiłam na poczcie głosowej, nie była zbyt egzaltowana. Być może zaniepokoił się, że błędnie odczytuję jego zachowanie. Boże, jakie to żenujące! Powinnam była nagrać mu coś powściągliwego i dowcipnego.

Jest już dość późno, gdy odbieram na laptopie połączenie wideo, spodziewając się, że to ktoś z mojego kraju. Na ekranie pojawia się twarz Caina. Tak mnie to zaskakuje, że cofam się z cichym westchnieniem. Cain się uśmiecha.

– Witaj, Freddie – mówi trochę niepewnym tonem.

Zerkam na okienko u dołu ekranu, pokazujące mi, co on widzi. Jestem tak rozczochrana, że wyglądam jak wariatka, i mam na sobie piżamę, którą już dawno należało pociąć na szmaty.

– Przepraszam. – Usiłuję przygłodzić dłonią niesforne kosmyki. – Myślałam, że jesteś moją babką.

Unosi brew, ale o nic nie pyta.

– Właśnie sprawdzałem, czy odebrałaś kosz, który dla ciebie zostawiłem.

– Ach, tak.

Znowu mu dziękuję i wspominam o tym, że dwa dni temu nagrałam mu się na poczcie głosowej.

– Chyba telefon gdzieś mi się zapodział – odpowiada, krzywiąc się. – Właściwie miałem nadzieję, że może znalazłaś go u siebie.

– Nie, na pewno go tu nie ma. Usłyszałabym sygnał, kiedy do ciebie dzwoniłam.

Cain jęczy cicho.

– Być może będę jednak musiał wykosztować się na nowy.

Przez jakiś czas dyskutujemy o tym, gdzie jeszcze mógł zostawić swój telefon. Pyta mnie, jak mi idzie pisanie, a ja mówię mu, że balerina Marigold dostała się do mojej opowieści. Rozmawiając ze mną, Cain rozsiada się wygodnie w obrotowym



fotelu. Widzę pokój za nim. Ścianę pokrywają różnokolorowe przylepione karteluszki z zapiskami i zdjęcia. Skupiska notatek są połączone sznurkami. Pajęcza sieć Caina.

Zauważa, że wpatruję się w ekran, i ogląda się przez ramię.

– Czy to schemat fabuły twojej książki? – pytam. – Boże, wygląda, jakbyś siedział w policyjnym centrum koordynacyjnym!

Śmieje się i unosi laptop tak, bym mogła zobaczyć, że sznurki są też na suficie, gdzie kolejne kartki z notatkami przypięto do płyty gipsowej. Te sznurki krzyżują się i splatają w całym pokoju.

– Właśnie tak wygląda prokrastynacja – mówi.

– No cóż, to nadzwyczaj imponujące. – Jestem zafascynowana. Czuję się, jakbym zaglądała do jego umysłu. – Czy to pomaga?

– Czasami. – Wzrusza ramionami. – Kiedy miewam wrażenie, że spadam w przepaść, piszę w tym pokoju i opowieść mnie chwyta.

– Jak siatka pod liną do akrobacji.

Rozumiem, co ma na myśli, mówiąc o spadaniu w przepaść. W pewnym sensie cała moja praca to spadanie. Ale ja nie mam żadnej siatki.

– Nie wiem, jak ty to robisz – mówi, kierując laptop znów na swoją twarz.

W tym wyznaniu wybrzmiewa podziw i nie mogę nic poradzić, że to sprawia mi przyjemność.

– Przypuszczam, że zaplątałabym się w siatkę – odpowiadam.

Chociaż sieć Caina jest piękna, wydaje mi się ograniczająca. Mówię mu o mojej obecnej podróży autobusem.

Słucha w skupieniu.

– To odważny sposób pisania, Freddie. Nie jestem pewien, czy ja mam tego rodzaju odwagę.

– My tylko snujemy opowieści, Cain – mówię z uśmiechem. – To nie jest operowanie mózgu. Niczyje życie ani śmierć nie zależy od tego, czy ten autobus dokądś dojedzie, czy nie.

– Widocznie nie czytałaś *Misery*.

Potem rozmawiamy o Stephenie Kingu, jego książkach i ich ekranizacjach, i o tym, jak by to było zostać takim kultowym pisarzem. Cain pyta mnie, czy chciałabym później w tym tygodniu pójść na najnowszy film na podstawie prozy Kinga. Odpowiadam, że tak. Z jakiegoś powodu żadne z nas nie wspomina o *Whicie* ani *Marigold*.

Kiedy w końcu zamykam ekran, jestem podekscytowana – i zakłopotana tym, jak bardzo podekscytowana. Chociaż tego wieczoru z nikim się nie spotkam, doprowadzam się do porządku – wiążę włosy w koński ogon i przebieram się w mniej złachmanioną piżamę. Gdy smażę jajecznicę na kolację, dzwoni mój telefon. Zakładam, że to Cain znalazł swój. Bogu dzięki! Nie jestem pewna, czy potrafiłabym poradzić sobie z presją bycia zawsze widoczną na wideoczacie.

Odbieram.

– Jeszcze raz cześć...

Krzyk, który mi przerywa, nie jest krzykiem mężczyzny. Jest kobiecy, przerażony... i znajomy. To krzyk Caroline Palfrey.



Droga Hannah!

O rany! To zakończenie oczywiście przykuło moją uwagę!

Najpierw jednak o tych pożarach w pobliżu Sydney! Doniesienia, jakie tu docierają, wyglądają przerażająco. Ale rad jestem, słysząc, że przynajmniej nie stoisz na dachu z węzem ogrodowym w rękach, chroniąc domostwo przed frontem pożaru. Widziałem na zdjęciach, że niektórzy ludzie właśnie to robią. Minęło już sporo czasu, odkąd spędziłem lato w Australii, jednak pamiętam, jak podczas upałów ten kraj wysechł na wiór. Nawet powietrze wydawało się łatwopalne. To było zagrożenie, z jakim tutaj w lecie nigdy nie mamy do czynienia. Lecz być może Australijczycy do niego przywykli.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie poczułem się rozczarowany odroczeniem twojej wyprawy badawczej do Stanów Zjednoczonych, ale biorąc pod uwagę, że Twój kraj płonie, oczywiście rozumiem. Nie ma jednak absolutnie żadnego powodu, abyś odkładała na później pracę nad tym manuskrypcem. Chętnie będę kontynuował nasz dotychczasowy tryb postępowania i udzielał Ci pomocy, na ile zdołam. Pomagając Ci, uczę się więcej niż na jakimkolwiek kursie kreatywnego pisania. I razem możemy sprawić, że obraz Bostonu w Twojej powieści będzie wiarygodny, nawet jeśli nie możesz tutaj przyjechać.

A teraz o Twoim manuskrypcie. Muszę powiedzieć, że nadal nie mam pojęcia, jak wygląda Freddie – oprócz tego, że jest potargana. Wiesz, wobec braku opisu mimowolnie daję jej Twoją twarz. Nie mów, że cię nie ostrzegłem!

Cain wydaje się w tym momencie mocno podejrzany – czy taki był twój zamysł? Jeśli chodzi o realia amerykańskie, nic w tym rozdziale nie zgrzyta – może z wyjątkiem tego, że ona nie daje portierowi napiwku za zanieśenie kosza Caina do jej mieszkania. Tutaj jest to powszechne.

Przyślę Ci listę firm, które w Bostonie zajmują się dostarczaniem koszy upominkowych z produktami spożywczymi. Zgrabny pomysł z tym koszem. To życzliwy gest, który jednak mógłby również zostać odczytany jako apodyktyczny albo protekcyjny.

Znałem kiedyś faceta, który starannie obmyślał pisanie tak jak Cain. Był gliniarzem, więc mógłby tu istnieć jakiś związek. I miał manię kontrolowania nawet najdrobniejszych szczegółów – planował wszystko, niczego nie pozostawiał przypadkowi. Nazywał się Wil Saunders. Nie mogłaś o nim słyszeć – nigdy nie ukończył swojej powieści.

A więc ten krzyk... Nie chcę zepsuć Ci intrygi ani wydać się pedantem, jednak zastanawiam się, czy krzyk rzeczywiście można rozpoznać. Poza różnicą między płciami, czy wszystkie nie brzmią dość podobnie? Dlaczego Freddie jest taka pewna, że to był krzyk Caroline Palfrey?

Tak czy owak, już kończę, żebyś mogła wrócić do roboty. Nie mogę się doczekać, co się dalej wydarzy. Nie przyślę ci kosza z artykułami spożywczymi, ale naprawdę chcę, żebyś pisała!

Z zapartym tchem

Leo

## Rozdział siódmy

Bostoński wydział policji nie proponuje, że przyślą kogoś. Policjantka przyjmująca moje telefoniczne zgłoszenie jest opryskliwa, znudzona i nieco pogardliwa. Gdy z nią rozmawiam, uświadamiam sobie, że według niej zawracam jej głowę zwykłym wygłupem, i czuję się idiotycznie. Próbuję jej wyjaśnić, że byłam w BBP, kiedy Caroline Palfrey krzyknęła, lecz osiągam tylko tyle, że sprawiam jeszcze bardziej żalosne wrażenie. W końcu przepraszam i się rozłączam.

Lecz nadal drzę, a mój telefon wydaje mi się groźny, jakby był drzwiami, przez które zło mogłoby wejść do mojego świata. Wyłączam go i mówię sobie, że muszę się uspokoić, przestać zachowywać się absurdalnie. To prawdopodobnie był tylko jakiś smarkacz.

Z powrotem włączam telefon i dzwonię do Marigold. Niemal płaczę, jeszcze zanim zdążę powiedzieć cześć.

– Freddie, co się stało?

Szlochając, mówię chaotycznie o krzykach i telefonach.

– Przyjadę – oświadcza natychmiast. – Będę za kwadrans.

– Nie... nie musisz. Ja po prostu jestem...

– Za kwadrans – powtarza i się rozłącza.

Wpatruję się w telefon zakłopotana i zawstydzona tym, że poczułam ulgę z powodu jej obietnicy przyjazdu. To był tylko jakiś głupi telefoniczny dowcip – ale ten krzyk brzmiał znajomo i to nie daje mi spokoju. Zaparzam dzbanek kawy

i sprzątam mieszkanie, dopóki portier nie informuje mnie przez interkom, że zjawiała się Marigold. Proszę go, żeby przysłał ją na górę. Gdy tylko otwieram drzwi, ona zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku.

– O Boże, Freddie, nic ci nie jest?

– Nie, Marigold. Chyba po prostu wypiałam za dużo kawy i to mnie ogłupiło, i wytrąciło z równowagi.

Mimo to nalewam ją nam obu do kubków, po czym siadamy przy niewielkim stole w kuchni, żeby porozmawiać.

Opowiadam jej o tym telefonie i krzyku.

– Marigold, sama nie wiem dlaczego, ale gdzieś w głębi jestem pewna, że to był krzyk Caroline.

– No więc nic dziwnego, biedactwo, że spanikowałaś. To, co się wcześniej zdarzyło, było wystarczająco okropne nawet bez duchów potrafiących używać telefonów.

Przez chwilę w milczeniu patrzę pustym wzrokiem na jej piękną twarz, pełną zatroskania i współczucia, i nagle zaczynam chichotać. Dosłownie skręcam się ze śmiechu, chociaż to nie było szczególnie zabawne. Marigold spogląda na mnie zdziwiona, a potem też zaczyna się śmiać. Pękamy ze śmiechu jak dzieci, nie potrafiąc przestać i nie całkiem wiedząc, dlaczego tak rżymy.

W końcu się uspokajam. Od śmiechu bolą mnie boki i twarz.

– Dziękuję ci – mówię. – Potrzebowałam tego.

– Szkoda tylko, że nie zrobiłam tego celowo. – Dolewa nam obu kawy. – To prawdopodobnie jakiś smarkacz, który usłyszał w wiadomościach o tym krzyku i wygłupia się, wydzwaniając pod przypadkowe numery.

Wypuszczam powietrze z płuc.

– Marigold, ten krzyk brzmiał tak samo.

– Wszystkie krzyki brzmią prawie tak samo.

Przecząco kręcę głową. Potem opowiadam Marigold o mojej siostrze.

– Była o dwa lata młodsza ode mnie. W domu byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami; w szkole prawie nie zwracałyśmy na siebie uwagi. Umarła w wieku jedenastu lat.

– Och, Freddie, tak mi przykro!

– Byliśmy na szkolnej wycieczce w Górach Błękitnych. Cała podstawówka, czyli około trzystu dzieciaków. Podzielono nas na grupy według wieku, więc pojechaliśmy tam różnymi autobusami, a Gerry i ja trzymałyśmy się każda ze swoim gronem przyjaciół. Naprawdę nie potrafiłabym stwierdzić, gdzie ona była, dopóki nie spadła. – Przetykam z wysiłkiem, zastanawiając się, czy wcześniej kiedykolwiek o tym mówiłam. Jeśli tak, to nie pamiętam. – W punkcie widokowym była obluzowana barierka bezpieczeństwa i prawdopodobnie pękła, kiedy Gerry oparła się o nią, żeby zrobić zdjęcie. Rzecz w tym, Marigold, że gdy tylko usłyszałam krzyk, wiedziałam, że to krzyknęła Gerry. Rozpoznałam go. I zorientowałam się, że to był prawdziwy rozpaczliwy krzyk, a nie jakiś wygłup czy dowcip.

Marigold odstawia kubek z kawą i ujmuje mnie za rękę.

– Boże, jakie to straszne, Freddie. Naprawdę straszne. Ale ona była twoją siostrą. Prawdopodobnie słyszałaś setki razy, jak krzyczała, wrzeszczała albo piszczała. Natomiast Caroline Palfrey nigdy nie spotkałaś.

– To brzmiało dokładnie jak krzyk, który usłyszeliśmy w bibliotece.

– Jesteś pewna, że go pamiętasz?

– Jak mogłabym zapomnieć?

Przez chwilę przygryza paznokieć małego palca.

– Daj mi twój telefon – mówi.

– Po co? – pytam, ale włączam go i podaję jej.

– Bo ten jakiś smarkaty potwór mógł nie ukryć swojego numeru. Albo jeszcze lepiej, mógł użyć telefonu matki, a w takim przypadku dobrze byłoby oddzwonić i poinformować tę nieszczęsną kobietę, co nawywijał jej cholerny szczeniak.

Odszukuje listę połączeń i pyta:

– Czy dziś wieczorem ktoś jeszcze do ciebie dzwonił?

– Nie.

Marszczy brwi.

– Kiedy odebrałaś ten telefon?

– Mniej więcej godzinę temu.

– To bez sensu.

– Co?

Pokazuje mi wyświetlacz.

– To ostatnie odebrane przez ciebie połączenie... sprzed około godziny.

Na ekraniku widzę imię dzwoniącego: CAIN.

Cofam się odruchowo.

– Jesteś pewna, że nie rozmawiałaś z nim dzisiejszego wieczoru?

– Rozmawiałam. – Biorę od niej mój telefon i wpatruję się w listę połączeń. –

Zadzwoił do mnie przez internet, bo zgubił swój telefon. Nie był pewien, czy nie zostawił go tutaj.

Marigold mruga, zastanawiając się.

– Więc zadzwonił do ciebie ktoś, kto ma jego telefon?

– Tak... chyba.

– I krzyknął?

Przytakuję w milczeniu.

– No cóż, może to ma sens. Jeśli jego telefon znalazł jakiś szczeniak, mógł obdzwaniać kolejno osoby z listy kontaktów Caina... albo nawet zadzwonić do kogoś, kto ostatnio do niego telefonował – dodaje Marigold, zauważając na mojej liście połączeń, że kilka razy próbowałam dodzwonić się do Caina.

Wyjaśniam, że chciałam mu podziękować za kosz upominkowy z jedzeniem. Trochę płaczę się w tych tłumaczeniach i zdaję sobie sprawę, że się czerwienię.

– Aha – mruczy Marigold, zachowując opinię dla siebie. – Mogłybyśmy zadzwonić na ten numer. Może ten złodziejaszek odbierze.



– Wcześniej nie odebrał... albo nie odebrała. I przypuszczalnie zidentyfikuje mój numer.

– No tak, ale ktoś inny może usłyszeć dzwonek. Nigdy nie wiadomo.

Wzruszam ramionami.

– Jasne, nie zaszkodzi spróbować.

Marigold włącza głośnik, wybiera numer i kładzie telefon między nami na stole.

Ktoś odbiera połączenie.

Wstrzymuję oddech.

– No dobrze, ty pieprzony złodzieju, wiemy, co zrobiłeś. Policja już namierzyła GPS w tym telefonie, który ukradłeś, więc lepiej powiedz prawdę...

Rozbrzmiewa trzask, a potem głos. Mój głos. Wiadomość, którą nagrałam Cainowi, dziękując mu za kosz z prowiantem. Miałam rację, była zbyt egzaltowana. Później połączenie zostaje przerwane.

Marigold i ja spoglądamy na siebie w milczeniu.

– No, to było odrażające – mówi wreszcie.

– Byłam naprawdę głodna, kiedy dostarczono ten kosz – tłumaczę się. – Prawdopodobnie trochę za bardzo się podekscytowałam na widok jedzenia.

– Miałam na myśli to, że ten mały dupek odtworzył wiadomość, a nie jej treść.

– Och... tak. Jasne. – Biorę wdech, wstaję i sięgam po mój laptop. – Powinniśmy powiadomić Caina, że ktoś ma jego telefon i wszystkie kontakty. Najwyraźniej nie był chroniony hasłem.

Marigold marszczy brwi.

– Chryste Pe, to nieostrożne.

Dzwonimy do Caina z mojego komputera, siedząc obok siebie, żeby mógł zobaczyć nas obie przez kamerkę. Cain pojawia się na ekranie bez koszuli i z potarganymi włosami. Mrużąc oczy, spogląda w ekran, a potem zerka na zegarek i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że jest już po północy.

– Freddie... i Marigold! – Ziewa. – Co się dzieje?

Mówię mu, co się zdarzyło.

Nachyla się bliżej do kamerki.

– Użyto mojego telefonu?

– Powiedziałaś, że go zgubiłeś. Widocznie ten ktoś go znalazł.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – odpowiadam i zerkam na Marigold, mając nadzieję, że nie zdradzi, jak bardzo zdenerwował mnie ten incydent.

Marigold nie wspomina o moich łzach.

– Problem w tym, Cain, że twój telefon nie jest chroniony hasłem, więc ten ktoś go uruchomił. Znalazł twoje kontakty i...

– Zaczekaj, mój telefon jest chroniony systemem rozpoznawania twarzy.

– Z hasłem czy bez? – pyta Marigold.

– Bez. Nie ma sensu stosować obydwu...

– System rozpoznawania twarzy można oszukać zdjęciem. – Marigold z dezaprobatą potrząsa głową. – Właściwie wcale nie jest taki bezpieczny.

– Czyli twierdzisz, że ten ktoś, kto znalazł mój telefon, ma też moje aktualne zdjęcie? To zawęźa krąg podejrzanych do mojej matki.

– To wcale nie jest zabawne, Cain. Ten ktoś używa twojego telefonu, żeby prześladować Freddie! O ile wiemy, to może być ta sama osoba, która zabiła Caroline.

– Zaraz, Marigold! – mówię, starając się ją trochę przystopować. – Owszem, przestraszyłam się, ale prześladowanie...

– Przestraszyłaś się? – Cain wygląda na nieco mniej zasnętego. – No jasne, że tak! O Boże, tak mi przykro. Przyjadę, tylko dajcie mi chwilę, muszę się ubrać.

– Nie musisz przyjeżdżać – jękam speszona. – Trochę spanikowałam, ale już doszłam do siebie.

– Tak, no i ja z nią jestem – dorzuca Marigold. – Pomyślałyśmy po prostu, że powinieneś się dowiedzieć, co się dzieje z twoim telefonem.

Cain trze dłońmi oczy.

– A co powiecie na to, żebym zabrał was jutro na śniadanie? Jako przeprosiny za to, co wyprawia mój telefon. Spróbujemy przy naleśnikach rozwikłać tę zagadkę.

Marigold patrzy na mnie, czy się zgadzam.

Wzruszam ramionami.

– Jasne.

Ścielę posłanie na sofie dla Marigold, która była na tyle przewidująca, by zabrać ze sobą torbę podróżną.

– Dziękuję ci – mówię i sprawdzam, czy ma dość koców. – Przepraszam, że ściągnęłam cię tutaj z takiego głupiego powodu.

– Nie przejmuj się, Freddie – odpowiada, ubijając poduszkę. – A tak między nami, uważam, że wcale nie zareagowałaś przesadnie. To, co się stało, rzeczywiście jest dziwne i trochę niesamowite. A jeśli kiedykolwiek znajdziemy tego małego potworka, który ma telefon Caina, powinniśmy sprać go na kwaśne jabłko.



Moja droga Hannah!

Będę się streszczał.

My tutaj mówimy zazwyczaj „telefon komórkowy” albo w skrócie „komórka”. Amerykanie lubią być dokładni. A ustawiczne wydzwanianie do kogoś nazywamy „nękaniem”. „Prześladowanie” też brzmi dobrze, ale ponieważ to słowo wypowiada Marigold, lepiej użyć tego, jakim posługują się Amerykanie.

Zastanawiam się też, czy ktoś nie powinien zwrócić uwagi na to, że musimy wierzyć Cainowi na słowo w kwestii zgubienia telefonu. A może to zbyt wcześnie wskazałoby go jako zabójcę? Tylko cienka linia dzieli dostarczenie czytelnikowi niezbędnej informacji od wyłożenia mu wszystkiego na tacy.

Zapomniałem wspomnieć o tym w moim poprzednim liście: kiedy jechałem metrem, spostrzegłem nie jedną, ale trzy różne osoby czytające Twoją ostatnią książkę. W metrze! Dołączam zdjęcia.

A teraz wracaj do pracy! Muszę jak najszybciej dostać następny rozdział!

Twój niecierpliwy

Leo

## Rozdział ósmy

Marigold nalega, żebyśmy zadzwoniły do Whita i poinformowały go o wspólnym śniadaniu.

– Mógłby poczuć się urażony, gdyby się dowiedział, że go nie zaprosiliśmy.

Wątpię w to, jednak nadal podejrzewam, że coś jest między nią a Whitem, bez względu na to, czy oboje zdają sobie z tego sprawę, czy jeszcze nie, więc się nie sprzeciwiam.

– Nie odbiera – oznajmia po chwili.

Wyczuwam w jej głosie rozczarowanie i jestem trochę dumna z tego, że już tamtego pierwszego dnia w bibliotece dostrzegłam ich wzajemny pociąg. Freudystka i Komiksowy Bohater.

– Możesz mu wysłać esemesa, kiedy Cain powie nam, gdzie się widzimy.

Spotykamy Caina w holu mojego domu. Rozmawia z Weinbaum i Jackson albo raczej one go przesłuchują. Te przebiegłe staruchy domyśliły się, że to on przysłał kosz upominkowy, i biorą go w krzyżowy ogień pytań w kwestii jogurtu. Niemal słyszę, jak na nasz widok myśli „Nareszcie!”. Przedstawiam go i Marigold. Kobiety wypytują mnie, czy już czuję się lepiej, czy jogurt pomógł. Uznaję, że prościej będzie potwierdzić i czmychnąć.

Gdy opuszczamy dom Carrington Square, Cain szepcze przeprosiny.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że ten jogurt narobi takiego zamieszania.

Śmieję się.

– W gruncie rzeczy to miłe. Wcześniej prawie w ogóle ze mną nie rozmawiały, ale teraz są tak zatroskane o moje zdrowie, jakbyśmy od dawna były przyjaciółkami. To sprawia, że czuję się bardziej zakorzeniona w tym domu.

Cain prowadzi nas do naleśnikarni na Boylston. Jest utrzymana w stylu francuskiej knajpki: okrągłe stoliki z kraciatymi czerwono-białymi obrusami, świece w butelkach po winie i tapeta z murałem wieży Eiffla. Klientela też mogłaby być częścią wystroju. Najwyraźniej to taki lokal, do którego można przyjść w berecie, nie czując się śmiesznie, bez względu na to, jak absurdalnie się w nim wygląda. Istotnie, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że my troje jesteśmy tutaj nieodpowiednio ubrani. Gdy składamy zamówienie, Marigold esemesuje do Whita.

Dyskutujemy o tym, co się wczoraj zdarzyło, i podaję mój telefon Cainowi, żeby zobaczył listę połączeń.

– Masz dwie wiadomości – mówi.

Nie wiedziałam o tym. Od ubiegłego wieczoru nie chciałam nawet dotykać mojego telefonu.

Marszczy brwi.

– Przyszły z mojego numeru.

Biorę od niego telefon. Dwie nieotwarte wiadomości. Jestem bardzo bliska oddania mu telefonu i poproszenia, żeby je otworzył, ale w porę biorę się w garść i przypominam sobie, że nie jestem jakąś przerażoną panienką. Stukam w pierwszą ikonkę i pojawia się zdjęcie. Przez chwilę wpatruję się w ekranik, usiłując się zorientować, co na nim widzę. Zdjęcie jest ciemne, ziarniste, zrobione w słabym świetle. Drzwi z mosiężną kołatką pośrodku, mającą kształt chyba gryfa na kuli. Druga wiadomość także jest zdjęciem – innych drzwi. Ale te natychmiast rozpoznaję. To drzwi mojego mieszkania w Carrington Square.

– Freddie? Co się stało? – pyta Marigold, gdy upuszczam telefon.

Cain podnosi go i spogląda na wyświetlacz.

– Drzwi? – mówi i przekazuje telefon Marigold.

– Te drugie są moje – oznajmiam, starając się uspokoić. – Pierwszych nie znam.

– Ja znam. – Marigold powiększa obraz na ekraniku. – Ta kołatka... To drzwi Whita... w domu jego rodziców.

– Odwiedziłaś dom jego rodziców? – rzucam zaskoczona.

– Jesteś pewna? – pyta Cain, dając znak, że chcemy dostać rachunek, chociaż nawet jeszcze nie podano jedzenia.

Marigold przytakuje i wstaje.

– Dokąd idziemy? – Chcę wiedzieć, wciąż trochę wstrząśnięta.

– Myślę, że powinniśmy to pokazać policji – odpowiada Cain. – Marigold, spróbuj jeszcze raz zadzwonić do Whita.

Ale ona już to robi. Cain i ja przyglądamy się jej.

– Halo – mówi. – Whit? Bogu dzięki! Próbuje się z tobą skontaktować...

Widzimy, jak wytrzeszcza oczy.

– Och... mój Boże! – jąka. – Nie... zaraz tam będziemy. – Nie czekając, aż zapytamy, oznajmia: – Whit jest w Uniwersyteckim Szpitalu Ogólnym.

– Co się stało?

Marigold stoi i kręci głową.

– Nie wiem, ale...

Urywa i patrzy na mój telefon tak, jakby był opętany przez złe moce.

– Może po prostu ma usuwany wrośnięty paznokieć palca stopy – mówi spokojnie Cain. – Dowiedzmy się, zanim zaczniemy panikować.

– A policja? – przypominam mu.

– Najpierw sprawdźmy, co z Whitem.

Samochód Caina jest zaparkowany kawałek dalej na tej ulicy. To stary czarny jeep. Na tylnym siedzeniu leży sterta pudeł z książkami i kartonowymi teczkami. Cain odsuwa je na bok, robiąc miejsce dla Marigold, która jest niezwykle milcząca.

– Ten ktoś był ubiegłej nocy przed twoimi drzwiami – mówi wreszcie do mnie, gdy Cain jedzie przez dzielnicę Back Bay. – I sprawił, że Whit wylądował w szpitalu.

– Jeszcze nie wiemy tego na pewno – przestrzega Cain, chociaż wiemy.

Odwracam się i patrzę na nią.

– Whit z tobą rozmawiał, prawda? Jakie sprawiał wrażenie?

– Właściwie trochę zdezorientowanego.

Cain zerka na mnie.

– Może to skutek środków przeciwbólowych.

Wzdrygam się.

Pytamy w recepcji i wskazują nam drogę do jego pokoju. Na korytarzu przed drzwiami jest już co najmniej kilkanaście osób. Kiloro studentów pocieszających się nawzajem, głównie dziewczyny. Policjanci w cywilu zadający pytania. Rozpoznaję oficer z wydziału śledczego zajmującą się sprawą Caroline Palfrey. Widziałam ją w wiadomościach. Marigold bierze mnie za rękę. Rozumiem ją. Przed drzwiami stoi umundurowany policjant, pilnujący, kto wchodzi i wychodzi. Ktoś pyta nas, kim jesteśmy. Cain wyjaśnia, że przyjaciółmi Whita Mettersa i że przyszliśmy się z nim zobaczyć.

Matka Whita przedstawia się nam. Jean Metters. Jest bardzo szczupła, piękna i wygląda na najwyżej trzydzieści pięć lat. Mówi uprzejmym, ale rzeczowym tonem, z niewzruszonym wyrazem twarzy.

– Niestety, Whit nie jest w stanie przyjmować wizyt.

– Co mu się stało? – rzuca Marigold.

Jean mierzy ją chłodnym wzrokiem.

– Policja wciąż jeszcze usiłuje to ustalić.

Jakiś mężczyzna kładzie dłoń na jej ramieniu. Jest wysoki, ma siwe włosy i niebieskie oczy spoglądające przenikliwie.

– Pozwólmy im wejść, Jean. Przyda ci się chwila oddechu. – Rzuca spojrzenie za siebie przez otwarte drzwi. – Ostatecznie przecież Whit ich zaprosił.

– Wygląda na to, że zaprosił połowę kampusu – ripostuje Jean, patrząc z irytacją na zmartwionych studentów w poczekalni, trzymających się za ręce. – Co za półgłówek zwrócił mu jego telefon?



Spierają się przez kilka chwil i w końcu ten mężczyzna, będący – jak przypuszczam – ojcem Whita i być może tym półgłówkiem, o którym wspomniała, przekonuje ją, żeby poszła razem z nim do bufetu.

– Jean, jest tu co najmniej pięciu bostońskich policjantów. Nic mu nie grozi.

Tak więc pozwalają nam wejść do pokoju. Whit jest podłączony do kroplówki z roztworem soli fizjologicznej i do różnych aparatów monitorujących. Ma ciemne cienie pod oczami, ale poza tym wygląda jak zwykle. Uśmiecha się na nasz widok.

– Cześć...

– Chryste Pe! – Marigold nie potrafi się już opanować. – Co się stało, do diabła?

– Chyba mnie napadnięto.

– Jak to chyba?

– On zabrał mi telefon, ale zostawił portfel. Może ktoś go spłoszył.

– Kto cię napadł?

– Nie mam pojęcia. Dźgnął mnie nożem i chyba straciłem przytomność. Nie pamiętam, żebym widział jego twarz.

– Dźgnął cię nożem? Jak się czujesz? Mógł cię zabić! – Marigold mówi albo raczej krzyczy za nas wszystkich i ze łzami w oczach chwyta go za rękę.

– Uspokój się, Marigold. Naprawdę nic nie czułem, dopóki parę godzin temu nie przestały działać środki przeciwbólowe. To pewnie był jakiś ćpun.

– W dzielnicy Back Bay? – mówi sceptycznym tonem Cain.

– Mamy tu ćpunów – protestuje Whit. Spogląda na Caina, marszcząc brwi. – Skąd wiedziałeś, że byłem w Back Bay? Czy moja mama...?

Cain mówi mu o tych telefonach i pokazuje zdjęcia w mojej komórce.

Whit unosi się do pozycji siedzącej, krzywiąc się przy tym i klnąc.

– Kiedy przysłano to zdjęcie frontowych drzwi moich starych?

Cain sprawdza wiadomość.

– Wczoraj wieczorem, dwadzieścia po dziesiątej.

– Wyszedłem tuż przed wpół do jedenastej. Nie dotarłem nawet do pierwszej przecznicy.

– Nie widziałeś...

– W ogóle nic. – Whit marszczy brwi. – W każdym razie niczego nie pamiętam.

– Powinniśmy powiedzieć policji. – Rzucam okiem na ludzi w korytarzu. – Whit, dlaczego jest tu oficer śledcza zajmująca się zabójstwem Caroline Palfrey?

– Ze względu na niewielką szansę, że te dwie sprawy są ze sobą jakoś powiązane. Studenci Harvardu będący celem ataków, coś w tym rodzaju. – Whit patrzy w oczy Cainowi. – Na pewno chcesz powiedzieć tej policjantce, stary? To był twój telefon.

– Mogliby to wykorzystać do namierzenia sprawcy.

Whit kiwa głową, wciska guzik dzwonka, wzywając pielęgniarkę, i prosi ją, żeby sprowadziła tutaj oficer śledczą Kelly.

Kelly jest w wieku między trzydzieści pięć a czterdzieści lat. Wysoka i barczysta, zwłaszcza jak na kobietę. Ma twarz o mocnych rysach, z nienagannym makijażem, jasne włosy związane z tyłu głowy w węzeł tak starannie, że nie wymyka się z niego ani jedno pasmo. Gdy się uśmiecha, wygląda to bardziej na odruch niż wyraz emocji.

– Chciałeś się ze mną zobaczyć, Whit. Coś sobie przypomniałeś?

Whit nas przedstawia.

– Poznałem ich w dniu, gdy zabito Caroline. Byliśmy wszyscy w czytelnicy, kiedy krzyknęła.

Kelly kiwnięciem głowy pozdrawia kolejno każde z nas. Na moment zapada niezręczna cisza, a potem Marigold rzuca:

– Uważamy, że morderca ma telefon Caina.

Wyjaśniamy jej całą sprawę.

Kelly słucha z beznamiętnym wyrazem twarzy. Otwieram mój telefon i podaję jej, żeby mogła sama zobaczyć te zdjęcia.

– Panie McLeod, czy zgłosił pan zaginięcie telefonu swojemu operatorowi?

Cain przecząco kręci głową.

– Do ubiegłej nocy miałem wciąż nadzieję, że gdzieś go znajdę.

– Rozumiem. – Oficer odwraca się do mnie. – Mówi pani, że krzyk, który usłyszała przez telefon, brzmiał jak krzyk Caroline Palfrey.

Nie jestem już tego pewna. Logika i dystans czasowy podkopują moje przekonanie.

– Tak... to znaczy to był krzyk. Nasunął mi na myśl tamten krzyk, który usłyszeliśmy w bibliotece, ale być może tylko stąd to kojarzenie.

– Jednak wytrącił panią z równowagi na tyle, że zadzwoniła pani na policję, a potem do panny Anastas?

– Tak, rzeczywiście.

– Skąd wiedziała pani, że to nie dzwonił pan McLeod?

– Bo powiedział mi, że zgubił swój telefon... kiedy rozmawialiśmy wcześniej przez internet.

– Tuż przed tym, zanim odebrała pani połączenie z jego numeru?

– Tak – odpowiadam i zerkam nerwowo na Caina, niepewna, dokąd zmierzają jej pytania.

Teraz ona odwraca się do Marigold.

– Jak rozpoznała pani zdjęcie drzwi pana Mettersa? Czy odwiedziła pani kiedyś jego dom?

Marigold oblewa się rumieńcem. Whit przygląda się jej z zaciekawieniem.

– Nie... właściwie nie. Przyszłam tam raz, ale nie zapukałam.

– Dlaczego?

– Dlaczego przyszłam czy dlaczego nie zapukałam?

– Jedno i drugie.

Widzę, jak bardzo Marigold jest zmieszana. Chciałabym jej pomóc, ale nie wiem jak.

– Po prostu się rozmyśliłam. Szłam zobaczyć, czy Whit... już nie pamiętam dokładnie co. W każdym razie rozmyśliłam się... ale właśnie wtedy zobaczyłam tę

kołatkę. Więc potem rozpoznałam ją na fotce.

Teraz już nawet uszy Marigold są różowe. Rzucam spojrzenie na Kelly, zastanawiając się, czy upokarzanie tej dziewczyny sprawia jej przyjemność.

Whit przychodzi jej z odsieczą.

– Wciąż powtarzam mamie, że ta cholerna kołatka upodabnia dom do zamku Draculi. Ja też na jej widok dałbym drapaką.

Marigold wciąż nie jest w stanie spojrzeć na Whita, lecz ja mam ochotę uściskać go za to, co powiedział. Oczywiście nie mogę, bo Kelly przygląda się nam wszystkim.

– Będziecie państwo musieli złożyć zeznania – mówi dobitnie oficer śledcza, wciąż z jastrzębim wyrazem twarzy. – A my musimy wziąć pani telefon, panno Kincaid.

Kiwam głową.

– Oczywiście.

Whit zezuje na Kelly opuszczając pokój.

– Jak się naprawdę czujesz? – pytam go, przerywając ciszę, która zapadła po wyjściu policjantki.

– Trochę obolały i zmęczony – przyznaje – ale w sumie nie najgorzej. Za parę dni wypuszczą mnie do domu. – Zmienia pozycję w łóżku, zaciskając zęby. – Najgorsze, że mama wykorzysta ten incydent, by załatwić dla mnie specjalne traktowanie na Harvardzie, co jeszcze bardziej utrudni mi oblanie semestru.

Cain szczerzy się w uśmiechu.

– Być może będziesz musiał jednak ukończyć studia.

– Po moim trupie – mówi Whit i marszczy nos, gdy po jego słowach zapada nieręczna cisza. – Co? Niestosowny zwrot?

– Chcesz, żebyśmy ci coś przynieśli? – pytam, gdyż wygląda na to, że Marigold nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu.

Whit spogląda na nią.

– Donuty. Marigold wie, jakie lubię.

– Z cukierni w pobliżu Copley Square? – pyta Marigold, w końcu otrząsnąwszy się z zakłopotania. – Jasne. Przyniosę całe pudełko.

– Myślicie, że to naprawdę mogło mieć związek z zamordowaniem Caroline Palfrey? – pyta nagle Cain.

– Z pewnością musi istnieć jakiś związek – odpowiadam, przypominając sobie wczorajszy krzyk.

Whit wzrusza ramionami.

– Po doniesieniach w wiadomościach o tym, co wydarzyło się w bibliotece, prawdopodobnie kilkunastu szczeniaków wydzwania do ludzi na chybił trafił trafił i wrzeszczy.

– Tak, ale jeden z tych szczeniaków pchnął cię nożem.

– Pamiętam o tym – przyznaje żałośnie Whit. – Jednak wciąż nie wiem, czy ten skurwysyn, który mnie dźgnął, miał cokolwiek wspólnego z Caroline. Być może to tylko świadectwo rosnącej liczby przestępstw i tak dalej.

– Może ktoś obrał sobie studentów za cel ataków – podsuwa niepewnie Cain.

– Ktoś, kto ma twój telefon – dodaje ostro Whit.

Cain unosi brew.

Whit jęczy.

– Przepraszam, gadam głupstwa. To przez morfinę.

– Powinniśmy już iść. – Wyciągam rękę i dotykam ramienia Whita. – Potrzebujesz odpoczynku, a nawet jeśli nie, masz też innych przyjaciół, którzy czekają, żeby się z tobą zobaczyć. A my musimy kupić donuty.

W jego oczach pojawia się cień.

– A co z zeznaniami?

– Złożymy je, zanim wyjdziemy ze szpitala.

– Ale wróćcie, co? – pyta.

Wydaje się teraz zaniepokojony.

– Wolałybyś, żebyśmy zostali? – pyta Marigold.

Whit uśmiecha się słabo.

– Nie, nie umieram i chroni mnie bostoński wydział policji... nie wspominając o mojej mamie. Ale wróćcie jutro?

– Oczywiście.

– I nie zapomnicie o donutach?

Cain ściska mu dłoń. Pomimo tych okoliczności uścisk Whita wydaje się mocny, szczery.

– Kupimy je jutro rano, żeby były świeże – zapewnia go Cain.



Droga Hannah!

Podczas gdy u Ciebie przedłuża się lato, tutaj to samo dzieje się z okresem lodowcowym podającym się za zimę. Wiem, wyobrażasz sobie obrazki z pocztówek, na których dzieci bawią się na śniegu, jednak w rzeczywistości po pierwszym dniu opadów śnieg to już tylko mordega. Trzeba go odgarniać i zeskrobywać, chodzić ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć, a do tego ta monotonia wkładania warstw ubrań za każdym razem, gdy wychodzi się z domu, i zdejmowania ich po powrocie. To zajmuje codziennie kilka godzin. A chociaż świeży śnieg może być ładny, nie ma niczego ładnego w topniejącej błotnistej brei, w jaką zmienia się po jednym czy dwóch dniach! Naprawdę tęsknię za zieloną barwą. Przypuszczam, że to coś, czego nie doświadcza się w Australii – kompletnego braku zieleni.

Przyznaję jednak, że nasz klimat sprzyja zatrzymaniu pisarza przy pracy. Łatwiej zostać przy biurku, niż wkładać na siebie cztery warstwy odzieży i odgarniać śnieg z podjazdu, żeby można było opuścić dom. Zastosowałem się do Twojej rady i zacząłem pisać coś nowego. Zainspirowany twoim opisem metody twórczej Caina McLeoda stworzyłem własne centrum koordynacyjne. Muszę przyznać, że sprawiło mi to frajdę. Nie jestem pewien, czy rzeczywiście doprowadzi do powstania powieści, ale odczuwam niejaką satysfakcję, mogąc ujrzeć moje pomysły w trzech wymiarach. Może trochę przesadziłem ze

sznurkami – skończyło się na tym, że rozciągnąłem je pomiędzy wszystkimi postaciami i wszystkimi punktami zwrotnymi fabuły, więc rezultat wygląda trochę jak model reakcji rozszczepienia jądra atomowego. Ostatecznie przecież tak naprawdę wszystko się ze sobą łączy – jednak doszedłem do wniosku, że niekoniecznie musi się łączyć za pomocą sznurków. Jestem teraz bardziej powściągliwy i oszczędniej używam czerwonego szpagatu.

Zeszłej nocy wydarzyło się morderstwo na Mass Avenue. W tutejszych gazetach była o tym zaledwie wzmianka, więc zdziwiłoby mnie, gdyby doniesiono o nim w waszych. Akurat wracałem z biblioteki i minąłem to miejsce. Przyszło mi na myśl, że przydałby Ci się widok sceny zbrodni, żebyś mogła opisać policyjne kordony i taśmę, wygląd furgonetki koronera – tego rodzaju rzeczy. W każdym razie zrobiłem ukradkiem kilka zdjęć, które dołączam. Do tego czasu zwłoki już zabrano, więc nie obawiaj się, że ujrysz na ekranie komputera wizerunek nieboszczyka – chociaż przypuszczam, że to też byłoby przydatne. Wy, autorzy powieści kryminalnych, uprawiacie mroczne i brutalne rzemiosło, jednak dziwnie kuszące.

Pomyślałem też, że Cain powinien mieć współnika – wiem, wiem, jeszcze nie zdecydowałaś, czy to on zabił, jednak jest moim faworytem do roli seryjnego mordercy. Niestety siedział naprzeciwko Freddie, kiedy Caroline krzyknęła, więc będziesz musiała jakoś to wyjaśnić. Być może pora, abyśmy dowiedzieli się o nim trochę więcej oprócz tego, że jest przystojny i że jako zbuntowany nastolatek przez dwa tygodnie włóczył się po ulicach. Wybacz mi, jeśli zanadto naciskam w tej kwestii. Oczywiście to Twoja książka. Proszę, uznaj to za przejaw żarliwego entuzjazmu wielbiciela.

Z mniej istotnych spraw – dostałem list od Alexandry, w którym pisze, że chociaż z przyjemnością przeczytała dzieło, żałuje, lecz nie może zaproponować mi reprezentowania mnie jako agentka literacka. Nie jestem pewien, czy naprawdę tego żałuje, ale tak właśnie napisała. Jak przypuszczam, w rzeczywistości chodzi o to, że jestem heteroseksualnym białym mężczyzną bez żadnych odstępstw od normy czy upośledzonej pozycji społecznej, które mogłyby ukoić zbiorowe poczucie winy rządzące obecnie polityką wydawniczą. Rozumiem,

że ta popularna poprawność polityczna wymaga, aby mężczyźni takich jak ja spotykały odmowy w ramach rekompensaty za wszystkie te lata, kiedy otrzymywaliśmy zbyt wiele. Żałuję tylko, że nie miałem szansy choć trochę nacieszyć się tym przywilejem, zanim stał się kulą u nogi. W każdym razie Alexandra odmówiła. Tak to wygląda.

Twój

Leo



# Rozdział dziewiąty

Oficer śledcza Kelly prosi nas, żebyśmy przyszli do komisariatu i złożyli zeznania. Każde z nas siada z policjantem, który wpisuje do komputera naszą relację, a potem drukuje, żebyśmy ją podpisali. Rozdzielają nas nie bez powodu. Przynajmniej w moim przypadku ta rozmowa ma bezosobowy charakter, zwykłe zebranie faktów – dat, czasów, miejsc. Po prostu podaję informacje. Mam wrażenie, że stałam się częścią procesu, wchłonięta przez maszynę śledztwa. Możemy stamtąd wyjść dopiero po południu.

Caina wypuszczają z pokoju przesłuchań jako ostatniego. Uśmiecha się przelotnie do mnie i Marigold i wzrusza ramionami.

– Może już byśmy stąd wyszli?

– Chodźmy.

Żadne z nas nic nie mówi, dopóki nie siedzimy znowu w starym jeepie Caina, a nawet wtedy przez pewien czas milczymy.

Pierwsza odzywa się drżącym głosem Marigold.

– Co... – Bierze wdech. – Co teraz?

Cain odwraca się i patrzy na nią.

– Umieram z głodu. Właściwie nie zjedliśmy śniadania, prawda?

– Jesteś głodny? – pyta z niedowierzaniem Marigold.

Wydaje się, że nie pojmuje, jak w takich okolicznościach można odczuwać głód.

Cain przytakuje.

– Mogłabym przyrzucić dla nas coś w domu – proponuję. Cain zerka na zegarek. – Chyba że masz jakieś inne zobowiązania? – dodaję.

– Nie mam. Nie o to chodzi. Pomyślałem po prostu, że chyba powinniśmy kupić nowe telefony, dopóki sklepy są jeszcze otwarte.

– Och tak, oczywiście – mówię.

Przypominam sobie, że mój telefon zatrzymała policja, a telefon Caina znajduje się prawdopodobnie w rękach mordercy. To nie wydaje się realne. Nie całkiem.

Jedziemy więc do walmartu, żeby kupić telefony komórkowe. Cain wybiera dość zaawansowany smartfon. Ja decyduję się na prostszy model. Ma posłużyć tylko, dopóki policjanci nie zwrócą mi komórki, co przypuszczalnie zrobią, przynajmniej mam taką nadzieję. A chociaż konieczność zapamiętania nowego numeru jest irytująca, zamyka to drzwi, przez które ten ktoś – złodziej, zabójca albo zwykły cymbał – wkradł się w moje życie.

Zaczyna się już ściemniać i robi się zimno, kiedy wracamy do Carrington Square. Cain zatrzymuje się przed moimi drzwiami, cofa się i unosi swój smartfon.

– Co robisz? – pyta go Marigold.

– Próbuję ustalić, gdzie dokładnie stał ten błazen, który ma mój telefon, gdy robił to zdjęcie. Jak blisko podszedł.

– Jakie to ma znaczenie? – pytam. – Wiemy, że musiał znaleźć się mniej więcej metr od drzwi. Czy to ważne, gdzie dokładnie stał?

– Pewnie nie.

– Poza tym mógł użyć zoomu – zauważa Marigold.

– Racja – przyznaje Cain. – Najwyraźniej nie mam zadatków na detektywa.

Wchodzimy i czuję, że trochę się odprężam, gdy Cain zamyka za nami drzwi. Marigold bierze z kuchni krakersy i ser i układa na talerzu razem z pokrojonym jabłkiem, żebyśmy nie umarli z głodu, dopóki nie przygotuję obiadu.

Cain się częstuje.

– Smakuje mi ten ser.

– Powinien – odpowiadam z uśmiechem. – Sam go kupiłeś.

Patrzy na kawałek, który właśnie miał włożyć do ust.

– Och tak, zapomniałem. Mam doskonały gust.

Szperam w spiżarni w poszukiwaniu fasoli, cebul i pomidorów i zabieram się do przyrządzenia własnej wersji spaghetti bolognese, jednocześnie przepraszając, że będzie wegetariańskie i że moje umiejętności kulinarne są w najlepszym przypadku dość skromne. Marigold pomaga Cainowi ustawić w nowym smartfonie zarówno system rozpoznawania twarzy, jak i hasło. W jej głosie pobrzmiewa nuta dezaprobaty spowodowanej zapewne tym, że nie zainstalował hasła w swoim poprzednim telefonie.

Wręczam Cainowi butelkę wina i korkociąg. Otwiera ją i nalewa wino do szklanki, a ja dodaję je do sosu. Mieszając, przypominam sobie przelotnie mojego tatę, który dodaje wino do wszystkiego z wyjątkiem płatków zbożowych. Przez jakiś czas oboje przyglądają się, jak gotuję, i rozmawiamy o jedzeniu. Najwyraźniej wszyscy jesteśmy głodni. Jedną z zalet potraw wegetariańskich jest to, że ich przyrządzenie rzadko trwa długo. W dodatku jestem zmotywowana tym, że to będzie dziś nasz pierwszy posiłek, więc wkrótce podaję wielkie miski pasty z sosem. Zabieramy się do jedzenia, nie bardzo wiedząc, jak zacząć rozmowę o tym, co się wydarzyło.

Marigold robi pierwszy krok.

– Jak myślicie, o co mu chodzi? Temu gościowi, który dźgnął Whita.

Cain przełyka spaghetti, ociera usta serwetką i pyta:

– Uważasz, że o coś mu chodzi?

– Na pewno. Z jakiego innego powodu by to zrobił?

– Może to wariat.

– Nawet jeśli jest wariatem, czegoś chce. – Marigold mówiąc, wywija widelcem. – Zemsty, zaspokojenia seksualnego, aprobaty głosów, które słyszy w głowie...

– Zaspokojenia seksualnego? – pytam. – Caroline nie została... A Whit...

– Trudno ustalić, w jakiej pozycji znajdował się ten gość, kiedy zabijał Caroline. Może leżał na niej i uderzał jej głową o podłogę, w pewnym sensie imitując ruchy frykcyjne. A penetracja ciała nożem czasami jest swoistym substytutem satysfakcji erotycznej. Istnieje cały wachlarz dewiacji seksualnych, od pikeryzmu do pełnoobjawowego sadyzmu i morderstw z pobudek seksualnych.

To mi przypomina, że Marigold studiuje psychologię. Przytakuje, starając się nie wyjść na pruderyjną.

– Ale Whit... – zaczyna Cain, marszcząc brwi.

– Zatem dla tego zabójcy płeć nie ma znaczenia – mówi Marigold, uprzedzając sprzeciw Caina. – Caroline i Whit to osoby białe, w tym samym wieku i z tego samego środowiska. Oboje pisali dla tabloidu „Rag”. Z wyjątkiem płci mają ze sobą wiele wspólnego.

Cain ma sceptyczną minę.

– Nie musi koniecznie chodzić o satysfakcję seksualną – kontynuuje cierpliwie Marigold. – Chociaż to niewykluczone. W każdym razie zawsze jest jakiś powód. Zabójca to robi, ponieważ czegoś chce.

Cain przeformułowuje swoje pierwotne pytanie.

– Czy ma znaczenie, czego on chce?

– Wiedza o tym, czego chce, mogłaby pomóc nam w odkryciu, kim jest – odpowiada Marigold.

– O Boże, jak to się stało, że obudziliśmy się w samym środku odcinka serialu *Zabójcze umysły*?

Marigold milczy i nagle łzy napływają jej do oczu.

– Miałam na myśli tylko to, że...

Cain uświadamia sobie, że zranił jej uczucia.

– Chryste, Marigold, przepraszam. Ja nie... po prostu jestem zmęczony, to wszystko. Masz rację. Ustalenie, czego chce ten szaleniec, mogłoby odegrać kluczową rolę w powstrzymaniu go, ale być może my...

Marigold teraz już płacze.

Cain spogląda na mnie bezradnie.

Podczas gdy on kontuuje przeprosiny, wstaję i podaję jej pudełko papierowych chusteczek.

– Cain, w górnej szafce kuchennej jest czekolada – mówię, otaczając ramieniem plecy Marigold. – Mógłbyś mi ją przynieść? Myślę, że może się nam przydać.

Zgadza się szybko, trochę zdesperowany.

Jestem niemal pewna, że płacz narastał w Marigold przez cały dzień i prawdopodobnie ma związek raczej z Whitem i przesłuchaniem niż z czymkolwiek, co powiedział Cain. Ten nieszczęśnik tylko przypadkiem wywołał jej łzy.

– Whit z tego wyjdzie – mówię cicho, obejmując ją.

– Och Boże, co on musiał sobie o mnie pomyśleć? – wykrztusza.

– Cain wie, że to był ciężki dzień.

– Mam na myśli Whita. – Marigold wyciera nos i usiłuje zapanować nad głosem. – Cała ta sprawa z tym, że wiedziałam, jak wyglądają jego drzwi. Z pewnością uznał mnie za jakąś dziwaczkę...

– Nie bądź śmieszna. Przyszłaś tam, ale w ostatniej chwili się rozmyśliłaś i nie zapukałaś. Każdemu się to zdarza.

– Pięć razy?

– Och. – Staram się nie wydać zbyt zaskoczona. – Poszłaś tam pięć razy?

Przytakuje.

– Nie powiedziałaś o tym policji? – pytam.

Nie chcę jej radzić, żeby zatajała cokolwiek przed władzami, ale to zachowanie rzeczywiście mogłoby się wydać dziwne.

– Oni wiedzą. Przy frontowych drzwiach domu rodziców Whita jest zamontowana kamera monitoringu. Och Boże, poczułam się tak głupio. – Wbija wzrok w pusty talerz. – Prawdopodobnie powiedzieli Whitowi... i jego starym. Oni pomyślą, że ja...

– Mogliby co najwyżej pomyśleć, że jesteś nieśmiała.

Usiłuję ją pocieszyć, rozwiać jej obawy. Naprawdę nie sędzę, by ludzie, których syna dźgnięto nożem kilka metrów od progu ich domu, przejmowali się takim zachowaniem Marigold.

Cain napełnia wodą czajnik i stawia na kuchence, żeby zaparzyć herbatę. Słyszy, co mówimy, lecz widocznie chce dać nam trochę czasu – albo jest tchórzem. Jednak herbata to niezły pomysł.

– Znalazłeś tę czekoladę? – pytam go, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć Marigold.

– Tak. Są dwie tabliczki. Chcesz obie?

– Oczywiście. – Daję mu znak, żeby mi je rzucił, tak abyśmy mogły je zjeść, podczas gdy on parzy herbatę czy cokolwiek tam robi, żeby uniknąć powrotu do stołu. Rozrywam opakowanie. – To australijska czekolada – oznajmiam. – W przeciwieństwie do amerykańskiej jest jadalna.

– Hej! – mówi Marigold, uśmiechając się niepewnie. – To obraźliwa uwaga.

– Ale niestety prawdziwa – zapewniam, podsuwając jej tabliczkę Cadbury Dairy Milk.

Marigold odłamuje kwadrat i wsadza do ust, przechyla głowę na bok i delectuje się smakiem czekolady. Widzę, że nieco ekstatycznie przewraca oczami.

– Chyba może być – mówi, po czym odłamuje następny wielki fragment tabliczki i odgryza kawałek.

Cain wraca do stołu z kubkami herbaty, spoglądając na nas nieufnie.

– Wszystko w porządku?

– Przepraszam – jęczy Marigold. – Nie zamierzałam tak się załamać.

– A ja nie zamierzałem być takim dupkiem – mówi Cain, a potem siada i bierze czekoladę, którą ona mu podaje.

Marigold przygląda mu się uważnie.

– Kiedy twój mentor Isaac został zamordowany, nie chciałeś się dowiedzieć, kto to zrobił?

Zaskakuje mnie bezpośredniość jej pytania, gdyż jestem świadoma tego, że ta kwestia może być dla niego drażliwa.

Cain się śmieje.

– Nie nazwałbym Isaaca moim mentorem.

– Nie chciałeś się dowiedzieć? – Marigold nie ustępuje.

– Tak, oczywiście – odpowiada Cain, starannie dobierając słowa. – Ale policja nie zdołała...

– I to wszystko?

Przerywam, ale delikatnie:

– Marigold, jeśli policji nie udało się...

– Nie, ona ma rację – mówi Cain. – Nie powinienem był tak tego zostawić. Isaac nie miał nikogo oprócz mnie... w każdym razie, o ile wiem. Powinienem był coś zrobić.

– Marigold, a co, według ciebie, my możemy teraz zrobić? – pytam.

– Nie wiem. Ale byliśmy tam, kiedy Caroline krzyknęła, a Whit jest naszym przyjacielem i morderca ma telefon Caina. Tkwimy w samym środku tej sprawy, czy to się nam podoba, czy nie.

Wypuszczam powietrze z płuc. Ona ma rację.

– Pamiętasz, kiedy ostatni raz miałeś swój telefon? – pytam Caina. – Być może to ograniczyłoby liczbę miejsc, w których ten gość mógł go przechwycić.

Wzrusza ramionami.

– Właściwie nie mam pojęcia. Myślałem, że trzymam go w kieszeni, dopóki nie postanowię zadzwonić do ciebie i dowiedzieć się, czy lubisz jogurt.

Napotykam jego spojrzenie i uśmiecham się.

– Więc zamówiłeś kosz z artykułami spożywczymi dla Freddie...? – zaczyna Marigold.

– Na komputerze... przez internet.

Marigold marszczy brwi.

– Miałeś ten telefon komórkowy, kiedy poprzednio tu byliśmy?

– Tak. Sprawdziłem, gdy przed wyjściem wkładałem kurtkę. Pamiętam, pomyślałem, że będę musiał go naładować.

– Dokąd stąd poszedłeś?

– Do domu.

– I tam się zorientowałeś, że komórka zginęła.

– Tak, chyba tak.

– Jak dotarłeś do domu? Pojechałeś swoim samochodem?

– Nie, autobusem.

– Czy był zatłoczony?

Cain spogląda na nią z lekkim zdziwieniem.

– Autobus? Tak, wydaje mi się, że był.

– W tłoku łatwiej sięgnąć komuś do kieszeni – wyjaśnia Marigold. – Czy zwróciłeś szczególną uwagę na kogoś stojącego obok ciebie?

Cain powoli kręci głową.

– Czytałem – wyznaje.

– Och... co czytałeś? – pytam.

Wyjmuje z wewnętrznej kieszeni zniszczony egzemplarz *Wielkiego Gatsby'ego* i mi podaje.

– *Wielki Gatsby*?

– Czytam go na nowo co parę lat – wyjaśnia. – Nie odkryłem tej powieści dopiero wczoraj.

– Co dwa lata? – dziwię się.

Ja rzadko ponownie czytam książki. Jest zbyt wiele wspaniałych nowych, by wracać do już mi znanych.

– Tylko w przypadku *Gatsby'ego* – mówi. – Ta powieść przypomina mi, że pisarze pełni wad mogą stworzyć doskonałe dzieła literackie.

– A dlaczego potrzebujesz takiego przypomnienia?



– Skoro czytałeś – wtrąca niecierpliwie Marigold – niewykluczone, że ktoś mógł sięgnąć do twojej kieszeni, a ty tego nie zauważyłeś.

– Tak, to z pewnością możliwe.

– Co oznacza, że morderca śledził cię, odkąd stąd wyszedłeś.

– Zaczekaj, Marigold – mityguje ją Cain. – To trochę zbyt pochopny wniosek, nie sądzisz?

Marigold kręci głową.

– Wiemy, że ten, kto ma twój telefon, zrobił zdjęcia drzwi Whita i Freddie, a także zadzwonił do niej i albo krzyknął, albo jej odtworzył nagranie krzyku.

– To nadal nie znaczy, że kogokolwiek zabił.

– Dźgnął nożem Whita.

– Ktoś dźgnął go nożem. Nie wiemy, czy zrobił to gość z moim telefonem.

– Ale musiał wiedzieć, kto dźgnął Whita, albo przynajmniej kto zamierzał to zrobić.

– Możliwe – mówi powoli Cain. – Może próbował cię ostrzec, Freddie.

Gwałtownie podrywam głowę.

– Ostrzec mnie?

– Tak, przed niebezpieczeństwem za twoimi drzwiami. Ciebie... i Whita. Może właśnie po to były te zdjęcia i nagrany krzyk.

– Czyli szukamy kogoś, kto nie potrafi napisać esemesa. To chyba wyklucza wszystkich poniżej sześćdziesiątki.

Cain się krzywi.

– Mówię tylko, że ten ktoś niekoniecznie zamierzał przestraszyć cię albo zastraszyć. Mógł myśleć, że ci pomaga.

– Albo może być chorym skurwysynem, którego podnieca dręczenie ludzi – ripostuje Marigold.

Cain trze czoło.

– To też możliwe.



Droga Hannah!

Nareszcie! Zaczynałem się już obawiać, że poddałaś się i powróciłaś do tego cyklu powieści historycznych, które pisałaś. Przypuszczam, że wydarzenia tego lata utrudniały skupienie się na pracy literackiej. Docierające tutaj relacje o pożarach buszu były przerażające – oglądałem ze zgrozą reportaże przedstawiające spustoszone tereny. Miałem nadzieję, że dostanę od Ciebie wiadomość na ten temat – choćby po to, bym wiedział, że jesteś bezpieczna.

Naprawdę martwię się, że mogłabyś obrazić swoich czytelników w Stanach Zjednoczonych szkalowaniem naszej czekolady. Wiemy, że ona ma niską jakość, jednak istnieje swoista ogólnonarodowa zgoda co do tego, by udawać, że jest przeciwnie. Bez tej zgody moglibyśmy stanąć przed koniecznością dokonania inwazji na was.

Intryguje mnie, dokąd zmierzasz z tymi wiadomościami w telefonie. Logika podpowiada, że Cain ma rację – jest bardziej prawdopodobne, że to ostrzeżenie wysłane przez jakąś tajemniczą przyjazną duszę. No bo dlaczego zabójca miałby tak jawnie pokazywać swoje karty? Być może ta tajemnicza osoba wie, że Freddie porozmawia o tym z Cainem. Czy próbuje ją ostrzec, nie ujawniając się przed mordercą?

Nie sądzę, abyś już dostała od swojej agentki jakąś wiadomość dotyczącą mojego manuskryptu. Wiem, że takie sprawy wymagają czasu, zastanawiam się jednak, czy może napomknęła ci o nim cokolwiek. Wiem też, że w moim ostatnim mejlu musiałem sprawiać wrażenie rozgoryczonego odrzuceniem mojego dzieła przez Alexandrę. I szczerze mówiąc, byłem rozgoryczony. Rozczarowanie to najbardziej żrąca emocja. Ale już doszedłem do siebie i jestem bardziej niż kiedykolwiek zdeterminowany, by zrealizować to marzenie i jakoś znaleźć drogę do druku.

Niecierpliwie wyczekujący Twojej odpowiedzi

Leo

# Rozdział dziesiąty

Whit wysłał nas do uczęszczanej, modnej cukierni o nazwie Wokół Dziurki. Stylowej i nowoczesnej, lśniącej czystością, z małymi stolikami opatrzonymi napisem „Zostań, ale niezbyt długo”. Podają tu kawę, lecz jasne jest, że klienci przychodzą po donuty, które wynoszą w białych kartonowych pudełkach przewiązanych szpagatem. W szklanych gablotkach są wystawione donuty drożdżowe oraz pieczone z sodą czy proszkiem – najwyraźniej różniące się między sobą – a także ich odmiany na zakwasie, wegańskie i bezglutenowe, wszystkie o dziwnych kombinacjach smaków, zarówno pikantnych, jak i słodkich. Marigold przejmuje inicjatywę i zamawia tuzin donutów o smakach takich jak lawendowy i truflowy, kremowego sera i smażonej cebuli, grzybów shiitake i koniczyny. Gdy dodaje do tego zamówienia jeszcze donut o smaku palonego karmelu z nadzieniem z palczatki cytrynowej, Cain mamrocze:

– Czy ten nieszczęsny Whit w szpitalu nie dość już wycierpiał?

Śmieję się.

Marigold mniej to bawi.

– Więc jakie byście radzili?

Cain odwraca się do mnie.

– Czekoladowe wyglądają dobrze – proponuję.

– Niezłe są też te z dżemem – dodaje z uśmiechem Cain.

Młody mężczyzna za ladą spogląda na nas z nieskrywaną pogardą. Widocznie to nie jest miejsce, w którym prosi się o donuty z dżemem. Marigold przeprasza za nas i zamawia jeszcze donut o smaku komosy ryżowej i lukrecji oraz w akcie wątpliwego kompromisu z czarną czekoladą i dżemem z papryczki jalapeño.

Ostatecznie wychodzimy z trzema tuzinami donutów. Marigold nalega i płaci za nie, jednak nawet ona zdaje sobie sprawę, że kupiliśmy zbyt wiele.

– Może będzie chciał się nimi podzielić – mówi, próbując się usprawiedliwić.

– Przecież ma wokół siebie kupę gliniarzy – dodaje Cain, gdy ruszamy jego jeepem do szpitala.

Uśmiecham się.

– Chyba nie powinieneś ryzykować obrażenia policjantów oklepanymi dowcipami o gliniarzach lubiących pączki.

– Oklepanymi? – Cain marszczy brwi. – Chyba miałaś na myśli klasyczne.

– Nie, oklepane.

– Dlaczego Cain miałby się przejmować policjantami? – pyta Marigold, pochylając się do nas z tylnego siedzenia.

– To był tylko żart – odpowiadam pospiesznie. – Nie zamierzałam...

– Nie, serio – mówi Marigold. – Uważasz, że policja podejrzewa Caina z powodu tego telefonu?

– Ee... być może... nie wiem – jąkam, czując, jak na twarz występuje mi rumieniec. – Ja tylko dowcipkowałam.

– Policja zachowałaby się nieprofesjonalnie, gdyby nie wzięła mnie pod uwagę jako podejrzanego – mówi spokojnie Cain. – Mają jedynie moje słowo na to, że zgubiłem telefon i... – Nie kończy zdania, tylko wzrusza ramionami. – Ale gdy zobaczą te donuty, prawdopodobnie pomyślą, że Marigold próbuje otruć Whita.

– Bardzo śmieszne – mamrocze Marigold, wzruszając ramieniem.

Cain zatrzymuje jeepa na wielopoziomowym parkingu w pobliżu szpitala ogólnego i zanosimy trzy tuziny tych absurdalnych donutów do pokoju Whita. Po drodze mijamy Jean Metters, stojącą w poczekalni dla odwiedzających, w której

wolno używać komórek. Przyciskając drugą dłoń do klatki piersiowej, mówi coś cichym, ostrym głosem. Słyszę słowa „wezwanie do sądu” i „ujawnienie”. Nie przeszkadzamy jej, w gruncie rzeczy jesteśmy zadowoleni, że nie musimy stawić czoła matce Whita.

Policjant na korytarzu rozpoznaje nas i macha ręką, żebyśmy weszli. Pukam i wtykam głowę przez uchylone drzwi.

– Och, przepraszam – mówię, cofam się i wpadam na Marigold.

Upuszcza pudełko z donutami. Wszystkie te arcydzieła sztuki cukierniczej o smakach zielonej japońskiej herbaty matcha, komosy ryżowej i anyżu gwiazdkowatego wysypują się i toczą po zdezynfekowanej podłodze. Dwaj mężczyźni przy łóżku Whita odwracają się. Patrzą na turlające się donuty, podnoszą wzrok na moją twarz, a potem znów spoglądają w dół na Marigold, która stara się pozbierać te starannie wyselekcjonowane ciastka.

– Wychodząc, nie podepczcie moich donutów – mówi Whit do swoich gości.

Obaj mężczyźni wyglądają podobnie, są atletycznie zbudowani, noszą czarne garnitury z marynarkami tak obcisłymi, że ledwie zdołali je zapiąć, i jednobarwne krawaty.

– Do widzenia, Metters – rzuca jeden z nich.

Whit odpowiada mruknięciem.

Mijając, pozdrawiają nas skinieniem głowami i nawet nie próbują ukryć badawczych spojrzeń, jakimi obrzucają kolejno każde z naszej trójki.

Whit przywołuje nas i wczekująco wyciąga ręce po donuty.

– To pudełko mi upadło – uprzedza go Marigold.

Mimo to on wyjmuje z niego donut.

– Podłogi w szpitalach są czystsze niż talerzyki.

– Przynieśliśmy jeszcze dwa inne pudełka – mówi mu Marigold, kładąc je na stoliku obok łóżka.

– Mam zaufanie do sprzątaczek – oświadcza Whit. – Są imigrantkami. Dobrze wykonują swoją pracę.

– To, że ta uwaga jest cytatem z musicalu *Hamilton*, nie czyni jej mniej obraźliwą – mówię z dezaprobatą.

– A jest obraźliwa? – pyta Whit szczerze zaskoczony. – Dlaczego?

– Sama nie wiem – przyznaję. – Po prostu brzmi protekcyjnie.

Whit przewraca oczami.

– Kim byli ci faceci? – chce wiedzieć Marigold.

– Oaks i McIntyre. Powiedzieli chyba, że są agentami federalnymi.

– Z FBI? – pyta zaskoczona.

– Gdzie Cain? – odpowiada pytaniem Whit.

– Nie wiem. – Dopiero teraz zauważam jego nieobecność. – Dokąd on poszedł? Cain wchodzi do pokoju.

– Przepraszam. Co mnie ominęło?

– Gdzie byłeś?

Cain podaje Whitowi karteluszek.

– Przywołała mnie jakaś lekarka. Powiedziała, żebym dał ci to tak, by twoja matka nie zobaczyła.

Whit czyta notkę i uśmiecha się.

– Molly – mówi.

– Czego ona chce? – pyta Marigold.

– Niczego. To jej numer telefonu.

– Nie masz telefonu.

Whit rzuca okiem na Marigold. Przez chwilę obawiam się, że powie coś kpiąco uszczypliwego, ale postanawia być uprzejmy.

– Rzeczywiście – przyznaje. Szuka kieszeni w szpitalnym szlafroku i orientuje się, że jej nie ma, więc wsuwa kartkę pod jedno z pudełek z donutami. – Molly była w zespole, który mnie operował.

– Więc po co ci jej numer? – pyta Cain, opierając się o barierkę w nogach łóżka.

- Obiecałem, że będę ją informował o postępach mojej rekonwalescencji.
- Naprawdę?
- To miłe, gdy ktoś się o nas troszczy, no nie?

Na ustach Caina pojawia się krzywy uśmiezek. Najwyraźniej zainteresowanie Molly wykracza poza sprawdzanie karty zdrowia Whita.

– Widocznie twój stan się poprawia, skoro lekarki z tobą flirtują – mówi Marigold, ponownie układając w pudełku donuty, które z niego wypadły.

– Nie zjesz jednego? – pyta ją Whit i bierze do ręki donut, który wyglądem przypomina fragment trawnika.

Marigold otwiera inne pudełko.

- Zostawię dla ciebie te z podłogi. W końcu przecież dostajesz antybiotyki.
- Cain, Freddie, a wy?

Odmawiamy równocześnie, a Marigold wyjaśnia, że oboje jesteśmy o wiele zbyt nudnie konwencjonalni, żeby choćby spróbować jakiegokolwiek innego donuta oprócz tych z masłem orzechowym i dżemem. Cain mamrocze coś o nieszczęsnych ofiarach podrabianych donutów, a Marigold nazywa nas „staruchami”.

W pewnym sensie to prawda. Cain i ja jesteśmy przypuszczalnie o pięć lat starsi od tamtych dwojga, którzy mogą mieć najwyżej dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa lata.

- Ile masz lat? – Marigold pyta Caina.
- Trzydzieści.
- Chryste Pe, jesteś starszy, niż myślałam!

Cain wzrusza ramionami.

– Nie mogę ręczyć za Freddie, ale ja wciąż mam własne zęby.

Whit patrzy na mnie. Ciekawość toczy w nim walkę ze społecznym tabu zabraniającym pytania kobiet o wiek.

Skracam jego cierpienia.

- Dwadzieścia siedem.

– No cóż, myślę, że zostało wam jeszcze dobrych parę lat życia – mówi Whit współczującym tonem. – Ale rozumiem teraz, dlaczego unikacie donutów. Poziom cukru i tak dalej.

Nazywam go idiotą. Chichocze, a potem się krzywi.

– Dobrze się czujesz? – pytam zaniepokojona.

– Tak. Tylko mam szwy w mięśniach śmiechu.

– Czy policja dysponuje jakimiś poszlakami wskazującymi, kto mógł ci to zrobić?

– Uznali, że to był ktoś, kogo znam... albo kto zna mnie.

– Dlaczego?

– Chyba myślą, że to osoba, która ma telefon Caina. I że skoro wysłała do ciebie te wiadomości, musiała wiedzieć, że my dwoje się przyjaźnimy.

– Ilu ludzi wie, że się przyjaźnimy? – pytam.

Ostatecznie przecież znamy się ledwie parę tygodni.

Whit wzrusza ramionami.

– Niewielu. Ale nie wiadomo, kto mógł siedzieć w pobliżu nas w bibliotece czy gdzieś na lunchu. Tylko policja sądzi, że to jakiś morderczy szaleniec z mojego kręgu towarzyskiego.

– A co z FBI?

– Pytali o Caina.

– O Caina? Do diabła, dlaczego?

– To nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, co wyprawia mój telefon. – Cain nie wydaje się nawet w przybliżeniu tak zaniepokojony tą wiadomością jak ja. – O co konkretnie pytali?

– Od jak dawna cię znam, w jaki sposób się poznaliśmy, co lubisz robić w wolnym czasie, czy kiedykolwiek widziałem, jak dźgnąłeś kogoś nożem.

Cain się śmieje.

– To nie jest zabawne, Whit – rzuca Marigold, odsuwając pudełko z donutami poza jego zasięg.



– Kto by pomyślał, że poznamy w bibliotece kogoś poszukiwanego przez FBI – mówi, przeciągając się ostrożnie.

– To, że o niego pytali, nie oznacza, że go poszukują – zauważam.

– Och tak. – Whit patrzy na Caina. – Spytali też, czy kiedykolwiek znałem cię pod jakimś innym nazwiskiem.

– Na przykład pod fałszywym? – pyta Marigold, przyglądając się z zaciekawieniem Cainowi.

– Na przykład pod pseudonimem – mówi z zakłopotaniem. – Cain McLeod to właściwie mój pseudonim literacki – wyznaje. – Przypuszczalnie mówili o moim prawdziwym nazwisku.

– Czyli? – dopytuje się poirytowana Marigold.

Cain krzyżuje ramiona na piersi.

– No śmiało – ponagla go Whit, szczerząc się w uśmiechu. – Wyduś to z siebie.

Po chwili Cain ustępuje.

– Abel Manners.

Marigold wydaje cichy jęk. Whit rechocze. Ja usiłuję nie okazać tak jawnie mojej reakcji.

Cain wzdycha.

– Rozumiecie, dlaczego je zmieniłem. Jedną z dodatkowych zalet pisania książek jest to, że możesz zmienić nazwisko i udawać, że zmusił cię do tego wydawca.

– Abel Manners! – Whit ryczy ze śmiechu, dławiąc się przy tym donutem. – Boże, po prostu koszmarnie! Brzmi jak pseudonim gwiazdora porno! – Przyciska dłoń do biodra i kaszle gwałtownie, obracając się na bok. – O cholera, to boli.

– Nie chciałem nazwiska Abel Manners na grzbiecie mojej książki, więc... – Cain urywa i wpatruje się w rosnącą szkarłatną plamę z tyłu zielonej szpitalnej koszuli Whita. – Do diabła... ty krwawisz.

Whit sięga do plamy krwi, która jest już tak wilgotna, że ją wyczuwa, a potem przygląda się krwi na palcach, jakby nie mógł pojąć, skąd się tam wzięła.

Marigold wybiega po pomoc, a ja wciskam guzik dzwonka, żeby wezwać pielęgniarki, kogokolwiek, kto będzie wiedział, co zrobić. Po kilku sekundach zostajemy wypchnięci z pokoju przez wpływający do niego strumień personelu medycznego. Czekamy na korytarzu, starając się nie wchodzić nikomu w drogę. Mamy nadzieję, że uda się nam pochwycić jakiś fragment rozmowy prowadzonej podniesionymi głosami, z którego być może wywnioskujemy, co się dzieje. Słyszymy słowo „krwotok” i coś o „narządach wewnętrznych”. Zjawia się matka Whita. Rozmawia z nią jakaś lekarka i w trakcie tej wymiany zdań, której nie słyszymy, rzuca na nas spojrzenia. Whita wywożą do sali operacyjnej, a my zostajemy uprzejmie, lecz stanowczo poproszeni, żebyśmy przenieśli się do poczekalni.



Droga Hannah!

Muszę przyznać, że ten rozdział wzbudził we mnie apetyt na donuty. Zauważam, że nie wykorzystałaś realnej cukierni – w Bostonie jest kilka oferujących egzotyczne ciastka. I oczywiście sieć barów Dunkin’ Donuts, będących w naszym mieście swoistą instytucją. Sporządziłem ich listę, którą dołączam w oddzielnym pliku wraz ze zdjęciami ich witryn i kilkoma notkami dotyczącymi pobliskich alejek i placyków na tyle ustronnych, że nadają się na miejsca zbrodni.

Przypuszczam jednak, że stworzyłaś fikcyjną cukiernię z donutami, żeby użyć jej jako sceny jakichś aktów przemocy bez rujnowania czyjegoś biznesu. To taktowne z Twojej strony, chociaż – prawdę mówiąc – taki rodzaj złej sławy mógłby raczej przyciągnąć klientów, niż ich odstraszyć. No, chyba że planujesz otrucie tam kogoś.

Zaspokoilem mój apetyt na donuty w cukierni w dzielnicy Back Bay. Były boskie! Doprawdy, ich wyroby mogą wzbudzić w tobie wiarę w Boga, a jednocześnie chęć porzucenia go. Cukiernia znajduje się w odległości trzech

kilometrów od mojego mieszkania, więc przypuszczam, że spacer tam i z powrotem usprawiedliwia zjedzenie co najmniej dwóch donutów.

Teraz parę drobiazgów. Jeżeli Whit jest na późnym etapie robienia dyplomu z prawa, co tutaj oznacza studia magisterskie, byłby w wieku bliżej dwudziestu pięciu lat niż dwudziestu jeden czy dwóch, chyba że jest kimś w rodzaju cudownego dziecka. To samo dotyczy Marigold.

Naprawdę podoba mi się, że Cain nosił wcześniej imię Abel. Jeśli można mieć ulubioną historię biblijną, moją była zawsze ta o Kainie i Ablu, o pierwszym morderstwie. Ta historia przydaje starożytnej wagi i patyny tradycji dzisiejszym błahym zabójstwom – jakby nawet najbardziej prymitywne i pozbawione wdzięku sprzątnięcie kogoś odbijało się echem w głębinach czasu i było wynikiem klątwy sprzed wieków.

Obiecuję, że decyzja Twojej agentki o odesłaniu manuskryptu mnie nie zniechęci. Wiem, że wykorzystasz dla mnie wszelkie swoje wpływy i nadal będziesz to robić. Mój czas nadejdzie. A zanim to nastąpi, będę się wygrzewał w odbitym blasku twojego wspaniałego sukcesu.

Tak czy inaczej, nie mogę się już doczekać, kiedy wkrótce się spotkamy i razem zjemy donuty.

Twój

Leo

# Rozdział jedenasty

Ojciec Whita podchodzi do nas w poczekalni dla odwiedzających, w której siedzimy już ponad godzinę. Uśmiecha się, więc ogarnia nas ulga, jeszcze zanim mówi nam, że to było tylko pęknięcie szwu i Whitowi nic nie grozi, chociaż będzie potrzebował spokoju i odpoczynku, żeby to się nie powtórzyło.

Cain przeprosza za nasze zachowanie, które mogło spowodować, że Whit przedwcześnie się sforsował.

– Powiedział, że się śmiał. – Kącik ust Franka Mettersa unosi się w górę. – Nie chciał powiedzieć z czego, ale najwyraźniej to musiał być jakiś cholernie dobry dowcip.

Nie odzywamy się.

Metters rozluźnia krawat.

– Posłuchajcie, Whit przez pewien czas nie będzie mógł przyjmować żadnych odwiedzin.

– Myślałam, że nic mu się nie stało – mówi Marigold.

– Och tak, ale Jean wkroczyła i postanowiła osobiście chronić syna. Będzie pracowała online z jego szpitalnego pokoju. – Twarz Mettersa przybiera współczujący wyraz. – Na waszym miejscu przez co najmniej parę dni nawet nie próbowałbym się z nim zobaczyć.

– Na pewno nic mu nie jest? – pyta Cain.

– Whitowi? Och, chłopak czuje się świetnie. I wierzcie mi, jego matka postara się, żeby przez parę dni się nie śmiał.

– W takim razie już pójdziemy – mówi Cain, podając rękę Mettersowi.

Mężczyzna ściska ją i wręcza mu swoją wizytówkę.

– Jeśli będziecie się martwili o Whita, zadzwońcie, proszę, a udzielę wam najnowszych informacji.

Dziwnie jest wyjść bez choćby tylko pożegnania się z Whitem, ale nie ma sensu dalej tkwić w poczekalni, a Frank Metters obiecał, że przekaże mu nasze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

Ze szpitala ogólnego można dojść do Carrington Square w zaledwie pół godziny, więc postanawiam odesłać Marigold i Caina jego jeepem beze mnie.

– Mam już dość siedzenia – oznajmiam.

– Jesteś pewna, że to bezpieczne? – Marigold z niepokojem marszczy brwi. – Może poszłabym z tobą?

– Nie bądź śmieszna. Jest trzecia po południu. Chcę tylko przejść się i pomyśleć o tym, co piszę. Zanurzyć się z powrotem w tym fikcyjnym świecie.

Cain przytakuje.

– Powodzenia. Mam nadzieję, że autobus zatrzyma się dla ciebie.

Przez ułamek sekundy jestem zdezorientowana, a potem przypominam sobie, że powiedziałam mu o moim autobusie. Uśmiecham się, odczuwając zadowolenie z jakiegoś powodu, którego nie potrafię w pełni określić. Może to po prostu świadomość tego, że on rozumie.

– Rzucę się pod niego – odpowiadam. Cain unosi brew.

– Nie chcę się okazać niewrażliwy kulturowo, Freddie, ale my w Ameryce po prostu czekamy na przystanku autobusowym.

Prycham i nazywam go tępym pismakiem.

Marigold nadal wydaje się zaniepokojona. Obejmuje mnie na pożegnanie, jakbym szła na wojnę, i już samo to sprawia, że chichoczę, co jest kiepskim

sposobem odwdzięczenia się za jej troskę. Cain uruchamia silnik jeepa. Mówię jej, żeby wsiadła.

– Jeśli chcesz, możemy pojechać za nią w pewnej odległości – zwraca się Cain do Marigold, pochylając się i otwierając drzwi od strony pasażera.

Czekam i macham na nich ręką, żeby odjechali, choćby po to, by się upewnić, że żartował.

Mówię mojemu telefonowi, że chcę wrócić do domu, i odczekuję, aż wyświetli mapę. Trzydzieści cztery minuty pieszo. Doskonale.

Ruszam, a mój umysł natychmiast gładko wślizguje się w świat manuskryptu. Rytm kroków odmierza moje myśli. Zastanawiam się nad Komiksowym Bohaterem. Jest w nim pewność siebie wynikająca z jego uprzywilejowanej pozycji społecznej. Nigdy nie poniósł w niczym porażki – chyba że celowo. Rozmyślam o matce Whita. Siedzi za nim w tym autobusie i obserwuje każdy jego ruch, jednocześnie rozmawiając przez komórkę. Od czasu do czasu wyciąga rękę i przygląda mu włosy. On nie zwraca na nią uwagi, jednak nie przesiada się na inne miejsce. Pozostaje w jej zasięgu. Frank Metters siedzi obok żony i czyta jakieś dokumenty. Podnosi wzrok, ilekroć ona dotyka syna. W jego oczach pojawia się przelotny niepokój, ale nie reaguje.

Zastanawiam się, do czego dąży Whit. Wydaje się, że oblanie studiów prawniczych wymaga od niego sporo wysiłku, a mam wrażenie, że nie wysiłałby się tak bez powodu. Według mnie bardziej prawdopodobne jest, że poszedłby po linii najmniejszego oporu: zostałby prawnikiem i jak najlepiej to wykorzystał – chyba że kryje się w tym coś jeszcze. Jakaś pasja, która nie pasuje do zawodu prawnika. Może Komiksowy Bohater chce uprawiać profesjonalnie jakiś sport – baseball czy futbol... nawet koszykówkę. Albo może chodzi mu o coś mniej konwencjonalnego. I wtedy wpada mi do głowy pewien pomysł. Czy Komiksowy Bohater mógł być tancerzem? Może na tym polegałby jego związek z Freudystką i z tą zmarłą baleriną, która czai się w jej przeszłości. Czy oboje mogli ją znać i kochać? Czy jedno z nich mogłoby ją zabić? Ta ostatnia myśl mnie szokuje. Moje postacie powieściowe są zbyt powiązane z realnymi ludźmi, którzy zainspirowali

mnie do ich stworzenia, a ci realni ludzie są moimi przyjaciółmi. Nowymi, ale już kochanymi, spowitymi w pełne podekscytowania upojenie początkiem przyjaźni – przyjaźni jeszcze nieskażonej irytacjami, rozczarowaniami i drobnymi zdradami, które pojawiają się wraz z upływem czasu.

Wchodzę na Copley Square, przystaję na chwilę i napawam się tym, że tu jestem. W Bostonie. Pomimo wszystkiego, co zdarzyło się w ciągu minionych dwóch tygodni, wciąż mam świadomość tego, jakim zaszczytem było otrzymanie stypendium Sinclaira, wciąż odczuwam dreszcz ekscytacji z tego powodu. Stoję przy fontannie i chłonę odgłosy placu: ruchu ulicznego, rozmów ludzi, którzy mówią z amerykańskim akcentem – jedni z bostońskim, inni nie.

Przez jakiś czas po prostu spaceruję tam i przyglądam się przechodniom zaabsorbowanym codziennymi sprawami.

– Freddie! – woła Leo Johnson i podbiega, żeby się ze mną zrównać.

– Cześć! – Uśmiecham się, gdy zdejmuje czapkę baseballową. Ma włosy wilgotne od potu i oddycha ciężko. – Co ty tu robisz?

– Od czasu do czasu wypuszczają mnie z mieszkania w budynku Carrington Square. Uff! – Ociera czoło rękawem. – Zobaczyłem cię po drugiej stronie placu... ale ledwie cię zauważyłem.

Spoglądam na niego z rozbawieniem.

– Gdzie byłeś, gdy mnie zauważyłeś? W Nowym Jorku?

– Nie, proszę pani, ja... – Przerywa. – Och... rozumiem, co masz na myśli. Uprawiałem jogging.

– Jogging?

– Nie rób takiej przerażonej miny. Pisarze czasem biegają.

– Jeśli ktoś ich goni.

Śmieje się.

– Wracasz już do Carrington?

– Tak, ale nie będę się z tobą ścigać.

– Tchórz.

Rozmawiając ze mną, skręca się i rozciąga.

– Zastanawiałem się, czy moglibyśmy zjeść tę kolację. Ponarzekać na nasz brak weny i na słowa bez synonimów.

Patrzę na zegarek. Nie mogę znowu go zbyć i wykręcić się pod jakimś pretekstem, gdyż wyglądałoby to na celowe. Poza tym chciałabym porozmawiać z nim o mojej pracy i o raporcie dotyczącym pobytu na stypendium, który każde z nas będzie musiało przedstawić.

– Zgoda. Dokąd pójdziemy?

Skrobie się po głowie i znowu wkłada baseballówkę.

– A może zamówiłbym coś i zjedlibyśmy u mnie... albo u ciebie, jeśli wolisz.

– Nie, w twoim mieszkaniu będzie super. U mnie jest bałagan. Moja muza to trochę fleja.

– One takie bywają. – Zaczyna biec w miejscu. – O wpół do siódmej? Będę miał czas, żeby wziąć prysznic.

– Jasne. A więc do zobaczenia.

Macham do niego, gdy odbiega truchtem. Uświadamiam sobie, że z jakiegoś powodu uważałam Lea za znacznie starszego, niż jest w rzeczywistości. Być może to kwestia jego przeciągłego akcentu południowca, przywodzącego na myśl *Przeminęło z wiatrem*, albo może tego, że zazwyczaj jest modnie ubrany i zapięty na ostatni guzik. Nawet teraz też w gruncie rzeczy nie miał na sobie stroju do joggingu.

Kiedy wchodzę z powrotem do domu Carrington Square, pani Weinbaum podlewa rośliny w holu. Mówi mi, że to obowiązek dozorczy, ale według niej on podlewa je zawsze zbyt skąpo. Pyta, czy jogurt podziałał, gdyż mogłaby sprawdzić, czy nie pomógłby jej na lumbago. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, na czym polega lumbago, oprócz tego, że w sitcomach na to schorzenie zawsze cierpią starzy ludzie. Próbuję wyjaśnić, że nic mi nie dolegało, że po prostu lubię jogurt, ale ona nie przyjmuje tego do wiadomości. W końcu zgadzamy się, że warto spróbować, i pani Weinbaum obiecuje, że będzie mnie informowała o efektach.



Wracam do mieszkania w dobrym nastroju po tym spotkaniu, które – chociaż brzmi to absurdalnie – było miłe i serdeczne. Zdejmuję pantofle, a potem zaparzam sobie kawę i wyjmuję laptop. Będę mogła pisać przez najwyżej dwie godziny. Napotkanie Lea przypomina mi, że znalazłam się tutaj, aby napisać powieść, bez względu na morderstwa i donuty, i jestem wdzięczna, że mam kolegę po fachu niepowiązanego w żaden sposób z tym krzykiem i wszystkim, co z niego wyniknęło. Aby o tym zapomnieć, narzucam sobie rytm pracy.

Dopiero za pięć szóstą znowu uświadamiam sobie upływ czasu. Wbiegam do łazienki, myję zęby i ze szczoteczką wciąż w ustach przebieram się w czystą koszulę. Nie zdążę nałożyć makijażu, ale zwilżam wodą dłonie i jako tako przyglądam nimi kosmyki włosów. Z powrotem wkładam pantofle, biorę z szafki kuchennej butelkę wina i idę korytarzem do Lea.

– Otwarte – odpowiada na moje pukanie.

Mieszkanie Lea stanowi pod względem architektonicznym lustrzane odbicie mojego, chociaż pod względem estetycznym jest bardziej współczesne. W salonie rzucają się w oczy żółte sofy i skórzany obrotowy fotel jajo. Natychmiast mam ochotę w nim usiąść, by go wypróbować.

Leo uśmiecha się domyślnie.

– Śmiało – mówi. – Każdy, kto tu wchodzi, chce się na nim pokręcić.

I właśnie dokładnie to robię. Fotel obraca się gładko, wprowadzenie go w ruch nie wymaga wiele wysiłku, a jego wklęsły kształt jest cudownie wygodny.

– Pisziesz w nim? – pytam Lea, który na przemian pojawia się i znika mi z oczu, gdy wiruję.

Kręci głową.

– Wolę wyciągnąć się na jednej z sof. Uważam, że ruch trochę rozprasza koncentrację.

– Nie wątpię, ale jest zabawny!

– Zamówiłem pizzę – oznajmia Leo. – Mam nadzieję, że lubisz pepperoni.

Zatrzymuję fotel i krzywię się.

– Powinłam była wspomnieć, że jestem wegetarianką.

– Och, szlag! To ja powinienem był zapytać. W dzisiejszych czasach tyle jest wokoło osób takich jak ty, że powinienem był pomyśleć i spytać o to.

– Mogę usunąć pepperoni...

– Wykluczone, żebyś miała robić coś takiego. Zmienię zamówienie.

Dzwoni i dodaje do zamówienia pizzę wegetariańską.

– Teraz, gdy to już załatwione, czy mogę zaproponować ci drinka?

Podaję mu moją butelkę wina i wkrótce siedzimy ze szklankami w rękach na żółtych sofach – Leo ostrzegł mnie, że fotel obrotowy i alkohol to niebezpieczna kombinacja. Pytam go o jego książkę. Wyobrażam sobie, że pisze powieść historyczną, i z jakiegoś powodu jestem przekonana, że jej akcja rozgrywa się w okresie Imperium Rzymskiego. Nie mam żadnego powodu, by tak przypuszczać – to tylko wyobraźnia.

– Romans – mówi. – Piszę romans.

Najwyraźniej moje zaskoczenie jest widoczne, gdyż Leo wyjaśnia szerzej.

– Moja agentka powie ci, że to opowieść o namiętnych przyjaźniach i chwiejnych związkach we współczesnej Ameryce, jednak w rzeczywistości to jest romans.

– Och... osadzony we współczesności? – mówię, wciąż jeszcze myśląc o gladiatorach.

– We współczesnej Ameryce, pamiętaj.

– Czy... czy zawsze piszesz romanse?

– Tak. I co więcej, ty też. Autorzy kryminałów, powieściopisarze historyczni, autorzy thrillerów politycznych, pisarze science fiction: wszyscy, z wyjątkiem ludzi tworzących instrukcje obsługi, piszą romanse. Stroimy nasze opowieści o morderstwach albo dyskusje o moralności i społeczeństwie, lecz w gruncie rzeczy obchodzą nas tylko związki między ludźmi.

– Chyba nie mówisz serio? Twierdzisz, że Stephen King pisze romanse?

– Tak, proszę pani. – Leo rozsiada się wygodniej na sofie. – Morderczy klaun jest zajmujący i tak dalej, jednak naprawdę interesuje nas to, czy ten gruby chłopak zdobędzie tę ładną dziewczynę.

– To chyba trochę nazbyt uproszczone podejście.

Pukanie do drzwi oznajmia pojawienie się jedzenia. Otwieramy pudełka i zaopatrzeni każde w kawałek pizzy kontynuujemy rozmowę.

– Nie jestem pewna, jak dokładnie można by nazwać to, co piszę, ale na pewno nie romansem – mówię.

Opowiadam mu o mojej obecnej pracy literackiej, historii trojga ludzi powiązanych usłyszanym krzykiem. Słucha uważnie.

– Klasyczny trójkąt miłosny – wyrokuje. – Chodzi tylko o to, czy Przystojniak albo Komiksowy Bohater zdobędzie serce Freudystki.

– A krzyk, morderca?

– To jedynie tło.

– To absurdalne. Posługując się tą logiką, można by każdą powieść nazwać romansem.

– Właśnie dokładnie tak uważam.

Spoglądam na niego w milczeniu.

– O czym myślisz? – pyta.

– O tym, czy znam cię na tyle dobrze, by móc nazwać cię idiotą, siedząc na twojej sofie i jedząc twoją pizzę.

Leo w zadumie kiwa głową.

– Tak, proszę pani, chyba możesz.

– Mogłabym z tym zaczekać, aż zjemy pizzę.

– A więc zbudowałaś te postacie, inspirowając się osobami, które poznałaś w bibliotece?

– Tak. Siedzieliśmy razem w sali czytelników, gdy usłyszeliśmy ten krzyk.

– Czy Przystojniak wie, że nazywasz go Przystojniakiem?

– Nie. Byłoby to krępujące dla nas obojga.

– Na twoim miejscu bym się tym nie przejmował. Przystojni faceci wiedzą, że są przystojni. Ostatecznie przecież mamy lustra.

Gwałtownie unoszę głowę i patrzę na niego. Czy miał na myśli to, co przypuszczam? Dostrzegam w jego oczach wesoły błysk i orientuję się, że się ze mną droczy.

– Więc jak wykorzystujecie tę wiedzę? Ty i ci inni faceci.

Wzrusza ramionami.

– Tylko do tego, żeby się zabawić.

– Jednak rzeczywiście jesteście idiotą.

Teraz śmieje się już głośno. Rozmawiamy o moim pisaniu, a potem o jego. Zadaje mi kilka hipotetycznych pytań o to, jak zareagowałabym na pewne bardzo szczególne sytuacje.

– Leo, czy wykorzystujesz mnie, aby zebrać materiał do swojej powieści?

– Może trochę – przyznaje z zawstydzeniem. – Zmagam się z jedną sceną. Masz coś przeciwko temu?

– Ależ skądże. Pokażesz mi tę scenę? Być może potrafiłabym pomóc.

– Jasne. Chociaż to wciąż tylko pierwszy szkic.

Pracujemy nad jego manuskryptem, dodając pizzę. Szkic jest jedynie ogólnym zarysem, jednak z przebłyskami pięknych fragmentów. Stworzone przez Lea postacie są eteryczne, trochę wyidealizowane i prawdopodobnie właśnie dlatego potrzebował czyjejś pomocy. No, może nie pomocy, lecz raczej przyjaznej ściany, od której mógłby odbić swoje myśli, oraz wglądu kogoś mojej płci. Historia, którą nazywa romanssem, to rodzaj powieści grozy o odrzuceniu i obsesji. Jego proza jest niepokojąca i budzi we mnie pragnienie popracowania nad własnym tekstem.

Podnoszę wzrok na zegar wyświetlony na suficie i powoli obracam głowę, by zorientować się w jego tarczy.

– Czy jest jedenasta?

Leo przytakuje.

– Miałaś dokądś pójść?

– Nie, ale zrobiło się późno. Lepiej już wróć do siebie.

Proponuje mi kawę.

Przecząco kręcę głową i wstaję, żeby wyjść.

– Dzięki za pizzę, Leo.

– Dziękuję, że mi pomogłaś. Naprawdę jestem ci wdzięczny. Gdybyś kiedykolwiek potrzebowała ode mnie tego samego...

– Mogłabym skorzystać z twojej propozycji, jeśli przestaniesz mi wmawiać, że piszę romans.

– Dobrze, proszę pani.

Odprowadza mnie do drzwi i życzy mi dobrej nocy. Następuje nieco kłopotliwy moment pożegnania. Ostatecznie podajemy sobie ręce, śmiejąc się, gdyż wydaje się to trochę dziwnie sztywne. Przecież zjedliśmy razem pizzę i przegadaliśmy kilka godzin. Ale rozmawialiśmy o naszej pracy, więc myślę, że jesteśmy raczej kolegami niż przyjaciółmi. Czekam, aż otworzę moje drzwi, i dopiero wtedy wraca do swojego mieszkania. Prawdopodobnie to przejaw galanterii południowca. Albo może chodzi o to, że gdzieś czai się morderca.



Droga Hannah!

Nie potrafię nawet wyrazić, jak ekscytujące jest znalezienie się w Twojej powieści. Dziękuję Ci – ten rozdział ogromnie podniósł mnie na duchu! Podoba mi się Leo. Między nim a Freddie jest prawdziwa chemia. Przyrzekam, że on i ja pocieszymy Freddie, kiedy w końcu odkryje straszliwą prawdę o Cainie.

Zachwyca mnie sposób, w jaki opisałaś twórczość Lea. Ośmielam się mieć nadzieję, że to również zaczerpnęłaś z życia.

Ten rozdział jest doskonały. Niczego nie zmieniaj.

Jeszcze raz Ci dziękuję. Uczyniłaś mi zaszczyt, umieszczając mnie w nim.

W odpowiedzi na Twoje pytanie o kina polecam Brattle. Ma interesujący repertuar.

Nawiasem mówiąc, może zaciekawi cię, co przeczytałem wczoraj w „Globe”. Otóż Alexandra Gainsborough – ta agentka, która odrzuciła dzieło – zesłała z tego świata. Jakiś wypadek. Dwa dni temu tryskała energią, była władcza, mogła urzeczywistniać albo zabijać marzenia, a teraz sama jest martwa. Oczywiście przestałem kondolencje. Zabawne, jak czasami układa się życie.

Twój

Leo

# Rozdział dwunasty

Nazajutrz rano dostarczono następne pudło z artykułami spożywczymi. Przynosi mi je portier.

– Dziękuję, Joe – mówię, po czym odbieram od niego pudło i wyjmuję z portfela dziesięć dolarów.

– Nie ma tam pani piątaka?

– Och... oczywiście... przepraszam – jąkam zawstydzona.

Nigdy nie wiem, jaki napiwek dać za coś bez rachunku, i boję się, że Joe uzna mnie za skąpą.

Bierze pięć dolarów i zwraca mi dziesięć.

– Nie przesadzajmy. Ja tylko wniosłem to na górę.

– Och tak... przepraszam. W Australii właściwie nie dajemy napiwków. Trudno mi do tego przywyknąć.

– Żadnych napiwków, co? Nie mogę powiedzieć, że rozumiem, jak to działa.

– Chyba płacimy ludziom więcej za tego rodzaju prace, za które tutaj dajecie napiwki.

– Wy?

– Pracodawcy. Takie jest prawo.

Joe kręci głową.

– Wydaje mi się to niepraktyczne. W jaki sposób okazujecie wdzięczność?

– Na ogół mówimy dziękuję.

Śmieje się.

– No cóż, może to jest coś warte.

– Dziękuję, Joe.

– Ale nie zwrócę napiwku, wie pani.

Jego śmiech jest głośny i zaraźliwy. Lubię Joego. Czasami nie od razu wiem, kiedy żartuje, ale zawsze jest uprzejmy i życzliwy.

– Słuchaj, Joe, czy może zauważyłeś w ubiegły piątek kogoś, kto nie mieszka w tym domu albo nie powinien się tu znaleźć?

– Nie – odpowiada stanowczo i bez wahania.

– Jesteś pewien?

– Panno Kincaid, na tym polega moja praca, żeby zatrzymać każdego, kto nie jest mieszkańcem albo nie towarzyszy osobie mieszkającej tutaj, i zapytać, co go sprowadza. Od ponad tygodnia nie zagadnąłem o to nikogo oprócz pani przyjaciół oraz wnuczki pani Weinbaum.

– Ach tak?

– Czy coś się stało, panno Kincaid?

– Nie... no może.

Mówię mu o fotografii moich drzwi, jednak pomijam resztę.

– To tylko zdjęcie, ale trochę mnie wkurzyło.

– Kto je przysłał... to zdjęcie pani drzwi?

– Nie wiem. Wysłano je z telefonu Caina. Zgubił go dzień wcześniej.

Joe marszczy czoło.

– No cóż, myślę, że to mógł być któryś z kumpli pani przyjaciela, Caina. Znalazł telefon i zrobił pani kawał.

– Czy ten kumpel do tego czasu już by się nie ujawnił?

– Może zamierzał się przyznać, ale stchórzył.

– Chyba masz rację – mówię.



Właściwie nie jestem przekonana, ale nie chcę opowiadać mu o wszystkim, co się jeszcze zdarzyło.

– Będę uważał, po prostu na wszelki wypadek – zapewnia mnie.

Odchodzi, a ja rozpakowuję pudło z artykułami spożywczymi. Jego zawartość różni się od tej poprzedniego. Produkty są raczej luksusowe, a nie podstawowe – drogie sery, pigwy smażone w cukrze, wino, słodycze. I zdecydowanie nie ma jogurtu.

Dzwonię do Caina z podziękowaniem.

– Nie mów mi, że tak naprawdę odziedziczyłeś sieć supermarketów Whole Foods.

– Co masz na myśli?

– To, że chcę ci podziękować, Cain. To bardzo miłe i hojne z twojej strony, ale nie musisz przysyłać mi pudła z jedzeniem za każdym razem, gdy jesz u mnie posiłek.

– Dostałaś następne pudło z artykułami spożywczymi?

– No, to raczej smakołyki niż artykuły spożywcze...

– Freddie, ja go nie wysłałem.

– Och.

– Może Marigold?

Śmieję się, trochę zawstydzona.

– Pewnie tak. Powinnam do niej zadzwonić.

– Nie było żadnej kartki?

– Nie. – Raz jeszcze zaglądam do pudła, na wypadek gdybym ją przeoczyła. – Tylko sery, wino i czekolada... tego rodzaju rzeczy.

– To chyba przebija jogurt. Jak ci idzie z powieścią?

– Właściwie wczorajszej nocy mnóstwo napisałam – odpowiadam. Po powrocie od Lea pracowałam do trzeciej nad ranem. – A tobie?

– Prawdę mówiąc, nie bardzo potrafię się skupić.

– Z powodu Whita?

– Prawdopodobnie.

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Może miałybyś ochotę na film dziś wieczorem? W kinie Brattle grają *Północ, północny zachód*.

– Z Carym Grantem? Och, mój Boże, tak, proszę!

Cain chichocze.

– Nie mów mi, że on w Australii wciąż jest wielką gwiazdą.

– Mój tata uwielbiał klasyczne filmy. Czasami je z nim oglądałam. Zwłaszcza te z Carym Grantem.

– Wiesz, naprawdę miał na imię Archibald. Nazywał się Archibald Leach.

– Nie wiedziałam, ale mam to gdzieś.

– Zatem przyjadę po ciebie o szóstej.

Z uśmiechem wyłączam telefon. Przepełnia mnie ekscytacja pomimo mojego postanowienia, żeby nie zachowywać się jak lekkomyślna nastolatka. Wracam do pracy, wmawiając sobie, że to nie będzie się niczym różniło od kolacji z Leo. Spotkanie kolegów po fachu, nic więcej. Podejrzewam jednak, że jest w tym coś więcej. Mimo wszystko zaprzeczanie tej możliwości to niezbędna obrona przed rozczarowaniem – środek ochronny przed zrobieniem z siebie idiotki.

Dziś słowa napływają do mnie łatwo. Przyzywa mnie Komiksowy Bohater. Kusi mnie jego związek z Freudystką. On odnosi się do niej uprzejmie, troskliwie, jednak napięcie seksualne, przynajmniej z jego strony, wydaje się niezbyt intensywne. Jest nią erotycznie zainteresowany, lecz dość powierzchownie. Prawdziwe uczucie żywi do niej ktoś inny.

Oczywiście Freudystka go nie odwzajemnia.

Zastanawiam się, czy Leo aby nie miał racji. Czy piszę romans?

Chociaż koncentruję się na Komiksowym Bohaterze i Freudystce, w chwilach gdy przestaję się pilnować, nachodzą mnie myśli o Cainie McLeodzie. Zaskakują mnie. I nie wiedzieć kiedy, zaczynam dumać o nim. Jednocześnie czuję się winna, ponieważ powinnam skupić się na manuskrypcie.

Dzwonię do Marigold w nadziei, że rozmowa z nią wyrwie mnie z tych rozmyślań, i rozpoczynam od podziękowania jej za pudło wykwintnych artykułów spożywczych.

– Jakich artykułów spożywczych?

– Ty też ich nie przysłałaś?

– Też?

– Myślałam, że to mógł być znowu Cain, ale nie – mówię, wpatrując się w pudło.

– Co dokładnie było w tym pudle?

– Czekolada, wino, sery...

– O rany! Już do ciebie jadę.

– Nie możesz, wychodzę.

– Dokąd?

– Nie uważasz, że to dziwne? Nie było żadnej kartki.

– Nie, to wcale nie jest dziwne. Ludzie stale zapominają o dołączeniu kartki.

– Chyba tak.

– Prawdopodobnie za parę dni odkryjesz, kto przysłał to pudło.

Biorę się w garść.

– Masz rację. Tylko czuję, że zachowuję się nieuprzejmie, nie dziękując temu komuś. Co teraz robisz?

– Kupuję donuty. – Marigold milknie, a potem dodaje pospiesznie: – Wiesz, uzależniłam się od tych o smaku kremu chai i kawy.

Śmieję się.

– Nie zdradzę nikomu twojego sekretu. Przynajmniej dopóki nie zaczniesz rabować ludzi, żeby zdobyć pieniądze na zaspokajanie swojego nałogu.

– Mogę w każdej chwili nad tym zapanować... od pojutra. – Kolejna pauza. – Nie miałaś jakiejś wiadomości od ojca Whita o tym, jak on się czuje?

– Nie. Pan Metters dał swoją wizytówkę Cainowi. Może...

– Och tak. Czy myślisz...?

– Kilka minut temu rozmawiałam z Cainem. Na pewno wspomnieliby, gdyby cokolwiek wiedział.

– Być może zadzwonię do szpitala.

Cain zjawia się za dziesięć szósta. Jest w koszuli i sportowej marynarce, a ja czuję ulgę, że zdecydowałam się na spódnice, a nie džinsy. Być może z powodu tego, że film jest klasyczny, wydaje mi się stosowne ubranie się bardziej elegancko, niż gdybym wybierała się na najnowszą produkcję Marvela.

Cain czeka, podczas gdy biorę płaszcz i rękawiczki. Kiedy wyłaniam się z sypialni gotowa do wyjścia, przygląda się starej fotografii w małej srebrnej ramce na gzymsie kominka.

– Która z nich to ty? – pyta.

Na zdjęciu są dwie młode nastolatki.

– Ta wyższa, po prawej.

– Czyli ta druga jest twoją młodszą siostrą?

– Była moją młodszą siostrą. Gerry zginęła mniej więcej miesiąc po tym, jak zrobiono to zdjęcie.

Mówię mu o wypadku.

– Boże, to straszne. Współczuję ci, Freddie.

Patrzę na fotografię, zastanawiając się, co Geraldine pomyślałaby o Cainie. W tamtym czasie drwiła z większości chłopców, którzy wpadli mi w oko, ale nie wyobrażam sobie, by mogła mieć jakieś zastrzeżenia wobec niego.

– Masz rodzeństwo?

– Nie. – Kręci głową. – Byłem jedynakiem.

– Czuleś się samotny?

– Chyba tak. Często o tym rozmyślałem.

W drodze do samochodu opowiadam mu o mojej siostrze Gerry, przemądrzałej chłopczycy.

– Oczywiście większość z nas trochę się zmieniła od czasu, gdy mieliśmy jedenaście lat, więc może gdyby ona nadal żyła, byłaby teraz inna.

– Ty jesteś teraz inna?

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Zaczęłam pisać po śmierci Gerry. Najpierw listy do niej... chyba podsunął mi ten pomysł szkolny psycholog. Potem wiersze i opowiadania jako część tych listów. Nawet jeszcze teraz mam wrażenie, jakbym pisała dla Gerry.

Kino Brattle znajduje się w pobliżu Harvard Square. Specjalizuje się w klasycznych i zagranicznych filmach. Ma jedną salę i repertuar często się zmienia. Cain mówi mi, że *Północ, północny zachód* wyświetlają tylko dzisiejszego wieczoru.

– Byłeś tu już wcześniej? – pytam.

Brattle sprawia wrażenie miejsca dla wtajemniczonych, niczym nielegalny bar w czasach prohibicji znany tylko zaufanym klientom. U szczytu schodów prowadzących do sali kinowej wita nas naturalnej wielkości plakat przedstawiający Hitchcocka z palcem przy ustach. Ściany zdobią murale z *Casablanki*.

Cain przytakuje.

– Kilka razy, odkąd wróciłem do Bostonu. Przed kilkoma tygodniami zorganizowano tu maraton filmów z Bogartem.

Wybieramy miejsca. Siedzi już kilka osób, głównie pary, ale sala bynajmniej nie jest pełna. Cain nachyla się i wskazuje mi na ścianach stare plakaty i inne pamiątki związane z filmami, a ja uświadamiam sobie, że jego bliskość przyprawia mnie o trzepot serca. Niemal wybucham śmiechem z powodu tego, jak bardzo jestem banalna.

Cain to zauważa.

– Przepraszam, nie zamierzałem zachować się jak przewodnik wycieczki. Tylko po prostu kocham to stare kino.

Trącam go łokciem.

– Ta wycieczka bardzo mi się podoba. Dziękuję, że mnie tutaj przyprowadziłeś.

Bierze mnie za rękę. W tym momencie gasną światła w sali, co bardzo mnie cieszy, bo nie jestem pewna swojego wyrazu twarzy. Serce wali mi jak pensjonarce i boję się poruszyć, żeby nie popsuć tej chwili. Jego dłoń wydaje się duża i mocna, ściska moją delikatnie i swobodnie. Na ekranie pojawiają się napisy początkowe i oglądamy film. Cain od czasu do czasu nachyla się ku mnie i szepcze coś o którejś ze scen, a gdy Cary Grant wspina się po zboczu góry Mount Rushmore, nasze palce są już splecione.

Kiedy zapalają się światła, nie jestem pewna, jak się zachować. Czy mam pierwsza puścić jego dłoń? A może on to zrobi?

Cain spogląda na mnie.

– Jesteś głodna?

Przytakuję.

Ściska moją rękę, potem puszcza ją, żeby wziąć płaszcz, który położył na pustym fotelu obok siebie. Uspokajam trzepoczące serce. To głupie. Mam dwadzieścia siedem lat, nie czternaście.

Idziemy z kina Brattle do włoskiej restauracji na Harvard Square. Wprowadzie jej nazwa U Jake'a nie wywołuje natychmiast skojarzeń śródziemnomorskich, jednak aromat wewnątrz jest bogaty i kuszący. Sala ma prosty, tradycyjny wystrój – niewielkie stoliki z kraciastymi obrusami, gięte krzesła, świece w butelkach. Gdy siadamy, kelner przynosi koszyk z jeszcze ciepłym chlebem z pieca i kawałek masła na talerzyku. Uświadamiam sobie, że jestem głodna jak wilk.

– Pod koniec nocy – mówi cicho Cain – personel tej restauracji zostawia niezjedzone potrawy z kuchni na tylnej uliczce w pojemnikach na wynos, żeby nie trzeba było grzebać w kontenerach na śmieci. Możesz wierzyć albo nie, ale na zimno są niemal równie smaczne.

– Czy w Bostonie jest wielu bezdomnych?

Cain kiwa głową.

– Więcej, niżby się sądziło. Nie wszyscy z nich sypiają na ulicach – wielu mieszka w swoich samochodach albo przenosi się ze schroniska do schroniska. W każdym razie zawsze jest aż nazbyt wielu ludzi potrzebujących jedzenia, które personel dla nich wystawia.

– Więc jak to się odbywa?

– Nie mogę mieć pewności, jak jest teraz, ale dawniej nie zawsze było miło. Zdarzały się przepychanki i groźby, chociaż w zasadzie nie dochodziło do rękoczynów. Wiedzieliśmy wszyscy, że personel restauracji U Jake’a nie musi tego robić, i nie chcieliśmy, żeby przestali z powodu bójek wszczynanych na ich uliczce.

Wybieram wegetariańskie canelloni jako główne danie, które ja nazywam „mains”, a Cain określa słowem „entrée”. Oboje zamawiamy z góry na deser panna cottę, zobowiązując się niejako, że posiedzimy dłużej, a gdy kelner się oddala, rozmawiamy o filmie, Carym Grancie, Evie Marii Saint, Jamesie Masonie i Hitchcocku, a później o Weinsteinie, związanej z nim rewolucji „me too” i tym, co zmieniła. Dyskutujemy o Tippi Hedren, tym, jak Hitchcock ją traktował, i kwestii uwielbienia dla jego filmów.

– Czy moje książki, pisane przeze mnie słowa byłyby inne, gdybym był, na przykład, mordercą? – pyta ostrożnie Cain.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Słowa mają sens, znaczenie. Sądzę, że to, kim jest autor, co zrobił, mogłoby zmienić owo znaczenie.

– Czy znaczenie nie ma związku bardziej z czytelnikiem?

– Nie. W powieści chodzi o poprowadzenie czytelnika do sensów. On sam je odkrywa, ale my pokazujemy mu drogę. Uważam, że moralność pisarza ma wpływ na to, czy możemy zaufać temu, co nam pokazuje.

– Nawet jeśli nie wiemy, co zrobił?

– Zwłaszcza jeśli tego nie wiemy. Jeśli jesteśmy tego świadomi, możemy uwzględnić to w naszej interpretacji dzieła. Rozstrzygnąć, czy jest ono

manipulacją, mechanizmem obronnym albo może wyrazem poczucia winy.

Cain przez chwilę milczy.

– Być może.

– Nie zgadzasz się z tym.

– Nie, masz rację. Lecz mimo to lubię filmy Hitchcocka.

Wzdycham.

– Tak, ja też – przyznaję. Proszę Caina, żeby opowiedział mi coś więcej o sobie. – Wiem, że przez jakiś czas żyłeś na ulicach Bostonu, ale czy pochodzisz stąd?

– Nie. Po prostu pieniędzy starczyło mi na bilet autobusowy przypadkiem akurat do tego miasta. Dorastałem w Charlotte w Karolinie Północnej.

– I miałeś ojczyma, więc twój ojciec...

– Umarł. – Cain wypija łyk wina z kieliszka. – Kiedy miałem mniej więcej sześć lat.

– Bardzo ci współczuję.

– Dziękuję. – Wzrusza ramionami. – Szczerze mówiąc, słabo go pamiętam. Kibicował drużynie baseballowej Red Sox i lubił brokuły... a przynajmniej powiedział mi kiedyś, że lubi.

– A twój ojczym?

– Mama poślubiła go, kiedy miałem osiem lat. Początkowo był wspaniały. Zabierał mnie na mecze, grał ze mną w piłkę. Pragnął mieć dużą rodzinę, mówił mi stale, co będziemy robić, gdy pojawią się moi bracia i siostry. – Przerzywa. – Ale się nie pojawili. On i mama starali się o dzieci, lecz nie mogła zajść w ciążę. Wtedy zaczął pić. Obwiniął o to najpierw mamę, a potem mnie.

– Och, Cain!

Chciałabym wyciągnąć rękę i dotknąć go, ale między nami jest stolik.

Uśmiecha się.

– To było dawno, Freddie. Isaac zwykł mawiać: „Chłopcze, każdy ma jakąś smutną historię, a twoja jest nudna”.



Czuję, że cofam głowę.

– Naprawdę?

Cain uśmiecha się szerzej.

– Mówiłem, ci, on nie był postacią z kreskówki Disneya.

– Więc czy ta sytuacja w domu zmieniła się, kiedy wróciłeś?

– Nie. Ale ja się zmieniłem.

Pojawiają się nasze potrawy i przez następnych kilka chwil jesteśmy zajęci ustawianiem ich na stole, dziękowaniem kelnerowi i porównywaniem zawartości naszych talerzy. Cain wypytuje o moją pracę i przez krótki absurdalny moment myślę o tym, jak Leo zapytał mnie, czy Przystojniak wie, że tak go nazywam. Czuję, że się czerwienię, pozornie bez powodu, ale nawet jeśli Cain to spostrzeża, nic nie mówii. A ja opowiadam mu o wszystkim z wyjątkiem tego, jak go nazwałam. Słucha, gdy opisuję, jak postacie w mojej powieści rozwijają się i zaczynają się różnić od ich realnych pierwowzorów.

– A w którym momencie zamierzasz spuścić je z uwięzi? – pyta. – Kiedy pozwolisz im całkowicie odkleić się od osób, które znasz?

– Myślę, że gdy poznam was na tyle, by wiedzieć, że je różnicuję. Albo gdy wasze prawdziwe historie staną się nudne.

Śmieje się. A potem nagle szeroko otwiera oczy.

– Czy coś się stało? – pytam, zerkając przez ramię.

– Nie... nic się nie stało... – zaczyna.

Dostrzegam, co przykuło jego wzrok.

Marigold.



Droga Hannah!

Niektórzy mogliby uznać skłonność do śledzenia ludzi za wadę, jednak w przypadku Marigold ta cecha jest poniekąd urzekająca. Kto by pomyślał, że

odrobina psychozy może być tak atrakcyjna?

I dowiadujemy się choć troszkę więcej o Cainie. Niewiele – wciąż pozostaje mglistą postacią. Ale wiemy już, że pochodzi z Karoliny Północnej, stanu smoluchów\*! On też miałby akcent południowca, choć nie tak wyraźny jak u mojego imiennika. Być może zechciałabyś dodać szczyptę dialektu. Na przykład Cain nazwałby lokal U Jake'a raczej „knajpą” niż „restauracją”. Mógłby też od czasu do czasu użyć słów „wyście” i „tamój”. Muszę wyznać, że naprawdę podoba mi się postać Isaaca. Szkoda, że już nie żyje.

Przeczytałem dziś rano, że Australia zamknęła granicę dla osób niebędących jej obywatelami, podobnie jak wcześniej Stany Zjednoczone. Ten nowy świat jest dziwny i nużący. Jak przypuszczam, oznacza to, że w bliskiej przyszłości nie będziesz mogła odbyć Twojej odroczonej podróży do mojego kraju. Na szczęście nadal pozostaję Twoim chętnym i zdolnym amerykańskim informatorem.

Jestem boleśnie świadomy momentów historii, jakie przeżywamy. Mam wrażenie, że jesteśmy świadkami umierania epoki demokracji – przynajmniej tutaj, w Ameryce. I być może początku nowego średniowiecza. Uświadamiam sobie, że ta myśl bardziej mnie intryguje, niż przygnębia. Świat znalazł się w przededniu runięcia w otchłań, w której władają strach i furia, przekształcenia się w dystopię przekraczającą wszystko, co moglibyśmy wyobrazić sobie w naszej twórczości literackiej.

Bądź bezpieczna.

Twój

Leo

---

\* Pogardliwe określenie związane z produkcją smoły w Karolinie Północnej.

# Rozdział trzynasty

Marigold bierze torbę z jedzeniem na wynos i podaje swoją kartę kredytową. Wydaje się nas nie widzieć.

Spoglądam w oczy Cainowi. Dostrzegam w nich poczucie winy i niepewność, jak postąpić.

Odzywa się pierwszy.

– Czy powinniśmy...?

Przytakuje, przewyciężając wahanie.

Cain wstaje i gestem zwraca na siebie jej uwagę. Marigold patrzy na niego w pierwszej chwili obojętnie, a potem z zaskoczeniem.

Przywołuje ją, żeby dołączyła do nas, i Marigold rusza do naszego stolika.

– Co wy tu robicie? – pyta, zanim mogę zadać jej to samo pytanie.

Cain jest spokojny i opanowany.

– W kinie Brattle grali film, który, jak pomyślałem, Freddie mogłaby wykorzystać w swojej książce.

– W Brattle? Jakiś dokumentalny? – jęczy.

– Nie było tak źle – odpowiada Cain. Odsuwa dla niej krzesło. – Zjesz z nami deser? – Rzuca okiem na jej torbę z jedzeniem na wynos. – Chyba że już jakiś kupiłaś?

Marigold siada.

– Jadanie deseru na końcu posiłku to absurdalny dyktat społeczny. O rety, ale miałam szczęście, że na was wpadłam!

– Szczęśliwy przypadek – mówię i dopiero teraz myślę, że to rzeczywiście przypadkowe spotkanie.

Marigold potwierdza.

– Stale tutaj przychodzę. Zabawne, że ze wszystkich lokali na Harvard Square wybraliście właśnie ten.

– Najwyraźniej mamy wszyscy dobry gust – rzucam i zmieniam temat. – Dodzwoniłaś się do szpitala?

– Tak. – Marigold za pomocą rozbudowanej sceny mimicznej komunikuje kelnerowi na drugim końcu sali, że zje to samo, co my. – Wypuszczono go.

– Co? Już?

Dziękuję kelnerowi i odpowiada:

– Na to wygląda.

– No cóż, myślę, że to wspaniale – mówię, chociaż jestem trochę zdumiona tym nagłym ozdrowieniem.

– Prawdopodobnie uznano, że Whit może dokończyć rekonwalescencję w domu – podsuwa Cain. – W szpitalu miał z jednej strony policję, z drugiej matkę, istny cyrk!

Marigold marszczy nos, ale zgadza się ze zdaniem Caina.

– Podobno mama Whita zamierza pozwać szpital do sądu za zaniedbanie, z powodu pęknięcia szwu.

– Och. – Powoli kręcę głową. – Chyba mamy szczęście, że nie pozywa nas za to, że go rozśmieszyliśmy.

– Nas? – Marigold wskazuje na Caina. – To on powiedział Whitowi, że naprawdę nazywa się Abel Manners!

Cain się krzywi.

– Z perspektywy czasu zgadzam się, że powinienem był trzymać moją głupią gębę na kłódkę. Ale nie z powodu pęknięcia szwu Whita.

– W każdym razie cieszę się, że Whit jest bezpieczny w domu – oznajmiam, po czym zjadam pierwszy kęs panna cotty i bezwstydnie się nim delektuję.

– Och tak, jest bezpieczny – potwierdza Marigold. – Przed domem jego rodziców rozmieszczono co najmniej tuzin ochroniarzy.

Przełykam kęs. Cisza trwa o moment za długo, gdy Cain i ja przetrawiamy jej słowa.

– Marigold. – Odkładam łyżeczkę i patrzę na dziewczynę. – Poszłaś do domu Whita?

Kiwa głową, uśmiechając się porozumiewawczo.

– Nie martw się, nie zapukałam ani nic w tym rodzaju. Tylko parę razy przeszłam obok.

– Może w tej sytuacji to nie był najlepszy pomysł – mówi cicho Cain.

Marigold trochę rzędzie miną.

– Wiem. Ale musiałam zobaczyć, czy on tam jest.

– Dlaczego?

Milczy przez chwilę. Kiedy się odzywa, głos ma ochrypły, napięty.

– Sama nie wiem. Czasami czuję się, jakbym nie mogła oddychać, jeśli nie wiem, gdzie on jest.

– Och, Marigold – wzdygam.

Pomimo wszystko sprawia wrażenie takiej młodej, kruchej i zagubionej.

– Czy Whit wie, co czujesz? – pyta Cain.

Patrzy na niego z przerażeniem.

– Oczywiście, że nie!

Zastanawiam się nad tym. Wydaje mi się, że on być może się domyśla, jednak nie poruszam tej kwestii.

– Mimo to chyba nie powinnaś teraz kręcić się wokół domu Whita – mówi Cain łagodnym tonem.

Marigold chichocze nerwowo.

– Nie kręciłam się wokół domu, tylko przechodziłam. – Stanowczo potrząsa głową. – Nawet się nie zatrzymałam.

Cain zerka na mnie.

– To mogłoby wyglądać trochę podejrzanie, Marigold, gdyby cię zauważyli – mówię. Martwię się o nią. – Może następnym razem zatrzymaj się i wstąp tam. To nic dziwnego, że przyjaciele Whita chcą się dowiedzieć, jak się ma.

Oczy jej rozbłyskują.

– Myślisz, że powinnam?

– Myślę, że to byłoby lepsze niż czajenie się przed domem.

– Nie czaiłam się...

– Wiem.

– Dowiedziałaś się czegoś więcej o Caroline Palfrey? – pyta Cain.

Tak delikatnie zmienia temat. Zarówno ona, jak i ja jesteśmy mu za to wdzięczne.

Marigold marszczy brwi.

– Nie, właściwie nie. Mnóstwo reporterów wypytuje o różne historie. No wiecie, w rodzaju: „zamordowana typowa Amerykanka”. Chyba liczą, że odkryją, że prowadziła podwójne życie.

– A prowadziła? – pyta Cain.

– Nie. W każdym razie nic o tym nie słyszałam. Chyba że za podwójne życie można uznać pisanie dla tabloidu „Rag”.

Powracamy do naszych deserów i przez pewien czas jemy je w milczeniu, dopóki Marigold nie wspomina o kolejnym fakcie.

– Właśnie tam poznała Whita. W redakcji gazety „Rag”.

– Zgadza się. Whit kiedyś coś dla nich napisał – przypominam sobie.

Marigold wzrusza ramionami.

– Pisał reportaże. I to wiele.

Przez moment myślę o Komiksowym Bohaterze i jego sekretnej miłości do tańca.

Cain spogląda w zamyśleniu na Marigold.

– Czy ty i Whit spotkaliście się przed tamtym dniem w bibliotece?

Marigold przez chwilę się waha.

– Kiedyś dosłownie wpadliśmy na siebie. Ale on tego nie pamięta.

Przychodzi mi na myśl, że Cain dopiero dziś wieczorem uświadomił sobie w pełni, że ona jest zakochana w Whicie. Trochę mnie bawi, że zajęło mu to aż tyle czasu.

Gdy dojadamy desery i pijemy kawę, Marigold wypytuje o *Przygody Freudystki*, jak lubi nazywać mój manuskrypt.

– Czy pozwolisz mi przeczytać tę książkę, kiedy skończysz?

Wzrusza mnie sposób, w jaki o to zapytała. Jakby czytanie dzieła pisarza było przywilejem, a nie celem, dla którego piszemy.

– Tak, gdybyś chciała.

– Oczywiście, że bym chciała! I obiecuję, że nie zezłoszczę się, jeśli nie będzie cała wyłącznie o Freudystce.

Śmieję się.

– Wezmę to pod uwagę.

Odwraca się do Caina.

– Rozmyślałam o twojej powieści.

– Naprawdę?

– Zastanawiałam się, czy nie pomogłoby ci w pisaniu, gdybyś dowiedział się czegoś więcej o Isaacu. Skąd pochodził, czym się zajmował, zanim trafił na ulice.

Cain wygląda na zaskoczonego.

– Tak, myślę, że mogłoby pomóc.

– Uniwersytet Harvarda zapewnia studentom wspaniałe możliwości prowadzenia prac badawczych. Jeśli chcesz, mogłabym zebrać dla ciebie trochę informacji o Isaacu. On nosił nazwisko Harmon, prawda?

– Tak... ale ja już szukałem, Marigold. Nie ma żadnych dokumentów dotyczących Isaaca sprzed jego śmierci.

– Jednak nie zaszkodziłoby spróbować. Może potrzebujesz świeżego spojrzenia.

Cain marszczy brwi.

– Dziękuję ci, ale to naprawdę nie jest konieczne. Mam wszystkie materiały, jakich potrzebuję do tej książki. To powieść, a nie biografia.

– Dałoby mi to jakieś zajęcie – nalega Marigold z typowym dla niej uporem.

– Czy studia cię nie zajmują?

– Studiowanie jest nudne – wyznaje z westchnieniem. – Poza tym kiepsko sypiam, co oznacza, że muszę czymś wypełniać dodatkowe godziny, kiedy normalni ludzie śpią.

– Szczerze mówiąc, wolałbym, żebyś tego nie robiła – oświadcza otwarcie Cain.

– Dlaczego? Mogłabym...

– To moja książka, Marigold. Wolę sam ją pisać.

– Och.

Marigold wygląda na zdruzgotaną, a mnie zaskakują słowa Caina i zwłaszcza ton, jakim je wypowiedział.

Cain natychmiast się mityguje.

– Przepraszam, nie chciałem tak na ciebie warknąć. Tylko po prostu uważam, że Isaac ma prawo do prywatności. Niewiele więcej miał w życiu.

Marigold przygląda mu się badawczo. Cain wytrzymuje jej spojrzenie. W końcu ona odwraca wzrok.

– Oczywiście, rozumiem.

Cain się odpręża.

– Dziękuję ci. – Proponuje, że odwiezie ją do domu. – Mój jeep jest zaparkowany tamój, w pobliżu kina Brattle.

Marigold odmawia, kręcąc głową.

– Mieszkam na Athens Street. Mogę pójść pieszo.



– Wobec tego odprowadzimy cię do domu, a potem wrócimy po samochód – nalegam, podczas gdy Cain sygnalizuje, że chcemy już dostać rachunek. – Powinnaś być ostrożna, przynajmniej dopóki nie znajdą zabójcy Caroline Palfrey.

Marigold krzywi się kpiąco.

– Stale zapominam, że jesteś Australijką. Założę się, że tutaj w obrębie kilku przecznic zdarzyło się prawdopodobnie kilkanaście do dziś niewyjaśnionych zabójstw. Mamy ich więcej niż pajaków.

– Tym bardziej należy zachować ostrożność.

Do stolika podchodzi kelnerka i oznajmia nam, że rachunek już zapłacono.

– Kto go zapłacił? – pyta skonsternowany Cain.

Kelnerka zagląda do cyfrowego notesu.

– Niestety nie wiem, proszę pana. Tu jest napisane tylko, że rachunek uiszczono.

– Czy mogło dojść do jakiejś pomyłki?

– Możliwe. Ale rachunek został uregulowany.

– Może zostawię pani mój numer telefonu? – proponuję zaniepokojona, że jeśli popełniono błąd, kelnerka być może będzie musiała wyrównać manko. – Gdyby wyniknął jakiś problem, zadzwoniłaby pani do mnie i moglibyśmy go rozwiązać.

Zapisuje numer, ale zapewnia mnie, że to nie będzie konieczne.

– Czasami ludzi robią takie rzeczy. Płacą z góry albo za nieznanego i ten zwyczaj się rozpowszechnia. Na pani miejscu nie martwiłabym się tym.

Tak więc dziękujemy jej, bierzemy nasze płaszcze, zostawiamy hojny napiwek i wychodzimy z powrotem na plac. Zimne powietrze natychmiast mnie ożywia i cieszę się, że mamy powód, by się przejść. Marigold prowadzi nas w kierunku jej mieszkania na Athens Street przy Mass Avenue i przemierzając jasno oświetlone ulice rozmawiamy o tym, że ten blask uniemożliwia dostrzeżenie gwiazd. Opowiadam obojgu o jaskrawo rozgwieżdżonym niebie w zachodniej Australii, pod którym można naprawdę poczuć bezmiar wszechświata. Ogarnia mnie przelotnie tęsknota za ojczystym krajem, gdy przypominam sobie, jak

wpatrywałam się w Krzyż Południa, by na nowo odnaleźć swoje miejsce wśród gwiazd.

Docieramy do eleganckiego starego budynku z drewnianym poszyciem oraz wielkimi wykuszami po obu stronach, upodabniającymi go trochę do kości. To ładna część miasta i wszystkie domy tutaj odznaczają się podobnym urokiem dawno minionego świata. Mieszkanie Marigold mieści się na drugim piętrze. Gdy wchodzimy po schodach, dobiegają nas dźwięki muzyki.

– To na pewno Lucas – mówi Marigold.

– Lucas?

– Mój współlokator. Chodźcie, przedstawię was.

Otwiera kluczem drzwi i zaprasza nas gestem do mieszkania, które pulsuje heavymetalową muzyką odtwarzaną z głośnością chyba tysiąca decybeli. Wchodzimy do salonu, którego wystrój utrzymany jest w niekonwencjonalnym miejskim stylu. Zniszczone skórzane sofy, przy jednej ze ścian rząd czegoś, co przypomina schowki na bagaż, olbrzymi telewizor nad gzymsem kominka, którego misterne, kunsztownie wykonane detale kontrastują z industrialnym otoczeniem. Marigold bierze pilot z poręczy sofy i wyłącza muzykę.

– Hej, co, do diabła... – protestuje mężczyzna, który wyłania się z jednego z pokoi.

Jest wielki, co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Długie włosy splecione w dredy, kolczyki wkłute w różne części ciała. Ma na sobie tylko bokserki.

Przez chwilę w milczeniu wpatrujemy się w siebie nawzajem.

Potem Marigold jęczy:

– Chryste Pe, Lucas, włóż przynajmniej jakieś spodnie.

– Nie z naszego powodu – rzucam szybko. – To znaczy już wychodzimy... chcieliśmy tylko zobaczyć mieszkanie Marigold.

Lucas kiwa głową – w geście powitania albo może zgody na to, że nie włoży spodni.

Marigold przewraca oczami.

– To Lucas, mój współlokator. Lucas, to moi przyjaciele, Cain i Freddie.

– Miło – burczy Lucas. Przygląda się torbie z jedzeniem na wynos. – Co tak długo? Konam z głodu.

Marigold podaje mu torbę.

– Więc bierz. I nie zapomnij wyrazić wdzięczności.

Lucas się uśmiecha.

– Jesteś naprawdę zabawna, Anastas. – Mina mu rzednie. – Jest zimne!

– Powrót do domu zajął mi trochę więcej czasu, niż się spodziewałam. – Marigold marszczy nos. – Zimne też będzie smaczne.

– Nie jesteśmy dzikusami – mruczy Lucas. – Podgrzeję to. A ty lepiej nakryj do stołu.

– To mogła być aluzja, żebyśmy wyszli – szepcze Cain.

Życzymy Marigold dobrej nocy i niepewnie wołamy „do widzenia” Lucasowi krzątającemu się w kuchni.

– Na pewno nie chcecie zostać i czegoś zjeść? – pyta Marigold.

– Dopiero co skończyliśmy kolację – przypomina jej Cain. Zniża głos. – Jeśli nie zatrzymujesz nas dlatego, że Lucas jest niebezpieczny... w co mógłbym z łatwością uwierzyć... to lepiej już pójdziemy.

Marigold się uśmiecha.

– On nie potrafi się nawet ubrać. Jest niegroźny.

Machamy jej na pożegnanie ze schodów i wychodzimy na wieczorne powietrze. Przez chwilę idziemy powoli w milczeniu.

– Wiedziałaś, że Marigold ma współlokatora? – pyta w końcu Cain.

– Nie, nigdy o nim nie wspomniała.

– Czy myślisz, że oni są...

– Jasne, że nie.

– Bo ona kocha się w Whicie?

– Tak.

Patrzy na mnie.

– Jak sądzisz, dlaczego tak się w nim zadurzyła?

Zastanawiam się nad tym.

– Nie wiem. Chyba sama to powiedziała... że serce nie służy. – Wzruszam ramionami. – A Whit ma chłopięcy urok.

Cain śmieje się cicho.

– Czy to z powodu aspektu płci, czy chłopięcości zmarszczyłaś nos, wypowiadając to słowo?

– Jak mogłeś w ogóle zobaczyć, co robi mój nos? – pytam, bo przecież jest ciemno.

– Usłyszałem to w twoim głosie.

– Naprawdę lubię Whita – odpowiadam wymijająco. – Ale on ma w sobie sporo z urwisa.

– I to cię wkurza?

– Nie, wcale. Tylko trochę mnie dziwi, że Marigold tak bardzo pociąga ta jego cecha.

– Myślisz, że Marigold przypadkiem weszła do restauracji U Jake'a?

– A ty nie?

Cain nie odpowiada, tylko klnie i puszcza się biegiem, gdy zbliżamy się do jeepa.

– Hej, co ty wyprawiasz? – woła.

Jakiś mężczyzna pochyła się tuż nad tyłem jeepa. Jest wysoki, nosi wełnianą czapkę naciągniętą na czoło i śmierdzi.

Cain przystaje.

– Boo?

Mężczyzna się prostuje.

– Rozpoznałem twój wóz. Pomyślałem, że to gruchot Abła.

– Boo, co ty tu robisz?

– Wygląda na to, że ktoś wbił nóż w twoją oponę. Duży nóż. Może nawet nim obrócił.



Droga Hannah!

Oczywiście, że Marigold miałaaby w mieszkaniu nagiego mężczyznę! Z każdym rozdziałem coraz bardziej się w niej zakochuję!

Wprowadzenie tajemniczego dobroczyńcy w restauracji było mistrzowskim posunięciem. Może ich śledził, a może ten incydent nie miał żadnego znaczenia. To niepokojący wątek, jednak nie dominuje narracji.

Wydaje mi się, że wyraz „poszycie” jest australijski. Nie przychodzi mi do głowy żaden amerykański odpowiednik. To słowo nie występuje w naszych dialogach, jednak prawdopodobnie by uszło albo mogłabyś po prostu zastąpić je określeniem „obłożony deskami”.

Zrobiłem sobie dziś maseczkę ochronną. Anonimowo czarną. Wiem, że modne jest umieszczanie na tkaninie jakiegoś przekazu, ale nie mam ochoty zwracać na siebie uwagi. Być może właśnie tak brzmi mój przekaz. Jestem nikim i każdym.

Nie będę Ci już więcej mówił, żebyś była bezpieczna, gdyż bycie bezpiecznym nie prowadzi do powstania wielkiej literatury. Zatem podejmuj ryzyko, moja przyjaciółko!

Twój

Leo

## Rozdział czternasty

Cain podchodzi bliżej i przygląda się oponie. Boo wybucha gniewem, popycha go mocno na bok samochodu i przygwaźdza do karoserii.

Chcę pomóc, ale Cain daje mi znak, żebym się nie ruszała.

– Abel, ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie zachodził człowieka z lewej! Mordercy atakują z lewej strony. Nie zawsze będę w pobliżu, żeby cię chronić.

– Wybacz, Boo – mówi spokojnie Cain. – Zapomniałem. Skupiałem się tylko na tym, żeby obejrzeć tę oponę.

– Jest porżnięta, a jeśli znowu podejdziesz z lewej, ty też taki będziesz, rozumiesz?

– Tak, rozumiem. Przepraszam.

– Masz jakieś pieniądze? Jestem głodny.

– Puść mnie.

Boo się cofa.

Cain wyjmuję z portfela banknot i podaje mu.

– Spotkamy się jutro w bibliotece, dobrze?

– Na zewnątrz. Już nigdy więcej tam nie wejdę – mówi Boo.

Ścisną banknot w pięści i odchodzi.

Spoglądam za nim przestraszona i zdezorientowana, a potem kieruję uwagę na Caina, który stoi w swobodnej pozie z rękami w kieszeniach, jakby bycie

zaatakowanym przez potężnego śmierdzącego mężczyznę było czymś najzwyklejszym w świecie.

– Boże, Cain, czy nic ci się...

– Nic mi nie jest. Boo ma parę dziwactw.

– To twój przyjaciel?

– Był przyjacielem Isaaca. Odszukałem go, kiedy tu wróciłem. Myślałem, że mógłby powiedzieć mi coś o jego śmierci.

– I on pociął ci oponę?

– Tego nie powiedział. Ale ktoś to zrobił.

Cain zdejmuje płaszcz i podwija rękawy.

– Kto inny mógłby ci ją pociąć?

– Kto wie? – Kopie oponę i wyjmuje z kufra samochodu lewarek. – Pijacy, szczeniaki, jakiś kretyn, który nie lubi jeepów. – Wypuszcza powietrze z płuc. – Albo to mógł być Boo. Nie umiem ci powiedzieć.

Otwieram drzwi i wrzucam nasze płaszcze na tylne siedzenie, żebym mogła pomóc, ale jestem w spódnicy, więc tak naprawdę tylko stoję tam, trzymając nakrętki kół, które Cain mi podaje, i obserwuję otoczenie, na wypadek gdyby Boo wrócił. Właściwie mogłabym z powrotem włożyć płaszcz, gdyż zdjęcie go nie miało żadnego sensu i było tylko gestem solidarności, jednak i tak już jestem zakłopotana tym, że nie okazuję się zbyt pomocna, więc dzielnie znoszę zimno. Do czasu, gdy koło zostaje zmienione, Cain jest rozgrzany od wysiłku, a ja dygocę.

– Co się stało z twoim płaszczem? – pyta, gdy chowa lewarek i klucz do kół z powrotem do kufra i wyciera ręce ze smaru w coś, co przypomina starą bandanę. – Wyglądasz na przemarzniętą.

Biorę płaszcz z tylnego siedzenia i wkładam go, a gdy już siedzę w samochodzie, Cain kładzie mi na kolanach swój płaszcz.

– Freddie, przepraszam za to wszystko. Mam niemal pewność, że Boo jest nieszkodliwy. Po prostu w tej chwili jest na mnie zły.

– Dlaczego?

– Obwinia mnie o śmierć Isaaca. – Cain pociera szczękę. – On nie... Isaac zwykł nazywać go udęczonym.

– Nic ci się nie stało? – pytam łagodnie. – Niemal wbił cię w drzwi.

Cain szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Daj spokój, po prostu pozwoliłem mu zwyciężyć.

– Cain...

– Naprawdę nic mi nie jest, Freddie.

– Spotkasz się z nim w bibliotece?

Uruchamia silnik jeepa i włącza ogrzewanie.

– Boo sypia w pobliżu biblioteki. Czasami siadam na schodach na zewnątrz, a on mnie znajduje... jeśli jest głodny albo chce pogadać.

– O czym rozmawiacie?

– O wszystkim. O śledzących go agentach rządowych, francuskiej mafii, spisku mającym manipulować Amerykanami za pomocą przekazów podprogowych w telewizyjnych reality show... co do tego ostatniego może mieć rację. Ale czasami opowiada mi o Isaacu.

– Wiesz cokolwiek o tym, kim był Isaac, zanim trafił na ulice?

Cain kręci głową.

– Boo mówi, że był kimś ważnym, ale co to znaczy...

– Czy to ma znaczenie dla twojej powieści? – Wsuwam ręce pod płaszcz na kolanach. – Czy zmieniłoby ją to, kim on był?

– Nie, nie zmieniłoby. – Uśmiecha się ledwo zauważalnie. – Nie chodzi już o tę książkę. Po prostu pragnę dowiedzieć się czegoś więcej o Isaacu, o tym, kto mógł go zabić, nawet jeśli to był tylko jakiś inny nieszczęsny zaburzony włóczęga, który chciał jego płaszcz, kanapki czy miejsca na noc gdzieś pod drzwiami.

Ujmuję dłoń Caina. To spontaniczny, nieprzemyślany gest, ale gdy już go wykonałam, właściwie nie mogę tego cofnąć. Tak więc po prostu siedzę, trzymając go za rękę, trochę zszokowana tym, co zrobiłam, i niepewna, jak mam dalej postąpić. Jeśli Cain jest zaskoczony, nie okazuje tego.



– Mam nadzieję, że w przytomniejszym momencie Boo mógłby udzielić mi jakiejś wskazówki dotyczącej Isaaca... może o jego rodzinie.

– Czy Isaac sam nigdy o niczym nie napomknął?

– Odnosiłem wrażenie, że był z Bostonu, ale chyba nie miałem na to żadnego przekonującego dowodu. Mogło to po prostu wynikać z tego, że czułem się zagubiony, a on orientował się w tutejszych ulicach.

Uderzenie w boczne okno sprawia, że oboje się wzdrzamy. To znowu Boo. Jest wzburzony, gniewny.

Cain opuszcza szybę.

– Boo...

– Czy ona wie? – Mężczyzna wali pięściami w karoserię jeepa, wykrzykując w okno. – Wie, co zrobiłeś? Założę się, że jej nie powiedziałaś. Abel, czy ona wie, co zrobiłeś?

– Boo, uspokój się, człowieku.

– Ty znów to zrobisz. Zapłacił mi, żebym znowu to zrobił... i zrobiłem. Pod zebra i w kierunku kręgosłupa.

– Zostań tutaj – poleca mi cicho Cain, po czym podnosi szybę i zamierza wysiąść z samochodu.

– Cain...

– Nic mi nie będzie. Muszę go tylko uspokoić. Ale nie wychodź.

Otwiera drzwi, odpychając nimi Boo do tyłu, wysiada i zatrząskuje je. Odchodzi od samochodu, a mężczyzna podąża za nim, wciąż wrzeszcząc i gestykulując. Widzę ich w świetle przednich reflektorów i chociaż już nie mogę słyszeć, co mówią, jasne jest, że się kłócą. Boo wskazuje na mnie. Cain coś mu wręcza. Boo bierze to, a potem nagle zamachuje się i uderza Caina w bok głowy. Cain upada.

Chwytam telefon, żeby zadzwonić na policję, a gdy wyskakuję z samochodu, Boo podnosi na mnie wzrok. Przez chwilę jestem pewna, że zaraz ruszy na mnie.

– Nie wiesz, co on zrobił! – mówi zapalczywie. – Ja to widziałem. Nie mogłem temu zapobiec, ale zawsze przychodzi zdemaskowanie... kara.

Idę powoli w kierunku Caina, a Boo odwraca się i ucieka.

– Cain?

Przyklękam obok niego. Dopiero wtedy dostrzegam rozbite szkło i krew z boku głowy Caina, a on jęczy i dotyka rany ciętej nad skronią. Wybieram numer alarmowy, żeby wezwać karetkę, a jednocześnie staram się mówić do niego. Chyba nie powinnam pozwolić, żeby stracił przytomność. Popkulturowa wiedza medyczna. Każdy, kto kiedykolwiek oglądał telewizję, wie, że koniecznie trzeba utrzymać ranną osobę w przytomności.

– Cain, odezwij się do mnie!

– Do kogo dzwonisz? – pyta.

Unosi się powoli do pozycji siedzącej. Wciąż jest oszołomiony i dość obficie krwawi.

– Po karetkę... policję...

– Nie rób tego.

– Ty krwawisz.

– Naprawdę, Freddie, nie dzwoń.

Podnosi cię chwiejnie na nogi.

Zapominam o dzwonieniu dokądkolwiek, gdyż chcę mu pomóc. Opiera ciężko rękę na moim ramieniu, ale stoi.

– On nie wróci – mówi, gdy wypatruję Boo.

– Powiedziałeś, że nie jest niebezpieczny – mamroczę, kiedy wracamy do jeepa.

Sadzam Caina na fotelu pasażera. Protestuje słabo.

– W tym stanie nie możesz prowadzić.

– W schowku są jakieś ściereczki – mówi, usiłując zatamować dłonią krwawienie.

Zaglądam tam i widzę kłęb szmat, którymi niewątpliwie czyścił jeepa.

– Nie można ich użyć, Cain, są całe w smarze. – Szperam w swojej torebce i znajduję niemal pełne opakowanie chusteczek higienicznych. – Możesz na chwilę odsunąć rękę?

Robi to, o co proszę. Rana ma około pięciu centymetrów długości i jest tak głęboka, że na sam widok dostaję zawrotu głowy. Przykładam do niej plik chusteczek i polecam Cainowi, żeby je przycisnął.

– Myślę, że będą potrzebne szwy.

Krzywi się.

– Rano pójdę do lekarza.

Zatrząskuję drzwi od strony pasażera, obiegam maskę samochodu i siadam za kierownicą.

– Chyba powinnam zawieźć cię na oddział pomocy doraźnej.

– Mam w domu apteczkę... Dobrze się czujesz?

– To ty krwawisz.

Niemal się uśmiecha.

– Wyraźnie nie lubisz widoku krwi.

– Nie takiej ilości krwi. – Sięgam i zapinam jego pasy bezpieczeństwa. – Naprawdę uważam, że powinnam zawieźć cię do szpitala.

– Freddie, nie mam ubezpieczenia. Uwierz mi, sytuacja nie jest na tyle poważna, bym musiał pojechać na oddział pomocy doraźnej, a później zbankrutował.

– Och.

Stypendium Sinclaira obejmuje ubezpieczenie medyczne, więc jestem rozpaczliwą ignorantką w zakresie sposobu funkcjonowania amerykańskiego systemu opieki zdrowotnej, jednak australijskich podróżnych od dawna ostrzegano o niebezpieczeństwie wjechania do Stanów Zjednoczonych bez takiego ubezpieczenia. Wrzucam bieg i zanim ruszam, na moment zamykam oczy, by wyobrazić sobie jazdę po przeciwnej stronie jezdni.

– Zabieram cię z powrotem do mnie, żebyśmy przynajmniej mogli się zorientować, jak groźna jest ta rana.

Cain nie odpowiada, jednak nadal jest przytomny. Sprawdzam to – teraz i jeszcze kilkakrotnie w drodze do Carrington Square.

Gdy wchodzimy do holu z posadzką w szachownicę, Joe podnosi wzrok znad kontuaru. Odkłada książkę i wstaje.

– Zadzwońię po karetkę...

– Nie trzeba, Joe. – Spoglądam podejrzliwie na Caina, który jednak pomimo utraty krwi wydaje się pewnie stać na nogach. – Pan McLeod utrzymuje, że nie jest tak źle.

– No dobrze. – Joe patrzy na niego i kręci głową. – Proszę mnie zawiadomić, gdyby zmieniła pani zdanie.

Kiedy otwieram moje drzwi, Leo akurat wychodzi ze swojego mieszkania. Wygląda na zaskoczonego. Zanim może cokolwiek powiedzieć, wymawiam bezgłośnie: „Wszystko gra”. Przez chwilę się waha. Uśmiecham się, by go uspokoić, nie tłumacząc, co się stało, gdyż przypuszczam, że wyjaśnienie nie byłoby zbyt uspokajające.

Sadam Caina na stołku w kuchni i przynoszę kilka ręczników, żeby zastąpić nimi chusteczki, które już dawno nasiąkły krwią i rozmiękły. Wydaje się, że krwotok trochę się zmniejszył. Wyjmuję spod zlewu apteczkę i po raz pierwszy sprawdzam jej zawartość.

– Czy jest tam paracetamol? – pyta Cain.

– Tak.

– Zacznijmy od niego.

Podaję mu słoiczek i przynoszę szklankę wody. Odkłada ręcznik i łyka dwie tabletki, a ja w tym czasie odszukuję środek antyseptyczny i opakowanie pasków taśmy chirurgicznej do zamykania ran. Na szczęście na opakowaniu jest instrukcja.

Uważnie oglądam ranę, sprawdzając, czy nie zostały w niej resztki szkła, ale wydaje się czysta. Cain sztywnieje, gdy nakładam na ranę środek antyseptyczny.

Rozlega się pukanie do drzwi. Otwieram, zamierzając jak najszybciej pozbyć się gościa, kimkolwiek by był. To jedna ze starszych dam z parteru. Trzyma w ręku torbę lekarską.

– Dzień dobry, pani Weinbaum.

– Właściwie doktor Weinbaum, ale od śmierci Jerry’ego nie używam tego tytułu. On zawsze chciał, żebym była po prostu panią Weinbaum. Nie upierał się przy tym, jednak kiedy jest się żoną mężczyzny przez pięćdziesiąt trzy lata, no wiesz... – Uśmiecha się smutno. – Gladys Jackson powiedziała, że widziała, jak wchodziłaś z jakimś dżentelmenem, który mógłby potrzebować zszycia rany.

– Tak... ale...

– No prowadź, obejrzymy go.

Prowadzę ją do kuchni. Cain spogląda na mnie pytająco.

– To jest pani... to doktor Weinbaum – wyjaśniam.

Doktor Weinbaum, jak teraz siebie nazywa, czeka niecierpliwie, aż wreszcie orientuję się, że chce, abym dokończyła prezentację.

– To mój przyjaciel Cain McLeod.

– Przyjrzyjmy ci się, młody człowieku. – Doktor Weinbaum odsuwa mnie na bok, by zbadać zarówno Caina, jak i zawartość apteczki. – Mogłaś użyć pasków taśmy chirurgicznej – mówi z aprobatą – jednak jeśli zszyję ranę, szybciej się zagoi i pozostanie mniejsza blizna. – Uważnie ogląda ranę. – Naprawdę nie można ryzykować oszpecenia takiej twarzy. Lepiej będzie, jeśli użyję szwów. – Wskazuje w kierunku salonu. – Proszę usiąść w tamtym fotelu, panie McLeod. Stołek jest zbyt wysoki. Winifredo, przynieś lampę, żebym dobrze widziała.

Zerkam na Caina. Wzrusza ramionami i robi to, o co go poprosiła. Przynoszę więc lampę i włączam ją do kontaktu w pobliżu fotela. Pani Weinbaum wkłada lateksowe rękawiczki i otwiera zapieczętowany pakiet zawierający sterylną igłę do szwów i nić chirurgiczną. Każe mi trzymać lampę, poleca Cainowi, żeby się nie ruszał, a potem ściąga brzegi rany i ją zszywa. Widzę, że Cain zaciska dłoń na poręczy fotela, lecz poza tym nie można by się zorientować, że ktoś zszywa mu

głowę bez znieczulenia. To trwa zaledwie kilka chwil. Doktor Weinbaum, zawiązując szwy i odcinając ich końce, porusza znów kwestię jogurtu.

– Pomyślałam, Winifredo, że twoim problemem może być nietolerancja laktozy, a w takim razie jogurt nasiliłby objawy. Być może powinnaś z niego zrezygnować.

– Dobrze... spróbuję.

Zdejmuje rękawiczki i umieszcza je wraz z igłą w torebce zamykanej na suwak, którą chowa z powrotem do torby lekarskiej.

– Niech pan stosuje zwykle środki ostrożności: utrzymuje ranę czystą i suchą. Gdyby wystąpiły jakieś problemy, proszę mnie odwiedzić. Winifredo, zaparz mu filiżankę herbaty. A teraz naprawdę muszę już iść.

Zbыва machnięciem ręki nasze podziękowania i rusza do wyjścia, przypominając mi, żebym unikała jogurtu, dopóki nie upewnię się co do nietolerancji laktozy. Zamykam za nią drzwi, wracam do Caina w salonie i siadam naprzeciwko niego na niskim stoliku.

Spogląda na mnie.

– Przypuszczam, że chcesz porozmawiać o tym, co się wydarzyło.



Droga Hannah!

Pewna interesująca kwestia: na ogół w Ameryce mówimy „bagażnik”, a nie „kufer”. Jednak dziwak z Karoliny Północnej mógłby równie dobrze powiedzieć „kufer”, a ponieważ to słowo pojawia się w narracji, nie w dialogu, przypuszczalnie mogłabyś je zostawić.

Dlaczego, u licha, Cain nie jest ubezpieczony? Czy on zwariował? Wiem, że wiele osób pracujących na własny rachunek nie ma ubezpieczenia, ale istnieją stowarzyszenia pisarzy i tym podobne organizacje, które oferują ubezpieczenie. Jak przypuszczam, być może po prostu przez zaniedbanie dopuścił do

wygaśnięcia polisy, cierpi na jakieś wcześniejsze schorzenie, które uniemożliwiło objęcie go ubezpieczeniem medycznym, albo jest bez grosza. Czy próbujesz dać czytelnikowi do zrozumienia, że Cain jest sflukany? Możliwe, że tak. W końcu przecież to pisarz – a większość z nas przez długie okresy życia nie śmierdzi groszem.

Niemniej naprawdę podoba mi się doktor Weinbaum i to ma sens, że w miejscu takim jak Carrington Square mieszka przynajmniej jedna emerytowana lekarka. Z pewnością Boston mógłby obecnie wezwać na pomoc wszystkich lekarzy zdolnych do pracy – emerytowanych czy nie. Nie wypadamy tak źle jak Nowy Jork, jednak zajmujemy całkiem wysoką pozycję w ligowej tabeli pandemii i myślę, że w mieście panuje poczucie nieuchronności śmierci. Oczywiście zamknięto szkoły, a hotel Fairmont Copley Plaza jest ostatnio tak pusty, że z pewnością rozbrzmiewa w nim echo. Mimo to w tych opuszczonych ulicach i miejscach publicznych tkwi jakieś upiorne piękno.

Pisze mi się ostatnio lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Być może moją muzą jest strach.

Twój

Leo

# Rozdział piętnasty

– Jak się czujesz? – pytam.

Szwy założone przez doktor Weinbaum są staranne, rozmieszczone równo na posiniaczonej kanwie twarzy. Siniec pod okiem Caina zaczyna czernieć, a górna część rękawa jego koszuli jest rozdarta w miejscu, którym – jak przypuszczam – szorował o ziemię.

– Szczerze mówiąc, trochę zakłopotany.

– Ponieważ jednak pozwoliłeś Boo zwyciężyć dwa razy w ciągu jednego wieczoru?

Uśmiecha się.

– Czym on cię uderzył, Cain?

– Chyba trzymał w ręku butelkę.

– Zdajesz sobie sprawę, że mógł cię zabić?

– Nawet gdyby, to niezamierzenie, Freddie. Boo atakuje, kiedy jest sfrustrowany albo przestraszony.

– Co według niego zrobiłeś? – pytam, przypominając sobie, jak ten mężczyzna domagał się, żebym się o czymś dowiedziała.

– Nic... wszystko. – Cain się wzdryga. – Powinienem już pójść.

– Masz jakieś zwierzę?

– Zwierzę?

– No wiesz, psa, kota, iguanę...



– Nie.

– Więc nikt nie umrze z głodu, jeśli dzisiejszej nocy nie wrócisz do domu. Możesz spać w moim łóżku. Ja prześpię się na sofie.

– To nie jest konieczne.

– Jest... dla mojego spokoju ducha. – Staram się nie tyranizować Caina, ale zachowuję się stanowczo. – Uważam, że nie powinieneś jeszcze prowadzić samochodu.

– Nie mogę wyrzucić cię z twojego łóżka.

– Na sofie będzie mi doskonale.

– A może ja wezmę sofę?

– Jesteś wyższy ode mnie. Tobie na sofie nie będzie wygodnie.

Udaje mi się osłabić jego opór. Rana sprawia mu większy ból, niż Cain okazuje, i w końcu się poddaje. Wskazuję mu drogę do łazienki i zgodnie z zaleceniem starej lekarki parzę herbatę. Jasne, nie pomoże mu tak jak środek na receptę, jednak wolę zachować ostrożność. Gdyby nie przemiana jednej z moich sąsiadek w doktor Weinbaum, być może jednak nalegałabym na zawiezenie Caina do szpitala.

Zanoszę mu herbatę. Leży już pod kołdrą, jego dżinsy i zakrwawiona koszula są złożone w nogach łóżka. Biorę z nocnego stolika mój laptop.

Jeszcze raz przeprosza za to, że zajął moje miejsce, i za Boo.

– Prawdopodobnie powinniśmy zawiadomić policję. – Rozmawiając z nim, siadam na łóżku. – Boo jest agresywny, porywczy. Może skrzywdzić jeszcze kogoś.

Cain przez chwilę milczy.

– Spróbuję go jutro odszukać. Zobaczę, czy uda mi się go namówić, żeby sam zgłosił się do komisariatu. Może jest jakaś terapia, w której mógłby...

– Co?

– Freddie. – Ujmuje moją dłoń. – To, co się stało, nie było wyłącznie winą Boo. Nie powinienem był dać mu pieniędzy. Należało kupić mu jedzenie, ale byłem z tobą i chciałem tylko, żeby sobie poszedł. Powinienem przewidzieć, że w ciągu

kilku chwil zdobędzie narkotyki. – Przeszywa mnie wzrokiem. – Znam Boo. Teraz gdzieś się ukryje, prześpi i dojdzie do siebie. Jutro go znajdę.

Siedzę tam jeszcze przez jakiś czas, przyglądając się temu pięknemu mężczyźnie w moim łóżku. Wiem, że o czymś mi nie mówi. Nie jestem nim aż tak zauroczona, by tego nie dostrzec. Ale przyjaźnimy się dopiero od niedawna i zapewne nie powiedzieliśmy sobie jeszcze wielu rzeczy.

Siada w łóżku, pochyla się i delikatnie całuje mnie w usta. Tak mnie to zaskakuje, że wpatruję się w niego oniemiała. I prawie na pewno mam ze zdumienia otwarte usta, ale nie jestem w stanie ich zamknąć.

– Dziękuję ci za dzisiejszy wieczór – mówi. – Przykro mi, że trochę się zepsuł.

Opanowuję się.

– Powinieneś się przespać.

Cain wygląda teraz na zdezorientowanego, niepewnego.

– Boże, Freddie, przepraszam. Nie zamierzałem...

– Pocałować mnie? – pytam, usiłując nie wydać się zbyt skonsternowana tą zmianą jego nastroju.

– Wykorzystać tej sytuacji.

Uśmiecham się.

– To ty dostałeś w głowę.

– Chciałem cię pocałować o wiele wcześniej, zanim Boo mnie walnął.

– Naprawdę? – Jestem świadoma tego, że zachowuję się jak naiwna nastolatka o sarnich oczach. Biorę wdech i przypominam samej sobie, że mam dwadzieścia siedem lat. – Cieszę się. I nie mam nic przeciwko temu, co zrobiłeś. Wręcz przeciwnie. Trochę się tylko zaniepokoiłam, że może doznałeś wstrząśnienia mózgu.

Śmieje się.

Och, co tam, do diabła! Teraz ja go całuję. I przedłużamy to nasze podniecające nowe odkrycie. A potem znów wpatruję się w niego, a on we mnie, jakby nasze

spojrzenia były ze sobą splecione. Sprawiam, że czar pryska, gdyż cofam się i wstaję.

– Prześpij się trochę. Ale zawołaj mnie, gdybyś poczuł mdłości albo gdyby ból głowy się nasilił czy gdybyś stracił przytomność.

– Czyż utrata przytomności nie jest istotą snu? Wciąż myślisz, że doznałem wstrząśnienia mózgu?

– Mam nadzieję, że nie. – Biorę z komody moją piżamę i zabieram jego koszulę z nóg łóżka. – Wrzucę ją do pralki, zanim te plamy krwi wnikną w materiał.

Piszę. I tak nie zdołałabym zasnąć. Zbyt wiele mam do przemyślenia, zbyt wiele kłębi się w mojej głowie. Praca pozwala mi zarówno oderwać myśli, jak i się skupić. Wciąż mam przed oczami Boo, jego agresję i gniew. Pamiętam, że Cain coś mu dał. Ciekawe co – więcej pieniędzy? I o czym według Boo powinnam się dowiedzieć? I czy powinnam była pocałować Caina?

W końcu pozwalam sobie na rozmyślanie wyłącznie o Cainie. O jego śmiechu. O dotyku jego ust na moich. I o bliznach na jego klatce piersiowej i plecach – niewyglądających na zwykłe ślady banalnych zabiegów chirurgicznych. Zauważyłam je, ale zmilczałam. Chcę go o nie zapytać, nie wiem jednak, czy ten pocałunek uprawnia mnie do poznania jego historii medycznej. Jestem świadoma tego, że zakochuję się w Cainie McLeodzie. Że zakochiwałam się w nim od tamtego pierwszego dnia w sali czytelników. Wzdrygam się lekko na tę myśl. Naiwna obsesja Marigold na punkcie Whita sprawia, że trochę wstydzę się przyznać do czegoś podobnego. A jednak nie mogę zaprzeczyć, że Cain mnie pociąga, intryguje. Boo nazwał go Ablem – znał go, kiedy był jeszcze Ablem Mannersem. Kain zabił Abła. Czy Cain też to zrobił? Czy unicestwił dawnego siebie? A jeśli tak, to dlaczego? Mogłabym zrozumieć zmianę nazwiska Manners, ale usunął również imię Abel. Myślę o tym, jak by to było nazywać się jakoś inaczej niż Winifreda – bycie Freddie to bycie mną... Lecz może potrafiłabym być kimś

innym... Zawsze podobało mi się imię Madeleine... Może mogłabym stać się Madeleine...

Budzi mnie pukanie do drzwi wejściowych. Patrzę na zegarek. Dziewiąta rano. Moją pierwszą myślą jest, że nie sprawdziłam, co z Cainem. Przecież mógł w nocy umrzeć.

Kolejne pukanie.

Zwlekam się z łóżka i w piżamie otwieram drzwi. Za nimi stoją dwaj dżentelmeni w modnych, dobrze uszytych garniturach, z aktówkami w rękach.

– Dzień dobry. O co chodzi?

– Nazywa się pani Winifreda Kincaid?

– Tak.

– Czy jest tutaj pan McLeod?

Teraz ogarnia mnie niepokój.

– Tak. Kim panowie jesteście?

– Jarod Stills i Liam McKenny z firmy Zackheim i Wspólnicy.

– Jesteście akwizytorami?

– Adwokatami. Chcielibyśmy porozmawiać z panem McLeodem, jeśli to możliwe.

Prawnicy. Być może prawnicy Caina. Kto inny wiedziałby, że jest tutaj.

– Proszę, wejdźcie. Zawołam pana McLeoda.

Wprowadzam ich do salonu i zbieram z sofy prześcieradła i poduszki, starając się nie zastanawiać, co oni sobie o mnie myślą. Wchodzę do sypialni. Cain jeszcze śpi, ale oddycha.

Kładę dłoń na jego ramieniu.

– Cain, obudź się.

Otwiera oczy i się uśmiecha.

– Freddie... cześć.

– Są tu prawnicy i chcą się z tobą zobaczyć – szepczę. – Z kancelarii Zackheim i Wspólnicy.

Patrzy na mnie spod przymrużonych powiek.

– Prawnicy?

– Tak. Czeka ją na sofie w salonie.

Siada w łóżku.

– Skąd wiedzieli, że tu jestem?

– Nie mam pojęcia. Przyniosę ci koszulę z suszarki, a ty w tym czasie włóż resztę.

Nieznacznie kiwa głową.

– Jasne. Powiedziałaś „prawnicy”?

Wbiegam do łazienki, w której znajduje się też pralnia, i wyjmuję z suszarki koszulę Caina. Gdy wracam, jest już w dżinsach i butach. I znów zauważam te blizny – kilka na plecach i jedną pod żebrami.

– Dziękuję – mówi.

Zapina koszulę i wkłada ją w spodnie, a następnie idziemy do salonu. Ja nadal jestem w piżamie, ale nie możemy już dłużej zostawić tam tych dwóch prawników samych.

Wstają i przedstawiają się Cainowi.

– Zostaliśmy wynajęci przez firmę doktora Eliasa Weinbauma, aby niekiedy w razie potrzeby reprezentować panią Irmę Weinbaum – informuje nas Jarod Stills.

Spoglądam na Caina, niepewna, co się dzieje. Wygląda na równie oszołomionego.

– Podobno ubiegłej nocy była tutaj pani Weinbaum i być może udzieliła panu pewnej pomocy.

– Skąd wiecie...

– Dziś rano zadzwonił do nas Joe, tutejszy portier. Nasza klientka wspomniała mu o tym. On rozumie sytuację.

– Jaką sytuację? – pytam. – Doktor Weinbaum zszyła ranę na czole Caina.

Zaraz... czy ci mężczyźni przyszli z rachunkiem za tę usługę?

Liam McKenny wskazuje na szwy.

– Ona to zrobiła?

– Tak.

– Jak pan się czuje, panie McLeod?

– Świetnie. O co tu chodzi, panie McKenny?

Prawnicy wymieniają spojrzenia.

– Mówiąc otwarcie, przyszliśmy zapytać, czy zamierza pan podjąć kroki prawne, i być może przekonać pana, aby zamiast tego poszedł pan na ugodę.

– Podjąć kroki prawne? Dlaczego miałbym to zrobić? Doktor Weinbaum mi pomogła.

Jarod Stills wzdycha.

– Panie McLeod, niestety Irma Weinbaum nie jest ani nigdy nie była lekarką.

– Ale powiedziała... – zaczynam z niedowierzaniem.

– Muszę z ubolewaniem zakomunikować, że nasza klientka od czasu do czasu ulega urojeniu, iż jest przedstawicielką profesji medycznej. Na ogół to nie jest niebezpieczne, jednak ona nie ma wykształcenia ani uprawnień, by zakładać komukolwiek szwy.

– Rozumiem.

– Nasza klientka oczywiście pokryje koszt wszelkich niezbędnych leczniczych zabiegów medycznych będących skutkiem jej dokonanego w dobrej wierze, lecz bezprawnego działania.

Cain odwraca się do mnie z wytrzeszczonymi oczami.

– Leczniczych? Co właściwie ona mi zrobiła?

Czuję, że moje usta krzywią się w uśmiešku.

– Nie chciałam ci tego mówić, ale wyglądasz potwornie.

– Zastanawiałem się, dlaczego zasłoniłaś wszystkie lustra – mówi i chichocze, kiepsko naśladując Jacka Nicholsona w roli Jokera.

Ja też zaczynam się śmiać. Prawnicy wyglądają na skonsternowanych i prawdę mówiąc, wcale się im nie dziwię. Powinniśmy oboje być wstrząśnięci.

McKenny odchrząkuje. Wyjmuje z aktówki jakieś papiery, kładzie je na niskim stoliku i podsuwa Cainowi.

Mój przyjaciel przegląda dokument. Czytam nad jego ramieniem. To formalne zrzeczenie się przez Caina McLeoda podjęcia jakichkolwiek dalszych prawnych działań przeciwko pani Irmie Weinbaum w związku ze wszystkim, co mogła uczynić bądź czego mogła zaniechać w dniu o wymienionej dacie.

Stills podsuwa wizytówkę. Dr Lemarr, adres w śródmieściu i numer telefonu.

– Jak powiedziałem, nasza klientka pokryje wszystkie koszty, w tym wszelkich zabiegów kosmetycznych, jakie mogłyby okazać się potrzebne. Jesteśmy również upoważnieni do zaoferowania panu sumy w wysokości...

– Ma pan pióro, panie McKenny? – pyta Cain i kładzie dokument na stoliku.

Prawnik podaje mu je.

Cain podpisuje dokument.

– Gdziekolwiek wasza klientka nauczyła się robótek ręcznych, wykorzystwała tę umiejętność, by udzielić mi pomocy. Nie mam zamiaru ścigać jej z tego powodu na drodze prawnej.

McKenny z zadowoleniem kiwa głową, ale Stills uznaje za stosowne zauważyć:

– Proszę pana, pani Weinbaum nie ma żadnego wykształcenia medycznego. Właściwie bardzo wątpię, czy kiedykolwiek musiała choćby zacerować skarpetkę.

McKenny rzuca swojemu koledze ponure spojrzenie i zabiera dokumenty, w obawie że Cain mógłby zmienić zdanie.

– Zatrzymam wizytówkę doktora Lemarra, na wypadek gdyby w ranę wdała się infekcja – przyznaje Cain. – Ale myślę, że nic mi nie jest. – Przerywa. – Czy moglibyście panowie powiedzieć mi, gdzie pani Weinbaum zdobyła torbę lekarską, igłę i nić chirurgiczną? To była nić chirurgiczna, prawda?

Jarod Stills zerka na szwy i potwierdza.

– Tak. Przypuszczam, że zakupiła te przedmioty na eBayu.

Cain wybucha śmiechem.

Teraz McKenny też się uśmiecha, ale Stills zachowuje stosownie zatroskaną minę.

– Panie McLeod, będziemy wszyscy o wiele spokojniejsi, jeśli zgodzi się pan, żeby doktor Lemarr pana zbadał bez względu na to, czy w ranę wda się infekcja, czy nie.

– Zapewniam, że tak zrobię, panie Stills. Szwy trzeba będzie kiedyś wyjąć, a ponieważ zakładam, że nie pozwolicie pani Weinbaum na ponowną domową wizytę, będę musiał odwiedzić w tym celu doktora Lemarra.

– Jest pan nadzwyczaj wyrozumiały, panie McLeod – wtrąca McKenny, zanim Stills mógłby udzielić kolejnego ostrzeżenia.

Cain wykorzystuje tę życzliwość.

– Mogę pana zapytać, McKenny, czy urojenia pani Weinbaum dotyczą tylko bycia lekarką?

– Nie jestem pewien, co pan ma na myśli?

– Na przykład czy kiedykolwiek staje się prawniczką?

– Czasami wyobraża sobie, że jest hydrauliczką.

– A czy ma również narzędzia hydrauliczne?

– Owszem.

– Przepychacz? Klucz francuski?

– A także różne szczotki, kłamry i uszczelki.

Cain w zamyśleniu kiwa głową.

– I ludzie pozwalają jej wchodzić do swoich mieszkań i naprawiać rury?

– Rzadziej niż dokonywać zabiegów medycznych. – McKenny spogląda na Stillsa, który jest wyraźnie niezadowolony z jego niedyskrecji dotyczącej pani Weinbaum. – Mogę zapytać, panie McLeod, dlaczego pragnie pan to wiedzieć?

– Ciekawość zawodowa.

– Jest pan psychologiem?

– Pisarzem.

Obaj prawnicy natychmiast sztywnieją.



- Ten dokument, który pan podpisał, zawiera klauzulę poufności.
- Panie Stills, jestem powieściopisarzem, nie reporterem. Wasza klauzula poufności nie zabrania mi wykorzystania waszej klientki jako źródła inspiracji.



Moja droga Hannah!

To jak staroświecki melodramat! Mam ochotę krzyknąć do Freddie: „Spójrz za siebie! W twoim łóżku jest złoczyńca!”

Co się tyczy pani Weinbaum – scena z nią ogromnie mi się podoba! Naprawdę chcę, żeby spróbowała usunąć wyrostek robaczkowy!

Wczoraj wieczorem wybrałem się do pewnej szemranej spelunki, żeby podczas pisania nasiąknąć atmosferą tego miejsca. Dzięki temu poczułem się jak Hemingway. Zamówiłem koktajl mojito i usiadłem przy barze. Szczerze mówiąc, atmosfera okazała się trochę bardziej szemrana, niż się spodziewałem. Doszło do bójki, w trakcie której jeden oprych uderzył drugiego oprycha w głowę butelką piwa. Tamten padł nieprzytomny, a facet wyszedł. Barman wezwał karetkę, podczas gdy inni klienci po prostu dalej pili. Niektórzy z nich mieli maseczki. Nosili je jak bandany – na szyjach albo na czołach. W każdym razie, zrobiłem parę zdjęć głowy tego nieprzytomnego gościa, na wypadek gdybyś chciała bardziej szczegółowo opisać ranę Caina. W ranie tkwiły kawałki szkła. Chyba nie wspomniałaś o tym w Twoim manuskrypcie. Te odłamki odbijały światło i błyszcząły pośród krwi.

W razie gdyby to nie było oczywiste: naprawdę z ogromną przyjemnością obserwuję, jak rozwija się ta historia, i może troszkę w tym pomagam.

Twój

Leo

## Rozdział szesnasty

– Ja pierwsza ją spotkałam! Właściwie znam ją już od kilku tygodni!

– Jeśli dobrze pamiętam, to moją głowę zszyła. Uważam, że to daje mi prawo pierwszeństwa.

– Bzdura! – Wyliczam moje racje: – Ja ją wpuściłam, zabieg został przeprowadzony w moim salonie i trzymałam lampę! Ty tylko tam siedziałeś.

– Zgadza się – przyznaje Cain. – Jestem jej ofiarą. Ofiary mają swoje prawa.

Kontynuujemy kłótnię o to, które z nas opíše panią Weinbaum w swojej powieści, a jednocześnie przyrządzam tosty i kawę.

– A tak naprawdę, to jak się czujesz? – pytam, smarując jego grzanekę masłem orzechowym.

– Świetnie. Trochę boli, gdy marszczę czoło, ale poza tym już prawie zapomniałem o tej ranie.

Znowu ktoś puka do drzwi.

– Kto teraz? – rzucam ze zniecierpliwieniem.

Cain wypija łyk kawy.

– Pani Weinbaum, żeby naprawić ten kapiący kran?

Pukanie się powtarza, a potem słyszymy głos Marigold.

– Freddie, Cain! To ja!

Wpuszczam ją.

– Cześć. Wydało mi się, że przed domem stoi jego jeep... Chryste Pe! –  
wykrzykuje na widok Caina.

Proponuję jej filiżankę kawy.

Siada naprzeciwko Caina i przygląda się jego twarzy.

– Cholera. Co się stało?

– Dostałem butelką w głowę. Jedna z sąsiadek Freddie założyła mi szwy.

– Kto cię uderzył?

– Ktoś, kogo kiedyś znałem. Miał mi coś za złe.

– Zawiadomiłeś policję?

– Jeszcze nie.

– Dlaczego?

– Właściwie nie wiem.

– Prawdopodobnie lepiej tego nie robić, skoro interesuje się tobą FBI.

Podaję jej filiżankę kawy i talerzyk z tostem.

– Skąd się tu wzięłaś?

Mierzy mnie wzrokiem i uśmiecha się.

– Przeszkodziłam w czymś?

– Zaspałam – mamroczę.

Marigold nadal się uśmiecha.

Cain wstaje.

– Lepiej już pójdę. – Bierze kluczyki do samochodu z kuchennej ławy, gdzie  
zostawiłam je ubiegłej nocy, i posyła mi uśmiech. – Oczywiście o ile jesteś  
przekonana, że nie doznałem wstrząśnienia mózgu.

– Wydajesz się być w niezłym stanie, ale przecież nie jestem lekarką.

– Nie, chociaż kręci się tu jedna.

Uśmiecham się, a Marigold chce wiedzieć, o kim mówimy.

– Ty jej powiedz. – Cain muska dłonią moje ramię. To serdeczny gest, być  
może więcej niż tylko przyjacielski. Albo może on wciąż ma nadzieję, że oddam

mu panią Weinbaum. – Muszę już iść.

– A więc? – pyta Marigold po jego wyjściu. – Co się dzieje?

Waham się, bo nie mam pewności, czy mogę jej o tym opowiedzieć. Zaczynam od pociętej opony i mówię Marigold o Boo, jego oskarżeniach i tym, co zrobił.

Słucha z rozdziawionymi ustami.

– O rany! Wsiadłaś z samochodu? Rozum ci odjęło?

– Cain leżał na ziemi. Co innego mogłam zrobić?

– Mogłaś narobić krzyku! Dlaczego nie krzyknęłaś?

– Nie wiem. – Dopiero teraz się nad tym zastanawiam. Dlaczego nie krzyknęłam? – Ja nie krzyczę – mówię w końcu. – Serio, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek krzyczała. Po prostu tego nie robię.

Marigold jest zaintrygowana.

– Nigdy?

– W każdym razie nie pamiętam.

– Ja bez przerwy krzyczę. Ze strachu, radości albo frustracji.

Odchrząkuję i testuję struny głosowe.

– Chyba nie wiem, jak to się robi.

– Mogę udzielić ci kilku lekcji – zapewnia mnie.

Śmieję się.

– Nie jestem pewna, czy potrzebuję właśnie takiej edukacji.

– Jak to? Oczywiście, że tak! – Marigold wydaje się zdumiona moją opinią. – Krzyk jest czymś najbardziej ludzkim i pierwotnym, nieodpartym wezwaniem do udzielenia pomocy, łączącym wszystkich, którzy go słyszą, tak jak połączył nas czworo i Caroline.

Przestaję się śmiać i uśmiecham się z poetyckości przekonania żywionego przez Marigold. Z jej potrzeby, aby połączyła nas jakaś większa siła i sprawa, potrzeby wiary, że nasze spotkanie tamtego pierwszego dnia było czymś więcej niż zwykłym zbiegiem okoliczności. Jestem pisarką, ale to ona szuka w życiu przewodniego tematu i motywu, i urzeka mnie powagą, z jaką postrzega świat.

– Masz rację. Ale czy mogłybyśmy odbywać te lekcje w jakimś bardziej dźwiękoszczelnym miejscu niż to mieszkanie?

Uśmiech Marigold jest cudownie szczery.

– A więc... ty i Cain?

– Nie mogłam pozwolić, żeby z raną głowy pojechał autem do domu. Obawiałam się, że mógł doznać wstrząśnienia mózgu. Wydawało się naturalne, żeby na wszelki wypadek przenocował tutaj.

Przytakuje.

– Cieszę się, że w końcu zabrałaś go do lekarza.

– Właściwie nie.

Opowiadam o pani Weinbaum i jej pomocy oraz o dżentelmanach z kancelarii prawnej Zackheim i Wspólnicy.

– Chryste! Tylko na chwilę spuściłam was dwoje z oczu... – Znow poważnieje. – Wiesz, zebrałam trochę informacji o Isaacu Harmonie.

– Kiedy?

– Zeszłej nocy w internecie. Można tam całkiem sporo znaleźć, jeśli się wie, jak szukać.

– Posłuchaj, Cain chyba wolałby, żebyśmy nie...

– Isaac Harmon był poszukiwany przez policję za morderstwo.

– Co takiego?

– Isaac Harmon był poszukiwany za zamordowanie przed mniej więcej dwudziestoma laty młodej kobiety w stanie Wirginia. Zniknął, zanim policja mogła go aresztować, i pozostawał na liście najbardziej poszukiwanych przestępców w Ameryce, dopóki na brzegu rzeki Charles nie znaleziono ciała bezdomnego mężczyzny, które zidentyfikowano jako zwłoki Isaaca Harmona.

– Znalazłaś to w internecie?

– Względnie łatwo.

– Czyli Cain zapewne już to wie?

– Musi wiedzieć.

– To dobrze.

– Dlaczego?

– Bo nie musimy mu o tym mówić.

– Ale czy nie uważasz za dziwne, że on nie powiedział tego nam?

Nalewam sobie następną filiżankę kawy.

– Jednak opowiedział nam większość tej historii. A bycie poszukiwanym za morderstwo nie oznacza, że jest się winnym.

Marigold już podąża innym tropem.

– Być może ten Boo zabił Isaaca Harmona. O cholera, może wrócił, żeby zamordować Caina! Czy wie, gdzie Cain mieszka?

– O ile się orientuję, nie.

Nagle ogarnia mnie niepokój. Cain zamierzał odszukać Boo. Biorę telefon, żeby do niego zadzwonić, ale przerywam wybieranie numeru. Co miałabym mu powiedzieć, czego jeszcze nie wie? Jak mogłabym zadzwonić i zasugerować, że Boo być może zabił Isaaca Harmona, a teraz poluje na niego? Zabrzmiałoby to absurdalnie. Bo to jest absurd.

Oddycham głęboko i przestrzegam siebie samą, żeby nie zarazić się podekscytowaniem Marigold. Nic z tego, co mówi, nie jest nieprawdziwe ani niemożliwe, jednak ona ma w zwyczaju zapalać się i działać bez chwili zastanowienia, chwytając kierownicę autobusu i wciskać gaz do dechy. Zamiast dzwonić, wysyłam do Caina esemesa: „Bądź ostrożny”.

Niemal natychmiast nadchodzi odpowiedź: „Zawsze jestem”.

I uznaję, że to wystarczy.

Biorę prysznic i ubieram się, podczas gdy Marigold zmywa naczynia w kuchni. Prowadzi ze mną stamtąd rozmowę, wykrzykując ogólne spostrzeżenia dotyczące bieżących spraw, rzeczy, jakie przeczytała o Australii, najnowszych gaf amerykańskiego prezydenta.

– Myślisz, że jest jeszcze za wcześnie, by się dowiedzieć, czy Whit chciałby zjeść z nami lunch? – zastanawia się, gdy wkładam skarpetki. – Już od trzech dni

dochodzi do siebie w domu.

– Chcesz, żebym zadzwoniła do niego i zapytała?

– A mogłabyś?

Nadal jesteśmy w różnych pomieszczeniach, więc uśmiecham się bez obawy, że ją urażę. Marigold w żadnym razie nie jest pokerzystką. W jej głosie wyraźnie słychać ulgę i euforię.

– Sama bym zadzwoniła, ale wiesz, nie chcę, żeby Whit pomyślał...

– Jasne, to byłoby straszne, gdyby Whit miał pomyśleć.

Wracam do kuchni, szukając mojego żółtego szalika. Leży na lodówce. Marigold patrzy na mnie prosząco, z nadzieją.

– Czy mamy przedstawić to jako zaproszenie pod wpływem nagłego impulsu? – pytam. – Mogłybyśmy pójść do jakiegoś lokalu i zatelefonować stamtąd.

– Myślisz, że powinniśmy?

– Wyglądałoby to na bardziej spontaniczne.

Kiwa głową.

– Dobrze.

– Próbowalaś już do niego zadzwonić? – pytam.

– Kilkakrotnie. Za pierwszym razem odebrała jego matka. Powiedziała, że Whit odpoczywa. Później nie mogłam się dodzwonić. Abonent był niedostępny.

Nie odzywam się. Obie wiemy, co to oznacza – jej numer został zablokowany. Mam nadzieję, że przez matkę Whita.

– Znajdźmy jakąś restaurację blisko domu rodziców Whita, żeby mógł się łatwo wymknąć. Jaki tam jest adres? – Wpisuję go i używam aplikacji, żeby wyszukać lokale w pobliżu. – To miejsce wygląda dobrze. Nazywa się Oh My Cod! i znajduje się tylko kilkaset metrów od bramy ich domu.

Postanawiamy dotrzeć do restauracji pieszo, przygotowując się na obfity lunch bez względu na to, czy Whit dołączy do nas, czy nie. Po drodze dyskutujemy o tym, czy gra słów w nazwie lokalu zapowiada pobożność, czy hedonizm. Gdy

przybywamy na miejsce, widzimy, że wystrój świadczy o tym drugim. Restauracja jest urządzona niczym luksusowy burdel – przy każdym stoliku stoją szezlongi i dla zapewnienia prywatności jest zasłonięty kotarą z frędzlami. Kandelabry są w kształcie par splecionych w miłosnych uściskach, z plecami wygiętymi w ekstazie, a menu nosi nazwę „Wybór afrodyzjaków”.

Dostaję napadu śmiechu, Marigold też. Dzięki bogom za te szezlongi i kotary, bo w końcu turlamy się obie ze śmiechu jak dzieci. Być może nie jest to tutaj niezwykłą reakcją, gdyż kelnerzy dają nam czas, żebyśmy trochę się uspokoiły, zanim zerkają za kotarę i przyjmują nasze zamówienie na napoje. Obie prosimy o koktajl Ambrozja Dziewicy.

– Chryste Pe! – szepcze Marigold, gdy kotara zasuwają się za kelnerem odzianym w skórzany strój. – Zaprosimy Whita na lunch w sex shopie!

– Jesteś pewna, że nadal powinnyśmy...

– Tak. Nie możemy teraz stchórzyć.

Wybieram numer Whita.

Odbiera.

– Freddie! Zaczynałem myśleć, że o mnie zapomnieliście.

Wystosowuję zaproszenie i mówię mu, gdzie jesteśmy.

Najwyraźniej zna to miejsce, gdyż śmieje się głośno i długo.

– Przestań, bo od śmiechu znów pęknie ci szew – ostrzegam zaniepokojona, że rzeczywiście mogłoby się tak stać. – Możesz przyjść?

Znów wybucha śmiechem, a ja się wzdrygam, gdy zdaję sobie sprawę, co przed chwilą powiedziałam.

– Będę za jakieś dwadzieścia minut – obiecuje.

Pijemy nasze Ambrozje Dziewicy i zabawiamy się odczytywaniem pozycji z menu. To głupie, ale takie nonsensowne dziecinne zachowanie przynosi nam ulgę i pociechę.

Whit wyłania się zza kotary i przygląda się nam z rozbawieniem.



– Nie musiałem pytać, przy którym stoliku siedzicie. Po prostu poszedłem w kierunku waszych pisków.

– Whit! – Marigold wstaje. – Jak się masz? Tak się o ciebie niepokoiłiśmy!

– Właśnie słyszałem wasz niepokój.

Siada obok Marigold, przywołuje kelnera i zamawia koktajl Zakazany Owoc, nawet nie zaglądając do karty napojów.

– Już tu kiedyś byłeś – mówię oskarżycielskim tonem.

– Oczywiście. Wszystkie wyluzowane dzieciaki kiedyś często tu wpadały. Jadło się wspaniałego smażonego dorsza w sosie pieprzowym. To danie nosi nazwę Wielokrotny Orgazm. Powinnyście spróbować.

Wzruszam ramionami.

– Jestem wegetarianką.

Marigold uznaje tę nazwę za przezabawną.

Jakoś udaje się nam zamówić coś z tego śmiesznego menu. Wkrótce jemy zaskakująco przyzwoite potrawy, siedząc w tej odgradzonej aksamitem enklawie. Whit uskarża się na matkę, na izolację, jaką zarządziła.

– Ona czuje się osobiście... nie, zawodowo... urażona przez tego kogoś, kto mnie dźgnął. Można by pomyśleć, że przegrała sprawę w sądzie czy coś w tym rodzaju.

– Prawie straciła syna – przypominam mu. – Nie bądź wobec niej taki krytyczny.

– Mama pracuje dziś w sądzie. Przekazała zadanie pilnowania mojego więzienia tacie, który jest trochę rozsądniejszy... i może troszkę pijany.

Marigold unosi kieliszek.

– Za twojego tatę!

– Gdzie Cain? – pyta Whit, trącając się z nią. – Czyżby wzgardził tym wspaniałym lokalem?

Marigold mówi mi o wydarzeniach wczorajszego wieczoru, o których wcześniej jej opowiedziałam.

Whit jest wstrząśnięty – być może nawet nadmiernie jak na kogoś, kto niedawno sam został pchnięty nożem.

– Coś takiego! Kim był ten gość? Powiedziałaś, że miał na imię Boo?

– Cain tak go nazywał – mówię. – Przypuszczam, że to jakaś ksywka.

– I tak po prostu podszedł i uderzył Caina w głowę butelką?

– Nie od razu. Wrócił i Cain próbował z nim porozmawiać, a on go walnął.

– I co potem zrobił?

– Boo czy Cain? Boo uciekł...

– Więc teraz Cain stara się go odszukać? Rany! – Whit kręci głową. – Chce stracić życie?

– To nawet jeszcze nie połowa tej historii! – mówi Marigold i oznajmia, czego dowiedziała się w internecie o Isaacu Harmonie.

– On był mordercą? – Whit unosi brew. – I Cain o tym wiedział?

– Był poszukiwany za morderstwo. To nie to samo – oponuję. Ta rozmowa sprawia, że czuję się poniekąd niełojalna. – Wątpię, czy Cain wiedział, gdy po raz pierwszy się z nim zetknął. Skąd miałby wiedzieć?

– Ale teraz by wiedział?

– Chyba że nie potrafi szperać w internecie tak dobrze jak Marigold.

– Prawdopodobnie nie potrafi – mówi dziewczyna tonem raczej refleksyjnym niż zadufanym. – Ale znalazłby tę informację.

– Może powinniśmy odszukać Caina – proponuje Whit. – Wygląda na to, że mógł wpaść w kłopoty.

– W kłopoty?

– Zadaje się z ćpunami i...

– Zaraz! – powstrzymuję Whita, zanim zanadto się zagalopuje. – Cain się z nimi nie zadaje... a nawet gdyby, przecież jest dorosły.

– Ale on najwyraźniej... – Whit urywa nagle, wytrzeszcza oczy i dławi się.

Marigold nalewa mu szklanek wody.

– Whit? Co się stało?

Chłopak bije się w pierś i odchrząkuje.

– Prawie powiedziałem: „Cain nie wie, co jest dla niego dobre”. Oficjalnie stałem się moją mamą. Lepiej coś sobie golnę.

Wzywa kelnera i zamawia koktajl o nazwie Stosunki Cieleśne, z trójkątnym kawałkiem limonki.

– Czy ani trochę nie martwisz się o Caina? – pyta mnie Marigold, podczas gdy Whit leczy się alkoholem z chwilowego opętania swoją matką.

Martwię się. Martwię się, odkąd wyszedł odszukać Boo. Martwię się, że może go znaleźć będącego nadal na haju czy niepoczytalnego, albo jedno i drugie. Martwię się, że być może powinniśmy poważniej potraktować radę prawnika pani Weinbaum dotyczącą wizyty u lekarza. Ale oprócz powiadomienia policji każde z nas niewiele może zrobić.

– Freddie?

– Nie, nie martwię się.



Droga Hannah!

Bardzo mi się podoba, że Marigold sprawdza, czy samochód jest zaparkowany przed domem. Ja tak robię. Obecnie tylu ludzi udaje, że tak nie postępuje.

Wielka szkoda, że restauracja Oh My Cod! jest wytworem twojej wyobraźni. Zjadłbym tam kolację dziś wieczorem! Właściwie kiedy ta książka stanie się bestsellerem, nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś otworzył lokal o podobnym profilu!

Jeszcze nie całkiem rozstrzygnąłem, czy Whit jest wytrawnym podrywaczem, czy kompletnym durniem. Ma problemy z mamusią, choć trzeba uczciwie przyznać, że jego matka rzeczywiście sprawia wrażenie smoczycy. I chociaż nie wygląda, by chciał nawiązać relację erotyczną z Marigold czy Freddie, jest w nim rodzaj seksualnej pewności siebie, która budzi moje zaciekawienie.

Dołączam plan śródmieścia Bostonu i okolicznych rejonów. Zaznaczyłem na nim alejki i skwery ukryte przed wzrokiem przechodniów, gdzie można by

dokonać zabójstwa bez ryzyka natknięcia się na niepożądanych świadków. Pomyślałem, że ponieważ Cain jest „na swobodzie”, mógłby to być dobry moment na znalezienie następnych zwłok.

W końcu zdołałem się zmusić do ponownego przejrzenia dzieła bez poczucia, że pęka mi serce. I widzę sceny, które mógłbym złagodzić, oraz fragmenty, które można by wyciąć. Które powinno się wyciąć. Być może pora, abym znów naostrzył mój nóż.

Twój

Leo

# Rozdział siedemnasty

Wieczorem dzwoni Cain. Sprawia wrażenie znużonego, ale mnie zalewa fala ulgi.

– Gdzie jesteś? Jak się czujesz?

– Świetnie. Robótka ręczna pani Weinbaum trzyma.

– Mimo to chyba powinienesz był się przebadać.

– Odwiedzę jej lekarza, gdy trzeba będzie zdjąć szwy.

– Jadłeś coś? – Zerkam na zegarek. Jest dopiero wpół do ósmej. – Chcesz do mnie przyjechać? Mogłabym coś ugotować... chyba – dorzucam, lustrując wzrokiem spiżarnię w poszukiwaniu czegoś, co nadałoby się na posiłek.

– Bardzo bym chciał, Freddie, ale mam jeszcze trochę pracy... i jestem wykończony. Przełożymy to na kiedy indziej?

– Jasne. – Odczuwam zarówno rozczarowanie, jak i lekką ulgę, że nie muszę zrealizować mojej propozycji przyrządzenia kolacji. – Na pewno wszystko u ciebie w porządku?

– Tak. Jestem tylko sfrustrowany. Nie udało mi się znaleźć Boo. Ulotnił się jak kamfora. Przypuszczalnie myśli, że szukam go, żeby się z nim policzyć.

– Czy ma kogoś innego, do kogo mógłby zwrócić się o pomoc?

– Ja o nikim takim nie wiem.

– Cain... – poruszam tę kwestię z wahaniem. – Marigold jednak zebrała trochę informacji o Isaacu Harmonie.

– Tak? – Jego głos natychmiast twardnieje.

Zaczynam myśleć, że chyba nie powinnam była o tym wspominać. Lecz już za późno.

– Dowiedziała się, że Isaac Harmon był poszukiwany za morderstwo popełnione w Wirginii.

Cisza.

– Posłuchaj, Cain, zdaję sobie sprawę, że zapewne już o tym wiesz. Pomyślałam po prostu, że powinienes się dowiedzieć, że my też wiemy.

Słyszę jego wydech.

– Tak, wiedziałem. Policja powiedziała mi o tym po jego śmierci.

– Doskonale rozumiem, że to nie nasza sprawa. Ale znasz Marigold. Ona naprawdę chce pomóc. Nie zamierza nikomu zaszkodzić.

– Tak, wiem. – Głos ma wciąż napięty. – Co jeszcze odkryła ta domorośla detektywka?

– Właściwie nic. Snuje teorię, że Boo mógł zabić Isaaca, a teraz wrócił, żeby załatwić ciebie.

Cain się śmieje. Jednak jego śmiech brzmi inaczej niż zwykle. Słysząc w nim gorzką nutę żalu.

– Boo był najlepszym przyjacielem Isaaca. Nigdy by go nie skrzywdził. I to ja poszedłem szukać Boo, a nie odwrotnie.

Nie spieram się.

– Marigold chce ci pomóc – powtarzam tylko. – Przypuszczam, że z powodu stanu, w jakim zobaczyła cię dziś rano.

– Wiem. – Jego głos się odpręża. – Dziwię się jedynie, że nie pomyślała, że zadarłem z mafią.

– No, jeszcze nie pomyślała.

Teraz jego śmiech bardziej przypomina mi ten, który znam.

– Przepraszam, Freddie, że byłem opryskliwy. Wiem, to musi się wydawać dziwne, że nie wspomniałem o tym, iż bohater mojej powieści był poszukiwany przez policję za morderstwo.

Właściwie wcale nie uważam takiego zachowania za dziwne. Ale nie mam okazji mu tego powiedzieć, gdyż mówi dalej.

– Nigdy nie wierzyłem w jego winę, więc nie mam wrażenia, że zatajałem coś ważnego.

– Cain, nie masz obowiązku zwierzać się nikomu z nas ze szczegółów swojego życia ani życia Isaaca.

– Wiem... ale chcę, abyś zrozumiała, że nie próbuję cię oszukać.

– Ty wcale nie...

– Po prostu już jakiś czas temu zostawiłem za sobą tę przeszłość.

– Potrafisz to zrobić?

– Najwyraźniej nie. Przypuszczalnie kuśłem los, pisząc o Isaacu.

– Dobra wiadomość jest taka, że każdy ma przeszłość.

Dwa dni później na brzegu rzeki Charles znaleziono ciało Shauna Jacobsa znanego niektórym jako Boo. Miał poderżnięte gardło. Czytam o tym w czwartkowy ranek w „Boston Globe”. Wybieram numer Caina, ze wzrokiem wciąż wbitym w ten artykuł. Nie odbiera, więc nagrywam mu wiadomość.

– Cain, właśnie przeczytałam o tym w gazecie. Nic ci nie jest? Proszę, zadzwoń do mnie.

Ponownie czytam artykuł, nie bardzo wiedząc, co mam zrobić ani co o tym myśleć. Jestem wstrząśnięta i czuję dziwny żal z powodu śmierci tego człowieka, z którym zetknęłam się jedynie przelotnie. I z jakiegoś powodu, którego nie pojmuję, zaczynam płakać. Fotografia wydrukowana wraz z artykułem to zdjęcie policyjne, zrobione najwidoczniej parę lat temu, gdy Boo został zatrzymany za jakiś występki. Mężczyzna, który stał przy jeepie Caina, wykrzykując oskarżenia, spogląda na mnie teraz z gazety z takim samym wyrazem zagubienia w wytrzeszczonych oczach. I zastanawiam się, czy właśnie tak zmarł – bezgranicznie zdumiony światem, dezorientowany brutalnością jego i swoją.

Próbuję znowu dodzwonić się do Caina i gdy tym razem zostawiam wiadomość, słysząc, że płaczę.

– Cain, proszę, oddzwoni do mnie. Naprawdę muszę z tobą pomówić.

Rozlega się pukanie do drzwi. Otwieram w nadziei, że ujrzę Caina – być może postanowił przyjechać do mnie, jeszcze zanim zadzwoniłam.

To Leo.

– Freddie! Przychodzę nie w porę?

Ocieram twarz rękawem.

– Nie... bynajmniej.

– Wyglądasz na roztrzęsioną. Czy to ma jakiś związek z tym krwawiącym mężczyzną, który był u ciebie parę dni temu?

Odstępuję na bok i machnięciem ręki zapraszam go do mieszkania.

– Wejdz. Napijesz się kawy?

– Tak, proszę pani.

Nalewam mu filiżankę kawy, którą już zaparzyłam, i drugą dla siebie. Już wcześniej zamierzałam wyjaśnić Leo, co zaszło tamtej nocy, jednak ostatnie dni przemknęły mi niepostrzeżenie. Pracowałam intensywnie nad powieścią i nie widywałam nikogo oprócz Marigold, która wynajdywała preteksty, by codziennie do mnie wpadać.

Przy kawie i resztkę wykwintnych czekoladek, które przysłano w tamtym koszu delikatesowym ze smakołykami, opowiadam mu, że tej nocy, kiedy widział mnie z Cainem przed moimi drzwiami, uderzono go butelką w głowę.

– Cholera! Czy to była jakaś bójka w barze? Dlaczego nie zawiozłaś go do szpitala?

– Nie, to nie była bójka w barze. A Cain nie chciał się zgłosić na oddział pomocy doraźnej. Połatała go pani Weinbaum.

Leo się uśmiecha.

– Czy powiedziała ci, że jest lekarką?

– Tak.



– Nie jest, wiesz?

– Już wiem. A skąd ty...?

– W pierwszym tygodniu po przyjeździe do Bostonu próbowałem pogłaskać wiewiórkę. Ugryzła mnie. Pani Weinbaum opatrzyła mi ranę i dopilnowała, żebym nie zaraził się wścieklizną albo dżumą, czy czymkolwiek, co w dzisiejszych czasach przenoszą wiewiórki. Nazajutrz rano odwiedzili mnie jej prawnicy i ofiarowali datek na spłacenie mojego studenckiego kredytu.

– Ona rzeczywiście bardzo dobrze zszyła Cainowi głowę.

– A ja nie zachorowałem na wściekliznę ani na dżumę. – Częstoje się ciasteczkiem z talerza, który postawiłam między nami. – A zatem skoro twój kumpel Cain nie zmarł wskutek szoku septycznego, dlaczego płakałaś?

– Po prostu naszła mnie dziś tęsknota za domem.

To nie jest kompletne kłamstwo. Zbliżające się Święto Dziękczynienia uświadamia mi wyraziście, że jestem tutaj, a nie w domu. Nie żeby Święto Dziękczynienia miało w Australii jakiegokolwiek znaczenie, ale tutejsze zgromadzenia rodzinnych klanów sprawiają, że odczuwam boleśnie nieobecność moich bliskich.

– No cóż, przykro mi to słyszeć. Czy mogę ci jakoś pomóc?

Jego troska budzi we mnie poczucie winy z powodu tego, że co najmniej wyolbrzymiam moją tęsknotę za domem.

– Pomagasz mi. Miło jest mieć sąsiada, z którym można napić się kawy.

Rzuca okiem na dziennik „Boston Globe”, który zostawiłam na ławie kuchennej.

– Czytałaś o tym nieszczęśniku, którego znaleziono martwego nad rzeką? Codziennie rano przebiegam obok tego miejsca. Zastanawiałem się, co się tam stało.

– Widziałeś go?

– Nie, proszę pani. Nie miałbym powodu się zastanawiać, gdybym zobaczył zwłoki. Widziałem tylko policję, taśmę odgradzającą miejsce zbrodni, reporterów.

Przypuszczałem, że chodzi raczej o coś w rodzaju kota na drzewie, dopóki nie przeczytałem gazety.

– Czy spostrzegłeś go któregoś innego ranka? – pytam, podsuwając mu dziennik.

Leo przygląda się uważnie policyjnemu zdjęciu.

– Nie sądzę, by na brzegu rzeki było wiele miejsc, w których w zimie można spędzić noc. Widuję głównie inne osoby uprawiające jogging albo ludzi wyprowadzających psy na spacer. On nie wygląda znajomo. – Mierzy mnie przenikliwym spojrzeniem. – Znałaś go?

– Nie – odpowiadam być może odrobinę za szybko.

– Oczywiście, że nie. Przepraszam, to głupie pytanie.

Śmieję się.

– Właściwie ja pierwsza głupio spytałam.

– W ten weekend wybieram się samochodem do Rockport. Może chciałabyś pojechać?

– Do Rockport?

– To mniej więcej godzina jazdy – mówi takim tonem, jakby się usprawiedliwiał.

– Taka odległość to żaden problem dla Australijki – zapewniam go. – W moim kraju wszystko wydaje się znajdować o co najmniej godzinę jazdy. Ale dlaczego tam jedziesz?

– Żeby zebrać informacje. Umieszczam jedną ze scen mojej powieści przed tamtejszym słynnym domkiem rybackim, pomyślałem więc, że powinienem osobiście go obejrzeć, żeby wiarygodnie oddać szczegóły. No wiesz, autentyczność i tak dalej. – Przebiera w czekoladkach. – Załatwiłem w tym celu samochód. Pomyślałem, że zapytam wszystkich innych mieszkańców domu przebywających na stypendiach, czy chcieliby pojechać. Dzięki temu mógłbym umieścić w moim raporcie dla fundacji wzmiankę o międzyuczelnianej współpracy.

Śmieję się. Leo zawsze myśli strategicznie.

– Sądziłam, że ty i ja jesteśmy tutaj jedynymi stypendystami.

– Nie, jest jeszcze dwoje innych. Z Europy i Afryki.

Jest mi głupio, że o tym nie wiedziałam, że mieszkam tu od dwóch miesięcy i nie natknęłam się na moich współtowarzyszy.

– Jasne, pojedę. Propozycja podróży samochodem, żeby zobaczyć w zimie domek rybacki, jest zbyt absurdalna, by ją odrzucić.

Kiwa głową.

– A więc ustalone.

– Leo, gdzie dokładnie widziałeś tę scenę zbrodni?

– Co... ach, masz na myśli to? – Podnosi gazetę. – Dlaczego pytasz?

– Ponieważ często spaceruję wzdłuż rzeki. Mam wrażenie, że nie powinnam mijać miejsca, w którym umarł jakiś człowiek, i nie wiedzieć ani nie myśleć o tym.

Znajduje w swoim telefonie plan miasta i pokazuje mi punkt na brzegu rzeki w Cambridge.

– Przypuszczam, że to miejsce jeszcze przez jakiś czas będzie ogrodzone taśmą policyjną, myślę więc, że w ciągu najbliższych kilku dni nie mogłabyś przejść obok i go nie zauważyć. – Przygląda mi się w zamyśleniu spod przymrużonych powiek. – Mógłbym ci je pokazać.

– Teraz?

– Pewnie, gdybyś miała ochotę rozprostować nogi. To kilka kilometrów stąd.

Z jakiegoś niejasnego dla mnie powodu się zgadzam. Być może chcę się zorientować, co się dzieje, zderzyć się z rzeczywistością i zaakceptować fakt, że to wszystko wydarza się naprawdę. Caroline, potem Whit, a teraz ta śmierć. Czy to możliwe, że tych wypadków nic nie łączy? Że to przypadkowe incydenty niepowiązane ze sobą? Pragnę, żeby tak było, żeby okazały się tylko przypadkowymi zbieżnościami w niebezpiecznym mieście, ponieważ alternatywna możliwość jest przerażająca.

Wyruszam z Leo. Chociaż przebywa w Bostonie nie dłużej ode mnie, poznał to miasto, uprawiając w nim jogging. Przekraczamy rzekę mostem Harvard Bridge

i idziemy przez tereny parku Magazine Beach. Nawet teraz, w środku dnia, ludzie biegają tu i korzystają z siłowni plenerowych. Park jest piękny, chociaż najwspanialsza część jesieni już dawno minęła. Bezlistne drzewa stoją ciche, stanowiąc surowe tło dla intensywnej aktywności biegaczy i ćwiczących. Nieopodal hangaru dla łodzi policjanci odsuwają ciekawskich gapiów od kawałka plaży odgradzonego policyjną taśmą. Jakaś młoda kobieta z aparatem fotograficznym macha do Lea i przyzywa go. Trzymam się na uboczu i przyglądam się terenowi, gdy Leo biegnie, by z nią porozmawiać. Gawędzą minutę czy dwie, a potem ona powraca do robienia zdjęć, a on do mnie.

– Lauren jest z tabloidu „Rag” – wyjaśnia. – Widocznie teraz przydzielono ją do tej sprawy.

– Caroline Palfrey pracowała dla tej gazety – mówię i przypomnienie sobie tego faktu natychmiast odwraca moją uwagę od sceny zbrodni.

– Gdy byłem tu dziś rano, stał tam jakiś namiot... być może nad ciałem. – Leo wskazuje to miejsce. – Przypuszczam, że ten człowiek albo chciał przespać się w hangarze na łodzie, albo nurt wyrzucił na brzeg jego ciało po tym, jak wrzucono je w górze rzeki. – Odwraca się i patrzy na mnie. – Freddie, na pewno go nie znałaś?

– Kiedyś na niego wpadłam – przyznaję.

– Wpadłaś?

– Byłam z kimś, kto go znał i rozmawiał z nim.

Leo przygląda mi się uważnie.

– Mówisz o tamtej nocy, gdy widziałem cię z Cainem? O Boże, Freddie, czy to ten zmarły facet uderzył Caina butelką?

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem... chyba był pod wpływem narkotyków.

– Zawiadomiłaś o tym policję?

– Nie. Cain nie chciał, żeby aresztowano tego człowieka.

– Nie mam na myśli wtedy, tylko teraz. Freddie, ten mężczyzna został zamordowany. Policja prawdopodobnie usiłuje ustalić, co robił przez ostatnie godziny przed śmiercią.

Wiem, że Leo ma rację. Powinnam zadzwonić na policję i poinformować o tym.

– Po prostu czekam, aż zdołam się skontaktować z Cainem, żebyśmy mogli razem pójść na policję. On będzie w stanie powiedzieć im więcej niż ja.

– Nie możesz skontaktować się z Cainem? – pyta Leo, marszcząc brwi.

– Nie odebrał, kiedy dzwoniłam dziś rano, to wszystko – odpowiadam stanowczo. – Zapewne pracuje i wyłączył telefon.

Leo wzrusza ramionami.

– Albo już rozmawia z policją.

– W takim razie policjanci się ze mną skontaktują.

Milczy chwilę.

– Owszem – przyznaje. Wskazuje mi wózek sprzedawcy precli. – Zaopatrzymy się w zapasy na drogę do domu.

Kupujemy ciepłe precle ociekające musztardą i zjadamy je, wracając do Carrington Square.

– Jeśli jednak zdecydujesz się pójść do komisariatu policji – mówi niemal nieśmiało, gdy zostawia mnie przed moimi drzwiami – bardzo chętnie ci potowarzyszę, żeby udzielić moralnego wsparcia, potwierdzić twoją dobrą reputację... czy czegokolwiek byś potrzebowała.

Strzepuję z klap płaszcz okruszki precla.

– Dziękuję ci, Leo, ale jestem pewna, że wszystko się ułoży. Dowiem się, co Cain robi albo zrobił, a potem postąpię jak trzeba. Boo w ciągu paru dni przed śmiercią niewątpliwie rozmawiał z dziesiątkami ludzi.



Droga Hannah!

Wyczuwam, że moja Marigold jest w niebezpieczeństwie. Zabicie jej niewątpliwie spotęgowałoby atmosferę tragedii i napięcia, jednak niosłoby za sobą ryzyko popadnięcia w banał polegający na tym, że wprowadza się postać ekscentrycznej najlepszej przyjaciółki tylko po to, by ją uśmiercić. Jeśli zamierzasz ją zlikwidować (a będę opłakiwał jej śmierć), postaraj się nie zmarnować okazji zszokowania czytelników grozą tego zabójstwa. Marigold nie powinna umrzeć spokojnie. Na przykład Cain mógłby ją najpierw zgwałcić. Stanowiłoby to przejmujący kontrast z jego pełnym galanterii zachowaniem wobec Freddie. Scena zamordowania Marigold powinna być brutalna i rozbudowana, dziewczyna powinna walczyć i przed śmiercią zadać rany zabójcy. Cain nie może bez szwanku odebrać jej życia, jak to zrobił z Caroline.

Ale co ja piszę? Zapominam, że zwracam się do mistrzyni. Wiem, że stworzysz scenę śmierci Marigold godną tej postaci.

Pojechałem do parku Magazine Beach, żeby zrobić dla Ciebie kilka zdjęć, na wypadek gdybyś chciała bardziej szczegółowo opisać miejsce zbrodni. Tak się złożyło, że na brzegu leżał jakiś nieprzytomny mężczyzna. Jego też sfotografowałem. Być może uznasz, że pomoże Ci to wyobrazić sobie tę scenę. Oczywiście ten człowiek nie był martwy, tylko po prostu spał, żeby dojść do siebie po tym, co wypił albo wziął. Rzecz jasna, później mógł umrzeć wskutek hipotermii.

Muszę wyznać, że ogromnie podoba mi się wycieniowany sposób, w jaki przedstawiasz morderczą furję Caina. W tym człowieku jest jakaś instynktowna powściągliwość, która wydaje się nadzwyczaj ekscytująca!

Twój

Leo

## Rozdział osiemnasty

Marigold i Whit zjawiają się mniej więcej pół godziny przed policją.

Dziewczynie błyszczą oczy i jest podekscytowana. Ma ze sobą tę gazetę.

– To ten twój Boo, prawda? – Wskazuje na artykuł. – Facet, który zaatakował Caina.

Przytakuje.

Whit obejmuje mnie ramieniem.

– Dobrze się czujesz? To musi być dla ciebie spory wstrząs.

– Rzeczywiście jest.

– Co mówi o tym Cain?

– Nie udało mi się z nim skontaktować.

– Jak to? – Marigold marszczy brwi. – Przecież powiedział, że zamierza poszukać tego zmarłego gościa. Nie sądzisz, że... może powinniśmy spróbować znaleźć Caina.

Z pozoru zachowuję spokój.

– Myślę, że zanim zaczniemy panikować, powinniśmy przynajmniej dać mu szansę odebrania telefonu.

– Kiedy ostatnio do niego dzwoniłaś? – pyta Whit.

– Parę godzin temu nagrałam mu ostatnią wiadomość.

– Wiesz, gdzie on mieszka?

– Gdzieś w dzielnicy Roxbury. Nie znam dokładnego adresu.

Brzęczy interkom połączony z portiernią. Odbieram i Joe informuje, że pyta o mnie dwoje policyjnych oficerów śledczych.

– Zejdę na dół.

Wzdrygam się, gdy wyobrażam sobie, co inni mieszkańcy pomyślą o tej wizycie. Przypuszczam, że policjanci przybyli, aby potwierdzić wersję Caina, dotyczącą tamtej nocy sprzed kilku dni, i czuję ulgę, że on nie zaginął, chociaż trochę mnie boli, że nie zadzwonił do mnie, zanim udał się do komisariatu.

Mówię Whitowi i Marigold, żeby się rozgościli.

– To powinno zająć mi tylko kilka minut.

Whit już wsadził głowę do mojej lodówki.

– Zapytaj ich, co zrobili z Cainem.

– Na pewno nie chcesz, żebym zeszła z tobą? – pyta Marigold, idąc za mną do drzwi.

– Chyba nie wolno przyprowadzać przyjaciół na policyjne przesłuchanie.

– A co z Whitem? On studiuje prawo na Harvardzie.

Chłopak wystawia głowę nad drzwiami lodówki, dając do zrozumienia, że chętnie będzie mi towarzyszył.

– To tylko kilka rutynowych pytań, Marigold. Jeśli zacznę przyprowadzać prawników... czy studentów prawa... wypadnę podejrzenie albo co najmniej śmiesznie.

Marigold robi minę.

– Dobrze, ale jeśli nie wrócisz za kwadrans, schodzimy na dół.

Gdy zjawiam się w holu, oficerowie policji stoją przy kontuarze Joego. Zaczynają od machnięcia odznakami i przedstawiają się jako śledczy David Walker i śledcza Justine Dwyer. Walker ma około pięćdziesiątki, jest wysoki, barczysty, z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami i z brodą. Nawet w cywilnym ubraniu wygląda, jakby nosił mundur. Jego partnerka jest brunetką, a jej praktyczny ubiór – kostium i pantofle na niskich obcasach – ma pewien styl. Uśmiecha się na



powitanie, a ja czuję, że węzeł nerwowego skurczu w moim żołądku trochę się rozluźnia.

Jak przypuszczałam, zjawili się tutaj, żeby zapytać mnie o tamtą noc, gdy Cain i ja napotkaliśmy Shauna Jacobsa. Potwierdzam czas i miejsce. Mówię, że widziałam, jak Boo zaatakował Caina, który się nie bronił. Obawiam się, że będą chcieli wiedzieć, kto opatrzył ranę Caina, co oznaczałoby kłopoty dla pani Weinbaum, ale nie chcą. Pytają natomiast, od jak dawna znam Caina, i o charakter naszej relacji.

– Poznałam Caina mniej więcej miesiąc temu w bibliotece. Jesteśmy przyjaciółmi.

– I do kiedy była pani w towarzystwie pana McLeoda po spotkaniu Shauna Jacobsa, panno Kincaid?

– Wyszedł nazajutrz rano około wpół do jedenastej. – Zerkam na Walkera i odczytuję z wyrazu jego twarzy, co o tym myśli. – Nie chciałam, by Cain prowadził samochód, skoro istniało zagrożenie, że mógł doznać wstrząśnienia mózgu, więc został tutaj na noc. Ja spałam na sofie.

Oficer śledcza Dwyer kiwa głową.

– Rozsądna ostrożność.

– Pan McLeod jest szczęściarzem, że ma taką troskliwą przyjaciółkę – mówi szorstko Walker.

– Naprawdę? – rzucam zirytowana.

Zarost nie całkiem kryje uśmiech Walkera.

– Miałam na myśli, że niewiele osób czułoby się swobodnie, gdyby spędzał u nich noc mężczyzna taki jak Cain McLeod, bez względu na to, czy doznał wstrząśnienia mózgu, czy nie.

Przypuszczam, że chce mnie sprowokować, więc nie daję mu tej satysfakcji i nie reaguję.

Walker kontynuuje.

– Chodziło mi o to, że zna go pani zaledwie miesiąc, a ten człowiek odsiedział wyrok siedmiu lat.

– Odsiedział? – pytam skonsternowana.

Dwyer rzuca dyskretne spojrzenie na swojego partnera. Wiem, że oboje obserwują moją reakcję.

– Cain McLeod odbył karę siedmiu lat więzienia za morderstwo.

Czuję wewnątrz chłód, a jednocześnie oblewa mnie żar i czerwienię się.

– Jesteście pewni?

Zadanie takiego pytania policjantom to absurd i nawet nie całkiem wiem, czy rzeczywiście pytałam. Był to raczej wyraz mojego szoku i niedowierzania. A potem przypominam sobie, że Cain zmienił nazwisko. Może to jednak jakieś nieporozumienie.

– Wiecie, że naprawdę nie nazywa się Cain McLeod...

– Tak, wiemy. Po wyjściu z więzienia Abel Manners zmienił imię i nazwisko na Cain McLeod.

– Nie wiedziała pani? – pyta Dwyer niemal współczująco.

Biorę się w garść.

– Ta kwestia nie pojawiła się w naszych rozmowach.

– Uh-hm – mruczy z powątpiewaniem Walker. – A zatem czy chce pani coś zmienić w zeznaniu dotyczącym wieczoru osiemnastego listopada?

Z oddali, spoza wrażenia, że wszystko wokół mnie wiruje, dochodzi do mnie, że oni myślą, iż kłamię, aby chronić Caina, choć nie jestem pewna, w jakiej kwestii.

– Nie. Właśnie to się wydarzyło.

Dwyer wręcza mi swoją wizytówkę.

– Wiem, że trudno pani to wszystko ogarnąć. Będziemy się z panią kontaktować, ale tymczasem gdyby cokolwiek pani sobie przypomiała, proszę po prostu zadzwonić.

Po ich wyjściu stoję w holu przez kilka chwil jak sparaliżowana. Joe pyta, czy dobrze się czuję. Jego głos wyrywa mnie z otępienia.

– Tak, dziękuję, Joe. Oni chcieli tylko zadać mi parę pytań.

– O to, co stało się pani przyjacielowi tamtej nocy kilka dni temu?

– Tak – odpowiadam, przypominając sobie, że widział, jak Cain i ja weszliśmy do budynku.

– Czy kogoś aresztowali?

– Jeszcze nie. – Zmuszam się do uśmiechu. – Pytali cię o tamtą noc?

– Tak, panno Kincaid. Powiedziałem im, że pani i jej przyjaciel weszliście około jedenastej. Że on krwawił, a pani się nim opiekowała. – Joe ścisza głos. – Wspomniałem, że być może pani Weinbaum odwiedziła panią, ale nie powiedziałem po co.

Whit i Marigold sterczą na klatce schodowej tuż nad holem. Wracają ze mną do mieszkania.

– No więc co się stało? – dopytuje się Marigold, gdy zamykam drzwi.

– Nie słyszeliście?

– Nie. Nie udało się nam podsłuchać ani słowa – przyznaje Whit bez cienia wstydu.

Waham się. Nie chcę niczego przed nimi ukrywać, ale gdybym powiedziała im, co wyjawili mi oficerowie śledczy, miałabym wrażenie, że obmawiam Caina za jego plecami. Chcę najpierw porozmawiać z nim.

– Potwierdzają relację Caina o tym, co się wydarzyło, nic więcej.

Marigold marszczy brwi.

– Na pewno? Wyglądasz, jakbyś ujrzała ducha.

Potrząsam głową.

– Po prostu trochę dziwnie jest rozmawiać z policją. Potrzebuję filiżanki herbaty.

– Sprawiasz wrażenie, jakbyś może potrzebowała czegoś mocniejszego – mówi Whit.

– Jeszcze nawet nie ma południa.

Wzdycha.

– Bardzo mnie rozczarowujesz, Freddie.

Marigold nie przestaje mi się przyglądać. Wie, że coś zatajam.

– Freddie, co się dzieje?

Biorę mój telefon.

– Spróbuję się dodzwonić do Caina.

Oboje patrzą, jak wybieram numer. Znów nikt nie odbiera i zostawiam wiadomość.

– Cain, przed chwilą była u mnie policja. Proszę, zadzwoń do mnie.

– Jak myślisz, gdzie on jest? – pyta mnie Marigold.

– Możliwe, że nadal w komisariacie.

– Freddie, co takiego policjanci ci powiedzieli, że jesteś taka wstrząśnięta?

Whit odpowiada za mnie.

– Powiedzieli jej, że Cain siedział w więzieniu. Że jest mordercą.

Obie odwracamy się do niego zdumione.

– Co takiego? – Marigold odzywa się pierwsza. – To nie jest zabawne, Whit.

– Wiedziałaś? – wykrztuszam. – Skąd?

– Powiedział mi jeden z tych facetów z FBI po tym, jak dźgnięto mnie nożem.

Mają jakąś zwariowaną teorię, że Cain zabił Caroline, a później napadł na mnie.

– Kiedy Caroline krzyknęła, siedzieliśmy we czworo naprzeciwko siebie.

– Właśnie dlatego powiedziałem im, że bredzą jak naćpani.

– Nic nam o tym nie wspomniałeś...

– Ty też nie zamierzałaś o tym powiedzieć. – Whit wzrusza ramionami. –

W każdym razie on odsiedział wyrok i odpokutował swoją winę.

Osuwam się na sofę.

– Whit, co dokładnie FBI ci powiedziało?

Wali się na sofę obok mnie.

– Cain został skazany za morderstwo pierwszego stopnia. Odsiedział prawie osiem lat. Wyszedł przed mniej więcej siedmioma laty, zmienił nazwisko i napisał powieść.

– I nie uznałeś, że to coś, o czym Freddie i ja powinniśmy wiedzieć?! – Marigold po szoku wywołanym tą wiadomością doszła już do siebie na tyle, by wrzasnąć na Whita.

Przerywam jej.

– Jeżeli wyszedł siedem lat temu, a odsiedział prawie osiem, musiał być bardzo młody, kiedy to się stało.

– Chyba że okłamał nas co do swojego wieku, tak jak co do wszystkiego innego – mówi Marigold, krzyżując ramiona na piersi.

– Nie wiemy na pewno, czy kiedykolwiek nas okłamał – protestuję.

– Nie powiedział nam ani słowa o więzieniu!

– To nie to samo co kłamstwo. Żadne z nas nie powiedziało wszystkiego o sobie.

Marigold przygląda mi się bacznie.

– Przemilczenie czegoś takiego to poważna sprawa.

– Podobnie jak przyznanie się do tego.

– Freddie ma rację – mówi Whit. – Jeżeli Cain ma trzydziestkę, musiał pójść do więzienia jako szesnastolatek.

– Czy w wieku szesnastu lat w ogóle można trafić do więzienia? – powątpiewa Marigold.

– Za morderstwo można.

– Czyli Cain zabił kogoś, mając szesnaście lat – mówię niemal do siebie.

To wydaje się absurdalne. Z nas wszystkich Cain sprawiał zawsze wrażenie najbardziej rozsądnego i zrównoważonego, najmniej zdolnego do popełnienia zbrodni.

– Ciekawe, czy dlatego uciekł? – zastanawia się Whit.

– Biedny Cain. – Marigold powraca do swojej upartej lojalności. – Freddie, czy policjanci mówili, gdzie on jest? Czy go aresztowali?

– Nie, nie mówili, ale niewątpliwie z nim rozmawiali.

– Więc co zrobimy? – pyta Marigold.

Kręcę głową. Czuję się zdezorientowana i bezradna, doświadczam pustki po czymś, w co wierzyłam, w co powinnam wierzyć.

Marigold sprawdza w swoim telefonie, która godzina.

– Lepiej już odwiozę Whita z powrotem do domu, zanim jego mama się zorientuje, że zniknął.

Odwracam się do niego.

– Nadal?

– Tak – potwierdza z jawną odrazą i wstaje, żeby wyjść. – Na szczęście chodzi codziennie do pracy na kilka godzin, a tata mnie kryje.

– A w ogóle to jak się czujesz? – pytam, zmuszając się, by oderwać myśli od Caina.

Podciąga sweter i T-shirt i pokazuje mi bliznę.

– Dziś rano zdjęli mi ostatnie szwy. W przyszłym tygodniu będę mógł wrócić na siłownię

– Boli cię?

– Nie, już nie.

– No, przynajmniej jakaś dobra wiadomość.

Obejmuje mnie.

– Nie martw się o Caina. Na pewno pojawi się jakieś wyjaśnienie.

– Tego, że poszedł do więzienia?

Whit wkłada kurtkę.

– Nigdy nie wiadomo, Freddie. Nasz Cain może się okazać biblijnym niewinnym Ablem.



Moja droga Hannah!

Cóż za cudowna rewelacja! Teraz staje się jasne, dlaczego Cain zdawał się nie przejmować tym, że Isaac Harmon był poszukiwany za morderstwo. Wspaniale podniosłaś stawkę!

Skoro o tym mowa, wczoraj natknąłem się na następne miejsce zbrodni. Nie wiem, czy to kwestia maseczki i anonimowości, jaką zapewnia, ale poczułem śmiałość i zrobiłem dla ciebie kilka zdjęć trupa. Widocznie znalazłem się tam zaledwie kilka chwil po policji, gdyż nawet jeszcze nie zdążyli odgrodzić tego miejsca taśmą. W każdym razie wyglądało na to, że ofierze częściowo wypruto wnętrzności. Cały ten obszar ciała pokryty był czarną zakrzepłą krwią. Przypuszczam, że ten mężczyzna konał kilka minut, a wnoskując ze smug rozmazanej krwi, szamotał się i walczył. Wiem, że na ogół nie pisujesz takich drastycznych scen, jednak ta powieść być może wymaga trochę więcej realizmu – a ten opis i zdjęcia mogłyby stać się dla ciebie inspiracją.

Będę bacznie wypatrywał kolejnych zbrodni.

Z niecierpliwością wyczekuję Twojego następnego rozdziału.

Twój

Leo



Droga Panno Tigone!

Dziękujemy za skontaktowanie się z władzami w sprawie Pani obaw dotyczących mężczyzny znanego Pani jako Leo Johnson, z którym prowadzi Pani korespondencję i który sukcesywnie komentuje manuskrypt Pani powieści i udziela porad w kwestii jej pisania.

Załączone przez panią zdjęcia, które – jak Pani twierdzi – Leo Johnson przysłał jej wczoraj, istotnie dowodzą niezwykle i niepokojącego dostępu ich autora do rzeczywistej niedawnej ofiary zabójstwa. Według naszych ekspertów z dziedziny medycyny sądowej o tych zwłokach doniesiono policji tuż po tym, jak zostały zrobione te zdjęcia. Przysłane przez Panią wcześniejsze fotografie innych miejsc zbrodni również mają związek z niedawnymi nierozwiązanymi przypadkami zabójstw. Sprawę tę przekazano FBI jako ewentualnie dotyczącą kilku takich przypadków, w których obecnie prowadzimy śledztwo.

Wysłaliśmy naszych agentów w Sydney, którzy razem z naszymi kolegami z Australijskiej Policji Federalnej skontaktują się bezpośrednio z Panią, o ile już tego nie zrobili. Proszę nie komunikować się w żaden sposób z Leo Johnsonem, dopóki nie otrzyma pani naszych instrukcji.

Z poważaniem  
agent specjalny Michael Smith  
Federalne Biuro Śledcze



## KANCELARIA PRAWNA ABERCROMBIE, KENT I WSPÓLNICY

Drogi Panie! / Droga Pani!

Reprezentujemy pannę Hannah Tigone, która skontaktowała się z Wami w sprawie korespondencji z osobą znaną jej jako Leo Johnson.

Zważywszy na to, że domagacie się od panny Tigone udzielenia pomocy przy aresztowaniu Lea Johnsona, którego uważacie za winnego popełnienia pewnej liczby zabójstw w Bostonie i okolicach, w stanie Massachusetts, a być może także w dalszych rejonach, ale o którym posiadacie niewiele informacji albo nie posiadacie żadnych, i mając na uwadze pilną potrzebę określenia warunków współpracy panny Tigone w celu umożliwienia Wam zidentyfikowania i zlokalizowania Leo Johnsona, potwierdzamy zobowiązania i ustalenia będące wynikiem spotkania między Waszymi agentami a naszą klientką.

Panna Tigone będzie kontynuowała korespondencję z Leo Johnsonem w celu ustalenia jego tożsamości i miejsca pobytu, bez ujawnienia, iż jest on podejrzany o jakikolwiek czyn przestępczy. Nasza klientka podejmie próbę uzyskania od Lea Johnsona jego fotografii, jak również rzeczywistego adresu.

W tym celu panna Tigone będzie nadal przysyłała Leo Johnsonowi rozdziały jej manuskryptu, aby nie wzbudzić jego podejrzeń.

Panna Tigone zapewni Waszym agentom natychmiastowy dostęp do wszelkiej tego rodzaju korespondencji.

Panna Tigone powiadomi Was niezwłocznie o wszelkich spostrzeżeniach, jakich mogłaby dokonać dzięki jej kontaktowi z Leo Johnsonem, dotyczących miejsca jego pobytu, prawdziwej tożsamości bądź jakichkolwiek jego przysłych przestępczych czynów albo zamiarów.

Zapewnicie pannie Tigone bezpieczeństwo i zagwarantujecie, że nie poniesie żadnej odpowiedzialności prawnej z powodu jakichkolwiek działań, przestępczych bądź innych, które będą skutkiem kontynuowania przez nią

korespondencji z Leo Johnsonem, bez względu na to, czy działania te zostaną zainicjowane w Australii, czy w Stanach Zjednoczonych.

Dołożycie wszelkich starań, aby zapewnić panie Tigone fizyczne bezpieczeństwo i zachować komercyjną tajemnicę jej manuskryptu.

Z wyrazami szacunku

Peter Kent

Kancelaria prawna Abercrombie, Kent i Wspólnicy

# Rozdział dziewiętnasty

Decyzję, aby nazajutrz wczesnym rankiem powrócić do biblioteki, podejmuję w stanie desperacji i frustracji. Muszę pracować, Cain nadal nie odbiera telefonów, a w mieszkaniu kusi mnie, by ponawiać próby dodzwonienia się do niego i myśleć wyłącznie o nim.

Kiedy sprawy utykają w martwym punkcie, trzeba zmienić otoczenie.

Tak więc wracam do miejsca, w którym wszystko się zaczęło, cofam się do czasu, zanim poznałam Whita, Marigold i Caina, zanim usłyszeliśmy krzyk umierającej kobiety. Rzucam spojrzenie w górę na wspaniałą sufit czytelnicy i zakotwiczam się w tym widoku, zdecydowana uczynić z niego moje wspomnienie tego miejsca.

Lecz z manuskryptu spoglądają na mnie Komiksowy Bohater, Freudystka i Przystojniak. Przede wszystkim Przystojniak. Autobus jest już tak zatłoczony, że nie widzę, kto nim kieruje. Przystojniak siedzi z tyłu, za Shaunem Jacobsem. Może on rzeczywiście jest niewinny, jak mówi Whit. Niesłusznie oskarżony, niesłusznie skazany. Boże, mam nadzieję, że tak! Przypominam sobie, jak się z nim całowałam, i gdy o tym myślę, wierzę bez zastrzeżeń w jego niewinność. A w moim manuskrypcie może być niewinny. Prawdopodobnie nadszedł czas, aby mój Przystojniak oderwał się od swojego pierwowzoru.

A jednak nie jestem jeszcze gotowa porzucić Caina, usunąć go z mojego manuskryptu ani z mojego życia.

W południe wychodzę z biblioteki, gdyż jestem zirytowana i głodna. Nie mam ochoty iść sama do barku Sala Map, więc udaję się na poszukiwanie sprzedawcy precli. Gdy tylko opuszczam budynek, zderzam się z zimnym powietrzem niczym ze ścianą. Najwyraźniej temperatura gwałtownie spadła, kiedy przebywałam w środku. Chmury mają mgliście zieloną barwę.

– Spadnie śnieg.

Odwracam się gwałtownie. To Cain.

– Cześć, Freddie.

Dopiero za drugim razem udaje mi się wydobyć głos.

– Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

– Najpierw zaszedłem do twojego mieszkania, a później cię szukałem. To trzecie miejsce, jakie przyszło mi do głowy.

– Przyszedłeś przed chwilą?

– Nie, zobaczyłem cię w czytelnicy. Czekałem, aż wyjdiesz.

– Dlaczego? Dlaczego po prostu nie wszedłeś?

– Pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać. W środku przecież nie moglibyśmy tego zrobić.

Nie odzywam się.

– Freddie... nie boisz się mnie, prawda?

Nie jestem pewna, co mam odpowiedzieć ani co czuję.

– A powinnam się bać?

Spadają pierwsze płatki śniegu – wielkie, miękkie i wilgotne. Zaczynam dygotać z zimna.

Cain unosi rękę, a potem cofa, nie dotknąwszy mnie. Czuję ulgę i rozczarowanie.

– Może pójdziemy gdzieś na lunch, w jakieś ciepłe miejsce... i publiczne? I będę mógł wyjaśnić.

Kiwam głową.

– Gdzieś blisko. Marznę.

Znajdujemy tanią restaurację na placu Copley i siadamy w boksie. Zamawiamy gorącą czekoladę i naleśniki jak każda inna para. Jemy, pijemy i rozmawiamy o śniegu. Uświadamiam sobie, że pomimo wszystko cieszę się, że jestem z Cainem.

– Wydzwaniałam do ciebie – mówię.

– Policja znów zabrała mój telefon. Wypuścili mnie o północy.

– Aresztowali cię?

– Nie. Trzymali mnie tylko na przesłuchaniu.

– Dlaczego?

– To ja znalazłem ciało Boo.

– I masz do opowiedzenia swoją historię – mówię.

Biorę głęboki wdech. Nie możemy uniknąć rozmowy o tym.

– Kartoteka kryminalna... tak to nazywają. – Przerzywa i spogląda na mnie w milczeniu, jakby usiłował wyczytać coś z mojej twarzy. – Freddie, kiedy miałem piętnaście lat, zabiłem mojego ojczyma.

Zauważam, że w sąsiednim boksie ktoś odwraca ku nam głowę.

Cain czeka, aż to przetrawię.

– Dlaczego? – pytam w końcu.

W jego oczach pojawia się błysk.

– Działiałem w obronie własnej. Nie uwierzono mi, Freddie, ale tak było.

– Czy dlatego uciekłeś z domu?

– Nie. To wydarzyło się po moim powrocie.

– Dlaczego ci nie uwierzono?

– Ojczym był policjantem, a mnie uznano za nieletniego przestępcę.

Teraz już dwie osoby odwracają głowy w naszym kierunku i szeptają między sobą.

Wstaję.

Cain spuszcza wzrok i wzdycha.

– Rozumiem...

Nachylam się do niego nad stolikiem i szepczę:

– Wróćmy do mojego mieszkania. Będziemy tam mogli swobodnie porozmawiać niepodsluchiwani.

Wygląda na zaskoczonego.

– Jesteś pewna?

– Nie pytaj mnie o to. Po prostu chodź.

Joe otwiera drzwi do holu domu Carrington Square i zaprasza nas do środka.

– Panno Kincaid, kiedy pani wyszła, zastanawiałem się, czy nie złapie pani ta burza śnieżna. Cieszę się, że pan McLeod panią znalazł.

Podaje mi pudełko z wyrobami cukierniczymi, które podobno dostarczono kilka minut temu. Jest pełne pięknie przybranych okrągłych ciasteczek. Lecz tym razem również nie dołączono do niego żadnej wizytówki czy kartki wskazującej, kto mógł je przysłać. Joe proponuje, że zadzwoni do cukierni, której nazwa znajduje się na pudełku, i sprawdzi, a jednocześnie zapewnia mnie, że kurierzy stale gubią wizytówki. Zostawiam mu dwa ciasteczka, żeby zjadł je do kawy, a potem Cain i ja zanosimy na górę resztę słodkości w pudełku. W innych okolicznościach poświęciłabym więcej czasu na zastanowienie się, kim jest mój tajemniczy dobroczyńca, ale teraz to nie ma znaczenia.

Zamykam drzwi mieszkania i słyszę trzaśnięcie zamka. Jestem teraz sama z mordercą. Ale przecież nie po raz pierwszy.

Cain kładzie pudełko na niskim stoliku. Zwijam się w kłębek na sofie.

– No dobrze, więc mów.

Siada po drugiej stronie kanapy.

– Co chcesz wiedzieć, Freddie? Powiedziałem ci już wszystko.

Pytam, starannie dobierając słowa.

– Dlaczego zabiłeś swojego ojczyma? Wiem, mówiłeś, że w obronie własnej, ale nie bardzo rozumiem, jak piętnastolatek mógł znaleźć się w sytuacji, w której jedynym wyjściem dla niego było zabicie człowieka.

Cain marszczy brwi.

– To się nie zaczęło tamtej nocy. W pewnym sensie narastało przez lata. Jak już powiedziałem, mój ojczym zawsze pragnął mieć dużą rodzinę. Gdy zdał sobie sprawę, że tak nie będzie... że jestem jedynym dzieckiem, to wszystko się zmieniło. Stał się podły, brutalny. W wieku czternastu lat byłem przysłowiowym „niezdarnym nastolatkiem”, który stale zderza się z drzwiami i spada ze schodów. – Przełyka nerwowo. – Wciąż jeszcze go kochałem i naprawdę bardzo się starałem. A potem pewnego dnia nie mogłem już tego dłużej znieść i kiedy mnie uderzył, oddałem. Przypadkiem wyszedł mi najbardziej udany cios na świecie... albo może najbardziej pechowy właśnie dlatego, że okazał się celny, a wtedy... – Potrząsa głową. – Wpadłem w panikę. I uciekłem z domu.

– Nie rozumiem. Nie zabiłeś go? – pytam, przysuwając się bliżej do Caina.

– Nie wtedy. Ostatecznie Isaac przekonał mnie, żebym wrócił. – Cain uśmiecha się nieznacznie. – Powiedział, że nie może wiecznie mnie niańczyć, a bez niego na pewno nie przetrwam. Dlatego wróciłem do domu.

– A twój ojczym...

– Oświadczył, że cieszy się z mojego powrotu. Że wszystko mi wybaczył i zaczniemy od nowa jako rodzina. – Kręci głową. – Boże, naprawdę chciałem w to uwierzyć.

– I co się stało?

Twarz Caina pochmurnieje i dopiero teraz widzę, że chociaż za nic nie chce mnie przestraszyć, jest wzburzony i to wyznanie sprawia mu ból. Ujmuję jego rękę i trzymam mocno.

Cain patrzy na moją dłoń i skupia na niej wzrok, gdy kontynuuje:

– Pewnego wieczoru nie przyszedł na kolację. Zadzwoił i oznajmił, że jest w barze, ale wróci do domu, bo my dwaj musimy rozmówić się jak mężczyzna z mężczyzną. A ja wiedziałem... i powinienem był znowu uciec, ale... moja mama... W każdym razie zostałem.

Wciąż nie odrywa spojrzenia od mojej dłoni.

– Wrócił pijany i wkurzony. I natychmiast zawlókł mnie do mojej sypialni. Powinienem był się wtedy domyślić. Zazwyczaj złołby mi skórę tam, gdzie stałem. Wrzeszczał, że uciekłem z domu i przynoszę mu wstyd, bo wszyscy w policji wiedzą, że jego syn dawał dupy za pieniądze w całym Bostonie. – Cain próbuje się roześmiać, lecz nie całkiem mu się udaje. – Nie sądziłem, że mógłby pomyśleć, że w taki sposób się tam utrzymywałem. Byłem zbyt zaskoczony, żeby zaprzeczyć... chociaż nie wiem, czy na tym etapie to by cokolwiek pomogło. Zaczął mnie bić. Spodziewałem się tego.

Dłoń Caina w mojej jest zimna. Ściskam mocniej, by ją rozgrzać.

– Rzucił mnie na łóżko twarzą w dół, przygwoździł i wykręcił mi lewą rękę za plecy. Usłyszałem, jak ściąga pasek, i pomyślałem, że mnie nim zleje. Już wcześniej tak robił... potrafiłbym to znieść. Dopiero kiedy zaczął gmerać przy moich dzinsach, pojąłem, co naprawdę zamierza.

Z mojego gardła wydobywa się dziwny zduszony dźwięk. Ogarniają mnie mdłości.

Teraz Cain podnosi na mnie wzrok i gdy ociera mi łyzy z policzka, uświadamiam sobie, że płaczę.

– Walczyłem, ale był ode mnie cięższy o co najmniej pięćdziesiąt kilogramów. – Cain na moment przestaje oddychać. – Isaac nauczył mnie spania z nożem pod tym, czego używałem jako poduszki. Nazywał taki nóż „pluszowym misiem” i mówił, że tylko on odstraszy każde zwierzę hałasujące w nocy. Po powrocie do domu nadal sypiałem z pluszowym misiem. Kiedy poczułem, że ojczym rozluźnił chwyt, gdy usiłował ściągnąć mi dzinsy, przypomniałem sobie o tym nożu. Wolną ręką zdołałem po niego sięgnąć. Obróciłem się i zamachnąłem. – Przesuwa się nieznacznie i wzdryga nieświadomie, gdy odtwarza z pamięci to zdarzenie. – Cofnął się... wydał jakiś gulgoczący dźwięk. A ja nie wiedziałem, co się stało z nożem. A potem on upadł i zobaczyłem, że nóż tkwi w jego szyi i wszędzie jest krew.

– Nie żył?



Cain kiwa głową.

– A potem zjawiała się policja.

– Jak ktokolwiek mógł pomyśleć, że to nie było działanie w obronie własnej?

– Ponieważ trzymałem nóż pod poduszką. A on był gliniarzem odznaczonym medalami. – Twarz Caina staje się trochę mniej mroczna, a jego dłoń wydaje się znów ciepła. – Gdy ta sprawa trafiła do sądu, miałem szesnaście lat. Zostałem skazany. Spędziłem dwa lata w zakładzie karnym dla młodocianych, a w moje osiemnaste urodziny przeniesiono mnie do więzienia dla dorosłych.

Jestem pewna, że wpatruję się w niego ze zgrozą, bo czuję bezmierną zgrozę.

– Odsiedziałem jeszcze pięć lat, zanim przyznano mi zwolnienie warunkowe. W więzieniu ukończyłem szkołę i studiowałem zaocznie literaturę na Uniwersytecie Karoliny Północnej. Kiedy wyszedłem, chwyciłem się każdej pracy, jaką mogłem dostać, i napisałem powieść. – Wytrzymuje moje spojrzenie. – Freddie, nie zamierzałem cię oszukać, nikogo z was, ale to coś, o czym nie mówi się ludziom, jeśli można tego uniknąć.

– Czy kiedykolwiek byś nam powiedział?

Zastanawia się nad tym.

– Nie wiem. Może w końcu tak. Nie jestem pewien, czy żałuję tego, co zrobiłem, lecz się tego wstydzę. Nie oczekuję, że ludzie zrozumieją. Największym problemem Whita jest to, żeby nie ukończyć prawa na Harvardzie, a Marigold sądzi, że kosztowne tatuaże czynią z niej buntowniczkę.

– A ja?

– Ty? – Uśmiecha się smutno. – Ty być może starasz się imponować innym.

– Jak znalazłeś pana Jacobsa?

– Rozpytywałem w jego dawnych ulubionych miejscach. Jeden ze starych ludzi, z którymi pił, powiedział mi, że Boo czasami sypia w hangarze na łodzie w parku Magazine Beach. Poszedłem tam, żeby go odszukać. – Cain wypuszcza powietrze z płuc. – Znalazłem go w pobliżu hangaru, leżącego twarzą w dół na

brzegu. Pomyślałem, że po prostu spił się do nieprzytomności, dopóki nie odwróciłem go i nie zobaczyłem, że ma poderżnięte gardło.

– Jasna cholera!

– Nie zasłużył na coś takiego, Freddie. Był ćpunem i pijakiem, ale... – Urywa i wzrusza ramionami. – Zadzwoiłem na policję.

– A oni zatrzymali cię na przesłuchanie?

– Tak. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę moją kartotekę.

– Ale cię wypuścili, więc zdają sobie sprawę, że nie masz z tym nic wspólnego.

– Nie mieli wystarczających dowodów, by mnie aresztować, a istnieje prawne ograniczenie czasu, przez jaki można kogoś przesłuchiwać bez aresztowania go, więc tak, wypuścili mnie.

Dzwoni mój telefon. Widzę, że to Marigold. Odrzucam połączenie, ale wysyłam do niej esemesa, że piszę i zadzwonię, kiedy zrobię sobie przerwę.

– Na wypadek gdyby chciała przyjść tutaj i zobaczyć, dlaczego nie odbieram telefonu – wyjaśniam.

Cain się uśmiecha.

– Nie ma w tym żadnego „wypadku”. – Zamyka oczy, a potem znów otwiera. Widzę pod nimi ciemne kręgi. – Przypuszczam, że policja powiedziała także Whitowi i Marigold – mówi, ziewając.

– Whit wie już od jakiegoś czasu.

Zsuwam się z sofy i przynoszę jeden z koców złożonych porządnie pod giętym krzesłem przy kaloryferze.

– Nic nie mówił.

– Nie. Skłania się ku pogładowi, że spłacił swój dług.

– Lubię Whita.

Śmieję się i przykrywam go kocem.

– Co robisz? – mamrocze.

– Jesteś wyczerpany. Zdrzemnij się trochę.

– Nie potrzebujesz sofy?

– Jeszcze przez parę godzin nie. Śpij. Później zdecydujemy, jak postąpić.



Droga Hannah!

Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mnie ucieszyło, że znów dostałem od Ciebie wiadomość. Wiem, to tylko dwa tygodnie przerwy, ale zacząłem się obawiać, że czymś Cię uraziłem. Mam nadzieję, iż wiesz, że za nic w świecie bym tego nie zrobił. Ogromnie sobie cenię naszą wspólną wizję i profesję – czułem się osamotniony na myśl, że już się do mnie nie odezwiesz, i odchodziłem od zmysłów z obawy, że nieumyślnie obraziłem Cię albo zirytowałem. Gdyby nie globalny lockdown mógłbym przylecieć do Sydney, by wynagrodzić Ci wszelkie moje niestosowne postęпки.

Naprawdę bałem się, że zacząłem zanadto bezceremonialnie interesować się losami bohaterów Twojej powieści, zbyt entuzjastycznie udzielałem ci rad. Zapewniasz mnie jednak, że Twoje milczenie było spowodowane po prostu awarią komputera. Odczuwam więc ulgę, że między nami wszystko nadal jest tak, jak było, i że zdołałaś odzyskać twój cenny manuskrypt z czeluści cyberprzestrzeni. Dziwi mnie, że nie tworzysz kopii zapasowych w chmurze, choć nie byłabyś pierwszą osobą, która jej nie ufa. Jednak być może teraz, kiedy byłaś tak bliska całkowitej utraty Twojej powieści, mogłabyś rozważyć jakiś sposób przechowywania jej w sieci internetowej.

Teraz rozdział dziewiętnasty! Myślę, że Amerykanie mówią raczej „funkcjonariusz policji” niż „policjant”. Ale to tylko drobiazg.

Bardzo mi się podoba, że nie odmalowujesz Caina McLeoda jako po prostu potwora. Oczywiście takie potwory istnieją, jednak zrozumiały uraz psychiczny to znacznie bardziej interesujący motyw morderstwa. Jak powiedziała wcześniej Marigold, nawet potwory mają jakiś powód. W każdym razie przedstawienie Caina jako sympatycznego sprawi, że jego czyny będą się wydawały tym bardziej szokujące.

Wczoraj w Bostonie odbył się marsz. Zastanawiałem się, czy nie wziąć w nim udziału. Najbardziej irytująca w tej pandemii jest jej bezbrzeżna nuda. Gdyby nie przysyłane przez Ciebie rozdziały, niewiele miałbym rozrywek.

Już odświeżam moją skrzynkę mejlową, czekając na następny.

Twój

Leo

# Rozdział dwudziesty

Cain przesypia większość popołudnia. Leży na brzuchu, z ręką pod poduszką pod głową, jakby nawet teraz sięgał po nóż. Siedzę w fotelu naprzeciwko niego, udając, że czytam, i przyglądam mu się. Moja czujność nie wynika z lęku przed nim, tylko o niego. Trudno mi nawet ogarnąć myślą grozę tego, co go niegdyś spotkało, i zastanawiam się, jak może być taki opanowany, rozsądny, pozbawiony goryczy. Ja na jego miejscu nigdy nie przestałabym wrzeszczeć z przerażenia. A jednak on śpi tak spokojnie.

Ciekawe, czy zapomniał, że się całowaliśmy.

Nie cierpię siebie za to, że rozmyślałam o tamtej chwili po wszystkim, co się później wydarzyło. Wydaje się to egoizmem.

Esemes od Marigold: „Wciąż piszesz?”.

Odpowiadam: „Daj mi jeszcze parę godzin”.

Otwieram laptop, próbując nie wyjść na kompletną kłamczuchę. Napływające słowa mnie zaskakują. Spodziewałam się, że będę co najwyżej wpatrywała się w napisany przeze mnie wcześniej tekst, który rozwój rzeczywistych wypadków uczynił wyblakłym i trywialnym. Ale nagle mój Przystojniak mówi do mnie o sekretach, cierpieniu i niesprawiedliwości. Krzyk, który połączył go z Freudystką i Komikсовym Bohaterem, jest echem bezgłośnego krzyku w jego głowie. Rozumiem jego potrzebę połączenia wszystkich wątków w sieć opowieści, jego

nieufność wobec pozostawiania nieujawnionych spraw. On prawdopodobnie lepiej niż ja pojmuje, że nasze opowieści mogą obrócić się przeciwko nam.

Kiedy podnoszę wzrok, Cain ma otwarte oczy i przygląda mi się.

Uśmiecham się.

– Cześć. Lepiej się czujesz?

Przytakuje powoli.

– Która godzina?

Patrzę znów na ekran laptopa.

– Prawie piąta.

Podnosi się do pozycji siedzącej.

– Przepraszam, Freddie. Zamierzałem tylko zdrzemnąć się kilka minut.

Podchodzę, bo Cain wydaje się być za daleko. Bo chcę być bliżej niego. A gdy siadam obok, odwraca się i całuje mnie. Czuję zaskoczenie, a potem zachwyty i euforyczne upojenie. Odwzajemniam pocałunek całą sobą tak intensywnie, że aż drżę. W końcu Cain się odsuwa, oddychając nierówno, a ja słyszę własny cichy jęk protestu.

Wpatruje się we mnie.

– Jesteś pewna?

Przyciągam go znów do siebie. Nie jestem pewna niczego oprócz tego, że pewność jest przereklamowana.

Ale Cain obawia się, że pochwyci mnie sieć rozpościerająca się wokół niego.

Wyciągam rękę i dotykam jego twarzy, usiłując wymyślić, jak go upewnić, że dokonuję tego wyboru w pełni świadoma, co zrobił. W końcu po prostu całuję go szczerze, mając nadzieję, że ten pocałunek powie wszystko to, czego nie da się wyrazić słowami. Ta chwila przedłuża się w wieczność, wzmacnia się wraz z przyspieszającym rytmem naszych pulsów. Cain zмага się niecierpliwie z maleńkimi guziczkami mojej bluzki i udaje mu się oderwać dwa.

– Lepiej, żebyś potrafił posługiwać się sprawnie igłą i nitką – ostrzegam go, gdy guziczki spadają ze stukotem i toczą się po podłodze.

– Dla ciebie się nauczę – szepcze w moją szyję.

Rozpinam koszulę Caina z mniejszym pośpiechem i trochę większą troską o guziki. Moje palce zatrzymują się dłużej na bliźnie nad jego biodrem.

– Skąd ją masz?

Wydaje się rozbawiony, że pytam go o to teraz.

– Po usunięciu wyrostka robaczkowego.

– A tę? – dopytuję się, wyczuwając wypukłą bliznę w dolnej części pleców.

– Próbujesz zmienić temat? – pyta i całuje mnie, zanim zdążę zaprzeczyć.

Przestaję zadawać pytania i pogrążamy się w odczuwaniu – dotyku i ciepła skóry, oddechu i bicia serca, odkryć, rozkoszy i wszystkich tych palących potrzeb nowej miłości.

A później prowadzę go do mojego łóżka i tam też się kochamy, niespiesznie, poznając nawzajem swoje ciała. Całuję tę bliznę na jego plecach i znowu o nią pytam.

– Ta nie jest po usunięciu wyrostka, prawda?

– Freddie, naprawdę nie potrafię odpowiadać na pytania, kiedy to robisz – mówi, przyciągając mnie do klatki piersiowej.

– Nie podobają ci się moje metody przesłuchiwania?

– Och, podobają... Jednakże są poniekąd przeciwnie skuteczne. – Całuje moje piersi. – To jakbym ja, robiąc to, pytał cię, dlaczego tak cię interesuje ta blizna.

Odczekuję, aż skończy.

– Zrozumiałam. Whit ma bliznę dokładnie w tym samym miejscu.

– Naprawdę? – Cain przerywa to, co robił. – Dźgnięto mnie, kiedy byłem w więzieniu. Nożem zrobionym z fragmentu ramy łóżka.

– Któryś z więźniów próbował cię zabić?

– Nie w tamtym przypadku. – Tuli mnie mocniej w ramionach. – To była kara... dość łagodna. Dźgnięto mnie w bezpieczne miejsce.

– Jest w ogóle coś takiego?

– Tak, jeśli nożem posługuje się były chirurg. Żaden organ nie został uszkodzony ani nie doznałem trwałych obrażeń, a kiedy skończyli, zawołali strażników, żeby zabrano mnie do izby chorych.

– Dlaczego cię ukarano?

– Wiesz, nie jestem całkiem pewien. Czasami najlepiej pogodzić się z sytuacją i nie stawiać się.

– Mogli cię zabić!

– Nie, znali się na rzeczy. Jak powiedziałem, gość, który użył noża, był chirurgiem. Jeżeli się nie poruszysz, przeżyjesz. Jeśli się szamoczesz...

– O Boże.

Całuje mnie w czubek głowy.

– Zanim zaczniesz wyobrażać sobie najgorsze, powiem ci, że zakład karny, w którym odsiadywałem wyrok jako dorosły, był w zasadzie dość postępowy. Nie przypominał wprawdzie letniego obozu, lecz też nie Alcatraz.

– Ale dźgnięto cię nożem, kiedy okazałeś nieposłuszeństwo.

Śmieje się. Przyciśnięta do jego piersi, bardziej wyczuwam ten śmiech, niż go słyszę.

– Freddie, to nie była oficjalna kara.

– Jednak się zdarzyła.

– Nawet w postępowych więzieniach obowiązują swoiste społeczne zasady, lokalna hierarchia. A mężczyźni w więzieniu niekoniecznie zachowują się sprawiedliwie czy rozsądnie.

– Więc nic im się nie stało, nie podjęto wobec nich żadnych działań?

– Oficjalna wersja brzmiała, że poślizgnąłem się w kuchni i zraniłem.

– Ale wiedziałeś, kto cię dźgnął?

– Tak, lecz nie pamiętałem.

– Jednak...

Przyciska usta do moich. To delikatny, ale skuteczny sposób położenia kresu mojemu oburzeniu.



– Doceniam, że się o mnie troszczysz, Freddie. – Splata palce z moimi. – To naprawdę wiele dla mnie znaczy. Ale to się wydarzyło już dawno. Podjąłem najlepszą możliwą decyzję... i ostatecznie zdołałem przeżyć.

Przytulałam się do jego ramienia, zadowolona, że mogę cieszyć się tą chwilą, odczuwaniem bliskości Caina. Opowiada mi, jak jeszcze podczas jego pobytu w więzieniu kiełkował w nim pomysł pierwszej powieści. Ten pomysł później tkwił w nim długo bez żadnych perspektyw na realizację, dopóki Cain nie odkrył, że bardzo niewielu ludzi chce zatrudnić byłego więźnia. Napisał tę książkę w okresie, gdy usiłował odnaleźć się w życiu na wolności.

Mogłabym pozostać tak w jego ramionach wiecznie albo przynajmniej, dopóki byśmy nie zgłodzieli, gdyby ktoś nie zaczął dobijać się do drzwi.

Jeszcze zanim woła moje imię, wiem, że to Marigold.

Wydaję jęk.

– Powiedziałaś, że do niej zadzwonię. Zapomniałam przez ciebie.

Cain uśmiecha się szeroko.

– Cieszę się.

Zanim Cain i ja zdążyliśmy po omacku włożyć ubrania i otworzyć drzwi, walenie Marigold zaalarmowało kilkoro moich sąsiadów, którzy wyjrżeli na korytarz, żeby zobaczyć, co się dzieje. W chwili, gdy otwieram, Marigold obejmuje mnie w uścisku.

– Kiedy nie zadzwoniłaś i przestałaś odbierać, pomyślałam, że coś mogło ci się stać.

– Nic mi nie jest, Marigold. Przepraszam, wyłączyłam telefon.

– Dlaczego? – Sztywnieje na widok Caina. – Cain!

– Cześć, Marigold – wita ją z salonu, w którym dopiero przed momentem znalazł i włożył swoje ubranie.

– Nie wspomniałaś, że u ciebie jest – mówi Marigold oskarżycielskim tonem.

– Nie miałam okazji.

– Powiedziałaś, że piszesz.

Waham się, nie wiedząc, co na to odrzec.

– No cóż, nie pisałam.

Cain przejmuje kontrolę nad sytuacją, biorąc mnie za rękę.

– To była moja wina.

Marigold gapi się na nas z otwartymi ustami.

– Serio?

Szczerze mówiąc, czuję się trochę śmiesznie. Na litość boską, w końcu wszyscy jesteśmy dorośli. Ale Marigold przygnała tutaj, by sprawdzić, co się ze mną dzieje, powodowana autentyczną – nawet jeśli niestosowną – troską.

– Jak tu dotarłaś? Tylko nie mów mi, że przyszłaś pieszo!

– Oczywiście, że nie. Mamy tutaj coś takiego jak ubery – odpowiada, nie odrywając wzroku od Caina. – Przypuszczam, że policja utknęła w martwym punkcie. Wiedziałam, że tak będzie!

Cain wzdycha.

– Jeżeli podejrzewają, że ostatnio kogoś zabiłem, to tak, utknęli w martwym punkcie.

– Ostatnio?

Oznajmiam, że zaparzę kawę.

Cain i Marigold zasiadają w kuchni i on opowiada jej mniej więcej to, co wcześniej mnie. Marigold przez chwilę milczy.

– Nie zamierzałeś go zabić – mówi. – Twojego ojczyma.

Cain nie od razu odpowiada.

– Nie, ale też nie zamierzałem go nie zabić. Po prostu chciałem, żeby się ode mnie odwalił.

Marigold otacza go ramionami.

– Tak mi przykro.

Cainowi ledwie udaje się uchronić swoją kawę przed wytrąceniem mu jej z ręki.

– Kim, do cholery, byli twoi adwokaci? – pyta Marigold, nie wypuszczając go z objęć. – Jacy durni prawnicy pozwolili, żebyś trafił za to do więzienia?

– Miałem kilkoro obrońców. Prawdę mówiąc, rzadko ich widywałem – odpowiada Cain. Spostrzegam, że przez jego twarz przemyka cień. – Mój ojczym był gliniarzem, Marigold. Policja uważała za wystarczająco złe, że go zabiłem. Nie zamierzali pozwolić, abym zszargał jego dobre imię.

Marigold kręci głową.

– Powinieneś teraz pozwać ich do sądu! To niedorzeczne!

– Możliwe, jednak wolałbym po prostu o tym zapomnieć i żyć dalej.

– Ale...

– Wyświadczysz mi przysługę, Marigold? Czy mogłabyś opowiedzieć o tym Whitowi? Jeśli będę musiał jeszcze raz przez to przejść, poczuję się jak snujący opowieść stary marynarz z poematu Coleridge’a.

Marigold kiwa głową.

– Tak, oczywiście. – Spogląda na mnie. – Czy mogę powiedzieć mu również o was dwojgu?

Cain wygląda na rozbawionego, lecz nie odpowiada.

Otwieram moje ostatnie opakowanie wafelków i siadam.

– Jasne, ale nie ubarwiaj tego.

– Ubarwiać? – rzuca z oburzeniem Marigold. – To wy jesteście pisarzami! – Łzy napływają jej do oczu. – Tak się cieszę ze względu na was oboje.

Puszczam w obieg moje cenne czekoladowe wafelki, starając się uczynić tę chwilę trochę mniej kłopotliwą.

Zajmujemy się zawartością opakowania. Pokazuję im obojgu, jak wsysać kawę przez wafelek. To praktyka, którą wielu Australijczyków uważa za nasz największy wkład w kulturę kulinarną. Ale trzeba umieć wciągnąć cały kubek kawy, zanim wafelek rozmięknie, a Marigold i Cain są nowicjuszami.

Instrukcje, jakich im udzielam, sprawiają na szczęście, że rozmowa przestaje być tak poważna. Nie jest to co prawda świętowanie, jednak cieszymy się

wafelkami czekoladowymi, kawą i absurdalnymi sposobami ich konsumowania.

– Marigold, odwieźć cię do domu? – proponuje Cain, ujmując moją dłoń i wstając. – Chyba powinienem już wrócić i doprowadzić do porządku moje mieszkanie.

– A co jest nie w porządku z twoim mieszkaniem?

– Policja je przeszukała. Mam wrażenie, że ci bostońscy policjanci rywalizowali o to, który z nich narobi największego bałaganu w moich rzeczach.

– To okropne. Mogą tak postępować?

– Tak. – Cain ze smutkiem kiwa głową. – Mogą. I w tym robieniu bałaganu są nadzwyczaj staranni.

– Pomożemy ci posprzątać! – deklaruje Marigold.

– Dziękuję ci. – Cain zbiera brudne kubki po kawie i zanosz do zlewu. – Ale poradzę sobie.

– Nie, nie poradysz sobie – mówi stanowczo Marigold. – Nie powinieneś musieć sam sobie z tym radzić. Daj spokój... wszystkie ręce na pokład i tak dalej.

Cain zaczyna wyglądać na osaczonego.

Proponuję, żeby dać mu trochę luzu.

– Wezwie nas, jeśli będzie potrzebował.

Lecz Marigold niełatwo zniechęcić.

– Ani Freddie, ani ja nie zdołamy usnąć, wiedząc, że sprzątasz sam ten bałagan.

– To naprawdę coś, co muszę zrobić sam, Marigold.

– Nie, nie musisz. Właśnie do tego potrzebujesz twoich przyjaciół.

Do jej oczu ponownie napływają łzy. I znowu porusza mnie delikatność i wrażliwość, które kryją się w niej tuż pod powierzchnią.

Być może Cain też to dostrzega, bo ulega pełnej determinacji życzliwości Marigold.

– Dobrze, dziękuję.

Biorę płaszcz i przebieram się w bluzkę, przy której nie brakuje guzików. Idziemy do starego jeepa Caina.

– Przepraszam – szepczę, gdy tylko zyskuję pewność, że Marigold mnie nie usłyszy. – Chcesz, abym jej powiedziała, że...

– Nie, w porządku. Mój największy sekret już został ujawniony.



Droga Hannah!

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze. Widziałem w telewizji CNN reportaż o tym, że Australię nękają teraz powodzie. Czyż jeszcze wczoraj nie mieliście pożarów? Tak czy inaczej, liczę, że nie zostałaś dotknięta, a w każdym razie niepokonana przez klęski żywiołowe nawiedzające Twój ładny kraj.

A zatem nasza bohaterka zległa ze złoczyńcą. Klasyczny trop literacki! Klasyczny, ponieważ skuteczny. Tym bardziej dramatyczne będzie ostateczne rozwianie jej złudzeń. I takie też, jak przypuszczam, będzie rozwianie złudzeń Marigold i Whita. No, może Marigold nie – ona wydaje się podejrzewać Caina – ale Whit będzie zdruzgotany. W związku ze sceną intymnego zbliżenia między Freddie a Cainem: zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdyby nie poszło to tak gładko. Może on jest impotentem – byłby to objaw albo przyczyna jego morderczego szału – albo może ma seksualną potrzebę upokarzania bądź bycia upokarzonym. Myślę, że scena poprowadzona w tym klimacie nadałaby fabule pewną drastyczną intensywność.

Co do Twojej prośby, abym podał mój adres: jestem wzruszony, że chciałybyś coś mi przysłać, ale szczerze, Hannah, mam pewne pojęcie o tym, jaki jest koszt przesyłki między Australią a Stanami Zjednoczonymi, i nie mogę z czystym sumieniem pozwolić ci na taki wydatek. Czymkolwiek jest ten podarunek, nie wypuszczaj go z rąk, a pewnego dnia odbiorę go osobiście.

Z wyrazami czułości

Twój Leo

# Rozdział dwudziesty pierwszy

Mieszkanie Caina znajduje się w dzielnicy Roxbury, w starym budynku, który byłby uroczy, gdyby go odnowiono. Na chodniku przed wejściem tkwi kilku młodych mężczyzn. Dwaj z nich pozdrawiają Caina, gdy ich mijamy. Mówią głośno i używają swobodnie przekleństw całkowicie pozbawionych agresywności. Cain odpowiada im przyjaźnie, lecz nie zatrzymuje się ani nas nie przedstawia. Wewnątrz budynek jest niszczejący, z wyblakłą farbą na ścianach, ale czysty. Winda wjeżdża ze zgrzytem na trzecie piętro i Cain otwiera drzwi z numerem 319.

Gdybyśmy nie wiedzieli, że to dzieło policji, moglibyśmy ją wezwać. Mieszkanie jest zdemolowane. Wszystkie półki ogołoco, wszystkie szuflady powyciągano i podwracano, wszystkie poduszki porozrzucano. Rzeczy leżą na jednej stercie pośrodku pokoju.

– Zaczniemy od książek – wybieram miejsce startu. – Umieścimy je z powrotem na regałach. Cain, jak były ustawione?

– Co masz na myśli?

– Alfabetycznie?

– Powieści i poezja tam, a literatura faktu i zebrane przeze mnie materiały tam – mówi, wskazując odpowiednie regały. – I tak, alfabetycznie według autorów.

Uśmiecham się. Moje książki są wepchnięte tam, gdzie się zmieszczą. Łatwo je odłożyć, trudniej znaleźć.

– A co z twoim centrum koordynacyjnym? – pytam nagle. – Czy je również przewrócili do góry nogami?

– Większość rzeczy stamtąd zabrali. Komputer też – mówi opanowanym głosem, jednak słyszę w nim frustrację, gniew. – Przypuszczam, że szukają jakiegoś manifestu.

Widocznie na mojej twarzy odbija się zszokowanie, bo Cain obejmuje mnie ramieniem.

– Nie jest tak źle jak wszędzie indziej tutaj – szepcze. – Sporządziłem kopie manuskryptu i zdjęć schematów fabuły i wysłałem je wszystkie mejem do samego siebie.

Wtulam się w niego. Spoglądamy sobie w oczy i przez chwilę reszta świata przestaje dla nas istnieć.

– Hej wy, wracajcie do roboty! – woła Marigold, zanosząc stertę książek na odpowiednią półkę.

We troje przywracamy w salonie jaki taki porządek. Rozkoszuję się literackim gustem Caina – inteligentnym, różnorodnym, eklektycznym. Klasyczne powieści z jego notatkami na marginesach. Najnowsze wydania. Książki nagrodzone i szmirowate czytaadła. Gdzieniegdzie powieść graficzna. Słownik synonimów i parę podręczników gramatyki.

– Cholera! – rzuca Marigold, stając w drzwiach sypialni.

Zostawiam regały, żeby zobaczyć, co się stało. W sypialni także panuje chaos. Ubrania i pościel, buty i więcej książek – wszystko to leży na stercie obok ogołoczonego łóżka. Materac rozcięto, gąbkę i materiał wyrwano, odsłaniając sprężyny.

– Jednemu z funkcjonariuszy policji wydało się, że dostrzegł zaszyte rozcięcie w pokrowcu – mówi z westchnieniem Cain. – Widocznie ludzie często ukrywają rzeczy w materacach.

– I oni po prostu tak to zostawili? – Marigold jest wściekła. – Gdzie, według nich, będziesz spać?

– Chyba mieli nadzieję, że w celi.

– Ale przecież nie mogą tak postępować.

– Zostawili mi jakieś formularze do wypełnienia.

– Nie możesz spać na formularzach. – Oburzenie Marigold rośnie w postępie geometrycznym. – Musisz porozmawiać o tym z twoim prawnikiem... Bo masz prawnika, prawda?

– Umieram z głodu. – Cain ściska moją dłoń. – Czy ktoś jeszcze jest głodny? Moglibyśmy zamówić pizzę.

– Ja jestem głodna – oznajmiam, żeby pomóc mu zmienić temat i dlatego, że gdy o tym wspomniał, uświadomiłam sobie wilczy głód. – Masz jakąś ulubioną pizzerię?

– Jest lokal dwie przecznice stąd, który dostarcza zamówienia do domu. – Sięga do kieszeni, a potem krzywi się, gdy sobie przypomina. – Do diabła... Freddie, możesz mi pożyczyć telefon? Oni znowu zabrali mój.

Podaję mu komórkę, a on wybiera numer.

– Powiedz mi, Marigold, jaką chcesz, bo inaczej wszyscy będziemy jeść wegetariańską.

Marigold prosi o pizzę pepperoni z anchois. Ja decyduję się na wegetariańską z ananasmem i papryczkami jalapeño.

– Chcesz, żebym zamówił pizzę z owocami? – szepce do mnie Cain.

– Uwierz mi, jest pyszna – zapewniam go.

Składa zamówienie, chociaż sceptycznym tonem. Tymczasem my dwie zabieramy się do ogarnięcia wąskiej kuchni, na wypadek gdybyśmy potrzebowali talerzy. Wygląda na to, że Cain ma tylko niezbędne przybory kuchenne, więc praca nie trwa długo. Do czasu, gdy zjawiają się pizze, kuchnia jest już prawie sprzątnięta.

Siadamy na podłodze w salonie i jemy je prosto z kartonowych pudełek. Nakłaniam oboje do spróbowania wegetariańskiej, żeby zademonstrować zalety



ananasów. Marigold odmawia z jawną odrazą. Cain zjada kawałek, choć nie jestem pewna, czy z pełnym przekonaniem.

– Whitowi mogłaby się spodobać – zauważa. – Trochę przypomina w smaku jeden z tych jego dziwacznych donutów.

Śmieję się z ich żalonych amerykańskich gustów kulinarnych i zachwalam im niezrównany smak hamburgera ze smażonym jajkiem i burakiem ćwikłowym.

Przez jakiś czas dzielnie ignorujemy fakt, że znaleźliśmy się tutaj, aby posprzątać mieszkanie wybebeszone przez policję szukającą narzędzia zbrodni. Jednak w końcu, co nieuniknione, rozmowa powraca do tej kwestii.

– Nie rozumiem, dlaczego oni myślą, że chciałbyś zabić Shauna Jacobsa – oświadcza Marigold, zdejmując ananas z kawałka pizzy. – To bez sensu.

Cain wzrusza ramionami.

– Chyba uważają, że mógłbym chcieć się zemścić za to, że rąbnął mnie butelką.

– A chciałeś? – pyta go Marigold.

– Co takiego? – rzucam z niedowierzaniem, że mogła zadać takie pytanie czy choćby pomyśleć o tym.

Cain tylko patrzy na nią bez słowa.

– Chodziło mi o to, czy nie byłeś na niego choć trochę zły? – wyjaśnia. – Wiem, że go nie zamordowałeś, ale czy nie czułeś gniewu? To byłoby całkiem naturalne.

Przypominam sobie, że ona ma magisterkę z psychologii. Moja Freudystka we własnej osobie.

– On był pod wpływem narkotyków – odpowiada Cain. – Czułem złość na siebie, że wdałem się w tę sytuację. Powinienem mieć się na baczności... a przynajmniej się uchylić. – Potrząsa głową i opiera się plecami o regał. – Gdybym zadzwonił na policję, kiedy mi to radziłaś, Freddie, Boo może siedziałyby w więzieniu, ale by żył.

– Nie możesz tego wiedzieć – mówię i przysuwam się bliżej do niego.

Marigold się z tym zgadza.

– Z pewnością każdej nocy w Bostonie zdarzają się dziesiątki bójek i napaści. Nie liczyłabym na to, że objadający się donutami z dżemem funkcjonariusze bostońskiego wydziału policji zajęliby się losem Shauna Jacobsa.

Rozglądam się po zdewastowanym mieszkaniu.

– Teraz się zajmują.

Marigold w zamyśleniu marszczy czoło.

– Teraz chodzi o morderstwo.

Cain najpierw podwozi Marigold pod jej kamienicę na Athens Street.

– Nie pozwól mu wrócić do jego mieszkania, dobrze? – szepcze do mnie dziewczyna, wysiadając z jeepa. – Tamto łóżko...

Śmieję się.

– Zaproponuję mu moją sofę.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale reflektuje się i rusza do frontowych drzwi. Odwraca się jednak, całuje mnie w policzek i szepcze mi do ucha:

– Bądź ostrożna.

Spoglądam za nią rozbawiona, lecz także trochę zaskoczona tym ostrzeżeniem.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie Cain.

– Marigold niepokoi się, gdzie będziesz spał dzisiejszej nocy.

– Och, rozumiem. – Rzuca okiem na plecak, do którego wcześniej wepchnął ubranie na zmianę, kiedy zaproponowałam cicho, żeby przenocował u mnie. – A konkretnie obawia się, gdzie spędzę noc?

– Martwi się zniszczeniem twojego materaca.

Nie wspominam o jej rzuconej na odchodnym radzie, gdyż nie całkiem wiem, co miała na myśli.

– Freddie, na pewno tego chcesz?

Żartobliwie trącam go łokciem.

– Zapomniałeś, jak spędziliśmy popołudnie?

Uśmiecha się.

– Nie zapomniałem, ale nie chcę ci się narzucać. – Wrzuca bieg. – Zdaję sobie sprawę, że nie dałem ci czasu na zastanowienie się nad tym, co teraz o mnie wiesz, i zdecydowanie, co myślisz o mojej przeszłości.

W tej chwili przychodzi mi coś do głowy.

– Czy właśnie to miał na myśli Boo, kiedy spytał: „Czy ona wie, co zrobiłeś?”.

Kostki dłoni Caina zaciśniętych na kierownicy bieleją.

– Tak powiedział? Owszem, przypuszczam, że o to mu chodziło.

– Dlaczego się tym przejmował?

– Co takiego?

– Wydawał się oburzony.

Cain wzrusza ramionami.

– To mogło mieć raczej związek z prochami, jakie wcześniej wziął. – Wjeżdża na parking dla gości Carrington Square. – Mówię serio, Freddie. Jeśli potrzebujesz więcej czasu na przemyślenie związania się ze mną, zrozumiem.

Nie patrzę na niego, wiedząc, że jeśli to zrobię, narażę na szwank moją przezorność i rozwagę. Niemal słyszę, jak Cainowi mocno bije serce, gdy czeka na moją odpowiedź. Wypuszczam powietrze i podnoszę na niego wzrok.

– W porządku, już to przemyślałam. Nie przeszkadza mi twoja przeszłość.

W jego uśmiechu jest zaskoczenie. I lekkie oszołomienie.

– Freddie...

– Już się z tobą związałam, bez względu na to, czy jesteśmy kochankami, czy nie. – Zbieram się na odwagę i pytam: – Czy zaczynasz mieć wątpliwości?

Otwiera szeroko oczy.

– Nie! – Bierze mnie stanowczo za rękę. – Nie co do bycia z tobą. Ale, Freddie, ja już kiedyś przez to przechodziłem. Zostałem skazany za morderstwo. Teraz policja przez jakiś czas będzie robić z mojego życia piekło, a nie chcę, żebyś przez to ucierpiała.

Kiwam głową, wzruszona tym, że on pragnie mnie ochronić.

– Rozumiem. Ale wierzę ci i ufam. Ryzykując nadmierną szczerość, wyznam, że chyba się w tobie zakochuję. Już minęłam etap ostrożności. Tak więc po prostu bądźmy dla siebie nawzajem tym, czym jesteśmy, a poradzimy sobie ze wszystkim innym, co się zdarzy.

Wtedy Cain całuje mnie namiętnie. Zalewa mnie potężna fala jego i moich uczuć. Pozostajemy tam jeszcze kilka chwil, a potem wysiadamy, gdyż jesteśmy za starzy, by obściskować się w samochodzie.

Gdy mijamy kontuar recepcji, Joe zatrzymuje mnie gestem i dziękuje za ciasteczka.

– Przyniosę ci na dół następne dwa – obiecuję.

Aż do tej chwili o nich nie pamiętałam. I o ile wiem, wciąż leżą u mnie na stoliku.

– Och nie, panno Kincaid. Niech się pani nimi raczy. Wyjdzie mi na dobre, jeśli ograniczę jedzenie ciastek. – Klepie się po wydatnym brzuchu. – Zresztą i tak już kończę moją zmianę. – Bierze z kontuaru wizytówkę i podaje mi. – Podczas pani nieobecności wróciła tamta policjantka. Powiedziała, żeby pani do niej zadzwoniła.

Chowam wizytówkę do kieszeni i spoglądam na zegarek. Jest już prawie północ. Z pewnością to nic na tyle pilnego, żeby wydzwaniać do niej o tej porze.

– Zadzwonię do niej rano.

Cain i ja siedzimy, jedząc okrągłe ciasteczka i rozmawiając. Pragnę go zapytać o tyle spraw, ale nie chcę, by odniósł wrażenie, że go przesłuchuję. Ciekawi mnie ogłada i uprzejmość Caina McLeoda. Nie jest krzykliwy, brutalny ani cyniczny, a jednak przetrwał kilka lat w więzieniu. Jak mu się to udało?

– Wyszedłem ponad siedem lat temu – przypomina mi. – Nie tylko więzienie wpłynęło na moje życie.

– Jednak wygląda na to, że w ogóle nie pozostawiło w tobie piętna. Ja pięć lat temu przez kilka miesięcy chodziłam na jogę i wciąż jeszcze nie otrząsnęłam się z szoku po tym doświadczeniu.

Śmieje się cicho. Rozkoszuję się brzmieniem jego śmiechu. Wyraża zaufanie i intymność.

– Nie czytałaś mojej pierwszej powieści, prawda?

Natychmiast ogarnia mnie zawstydzenie. Nie do wiary, że nie pomyślałam o tym, by postarać się o egzemplarz.

– Jeszcze nie, ale... och Boże, nic mnie nie usprawiedliwia...

– Nie bądź śmieszna, Freddie. – Otacza mnie ramionami. – Gdyby czytanie książek zaprzyjaźnionych pisarzy było obowiązkiem, żadne z nas nigdy nie miałyby przyjaciół.

– Nie... to jest obowiązek. Kiedy tylko zdobędę twoją książkę, od razu ją przeczytam.

– Właściwie cieszę się, że jej nie czytałaś. Mogłaby odstraszyć cię ode mnie.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie jest miła. Pełno w niej gniewu, cierpienia i brutalności. Sprawia wrażenie, jakby napisał ją były więzień.

– Ale „New York Times” nazwał ją olśniewającym debiutem – przypominam mu.

Wzrusza ramionami.

– Ludziom na tyle się spodobała albo na tyle ich zbulwersowała, że to zapewniło jej sukces. Uwierz mi, byłem tym równie zaskoczony jak wszyscy.

– Ale nie chcesz już więcej pisać w taki sposób?

– Opowiedziałem tamtą historię. Nie mogę jej powtarzać.

– Lepiej, jeśli jednak ją przeczytam – mówię niemal do siebie. Spoglądam na niego. – Chyba że wolałbyś, abym tego nie robiła.

– Proszę bardzo, czytaj. Tylko nie pozwól, żeby przyprawiła cię o koszmarne sny.

Przyglądam mu się łagodnie. Ufam mu pomimo tego, co zrobił.

– Jak mogłaby?



Droga Hannah!

Ach tak, autobiograficzna pierwsza powieść! Na szczęście moja nadal spoczywa w szufladzie. Wypełniła swoje zadanie, wygnała demony, wyraziła wszystko to, co – jak sądziłem – musiałem raczej wykrzyknąć, niż wypowiedzieć. Pierwsza książka jest czymś w rodzaju literackiego napadu wściekłości. W każdym razie cieszę się, że miałem dość zdrowego rozsądku, by nigdy nikomu jej nie pokazać – prawdopodobnie aresztowano by mnie albo skierowano sędownie do szpitala psychiatrycznego na przymusowe leczenie.

Muszę Ci przyznać, że upublicznienie przez Caina jego najmroczniejszych sekretów jako powieści to genialne posunięcie. Ukrycie się na widoku, jeśli wolisz. I to ma sens. Chociaż mordercy nie chcą zostać schwytani, z pewnością pragną, by jakoś doceniono to, co zrobili i co uszło im na sucho. Szczegółowe opisanie swoich czynów w powieści byłoby doskonałym rozwiązaniem.

Chętnie sam przeczytałbym książkę Caina!

Parę rozdziałów temu rozmawialiśmy o innym zabójstwie. Być może zapomniałaś albo rozproszyła cię ta awaria komputera. Wiem, że wysłałem Ci kilka zdjęć miejsca zbrodni, ale do tego mejla dołączam kolejny zestaw fotografii dotyczących innego incydentu. Zyskałem sporą wprawę w tym, by niepostrzeżenie odnajdywać i fotografować sceny zabójstw.

Jak zobaczysz, tym razem ofiarą jest kobieta. Zmarła wskutek rany głowy, prawdopodobnie uderzona jakimś twardym przedmiotem – czymś w rodzaju cegły czy młotka. Zastanawiałem się, czy ofiara podobna do Caroline i zamordowana w taki sam sposób mogłaby pomóc w połączeniu tych zbrodni i być może ukazać ewolucję Caina od człowieka, który zabił z konieczności, do kogoś, kto później odkrywa, że to po prostu sprawia mu przyjemność. Jestem pewien, że tak właśnie było. Ostatecznie przecież nie możemy wiedzieć, czy lubimy zabijać ludzi, dopóki nie odbierzemy komuś życia i nie doświadczymy przy

tym niezrównanego dreszczu podniecenia, gdy trzymamy w rękach świecę czyjegoś żywota i gasimy ją. Oczywiście to tylko luźna propozycja.

Tak czy owak, rzuć okiem na te zdjęcia i powiadom mnie, co o nich myślisz.

Muszę wyznać, że to staje się nadzwyczaj ekscytujące.

Twój

Leo

## Rozdział dwudziesty drugi

Dzwonię do oficer śledczej Justine Dwyer o dziewiątej rano.

– Oficer Dwyer? Powiedziano mi, że chce pani ze mną porozmawiać. Czy mam przyjść do komisariatu?

– Och nie, to nie będzie konieczne. Muszę po prostu wyjaśnić kilka kwestii. Jesteś w domu, Winifredo?

– Tak.

– Będę przejeżdżała tamtędy w drodze do sądu. Mogłabym wpaść za... powiedzmy pół godziny.

Waham się. Cain nadal leży obok mnie w łóżku.

– Nie jestem pewna...

– To zajmie tylko parę minut. Jeśli wolisz, mogłabym spotkać się z tobą w holu.

– Dobrze, chyba tak byłoby lepiej.

Kładę telefon na nocnym stoliku, a Cain obejmuje mnie sennie i przyciąga do siebie.

– Muszę się ubrać – oznajmiam z żalem. – Oficer śledcza Dwyer zajrzy, żeby ze mną porozmawiać.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Spotkam się z nią w holu.

Cain pociera twarz.



– Powinienem zbierać się do domu – mówi. – Muszę porozmawiać z moim agentem o tym, co się dzieje, zadzwonić do matki i kupić inny telefon... oczywiście nie w tej kolejności.

Podczas gdy bierze prysznic, parzę kawę, a kiedy ja idę pod prysznic, Cain przyrządza tosty. Wypijamy parę łyków i jest już wpół do dziesiątej, więc rezygnujemy ze zjedzenia śniadania.

– Odprowadzę cię na dół do holu – proponuje, wkładając kurtkę.

Biorę notes, zapisuję mój numer na czystej kartce i podaję mu ją.

– Zadzwoni do mnie, kiedy zdobędziesz nowy telefon, żebym miała twój numer. – Waham się przez chwilę, a potem rzucam: – Cain, naprawdę uważam, że powinieneś zatelefonować także do adwokata.

Jego twarz nieco pochmurnieje.

– Poprzednim razem miałem adwokatów, Freddie. Dobrych. Moja matka sprzedała dom, żeby móc ich opłacić. A mimo to zamknięto mnie na siedem lat.

Przyciągam go do siebie.

– To nie znaczy, że teraz adwokaci nie mogliby pomóc. – Obejmuję go ramionami. – Po prostu pomyśl o tym.

Całuje mnie w czoło.

– Dobrze.

– Dobrze co, zadzwonisz do adwokata?

– Dobrze, pomyślę o tym.

– Mógłbyś pogadać z Whitem.

– Gdybym miał zaangażować prawnika – odpowiada ostro – nie wciągnąłbym Whita w ten cyrk. A teraz naprawdę powinienem już iść.

– Ale zobaczymy się wieczorem? – pytam, mając nadzieję, że nie brzmi to zbyt natarczywie.

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy nadal tego chcesz.

Gdy Cain i ja już mamy zejść na dół, widzimy oficer śledczą Dwyer wchodzącą po schodach. Wygląda na zaskoczoną.

– Wchodzę, żeby się przekonać, czy nie zapomniałaś o naszym spotkaniu. –  
Zerka na zegarek. – Umówiliśmy się chyba na wpół do dziesiątej?

– Tak, rzeczywiście... Przepraszam, spóźniam się.

Cain ściska moją dłoń.

– Idę, nie będę wam przeszkadzał.

Mijając na schodach Dwyer, pozdrawia ją skinieniem głowy, a potem macha do mnie z najniższego stopnia.

Kieruję spojrzenie z powrotem na oficer śledczą.

– Może zejdziemy na parter?

– Właściwie chyba byłoby lepiej, gdybyśmy weszły do twojego mieszkania. Będziemy mogli porozmawiać na osobności.

Rozważam zapytanie jej, dlaczego zadanie kilku pytań wymaga rozmowy na osobności, lecz w końcu po prostu zapraszam ją do środka.

Rozgląda się, najwyraźniej oceniając moją sytuację materialną.

Nerwowo mówię jej o stypendium Sinclaira.

– Gdyby nie ta fundacja, nigdy nie byłoby mnie stać na mieszkanie w takim miejscu.

Uśmiecha się.

– Nie zastanawiałam się, czy jesteś spadkobierczynią fortuny.

– Chciałabym być!

Proponuję jej filiżankę kawy i nalegam, żeby mogła zwracać się do niej Justine, a nie oficer śledcza Dwyer.

– Zawsze myślałam, że Australijczycy piją herbatę – wyznaje, zaglądając do kuchni.

– Możemy pić kawę i herbatę. Mamy zmienne upodobania, jeśli chodzi o napoje. Jaką pijasz?

– Mocną i bez śmietanki.

Zanoszę dwa kubki kawy do salonu i stawiam przed nią tę bez śmietanki. Ujmuje kubek w dłonie i wypija łyk.

– Chryste, potrzebowałam tego. To dopiero moja pierwsza dzisiejszego ranka.

Nie odzywam się, ale uświadamiam sobie, że doświadczam ulgi – być może po prostu dlatego, że ta oficer śledcza wydaje się taka ludzka, sprawia wrażenie zwykłej osoby, chociaż ma władzę jako przedstawicielka bostońskiego wydziału policji.

– Chyba czasami trudno ci żyć tutaj – mówi. – Z pewnością odczuwasz tęsknotę za swoim krajem.

– Niekiedy – przyznaję. – Ale rzadziej, niż się spodziewałam.

Kiwa głową.

– Czy Cain McLeod spędził u ciebie noc?

To pytanie mnie zaskakuje.

– Tak.

Justine nie reaguje w jakiś wyraźny sposób.

– Powiedziałaś, że jesteście tylko przyjaciółmi.

– Jesteśmy... byliśmy...

– Ale teraz się z nim związałaś?

– Chyba tak.

– Pomimo jego przeszłości?

– Tak.

– Popełnił morderstwo z zimną krwią.

– Bronił się.

Justine kręci głową.

– Tak ci powiedział?

– Miał piętnaście lat, a ten mężczyzna chciał go...

– „Ten mężczyzna” był policjantem odznaczonym medalami, który starał się jak mógł być dobrym ojcem – mówi powoli, z przekonaniem. – Abel Manners

zaczekał, aż on wejdzie powiedzieć mu dobranoc, i dźgnął go nożem w szyję.

– Cain odpierał jego napaść. W ogóle nie zamierzał...

– Jeżeli nie zamierzał zabić swojego ojczyma, jeśli nie zaplanował tego, dlaczego trzymał nóż pod poduszką?

Podnoszę głos. Nie mogę uwierzyć, że to nie jest dla niej oczywiste.

– Ponieważ nie czuł się bezpiecznie! Trzymał go, żeby móc się obronić.

– Och Winifredo. – W głosie Justine brzmi współczucie. – Jeśli to prawda, dlaczego Abel zamknął matkę w jej pokoju i wypuścił ją, dopiero gdy zamordował ojczyma?

Wpatruję się w nią.

– Co?

– Zanim jego ojczym wrócił, Abel zamknął matkę na klucz w jej pokoju, aby mieć pewność, że nie przeszkodzi mu w zrealizowaniu planu zamordowania tego mężczyzny. Że nie będzie mogła go powstrzymać.

– To nieprawda.

– Winifredo, ona wezwała policję.

Na kilka chwil odbiera mi mowę, gdy usiłuję pomyśleć. Czy Cain mnie okłamał? Siłą woli otrząsam się z paniki i towarzyszących jej wątpliwości.

– Skoro matka Caina była zamknięta w swoim pokoju, nie mogła zobaczyć, co się stało. – Zaskakuje mnie pełne przekonania brzmienie mojego głosu. Wbijam spojrzenie w oficer śledczą. – Co chciałaś ze mną wyjaśnić, Justine?

Wypuszcza powietrze.

– Odniosłam nieodparte wrażenie, że nie masz pojęcia, kim naprawdę jest mężczyzna nazywający siebie Cainem McLeodem, i chciałam cię ostrzec.

– Żałuję, że odniosłaś takie wrażenie. Jest mylne. Nie musisz mnie ostrzegać.

Justine przechyla głowę na bok.

– Zdajesz sobie sprawę, że Cain McLeod jest człowiekiem niebezpiecznym i zamieszany w zabójstwa Caroline Palfrey i Shauna Jacobsa?

– Kiedy zamordowano Caroline, siedziałam przy stole naprzeciwko Caina McLeoda, a jeśli chodzi o Shauna Jacobsa, Cain nie chciał nawet wezwać policji, kiedy Shaun go zaatakował. – I znów mój głos brzmi zwodniczo spokojnie... w każdym razie w moich uszach. Możliwe jednak, że wcale nie udaje mi się zwieść Justine. – Dlaczego więc później miałby go zabić?

– Może nie chciał mieszać w to policji z jakiegoś innego powodu niż chęć ochrony pana Jacobsa.

– Justine, Cain wyszedł z więzienia siedem lat temu. Dlaczego miałby teraz nagle zacząć zabijać przypadkowych ludzi?

– Zakładasz, że nie zamordował nikogo przed Caroline Palfrey.

– On nie zamordował Caroline Palfrey. Nawet jej nie znał.

– Więc to tylko zbieg okoliczności, że jej dziadek był sędzią w procesie Abła Mannersa i go skazał?

– Ja... Co?! – jąkam piskliwym głosem.

– Dziadkiem Caroline Palfrey był sędzia Andrew Keaton, który skazał Abła Mannersa na dziesięć lat więzienia, z możliwością zwolnienia warunkowego nie wcześniej niż po siedmiu latach – mówi Justine ze wzrokiem utkwionym we mnie i uważnie obserwuje moją reakcję.

– Czy Cain o tym wiedział? – pytam, gdy mogę znów wydobyć głos.

– Uważamy, że wiedział. Uważamy, że właśnie dlatego zlecił zabicie Caroline, a jednocześnie zapewnił sobie niepodważalne alibi.

– Tym alibi jesteście my... Whit, Marigold i ja?

– Tak.

– Ale nie macie na to żadnego dowodu, bo inaczej już byście go aresztowali – mówię.

Wypuszczam powietrze z płuc.

– Chodzi mi o twoje bezpieczeństwo. Nie chcę, abyś wpadła po uszy w sytuację, która cię przerasta. – Justine krzyżuje ramiona na piersi i wspiera łokcie na kolanach, pochylając się naprzód. – Bez względu na to, jaką ckliwą historyjkę

opowiedział ci o swoich powodach zabicia ojczyma, jednak niezaprzeczalnie go zabił. Ten mężczyzna, który obecnie nazywa siebie Cainem McLeodem, jest groźny.

Kręcę głową.

– Ja tak nie uważam.

Justine jest wyraźnie zirytowana.

– Przeczytałaś jego powieść?

Znowu to.

– Nie, jeszcze nie.

– A ja przeczytałam i myślę, że być może też powinnaś to zrobić, zanim zdecydujesz, czy chcesz kontynuować przyjaźń z panem Cainem McLeodem.

Przewracam oczami.

– Cain powiedział mi już, że ona jest...

– Jest o byłym więźniu, który dokonuje zemsty na tych, którzy posłali go za kratki. Sędziach przysięgłych, jego adwokatach, prokuratorze okręgowym, świadkach...

– Och... naprawdę?

– Jesteś zaskoczona? – mówi Justine i w jej głosie brzmi ledwie słyszalna nutka triumfu.

Wzruszam ramionami.

– No cóż, to taki oklepany trop literacki i wiem, że powieść stała się bestsellerem.

– Winifredo, to nie są żarty.

– Wiem, ale chyba nie mówisz serio, że Cain odgrywa fabułę swojej powieści? My, powieściopisarze, wymyślamy różne historie. – Stawiam na niskim stoliku mój kubek nadal pełen kawy, teraz już zimnej. – Powiedz po prostu, czego ode mnie oczekujesz, oficer śledcza.

Justine przełyka nerwowo.

– Masz numer mojego telefonu. Chciałabym, abyś zadzwoniła do mnie, jeżeli pan McLeod powie albo zrobi cokolwiek, co sprawi, że zmienisz zdanie co do jego niewinności.

– Chcesz, żebym szpiegowała Caina?

– Nie chcę, żebyś została jego następną ofiarą.

Przez kilka chwil siedzimy naprzeciwko siebie w milczeniu.

– Dobrze – mówię w końcu.

Justine wydaje się zaskoczona.

– Naprawdę?

– Jeśli zmienię zdanie co do niewinności Caina, zadzwonię do ciebie.

Ta obietnica nic mnie nie kosztuje. Gdybym kiedykolwiek uznała, że Cain zabił kogoś jeszcze oprócz swojego ojczyma, i tak zadzwoniłabym na policję. Nie jestem kimś w rodzaju dziewczyny gangstera.

Wydaje się, że to moje zobowiązanie ją usatysfakcjonowało, a przynajmniej ułagodziło. Oficer śledcza przypomina sobie, że musi pojechać do sądu, i po upewnieniu się, że mam jej numer i wiem, iż mogę zadzwonić do niej o każdej porze dnia i nocy, żegna się ze mną i wychodzi.

Po jej wyjściu przez jakiś czas siedzę nieruchomo. Po prostu nie wiem, co mam zrobić. W końcu wybieram sprzątnięcie pozostałości naszego porzuconego śniadania. Czuję się brutalnie i niesprawiedliwie wyrwana z dzisiejszego poranka, gdy obudziłam się w ramionach Caina McLeoda. Dopiero gdy wytarłam ławę kuchenną i pozmywałam wszystkie naczynia, jestem gotowa pomyśleć o tym, co usłyszałam od Dwyer.

Nie przyszło mi do głowy, by zapytać Caina, gdzie była jego matka tamtej nocy, gdy zabił ojczyma. Chyba założyłam, że wyszła z domu.

Dzwoni mój telefon i odbieram, mając nadzieję, że to Cain.

– Cześć, Freddie!

– Whit, jak się masz?

– Dobrze. Doktor powiedział, że ze mną wszystko już w porządku. Szukam Caina.

– Więc dlaczego dzwonisz do mnie?

– Ponieważ w jego telefonie odzywa się jakiś funkcjonariusz policji i pomyślałem, że może Cain jest u ciebie. Marigold powiedziała, że wy dwoje... no wiesz...

– Ile ty masz lat, czternaście?

– Więc to prawda?

Wzdycham.

– Caina tu nie ma. Wyszedł dziś rano, żeby kupić telefon i spotkać się z kilkoma osobami.

– Jakimi?

– Wspomniał chyba o swoim agencie, ale mam nadzieję, że spotka się również z adwokatem. Dlaczego próbujesz go znaleźć?

– To męska sprawa.

– Co?

– Słyszałaś.

Orientuję się, że Whit żartuje, ale też rzeczywiście chce pomówić z Cainem.

– Kupuje sobie dziś kolejny telefon komórkowy i powiedział, że zadzwoni do mnie z nowego numeru – informuję Whita. – Mogłabym przesłać ci ten numer esemesem. A tak czy owak, Cain zapewne wróci tutaj wieczorem.

Whit mi dziękuje. Wydaje się trochę wzburzony.

– Czy coś się stało? – odważam się zapytać ostrożnie.

Już mi kiedyś powiedział, żebym pilnowała własnego nosa, chociaż ujął to dosadniej.

– Nie... tylko już zbyt długo tkwię w areszcie domowym i po prostu od tego świruję.

– Jeśli potrzebujesz towarzystwa...

– Dzięki, ale nie trzeba.



– Tylko Cain się nada? – pytam.

– Tak – odpowiada i się rozłącza.

Dopiero gdy do moich drzwi puka Leo, przypominam sobie, że mam pojechać do Rockport z nim i innymi stypendystami. Unosi kosz piknikowy.

– Nie martw się, zdaję sobie sprawę, że pada śnieg – mówi. – To są przekąski na drogę.

– Och Boże, Leo, przepraszam... zapomniałam.

Wzrusza ramionami.

– Jestem pięć minut wcześniej, więc nic się nie stało. Weź płaszcz.

Kręcę głową.

– Nie mogę pojechać.

Mina mu rzednie.

– Dlaczego?

– Bardzo wiele się dzieje. Muszę być tutaj, w razie gdyby Cain...

– Ale jesteśmy już zaproszeni na uroczysty lunch przez jednego z członków zarządu fundacji stypendium Sinclaira. Nie możesz nie pojechać!

– Będziesz musiał przekazać mu moje przeprosiny.

– Pozostali czekają na parterze, Freddie. Cieszyli się na poznanie ciebie.

– Zejdę na dół i spotkam się z nimi, żeby osobiście ich przeprosić.

Czuję się okropnie. Nie chcę zawieść Lea, ale jak mogłabym wyjechać dziś z miasta? A co, gdyby zadzwonił Cain i...

Opamiętuję się. Uświadamiam sobie, że jestem żalosna. Wyczekiwanie, aż ktoś będzie mnie potrzebował, nigdy nie było w moim stylu.

– Wrócimy dzisiaj, tak? – upewniam się.

– Jasne. Rockport to tylko godzina jazdy. Wrócimy przed obiadem.

Jeszcze przez chwilę się waham.

– Daję słowo, Freddie, będziesz w domu najpóźniej o piątej. To właściwie jak dzień w biurze. – Otwiera kosz, żebym mogła do niego zajrzeć. – Upiekłem

ciasteczka.

Wyczuwam szczerść jego obietnicy... albo przynajmniej zapach ciasteczek.  
Ustępuję.

– Przyniosę płaszc.



Moja najdroższa Hannah!

Cóż za wspaniały facet z tego Lea! Jestem ogromnie rad, że dałaś mu moje imię.

Najpierw drobiazg: w Stanach wytarlibyśmy raczej kuchenną „ladę”, a nie „ławę”.

A zatem nasz Cain nie tylko jest byłym więźniem, lecz także ma motyw zamordowania Caroline Palfrey, a także Shauna Jacobsa! Oczywiście aby tego dokonać, potrzebowałby współnika, ale współników da się zdobyć. Można by się zastanawiać, dlaczego w ogóle był w bibliotece. Przecież niewątpliwie lepsze alibi stanowiłby pobyt w jakimś barze na drugim końcu miasta. Ale myślę też, że gdyby Caina nie było w BBP, nie mógłby przynajmniej usłyszeć krzyku swojej ofiary. A daje to pewną satysfakcję – chociaż przypuszczam, że nie można jej nawet porównać z uczuciem własnoręcznego odebrania życia Caroline Palfrey. Być może właśnie dlatego musiał dźgnąć nożem Whita? Teraz więc kwestią pozostaje tożsamość owego współnika. Musi to być ktoś przedstawiony na początku powieści. Może jeden ze strażników albo... OCH, MÓJ BOŻE – LEO!

Być może powinienem poczuć się urażony – lecz się nie czuję. Jestem zachwycony. I cóż za cudowny nieoczekiwany zwrot akcji! Ale dlaczego miałoby mnie to dziwić? W końcu przecież jesteś Hannah Tigone. Ja zaś jestem...

Twoim

Leo

## Rozdział dwudziesty trzeci

Katerina Wolanski jest z Londynu. Ma około pięćdziesiątki, wysoka, szczupła, ubrana cała na czarno. Obejmuje mnie na powitanie i całuje w oba policzki, w lewy dwa razy. Pachnie gardeniami. Dr Briton Ibe pochodzi z Somalii. Jest niski, utyka i nosi jaskrawożółtą kurtkę puchową oraz kozacką papachę. Uśmiecha się szeroko i często, ukazując olśniewająco białe zęby.

Oboje natychmiast polubiłam.

Leo nas sobie przedstawia i dodaje jedno czy dwa zdania o naszej pracy. Katerina pisze powieść spekulatywną, której akcja rozgrywa się w przyszłości odległej o tysiąc lat, a Briton pracuje nad satyrą polityczną będącą komentarzem na temat hipokryzji dyplomacji postkolonialnej. Oboje wydają się podekscytowani poznaniem autorki kryminałów.

Leo prowadzi nas do samochodu należącego do innej osoby mieszkającej w Carrington Square. To mercedes SUV z elektronicznie regulowanymi podgrzewanymi siedzeniami.

– Ktoś ci go pożyczył? – pytam, przyglądając się przyciskom na konsoli w drzwiach od strony pasażera, kontrolującym precyzyjnie wysokość, kąt odchylenia i temperaturę fotela.

– Pani Weinbaum – informuje z uśmiechem Leo.

– Ona tym jeździ?

SUV jest olbrzymi, a pani Weinbaum – drobna.

Leo wzrusza ramionami.

– Na to wygląda.

Briton i Katerina zajmują tylne siedzenia. Ja siadam z przodu obok Lea i sprawdzam, czy Cain może przysłał swój numer.

Leo czeka, aż schowam telefon z powrotem do kieszeni.

– Wszystko w porządku?

Kiwam głową i decyduję, że przestanę się martwić. Będzie jeszcze dość czasu, żeby porozmawiać z Cainem, zapytać go o zarzuty Justine Dwyer. Nie wątpię w niego, ale się zastanawiam. I żałuję, że nie mogę pomówić z nim teraz oraz że nie wypytałam go dokładniej, żeby mieć odpowiedź dla tej oficer śledczej.

Leo kieruje konwersacją, subtelnie wydobywa podobieństwa między nami czworgiem w zakresie pracy i życia. Rozmawianie jest łatwe, słuchanie jeszcze łatwiejsze i chociaż nie potrafię całkiem usunąć Caina ze swojej głowy, jestem w stanie uczestniczyć w tym towarzyskim spotkaniu i wnieść wkład w wymianę zdań.

Rockport zgodnie z zapowiedzią Lea znajduje się w odległości mniej więcej godziny jazdy od Bostonu. Podróż trochę się przeciąga, ponieważ szosa jest pokryta śniegiem, a poza tym po drodze zatrzymujemy się w Smith's Point na lunch z Chase'em Perkinsem, członkiem zarządu fundacji stypendium Sinclaira, i jego żoną Beccą. Właściwie moglibyśmy zasiedzieć się dłużej, gawędząc z naszymi dobroczyńcami przy pysznych przekąskach, gdyby golden retriever Chase'a nie spałaszował podanego pięknie posiłku, podczas gdy zwiedzaliśmy dom naszego gospodarza.

Odjeżdżamy głodni, ale zdecydowani umieścić tego spasionego psa w naszych powieściach. Wręcz zawieramy umowę, że uczynimy go wspólnym literackim motywem tegorocznych stypendystów przebywających w Carrington Square.

Wciąż jeszcze śmiejąc się z tego, wjeżdżamy do Rockport. Robię moim towarzyszom zdjęcie na nabrzeżu przed słynnym czerwonym domkiem rybackim. Zimno zniechęciło wystarczająco wielu turystów, żeby nie była to fotka trojga osób

pośród tłumu. Śmieję się z Britona, który podskakuje, aby się rozgrzać. Katerinie mróz nie daje się aż tak we znaki, ale też nie jest tak zafascynowana zimowym miejskim krajobrazem jak ja. Widziałam już wcześniej śnieg, jednak tylko na stoku narciarskim. Jest szczególna magia w tym, jak śnieg osiada na barakach żaglowników i szopach rybackich przy uliczce Artists' Row. Wygląda to jak fotografia z pocztówki zamrożona w czasie. Zalewa mnie nagle świadomość, że mieszkam i piszę w Stanach Zjednoczonych, i doświadczam na nowo zdumienia, że to jest moje życie.

Zdobyłam to stypendium opowieścią o Geraldine i swoistym destrukcyjnym żalu będącym następstwem szoku utraty, o długiej drodze do odbudowania rodziny bez niej, o nieukojonym gniewie mojej matki z powodu tej śmierci, wewnętrznym wycofaniu się ojca, mojej determinacji, by odnaleźć sens i cel tam, gdzie nie było żadnego. W rezultacie powstała nowela będąca czymś w rodzaju krzyku cierpienia i poczucia winy, z rozwiązaniem w postaci zdesperowanej i znużonej nadziei. To, że zdobyłam owo stypendium, zaskoczyło mnie nie mniej niż moich bliskich, a teraz jeśli pozwalam sobie o tym myśleć, boję się, że napisałam już wszystko, co miałam do powiedzenia. Nie ma już we mnie cierpienia, które mogłabym literacko eksploatować. Być może właśnie to miał na myśli Cain, gdy mówił o swojej pierwszej powieści. Chociaż najwyraźniej nie chciał ponownie wykorzystać tego, co w niej zawarł.

Wałęsam się na dworze, chłonąc wszystkie te widoki, podczas gdy Leo prowadzi Katerinę i Britona do sklepu z pamiątkami. Nie próbuje mnie namówić, żebym weszła razem z nimi do ciepłego wnętrza. Szepcze:

– Gdybym miał wybór, zostałbym z tobą tutaj, na zewnątrz, ale Briton uszkodzi sobie kręgosłup, jeśli nadal będzie tak podskakiwał.

– Idź, nie przejmuj się mną – mówię mu. – Chcę spróbować opisać to dla siebie, żeby zapamiętać.

Przytakuje, rozumiejąc moją potrzebę zamknięcia tych obrazów w słowach, i dołącza do Britona i Kateriny zmierzających w kierunku witryny sklepu z pamiątkami. Idę podjazdem za tym budynkiem na obludzone nabrzeże. Ktoś

posypał je solą, więc nie jest tak zdradziecko śliskie, jak mogłoby być. Znad wody wieje mroźny porywisty wiatr. Mogę niemal uwierzyć, że Gerry stoi obok mnie, widzi to samo co ja i czuje zimno oraz nikły smak soli w powietrzu. Odkąd przybyłam do Stanów Zjednoczonych, często mam wrażenie, że jest przy mnie – niemal jakby ofiarowała mi tę opowieść, dzięki której zdobyłam stypendium Sinclaira, żeby mogła zobaczyć to wszystko tutaj moimi oczami. Słyszę, jak śmieje się ze mnie, drwi z mojej dziwacznej potrzeby wyczarowania jej obecności, odnalezienia sensu w szczęśliwym przypadku i ślepym losie.

Dzwoni moja komórka i widzę na wyświetlaczu imię Caina. Przypuszczam, że w końcu postarał się o nowy telefon, i odczuwam ulgę, że na szczęście jestem sama i mogę swobodnie z nim porozmawiać. Pospiesznie ściągam rękawiczkę i odbieram.

– Halo... Cain?

Krzyk. Krzyk Caroline... albo Gerry. Sama już nie wiem.

– Kim jesteś?! – wrzeszczę do mikrofonu. – Czego chcesz?

Trzy, cztery, pięć uderzeń serca. Zaczynam myśleć, że dzwoniący być może się odezwie, i to mnie przeraża. A potem połączenie zostaje zerwane.

Brzęknięcie oznajmia nadejście esemesa. I znów wyświetlacz powiadamia mnie, że to Cain. Zdjęcie drzwi mojego mieszkania w Carrington Square. Stoję, wpatrując się w nie, przerażona, gniewna i niepewna, co mam teraz zrobić. Powiadomienie o drugiej wiadomości. Teraz zdjęcie drzwi mieszkania Caina... chyba. Ten sam styl i kolor, ale drzwi Caina nie wyróżniają się niczym szczególnym. Lecz to mogą być jego drzwi.

Mając wzrok utkwiony w ekraniku, nie widzę zbliżającego się Lea. Zdaję sobie sprawę z jego obecności, dopiero gdy staje obok mnie z kubkiem gorącej czekolady.

– Freddie, pomyślałem, że może chciałabyś... czy coś się stało?

Nie wiem, co mu powiedzieć. Pokazuję przysłane esemesem zdjęcia. Mówię o krzyku i o tym, co się wydarzyło w innych sytuacjach, gdy go słyszałam.

– Leo, chyba muszę wrócić... natychmiast.

Nerwowo przełyka ślinę.

– Miałem zaplanowane na dziś kilka rzeczy.

– Może mogłabym pojechać jakimś autobusem?

Zerka na zegarek.

– Dopiero za parę godzin. Mogłabyś też...

– Naprawdę muszę wracać – powtarzam.

Czuję się nagle uwięziona w Rockport, zmuszona do zwiedzania tego miasteczka, podczas gdy jakiś szaleniec prześladowuje Caina. I irracjonalnie, niesprawiedliwie jestem zła na Lea za to, że mnie tutaj przywiózł.

– Obiecałem Britonowi i Katerinie lunch z zupą z owoców morza...

– Na litość boską, Leo! – warczę. Łzy wciekłości napływają mi do oczu i obawiam się, że zaraz całkiem stracę panowanie nad sobą. – Proszę! Wiem, że rujnuję ci plany, ale gdybyś to ty znalazł się w podobnej sytuacji, pomogłabym ci!

Patrzy na mnie i powoli kiwa głową.

– Tak, proszę pani, myślę, że byś mi pomogła. – Wkłada mi w dłoń kubek z gorącą czekoladą. – Wypij to. Przyprawdżę Britona i Kat. Po drodze będziesz mogła zadzwonić na policję.

Teraz jest mi okropnie wstyd, że się na niego wydarłam. Gdy odchodzi, wykorzystuję te kilka chwil, by otrzeć łzy i wziąć się w garść.

Nie wiem, co Leo powiedział Britonowi i Katerinie, ale wydają się nie żywić do mnie urazy ani nie mieć mi za złe, że przedwcześnie zakończyłam naszą wycieczkę. Wychodzą ze sklepu z zakupionymi pamiątkowymi T-shirtami z wizerunkiem czerwonego domku rybackiego, zabawnymi długopisami i szklanymi kulami, w których pośród płatków śniegu unoszą się w wodzie plastikowe kraby. Spoglądają na mnie ze współczuciem.

Leo proponuje bardzo ostrożnie, żebyśmy zaopatrzyli się w kanapki na drogę, ponieważ nie zatrzymamy się na lunch, a ja czuję się jak ostatnia łajdaczka.

– Pozwólcie mi je kupić – mówię. – W ramach przeprosin za zepsucie wam tego dnia. Czy któreś z was czegoś nie jada?

Okazuje się, że Briton też jest wegetarianinem, a Kat nie lubi jajek. Wbiegam do restauracyjki na rogu i zamawiam na wynos dwie kanapki ze smażonymi małżami, dwie sałatki jajeczne na kromkach żytniego chleba i cztery porcje krojonych ręcznie frytek, po czym wracam do mercedesa.

Kiedy wyjeżdżamy z Rockport, dzwonię do Justine Dwyer i wyjaśniam, co się stało. Opowiadam jej, co się zdarzyło, gdy poprzednio odebrałam podobne esemesy i telefony.

Pyta mnie o szczegóły.

– Czy ten krzyk brzmiał podobnie jak ostatnim razem?

– Tak, dokładnie tak samo jak tamten kobiecy krzyk.

– I jesteś pewna, że na tym drugim zdjęciu są drzwi wejściowe mieszkania pana McLeoda?

– Nie – przyznaję. – Ale to możliwe. Szczerze mówiąc, kiedy byłam u niego, nie zwróciłam uwagi na drzwi, i nie było w nich niczego wyjątkowego, co zapadałoby w pamięć. Po prostu drzwi.

– Dobrze. Zaraz po powrocie do Bostonu przywieź mi swój telefon. Na wszelki wypadek wyślę wóz patrolowy, żeby sprawdzono, co się dzieje w mieszkaniu pana McLeoda.

Kiedy się rozłączam, w samochodzie zapada niezręczna cisza i uświadamiam sobie, że moi towarzysze słyszeli przynajmniej połowę tej rozmowy telefonicznej. Briton i Katerina z pewnością zastanawiają się, w co, u licha, się wplątałam. Wyjaśniam im więc pokrótce – mówię o Caroline, dziwnych telefonach i Whicie dźgniętym nożem.

Oboje słuchają, od czasu do czasu wzdychając cicho i cmokając z dezaprobatą. Z jakiegoś powodu staram się, na ile to możliwe, nie mieszać do tego Caina, więc nie wspominam o Boo. Leo spogląda na mnie, unosząc brew. Orientuje się, co



pominęłam w swojej relacji. Ta chwila mija, ale zdaję sobie sprawę, że on wie. Jednak nie wygłasza żadnej uwagi.

Jedzie prosto do komisariatu i obiega samochód, by otworzyć moje drzwi, a ja żegnam się z pozostałymi.

– Odprowadzę cię do środka – mówi, gdy wysiadam.

– Dzięki, ale poradzę sobie. – Uśmiecham się. – To policyjny komisariat. Nigdzie nie byłabym bezpieczniejsza.

Leo wzdycha z niezdecydowaniem.

– Odwiozę tamtych dwoje do domu i wrócę po ciebie... albo po to, co z ciebie zostanie.

– Idę tam, żeby złożyć skargę, a nie oddać się w ręce służb. – Obejmuję go. – Dziękuję ci za dzisiejszy dzień. Przykro mi, że go zrujnowałam. Nie wracaj po mnie. Nie mam pojęcia, jak długo to potrwa, i mogę pojechać do domu metrem albo uberem, jeśli Justine mnie nie podwiezie.

Marszczy brwi.

– Justine?

– Oficer śledcza Dwyer.

– Nie wiedziałem, że jesteście przyjaciółkami.

– Nie jesteśmy. Tylko znajomymi mówiącymi sobie po imieniu.

Leo ustępuje.

– Dobrze, ale jeśli jednak będziesz chciała, żebym po ciebie przyjechał, po prostu dzwoń.

– Dzięki, Leo.

Dyżurny funkcjonariusz za kontuarem prowadzi mnie do pokoju przesłuchań i prosi, żebym zaczekała. Po mniej więcej pięciu minutach wchodzi oficer śledcza Dwyer.

– Czy z Cainem wszystko w porządku? – rzucam natychmiast.

– Wysłałam do jego mieszkania policjantów w wozie patrolowym, żeby na niego poczekał. Ale on zniknął bez śladu.

Czuję ulgę... chyba.

– Winifredo, czy przychodzi ci na myśl, gdzie mógłby być?

– Zamierzał kupić nowy telefon, a potem zadzwonić do matki i swojego agenta... albo może chciał się z nim spotkać. Możliwe, że jest właśnie u niego.

– Znasz nazwisko tego agenta?

– Nie, ale zapewne znają je wydawcy Caina.

Pokazuję jej te przysłane esemesem zdjęcia drzwi, a ona zabiera mój telefon.

Proszę ją, żeby skopiowała te zdjęcia i zwróciła mi komórkę.

– Wszyscy moi przyjaciele i rodzina znają ten numer, a już raz musiałam go zmienić.

Justine zamienia kilka słów ze swoim kolegą, po czym oznajmia mi, że spełnią moją prośbę. Czekam prawie godzinę, podczas gdy wykonują niezbędne czynności, i wreszcie oddają mi telefon.

– Posłuchaj, Winifredo, zdołaliśmy ustalić tylko, że te esemesy i połączenia telefoniczne pochodzą z komórki, którą Cain McLeod, jak twierdzi, zgubił.

– To ma sens – odpowiadam ostrożnie. – Ktokolwiek zabrał ten telefon i wysłał mi poprzednim razem ostrzeżenie...

– Ostrzeżenie? Uważasz to za ostrzeżenie?

Wzruszam ramionami.

– A czym innym miałoby być?

– Groźbą.

Przyznaję jej rację. Nie chcę się spierać o semantykę.

– Rzecz w tym, Winifredo, że zmieniłaś numer. – Justine mówiąc, przygląda mi się uważnie. – To wyklucza możliwość, że mogłoby tu chodzić o jakiegoś dzieciaka czy dowcipnisia.

– Nigdy tak nie myślałam.

– Ktokolwiek telefonował i wysyłał te esemesy, w obydwu przypadkach znał twój numer. Za pierwszym razem ten numer był zapisany w komórce McLeoda, ale teraz tak nie jest. Zadzwonił do ciebie ktoś, kto zna twój aktualny numer.

Przytakuje powoli. Logika tego wyводу jest nie do obalenia, a wniosek budzi we mnie niepokój i odrazę.

Justine kładzie przede mną skoroszyt i pióro.

– Winifredo, chcę, abyś wypisała nazwiska wszystkich, którzy znają twój nowy numer. Nie pomiń nikogo, bez względu na to, jak absurdalna wydawałaby ci się myśl, że mógłby być potencjalnym podejrzanym.

Spełniam jej prośbę. Długość tej listy mnie zaskakuje. Wydaje się prawie niemożliwe, że w ciągu dwóch tygodni mogłam podać swój numer telefonu tylu ludziom. Rzecz jasna rodzinie i kilku osobom w moim kraju. Oczywiście Whitowi, Marigold i Cainowi, ale także ojcu Whita, Leo, członkom zarządu fundacji stypendium Sinclaira, Joemu i dozorczy domu Carrington Square, kilkorgu moim sąsiadom, w tym pani Weinbaum oraz jej prawnikom, Bostońskiej Bibliotece Publicznej, dwóm różnym pizzeriom dostarczającym zamówienia do domów, ambasadzie australijskiej i konsulatowi. I wreszcie bostońskiemu wydziałowi policji oraz oficer śledczej Dwyer.

Justine rzuca okiem na listę.

– Jeśli przyjdzie ci do głowy ktoś jeszcze...

– Niezwłocznie dam ci znać.

Justine wstaje.

– Odwiozę cię do domu, na wszelki wypadek sprawdzę twoje mieszkanie i zamienię kilka słów z ochroniarzem budynku.

Ja również się podnoszę, zadowolona, że ta rozmowa wreszcie dobiegła końca. Muszę pomyśleć, a nie potrafię tego zrobić pod czujnym spojrzeniem oficer śledczej.

– Dopilnuję, żeby policjanci z wozu patrolowego mieli na oku wasz budynek – ciągnie Justine. – A gdyby skontaktował się z tobą pan McLeod, chcemy natychmiast się o tym dowiedzieć... dla jego własnego bezpieczeństwa.

– Nie jestem pewna, czy...

– Jeżeli te zdjęcia są zamierzone jako ostrzeżenie czy groźba i jeśli wziąć pod uwagę, co stało się poprzednim razem panu Mettersowi, pan McLeod może znajdować się w niebezpieczeństwie.



Droga Hannah!

Zauważam, że w tej powieści ani razu nawet nie napomknęłaś o globalnej pandemii. Oczywiście rozumiem – wszyscy mamy już dosyć jej i wszystkiego, co się z nią wiąże. Uważam jednak, że obowiązkiem pisarza jest dawanie świadectwa nie tylko światłu, lecz również mrokowi. Bez jakiegokolwiek wzmianki o tym wirusie twojej powieści grozi bycie przestarzałą, jeszcze zanim zostanie opublikowana.

Oczywiście mogłaś umieścić akcję tej książki w przyszłości, w okresie, kiedy będziemy mieli już to wszystko za sobą. Ale pozwól mi powiedzieć, że to nadzwyczaj optymistyczne. W świecie bez tej choroby musiałyby występować latające samochody i ofiary broni laserowej. Pisanie powieści współczesnej, w której nie pojawia się pandemia, to z pewnością tworzenie raczej fantastyki niż kryminału.

Nie proponuję, żebyś przerobiła całą książkę. Po prostu od czasu do czasu umieść aluzję do tego, że świat nie wygląda tak jak wcześniej. Na przykład w tym ostatnim rozdziale Freddie i jej towarzysze mogliby nosić maseczki. Freddie mogłaby wybierać między stylami maseczek, a nie żakietów. Mogłabyś również przedstawić narastające napięcia pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami noszenia maseczek, czyniąc twoich bohaterów świadkami sporu tych dwóch grup. W istocie, zgodnie z sugestiami z mojego poprzedniego listu, ten spór mógłby się przerodzić w śmiertelne starcie. Zapewniam cię, to wcale nie jest nieprawdopodobne, by zwolennik noszenia maseczek został uduszony swoją własną przez kogoś z przeciwnego obozu.

Bycie świadkiem takiego poziomu przemocy mogłoby też w pełni uzmysłwić Freddie, z jakiego rodzaju człowiekiem się związała. Mogłoby to także umożliwić jej dokonanie porównania, gdy odtwarza w wyobraźni scenę wbicia przez Caina

noża w szyję jego ojczyma. Niewątpliwie odgrywa to w umyśle, rozmyśla o tym fakcie. Czy ją to przeraża, czy może uważa to za dziwnie ekscytujące, nawet podniecające erotycznie? Chyba musimy szerzej przedstawić ten wątek w jej monologu wewnętrznym.

Moja droga, nie obawiaj się penetrować twoją twórczością mrocznych obszarów. Świat staje się coraz mroczniejszym miejscem, a morderstwo musi obecnie rywalizować z chorobą, zaniedbaniami i przyrodzonym ludzkim egoizmem.

Twój

Leo

## Rozdział dwudziesty czwarty

Przeszukanie mojego mieszkania nie powoduje takiego chaosu jak u Caina, jednak jest gruntowne. Obejmuje wszystkie pomieszczenia i szafy, wszelkie miejsca, w których mógłby się ukrywać jakiś intruz. Zagląda Leo i przedstawiam go Justine Dwyer. Nie zostaje długo i prawie się nie odzywa, tylko ujmuję mnie za ramię i pyta, czy dobrze się czuję.

Justine rozmawia z portierem na służbie, którym dziś nie jest Joe. Ostrzega go, aby był czujny i zwracał uwagę na każdą nieuprawnioną osobę odwiedzającą Carrington Square. Mężczyzna, którego nazwiska nie potrafię sobie przypomnieć, wydaje się trochę dotknięty sugestią, że mógłby przepuścić jakiegoś niepożądanego gościa.

Po wyjściu Justine wracam do mieszkania i zamykam drzwi na zasuwę. Staram się zanadto nie niepokoić tym, że Cain jeszcze nie zadzwonił. Rozważam wszelkie możliwe scenariusze. Zwijam się w kłębek na sofie i próbuję uporządkować myśli kłębiące się w moim otępiałym i nieco przestraszonym umyśle. Dziś rano obudziłam się obok Caina. Pamiętam ciężar jego lewej ręki spoczywającej na moim ramieniu, jego prawą rękę pod poduszką, rysy twarzy wyglądającej tak chłopczo, gdy spał. Zastanawiam się nad bliznami na jego ciele, śladami kary, przemocy oraz operacji wyrostka robaczkowego. A jednak wciąż podziwiam, że wszystko to nie wywarło na niego destrukcyjnego wpływu. Nie ma w nim nawet cienia goryczy czy urazy.

Pocieram twarz i otrząsam się z tych rozważań, świadoma, że mogłabym spędzić resztę dnia na rozmyślaniu o Cainie, gdybym sobie na to pozwoliła. Otwieram laptop i zmuszam się, by znów skupić uwagę na manuskrypcie. Włączam Justine Dwyer w tok narracji. Planowałam uniknąć opisywania policji, gdyż wymaga to specjalistycznej wiedzy o metodach jej działania. Przypuszczam jednak, że już zyskałam niezbędne kompetencje w tym zakresie, bez względu na to, czy mi się to podoba, czy nie. Szkicuję postać mojej policjantki – ambitnej, oddanej swojej pracy służbistki niepozbawionej wszakże ludzkich cech. Pomimo twardego szkolenia, jakie przeszła, twarz ma szczerą i ożywioną. Uśmiecha się przy powitaniu. Ma męża, który lubi malować figurki fantasy, oraz trzy syjamskie koty.

Popołudnie wolno przepelza w wieczór, a ja wciąż nasłuchuję telefonu od Caina. Puls mi skacze, gdy rozbrzmiewa brzęczyk interkomu z portierni.

– Panno Kincaid, przyszły dwie osoby. Utrzymują, że są pani przyjaciółmi. Niejaki pan Whit Metters i panna Marigold Anastas. Mam ich przepuścić czy zadzwonić na policję?

– Proszę, przyślij ich do mnie na górę... Chris.

W końcu przypomniałam sobie imię tego pracującego dorywczo portiera. Wypowiadam je trochę zbyt głośno, gdy przebija się przez lukę w mojej pamięci. Krzywię się, mając nadzieję, że on się nie zorientował.

– Co się dzieje? – pyta Marigold, gdy otwieram drzwi. – Dlaczego ten gestapowiec sprawdza każdego, kto tutaj wchodzi?

Wprowadzam ich do środka i opowiadam o połączeniu telefonicznym i esemesach z dawnej komórki Caina.

Whit obejmuje mnie ramieniem.

– Dobrze się czujesz?

Kiwam głową.

– Kiedy zdarzyło się to poprzednim razem, to były twoje drzwi, a potem zostałeś zaatakowany.

– Gdzie Cain? – pyta Marigold.

– Nie wiem. Miał do mnie zadzwonić, gdy tylko kupi nowy telefon, ale się nie odezwał.

Widzę, że niepewnie wymieniają spojrzenia.

– Może po prostu zgubił twój numer – rzuca z roztargnieniem Whit.

– Zastanawiam się, dlaczego Cain nie wspomniał, że to jego matka wezwała policję – mówi wolno Marigold. – Dlaczego nie wspomniał, że tam była?

– Skąd o tym wiesz? – pytam ostro, gdyż nie powtórzyłam jej tego, co usłyszałam od Justine Dwyer.

– Marigold odszukała w internecie i przeczytała akta sądowe – wyjaśnia ze znużeniem Whit.

Nie potrafię się zorientować, czy jego większą dezaprobatę budzi samo przeczytanie przez nią tych akt prawnych, czy ich treść.

Wbijam w Marigold ciężki wzrok.

– Nie patrz tak na mnie – mówi. – Nie mogłam pojąć, jak to było możliwe, że on trafił do więzienia za działanie w samoobronie. Pomyślałam, że być może znajdę coś, co mogłoby mu pomóc.

– Coś, czego nie dostrzegli jego obrońcy? – pytam z powątpiewaniem.

Marigold uśmiecha się nieznacznie.

– Czyż nie wspominałam, że jestem kimś w rodzaju geniusza?

Lecz nie zamierzam pozwolić, by ta rozmowa przybrała żartobliwy charakter.

– Gdy ojczym go zaatakował, matka Caina zamknęła się w swoim pokoju. Być może Cain nie chciał, żebyśmy źle o niej myśleli.

– Nie, on ją zamknął i schował klucz, zanim jego ojczym dotarł do domu – mówi spokojnie Marigold. – Zeznał, że wiedział, w jakim nastroju jest ten człowiek, i obawiał się, że matka będzie próbowała obronić go przed ojczymem i sama najbardziej ucierpi. Oboje twierdzili, że funkcjonariusz policji Manners był brutalny i agresywny.



– Jak to twierdzili? – rzucam, czując, że wzbiera we mnie gniew. – Oczywiście, że był brutalny i agresywny.

Marigold ujmuje mnie za rękę.

– Oczywiście. Nie zamierzałam... – Urywa i bierze głęboki wdech. – Posłuchaj, Freddie, postanowiłam odszukać adwokatów, którzy bronili Caina w sądzie. Miałam nadzieję, że być może będą potrafili mi powiedzieć, dlaczego dostał taki surowy wyrok. Według akt jego obrończynią była Jean Le Marque z firmy prawniczej o nazwie Hockey Cole.

– Więc ją odnalazłaś?

Marigold znowu wymienia spojrzenia z Whitem.

– W końcu tak. Wymagało to trochę grzebania w dokumentach.

– No i co?

– Jean Le Marque nadal jest prawniczką, ale wzięła ślub i przyjęła nazwisko męża. Nazywa się teraz Jean Metters.

Na moment odbiera mi mowę. Odwracam się natychmiast do Whita.

– Twoja matka? Adwokatką Caina była twoja matka?

Wstaję, zbyt wstrząśnięta, by móc nieruchomo siedzieć.

Whit się nie odzywa.

– Tak, mama Whita – odpowiada za niego Marigold. – To kolejna kwestia, o której Cain nie wspomniał.

– Ona też o tym nie wspomniała.

I znów głos zabiera Marigold, nie Whit.

– Freddie, to się działo piętnaście lat temu. Sprawa Caina była jedną z tysięcy, w których broniła, a poza tym Cain zmienił nazwisko. To zrozumiałe, że mogła go nie rozpoznać. Trochę trudniej uwierzyć, że on nie miał pojęcia, kim ona jest.

– Co ty mówisz?

Marigold przygląda mi się, jak chodzę po pokoju.

– Można by się zastanawiać, czy to, że spotkaliśmy się wszyscy w bibliotece... a w każdym razie Cain i Whit... rzeczywiście było tylko przypadkiem.

Czuję się, jakbym miała zaraz upaść. Autobus się rozbił.

– Czy rozmawiałaś z matką Whita? – pytam wreszcie.

Whit kręci głową.

– Nie, nie rozmawiała. Gdyby matka wywęszyła, kim jest Cain, kazałaby go aresztować za pchnięcie mnie nożem.

– On tego nie...

– Wiem. Nie myślę, że to zrobił.

Whit oznajmia to stanowczo. Zbyt stanowczo. W gruncie rzeczy mówi do Marigold. Jestem oburzona jej niestałością.

– Nie bądź na mnie zła, Freddie – prosi błagalnym tonem. – Wiesz, że bardzo lubię Caina. Tylko po prostu nie rozumiem, dlaczego o niczym nam nie powiedział. Do diabła, mama Whita była jego adwokatką! Ale nawet o tym nie pisał.

Siadam i przez chwilę usiłuję domyślić się powodów takiego zachowania Caina. W końcu wzruszam ramionami i mówię:

– Sama nie wiem. Cain chciał pozostawić za sobą tę część swojego życia. Być może uznał, że skoro matka Whita go nie rozpoznała, nie ma sensu poruszać tej kwestii. Albo może on też jej nie rozpoznał.

Whit przychodzi mi w sukurs.

– Mama w ciągu minionych pięciu lat miała sporo pracy. Słyszałem, jak tata mówił, że ona przypomina bardziej kotkę chadzającą własnymi drogami niż kobietę, którą poślubił.

Uśmiecham się słabo z wdzięcznością. Whit nadal jest po stronie Caina. Trochę mnie to uspokaja i myślę teraz jaśniej. Justine nie wspomniała o Jean Metters. Powiedziała mi o powiązaniu między Caroline Palfrey a Cainem, ale nie o tym.

– Czy policja wie?

– O ile się orientuję, nie – odpowiada Marigold. – Gdyby to odkryli, zapewne przydzieliliby ochronę mamie Whita. – Przęłyka nerwowo. – Nie powiedzieliśmy im o tym.

– Dlaczego?

– Tak naprawdę – mówi Marigold, gładząc podstrzyżone brzytwą włosy – dlatego że Whit mi nie pozwolił.

– Pomyślałem, że powinniśmy najpierw porozmawiać z Cainem. – Whit siada w swobodnej pozie. – Może to tylko przypadek. Takie rzeczy się zdarzają.

– No tak – mówię niepewnie.

– Stale słyszy się o różnych zbiegach okoliczności – kontynuuje Whit. – Bliźniaki rozdzielone po narodzinach, które jako dorosłe osoby odkrywają, że mieszkają na tej samej ulicy.

Marigold przygląda się z powątpiewaniem nam obojgu.

– Wiecie, że nie pomagacie Cainowi, odmawiając przyjęcia do wiadomości tego, co oczywiste.

– Nie zaprzeczam faktom, tylko wysnuwanym z nich wnioskowi. – Apeluję do Marigold, która była przekonana, że my czworo jesteśmy wyjątkowi, a przyjaźń taka jak nasza zdarza się raz na sto lat i była nam przeznaczona. – Chyba nie myślisz, że Cain byłby zdolny do popełnienia morderstwa?

– Nie, nie myślę – odpowiada stanowczo. – Lecz wiem też, że mogę się mylić. Cain jest czarujący, dowcipny, przystojny, ale Ted Bundy też taki był.

– Bundy! – wykrzykuję, zszokowana tym porównaniem. – Uważasz Caina za seryjnego mordercę?

Marigold wzdycha.

– Nie – powtarza cierpliwie. – Niekoniecznie. Mam na myśli tylko to, że nie można wyrokować o winie czy niewinności jedynie na tej podstawie, że dana osoba jest sympatyczna. Socjopaci często są uroczy; wiedzą, jak wzbudzać w innych miłość do nich. Ale nie funkcjonują według tych samych zasad co my. Nie odczuwają skruchy ani wyrzutów sumienia, za to potrafią manipulować ludźmi i sytuacjami.

Jęcę cicho. To absurd.

– Cain spędził siedem lat w więzieniu za to, że działał w obronie własnej. Trudno uznać to za rezultat mistrzowskiej manipulacji!

– Czego od nas oczekujesz, Freddie? – pyta mnie cicho Whit. – Bardzo chętnie postąpię zgodnie z tym, co podpowiada ci w tej sprawie intuicja.

Potrząsam głową.

– Wiem, że to nie wygląda dobrze, ale na pewno istnieje jakieś wyjaśnienie. Cokolwiek się tutaj dzieje, to nie Cain jest za to odpowiedzialny.

Nawet ja słyszę, że mówię zbyt głośno i kategorycznie. Uświadamiam sobie, że powodem jest moja skrywana niepewność. I przeraża mnie, że być może zaczynam wątpić w Caina, a jednak wiem, że go kocham.

Po moich słowach zapada cisza, którą w końcu przerywa Marigold.

– Dobrze – mówi. – Właśnie tak postąpimy. – Uśmiecha się, znów lojalna i serdeczna. – Konam z głodu. Jedliście już?

Zaprzeczam ruchem głowy, zaskoczona jej niespodziewanym odwrotem.

– Coś dla nas przyrządzę – oświadcza. – Nie masz nic przeciwko temu, żebym pomyszkowała w kuchni?

– Nie, oczywiście, że nie. Czy mogę ci pomóc?

Kręci głową.

– Wolałabyś nie być ze mną w tym samym pomieszczeniu, kiedy gotuję. To nie jest miły widok.

Tak więc Marigold hałasuje w kuchni, podczas gdy Whit i ja siedzimy w salonie. Wskazuję mu butelkę porto na regale, a on nalewa nam wszystkim drinki. Marigold nuci coś, nadal grzechocząc i łomocząc naczyniami.

– Jak myślisz, gdzie jest Cain? – pyta mnie Whit. – Chcesz go poszukać?

– Nie miałabym pojęcia, gdzie zacząć – odpowiadam.

Uświadamiam sobie, że nade wszystko niepokoję się o Caina. Martwię się bardziej o jego fizyczne bezpieczeństwo niż tym, że mógłby zostać oskarżony o morderstwo. Nie mam żadnego prawa spodziewać się, że zadzwoni, z wyjątkiem tego, że obiecał. Uśmiecham się do Whita, wciąż wdzięczna za jego wsparcie i za wiarę w Caina.

– Chyba będzie lepiej, jeśli zaczekam na niego tutaj – dodaję.

Whit kiwa głową.

– A ja po obiedzie może pojechałbym do jego mieszkania? Rozejrzałbym się za jakimś śladem. Zadzwoń, jeśli znajdziesz Caina.

Ujmuję jego dłoń.

– Dziękuję ci.



Droga Hannah!

Czy Whit pozbiera kawałki złamanego serca Freddie? Ale co z Marigold? Powiedz, że to nieprawda!

A tak serio, moja przyjaciółko: powieści kryminalne powinny stosować się do powszechnych zasad moralnych. Ich bohaterowie mają zbierać to, co zasiali. Freddie wybrała zakochanie się w mordercy – uczyniła to świadomie. Powinna ponieść konsekwencje swojej decyzji. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że trzymanie w odwodzie Whita to oszustwo. Być może mój imiennik w Twojej powieści ma rację i rzeczywiście wszyscy piszemy romanse. Wszelkie reguły fair play obowiązujące w miłości mówią mi, że Freddie nie powinna zostać uratowana przed skutkami własnego wyboru.

Mamy tutaj teraz zwiększoną obecność policji na ulicach – myślę, że raczej w reakcji na protesty niż z powodu niedawnej serii zabójstw dokonywanych przez osoby inne niż policjanci. Nużące jest to oburzenie naturalnym porządkiem rzeczy. Obywatele w maskach i liczne siły policyjne w pogotowiu. Doprawdy, ten nowy świat jest nader dziwny. Czasami budzi we mnie melancholię, a kiedy indziej wprawia mnie w euforię.

Zakładam, że dla Freddie i spółki jest jeszcze przed Gwiazdką czy Wigilią Wirusa, jeśli wolisz, ale naprawdę uważam, że popełniasz błąd. Choć rozpoczęłaś tę opowieść przed początkiem końca gry, wydaje się olbrzymim marnotrawstwem niezaczerpnienie inspiracji z tego nowego porządku, nieumieszczenie akcji tej książki trochę później, tak abyś mogła wprowadzić

atmosferę strachu i wyparcia panującą w naszych czasach. Moim zdaniem obecny stan świata stanowi idealną przykrywkę dla człowieka o skłonnościach Caina, doskonałą osłonę dla śmierci zadawanej na różne sposoby. I być może uczyniłby on mimowolny współudział Freddie bardziej zrozumiałym – ostatecznie przecież co w tej sytuacji znaczą dwa trupy więcej? Wiem, że pragniesz opowiedzieć historię o przyjaźni, miłości i podejrzeniu, i nie chcesz, by autobus Freddie zatrzymał się na przystanku pandemii, ale radzę Ci: niech za kierownicą siedzi wirus!

I powiedz Freddie, żeby przestała flirtować z Whitem!

Twój

Leo

## Rozdział dwudziesty piąty

Marigold serwuje pizzę na podpłomyku, a nie na zwykłym cieście. Nie mogąc znaleźć blachy do pizzy, używa do pieczenia zwykłej, więc pizza jest prostokątna, ale pyszna. Jemy ją z sałatą i popijamy winem, rozmawiając o zwyczajnych, codziennych sprawach i odczuwając nieobecność Caina podczas tej naszej imprezy. Jesteśmy jako grupa niezbalansowani, wytrąceni z równowagi. Gdy zmywamy naczynia, Whit napomyka, że zamierza poszukać Caina.

Widzę, że Marigold pragnie mu towarzyszyć.

– Zabierz ją ze sobą – proponuję. – Dopiero niedawno doszedłeś do siebie po tym dźgnięciu nożem. Byłabym spokojniejsza, wiedząc, że ona jest przy tobie.

– A co z tobą? – pyta Marigold.

– Poradzę sobie. Będę pracowała i czekała na telefon od Caina.

Marigold się waha, ale nalegam.

– Idź.

– Wiesz, że to, co wcześniej powiedziałam, nie oznacza, że nie martwię się o...

– Oczywiście, wiem. A teraz już idźcie sobie i pozwólcie mi popracować.

– Znajdziemy go – zapewnia z powagą Marigold.

Obejmuję ją, aby wiedziała, że nie żywię do niej urazy.

I rzeczywiście tak jest. Wszystko, co mówiła, było rozsądne, sensowne i powiedziane w dobrej wierze. Być może straciłam serce dla Caina, ale nie straciłam rozumu.

Zabieram się znowu do pracy i staram się wprowadzić mój autobus z powrotem na drogę. Trudno mi się skupić, ale teraz sama w cichym mieszkaniu przynajmniej mogę dopuścić do siebie lęk, że zostałam oszukana, okazałam się zadurzoną idiotką. Przez jakiś czas płaczę sfrustrowana, upokorzona, a także przestraszona, że to ani trochę nie zmniejsza mojej tęsknoty za Cainem.

Pochłonięta własnym nieszczęściem, w pierwszej chwili ledwie zauważam na komputerze powiadomienie o przychodzącym połączeniu wideo. Nie bardzo wiem, dlaczego je sprawdzam – rozmowa z kimkolwiek to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, jednak otwieram aplikację. Profil użytkownika nie ma nazwy ani zdjęcia, jednak widzę teraz, że ten sam numer próbował się ze mną połączyć już trzy razy. Akceptuję połączenie i na ekranie pojawia się twarz Caina. On jest na dworze, w jakimś dość dobrze oświetlonym miejscu, bo dostrzegam za nim drzewo, a w tle ludzi w oddali.

– Freddie! Bogu dzięki! – Wyraz jego twarzy się zmienia. – Ty płaczesz. Och, Freddie, tak mi przykro.

– Nie zadzwoniłeś – wykrztuszam świadoma tego, jak żałośnie brzmią te słowa.

– Freddie, wysłuchaj mnie. Dziś rano po tym, jak wyszedłem od ciebie, policja chciała mnie aresztować.

– Jak to „chciała”?

– Chyba jestem teraz uciekinierem. Nie mogłem do ciebie zadzwonić z obawy, że założyli podsłuch w twoim telefonie.

– Dlaczego chcieli cię aresztować?

– Uważają, że zabiłem Caroline Palfrey i dźgnąłem nożem Whita. – Bierze głęboki wdech. – Okazało się, że Caroline była wnuczką sędziego, który mnie skazał. Nie wiedziałem o tym, Freddie, przysięgam.

– A co z matką Whita?

Jest wyraźnie zaskoczony.

– Rozpoznałem ją w szpitalu, ale ona chyba mnie nie poznała. Nie mogłem ci o tym powiedzieć bez wyjawienia wszystkiego innego, więc ostatecznie nic ci nie



powiedziałem. – Zamyka oczy. – To był błąd.

– Cain, gdzie jesteś? Nie możesz uciekać przed policją.

– Muszę ustalić, co się dzieje, Freddie. Ktoś mnie wrabia. Gdy tylko odkryję, kto i dlaczego, obiecuję, że oddam się w ręce policji.

Nie mogę o to nie zapytać.

– Cain, dlaczego wtedy zamknąłeś swoją matkę w jej pokoju?

Mruga zaskoczony.

– Ponieważ spodziewałem się, że ojczym tamtej nocy sprawi mi lanie, i wiedziałem, że będzie usiłowała go powstrzymać, a wtedy on ją pobije. Starłem się ją przed tym uchronić.

– Ona zadzwoniła na policję.

– Żeby ratować mnie, nie jego.

Biorę się w garść.

– Co mogę zrobić?

Uśmiecha się ze znużeniem.

– Nie wiem. Nie wiem nawet, co ja mogę zrobić.

– Kto chciałby cię wrobić, Cain? Ktoś z twoich byłych współwięźniów?

– O ile wiem, nie narobiłem tam sobie żadnych wrogów. Przez większość czasu się nie wychylałem.

– A co z tym mężczyzną, który cię dźgnął?

– On nie żyje, Freddie.

Nie pytam Caina ponownie, gdzie się ukrywa, ale informuję go, że Whit i Marigold wyszli go poszukać.

– Oni wiedzą o tym wszystkim? – pyta.

– Tak. Niedawno tu byli. Whit jest całkowicie po twojej stronie.

– Ale Marigold nie?

– Sądzi, że twoje spotkanie Whita tamtego dnia, gdy zamordowano Caroline Palfrey, to coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności.

Przez kilka uderzeń serca nie odzywa się, a potem mówi:

– Ona ma rację. – Patrzy prosto w kamerkę, więc widzę jego oczy. – Freddie, przysięgam, nie wiedziałem, kim jest Whit, dopóki nie spotkałem w szpitalu jego matki.

A ja mu wierzę. Ponieważ jestem w nim zakochana i nie chcę dopuścić do siebie myśli, że mogłam pokochać mordercę, jednak głównie dlatego, że po prostu mu wierzę.

Znów zaczynam płakać, bo cała ta sytuacja jest taka beznadziejna.

– O Boże, Cain, co my teraz zrobimy?

Czeka, aż trochę się uspokoję.

– Czy mogłabyś dowiedzieć się możliwie jak najwięcej o Caroline Palfrey? – pyta wreszcie. – Wszystko to zaczęło się od niej, od jej krzyku. Gdyby udało się nam ustalić, kto mógł chcieć ją zabić, być może...

– Oczywiście. Dowiem się, ile zdołam. – Nie mam pojęcia jak, lecz to nieistotne. Poradzę sobie. – Czy tamtego dnia, kiedy usłyszeliśmy wszyscy krzyk Caroline, po prostu przypadkiem przyszedłeś do biblioteki?

– Korzystam z tej biblioteki dość regularnie. – Marszczy czoło, usiłując sobie przypomnieć. – Wtedy przyszedłem specjalnie po to, by przejrzeć książkę, którą personel biblioteki dla mnie zdobył. Jeden z bibliotekarzy zadzwonił do mnie tamtego ranka i poinformował, że książka jest już dostępna.

– I była?

– Właściwie nie. Kiedy się zjawiłem, nie mogli jej znaleźć. Podczas gdy starali się ją odszukać, poszedłem do czytelnicy. A dlaczego pytasz?

– Jeżeli to, że ty i Whit przebywaliście w czytelnicy, kiedy Caroline krzyknęła, nie było zbiegiem okoliczności, w takim razie ktoś musiał zaaranżować, żebyście obaj się tam znaleźli.

Cain wypuszcza powietrze z płuc.

– Masz rację. Może ktoś ściągnął do biblioteki także Whita.

– Gdzie będziesz spał dzisiejszej nocy?

Uśmiecha się.

– Mam gdzie przenocować. Nie martw się o mnie, Freddie. Dam sobie radę.

Nie pytam go, gdzie spędzi noc. Muszę móc zgodnie z prawdą powiedzieć, że nie wiem, gdzie się ukrywa.

– Jutro w kinie Brattle jest seans o dziewiątej wieczorem – mówi. – Będę tam na ciebie czekał.

– Czy to nie jest ryzykowne?

– Jeśli mnie tam nie zastaniesz, to dlatego, że zauważyłem jakiegoś gliniarza.

Kiwam głową, już ciesząc się z tego, że się z nim zobaczę, będę mogła go dotknąć.

– Co będziesz robił? To znaczy jutro.

– Zamierzam się zorientować, czy ktoś wie cokolwiek o Boo. Kto mógł go zabić, kto mógł żywić do niego urazę. Jest coś, co łączy wszystkie te zdarzenia... jakiś powód tego, co się stało. Muszę go tylko znaleźć.

– Czy mam ci coś jutro przynieść?

Wygląda na zakłopotanego.

– Nie mogę użyć żadnej z moich kart kredytowych, gdyż policja obserwuje...

Przerywam mu, zanim musiałby poprosić.

– To żaden problem. Mam stertę gotówki, której nie wpłaciłam na konto.

Cain się krzywi.

– Przepraszam, Freddie.

– Nie masz za co przeproszać. – Uśmiecham się. – Schadzka późną nocą ze zdesperowanym uciekinierem... Która prawdziwa pisarka nie oddałaby wszystkiego za taki materiał?

Śmieje się.

– Twoja powieść trochę mnie przeraża. Jak ci idzie pisanie?

Przez kilka minut rozmawiamy o mojej pracy tak zwyczajnie, że aż wydaje się to surrealistyczne. Potem Cain mówi cicho dobranoc i przestrzega mnie, żebym była ostrożna. A kiedy okno na ekranie się zamyka, siedzę jeszcze przez jakiś czas

nieruchomo na krześle. Mam wrażenie, jakbym była wtulona w Caina, i pomimo niepokojących okoliczności rozkoszuję się tym doznaniem, jego ciepłą intensywnością. Jestem trochę zaskoczona moim bezgranicznym zaufaniem do Caina McLeoda, przekonaniem o jego niewinności. Pisarka we mnie obserwuje z pewnym dystansem moje własne reakcje. Czy ta wiara w Caina opiera się na intuicji, czy na ocenie jego charakteru? Oczywiście, to wydaje się sensowne, że pokochałam mężczyznę, któremu wierzę. Ale czy bycie zakochaną nie mąci mojego osądu? To trochę jak spór o to, co było pierwsze, jajko czy kura – nierozwiązywalny i bezsensowny. Niewątpliwie wierzę Cainowi i go kocham. Być może między tymi dwoma faktami istnieje jakiś luźny związek, lecz to nie czyni żadnego z nich mniej prawdziwym.

W salonie biorę z półki nad biurkiem, przy którym piszę, czysty japoński notatnik. Składa się z kartek złożonych w harmonijkę. Na ogół używam tych notatników już po napisaniu powieści. Nakreślam w nich schemat fabuły, żeby móc objąć całą historię jednym spojrzeniem i upewnić się, że wątki wymagające powiązania rzeczywiście są powiązane. Teraz sporządzam diagram wszystkich znanych mi zdarzeń sprzed i po krzyku Caroline, rysuję linie łączące wypadki i ludzi. Linie między Cainem a Boo, Cainem a Caroline, Cainem a Whitem, Whitem a Caroline, Marigold a Whitem. Zaczyna to przypominać jedną z sieci powieści Caina.

Obok szczegółów dotyczących tamtej nocy, gdy Boo zaatakował Caina, rysuję ramkę i wpisuję w nią wszystko, co mogę sobie przypomnieć z tego, co ten człowiek wtedy powiedział. Słowa, które zapadły mi w pamięć. „Czy ona wie, co zrobiłeś?”. Na pewno miał na myśli zabicie przez Caina jego ojczyma. Oczywiście wówczas o tym nie wiedziałam. I było coś jeszcze – co takiego? Powiedział: „Znowu to zrobiłem”, czy coś w tym rodzaju. Pamiętam, jak Cain wspomniał kiedyś, że Boo sypia w pobliżu Bostońskiej Biblioteki Publicznej. Czy mógł zabić Caroline?

Przypuszczam, że to możliwe. Jednak chociaż mógłby napaść na kogoś, jak zrobił tamtej nocy, gdy uderzył Caina butelką, nie potrafię go sobie wyobrazić

popelniającego starannie zaplanowane morderstwo, po którym zdołałby w ciągu kilku sekund ukryć ciało i samemu gdzieś się schować. Poza tym skąd Boo miałyby wiedzieć o matce Whita albo jak miałyby zaaranżować obecność tego chłopaka i Caina w czytelni?

Uświadamiam sobie, że rozmyślam o Marigold. Czy ją również coś łączy z przeszłością Caina, czy może jest – podobnie jak ja – jedynie biernym świadkiem, i tylko czysty traf sprawił, że usiadła wtedy akurat w tamtym miejscu i wpadła później w wir tych wydarzeń? Myślę o niewzruszonym przekonaniu Marigold, że nam czworgu było przeznaczone zaprzyjaźnić się ze sobą, o jej propozycji pomocy Cainowi w zdobyciu informacji dotyczących Isaaca Harmona oraz sposobie, w jaki zebrała informacje o samym Cainie. I mimo woli zaczynam się zastanawiać, czy jej zainteresowanie mogło wynikać z czegoś więcej niż zwykłego żywiołowego wścibstwa. Ta myśl sprawia, że czuję się niełojalna. Nie, jeśli Marigold także coś łączy z Cainem, w takim razie – podobnie jak on i Whit – została podstępem ściągnięta tamtego dnia do sali czytelni.

Otwieram notes, którego wtedy używałam, i przebiegam wzrokiem moje pierwsze notatki o Przystojniaku, Komiksowym Bohaterze i Freudystce. I znajduję to – przypuszczenie, że Komiksowy Bohater prześladowuje swoim uczuciem Freudystkę albo odwrotnie. Zmuszam się, by się uspokoić, i postanawiam zaufać temu pierwszemu instynktownemu wrażeniu: Marigold znalazła się w bibliotece, bo śledziła Whita. Usiadła obok niego w nadziei, że nawiązą rozmowę, zaprzyjaźnią się, może nawet zapoczątkują intymną relację. I częściowo tak się stało.

Jest już późno. Powinnam pójść spać. Prawdopodobnie nie zdołam przestać rozmyślać, będę leżała, wiercąc się i obracając z boku na bok, ale przynajmniej będę w łóżku. Spostrzegam złożoną kartkę wsuniętą pod moje drzwi wyjściowe. To notka od Lea, w której wyraża nadzieję, że doszłam już do siebie po wstrząsie wywołanym przez te esemesy i czuję się bezpieczna, napisana z jego zwykłym wdziękiem i staroświecką troskliwością. Oferuje czerwone wino i swoje życzliwe ucho, gdybym chciała porozmawiać.

Jednak nie korzystam z jego propozycji, tylko dzwonię do rodziców. Nie jesteśmy już taką rodziną, która prowadzi długie rozmowy o sensie życia czy czegokolwiek innego. Po śmierci Geraldine dziwnie oddaliliśmy się od siebie. To nie znaczy, że nie kochamy się nawzajem – kochamy się – ale wydaje się, że nasze życia nie są już ze sobą mocno splecione ani powiązane. Nigdy nie dzielimy się naszymi nadziejami czy marzeniami ani nie zwierzamy się z rozczarowań i obaw. Nasze rozmowy poruszają się zawsze po bezpiecznym neutralnym gruncie i prowadzimy je ostrożnie, jakby ktoś się nam przysłuchiwał. Teraz rodzice pytają o tutejszą pogodę i odpowiadam, że jest zimno. Wspominają, że kupili nowy samochód, a ja wypytuję o markę, model i kolor. Znajduję niejaką pociechę w banalności tej rozmowy. Jest jak tykanie zegara, miarowe i niezakłócone przez chaos, pośród którego rozbrzmiewa.



Droga Hannah!

Ona daje mu pieniądze? Chryste Pe – że zacytuję Marigold.

Co do Twojej prośby, zgoda. Rzeczywiście wiem, jak wyglądasz. Oczywiście wiem to już od kilku lat, ponieważ jesteś sławna. Zapewne więc pora na rewanż. Dołączam to, co w naszym współczesnym żargonie określa się jako selfie, zrobione w całej mojej maseczkowej świetności. Czapka baseballowa dodaje pewnego wsiowego szyku i zgodnie z trendem lansowanym przez amerykański przemysł filmowy czyni noszącego ją niewidzialnym. Lubię myśleć o tym jako o moim stroju rabusia banków.

Proszę, przyślij niezwłocznie kolejny rozdział!

Twój

Leo

## Rozdział dwudziesty szósty

Stoję przed drzwiami Lea, chociaż dochodzi dopiero ósma rano.

Otwiera w stroju do joggingu.

– Freddie! Cóż za miła niespodzianka. Wejdz.

Wchodzę do mieszkania, a gdy Leo przynosi kubek i nalewa mi kawę, zaczynam mówić.

– Leo, potrzebuję twojej pomocy.

– Ależ oczywiście. Czym mogę ci służyć?

– Pamiętasz, kiedy zabrałeś mnie do parku Magazine Beach, była tam dziennikarka robiąca zdjęcia?

– Lauren.

– Tak. Pracuje dla tabloidu „Rag”, prawda?

– Tak, proszę pani, zgadza się.

– Zastanawiałam się, czy mógłbyś mnie jej przedstawić.

– Lauren? Po co?

Biorę płytki wdech i prezentuję historyjkę, którą przygotowałam.

– Caroline Palfrey pracowała w „Ragu”. Postanowiłam napisać artykuł o jej śmierci dla jakiejś gazety w moim kraju. Kawałek w stylu „Australijka w Ameryce”. Pomyślałam, że jej współpracowniczka być może mogłaby mi o niej trochę opowiedzieć.

– Dlaczego do artykułu o twoich przeżyciach w Stanach Zjednoczonych potrzebujesz informacji o Caroline?

– Ponieważ fakt, że byłam wtedy w bibliotece i słyszałam jej krzyk, zmienił wszystko, co wiąże się z moim pobytem tutaj. Chcę użyć jej jako symbolu najwyższych aspiracji Ameryki zniweczonych przez szerzącą się w tym kraju przemoc.

Wstrzymuję oddech i czekam, mając nadzieję, że moja przemowa zabrzmiała dostatecznie przekonująco.

Leo wolno kiwa głową.

– Czy nie idzie ci pisanie powieści?

– Trochę utknęłam. Mam nadzieję, że napisanie tego kawałka mogłoby mnie nieco odblokować. A zamieszczenie artykułu w szanowanym czasopiśmie podniesie mój status pisarki.

Wzrusza ramionami.

– To niegłupi pomysł.

– Problem tylko w tym, że nie mam żadnego punktu zaczepienia. Chcę przedstawić Caroline jako realną osobę, a nie jedynie ofiarę zbrodni, i dlatego muszę się dowiedzieć, jaka naprawdę była.

Leo przygląda mi się, a ja mam nadzieję, że na mojej twarzy nie odbija się poczucie winy. To nie znaczy, że uważam, iż nie pomógłby mi, gdybym powiedziała mu prawdę. Jestem prawie pewna, że by pomógł. Lecz wtedy on też zostałby wplątany w tę sprawę. A chociaż gotowa jestem bez wahania zaryzykować własną wolność, aby pomóc Cainowi, wciągnięcie w to Lea nie byłoby w porządku.

– Miałam więc nadzieję, że może mógłbyś spytać Lauren, czy zechciałaby ze mną porozmawiać.

– Tak, proszę pani, myślę, że mógłbym. I sądzę, że z tobą porozmawia. Ale być może ty również będziesz musiała coś jej opowiedzieć. Zapewne zainteresuje ją, co usłyszałaś w bibliotece.



– Jasne, to wydaje się słuszne – odpowiadam przekonana, że mogę powiedzieć jej wystarczająco wiele bez narażania Caina.

– Zadzwońię do niej.

Uśmiecham się nieśmiało.

– Czy mógłbyś to zrobić teraz?

– Co? W tej chwili?

Przytakuję.

– Moja muza – wyjaśniam. – Chcę zacząć pisać, zanim opuści mnie naburmuszona.

Leo uśmiecha się i bierze telefon.

– Lauren? Mówi Leo. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie... Jakie masz plany na dzisiejszy ranek?... Chciałbym, żebyś spotkała się z moją przyjaciółką. Pomyśleliśmy, że moglibyśmy zaprosić cię na śniadanie... Jasne... ty wybierasz miejsce. Przyjazna Grzanka? Tak, proszę pani. O dziewiątej? Spotkamy się na miejscu.

Przyjazna Grzanka to popularna śniadaniownia w dzielnicy Back Bay. Wystrój jest nowoczesny, główną rolę odgrywają w nim odpowiednio dobrane kolory. Gdy się tam zjawiamy, Lauren już czeka. Ma na sobie niezobowiązujący ubiór: džinsy, gruby wełniany sweter oraz wełnianą czapkę, spod której wystają długie czarne włosy. Na oparciu jej krzesła wisi kurtka khaki. Kobieta uśmiecha się, całuje Lea w policzek i serdecznie ściska mi dłoń. Leo przedstawia mnie w pompatycznym stylu jako uosobienie wszystkich literackich nadziei Australii i zdobywczyńnię stypendium Sinclaira. Mówię Lauren, żeby nie zwracała uwagi na jego słowa i żeby mówiła mi po prostu Freddie. Za namową Lauren zamawiamy francuskie tosty i opowiadam jej o moim zainteresowaniu Caroline Palfrey i jego zmyślnym powodzie.

– Pomyślałem, że mogłybyście pomóc sobie nawzajem – mówi Leo. – Wiesz, Lauren, Freddie poznała tego bezdomnego mężczyznę, którego zamordowano

w pobliżu hangaru dla łodzi, a ty mogłabyś opowiedzieć jej o Caroline.

Jestem trochę zaskoczona tą transakcją wymienną, którą proponuje w moim imieniu, lecz tego nie okazuję.

– Jasne – odpowiada Lauren. – Co chcesz wiedzieć?

– Jakiego rodzaju historie Caroline pisała dla „Raga”?

Przewraca oczami.

– Caroline była autorką poważnych artykułów. Uważała się za przyszłą kandydatkę do nagrody Pulitzera.

– Czy pracowała nad czymś konkretnym?

– Razem z Whitem Mettersem nad jakimś sekretnym projektem, chociaż nie jestem pewna, czy rzeczywiście do siebie pasowali.

Z Whitem?

– Co masz na myśli?

– Traktowała ten projekt o wiele poważniej niż on. Ale Whit właściwie niczego nie traktuje naprawdę poważnie.

Wypowiadając jego imię, Lauren nieświadomie uśmiecha się szerzej.

– Czy przez jakiś czas mieli romans? – odważam się zapytać niepewnie.

– Tak, ale Whit uważał ją za zbyt ambitną. – Lauren ścisza głos. – On jest kobieciarzem. Do redakcji „Raga” stale wydzwaniało kilkanaście szukających go dziewczyn. Czasami udawał, że chodzi z Caroline, żeby je spławić. Niektóre z nich były trochę pomyłone.

Nie reaguję, a Leo mnie nie wydaje, chociaż wie, że Whit to mój Komiksowy Bohater i przyjaciel. I jestem mu wdzięczna za dyskrecję.

– Wiesz, kim były te dziewczyny?

Lauren prychnęła.

– Musisz zapytać Whita, chociaż nie mogę ci zagwarantować, że będzie znał ich imiona. Jest jednym z tych facetów, którzy mają całe grona wielbicielek. To chyba jakiś rodzaj zniewalającego uroku. Za tym chłopakiem łążą nawet małe psiaki.

– Myślisz, że Caroline mogła nadal darzyć Whita uczuciem?

– Wątpię... – Przerywa i po chwili zastanowienia zmienia zdanie. – Możliwe. Ciągłe wyciągała go z kłopotów.

– Jakiego rodzaju kłopotów?

– Zwykłych głupstw. Whit zawsze miał różne szalone pomysły. Sama nie wiem, ile razy niemal wyrzucono go z „Raga”. Caroline wstawiała się za nim, przekonywała redaktora naczelnego, żeby dał mu jeszcze jedną szansę.

– Więc byli co najmniej dobrymi przyjaciółmi? – pytam zdumiona tym, że Whit to przed nami ukrywał.

– Chyba tak. – Lauren się krzywi. – Właściwie niewiele miałam z nimi do czynienia. Caroline zachowywała wyniosły dystans, a Whit rzadko bywał w redakcji. Właśnie dlatego musieliśmy odbierać telefony od tych nieszczęsnych dziewczyn, które wyobrażały sobie, że on darzy je prawdziwą miłością.

– Przychodzi ci na myśl ktokolwiek, kto mógłby chcieć zamordować Caroline? – pyta Leo. – Czy któraś z tych dziewczyn mogłaby...

– Zabić Caroline? Z powodu Whita? – Lauren sceptycznie unosi brew. – Kto wie? Serce nie sługa.

Przeszywa mnie nagle wspomnienie Marigold używającej dokładnie tych samych słów. Ale mam też narastające poczucie, że to coś znaczy, może dokądś prowadzić.

– Lauren, czy policja rozmawiała z tobą o tym zabójstwie?

– Niekoniecznie tylko o zabójstwie – odpowiada, mierząc mnie przenikliwym spojrzeniem. – Chcieli wiedzieć, nad czym Caroline pracowała dla „Raga”, czy to był artykuł o kartelach narkotykowych albo czymś innym, co mogłoby stać się przyczyną jej śmierci. Rozmawiali też bezpośrednio z Whitem, ale wątpię, by wyznał im, że jest babiarzem, a Caroline była jego przykrywką.

Ostro powiedziane.

– Nie lubisz Whita Mettersa?

Lauren wzrusza ramionami.

– Trochę współczułam niektórym z tych dziewczyn.

Teraz z kolei ja odpowiadam na jej pytania. Mówię Lauren o Boo – jak wyglądał, jak chodził, o jego wybuchowym usposobieniu, o tym, że sypiał w pobliżu Bostońskiej Biblioteki Publicznej, chociaż nie wiem dokładnie gdzie. Nie wspominam o Cainie. I znowu Leo niewątpliwie to zauważa, jednak nie wytyka mi tego pominięcia.

Lauren robi notatki. Potem oboje rozmawiają o tamtym hangarze dla łodzi, o szczegółach dotyczących miejsca zbrodni, które Leo widocznie pamięta lepiej niż ona.

– Więc o czym konkretnie piszesz, Lauren? – pyta ją w końcu.

– To historia ku przestrodze o stoczeniu się od bogactwa w nędzę – odpowiada. – Shaun Jacobs, ostatnio znany jak Boo, był kiedyś lekarzem, chirurgiem. Zaczął brać środki przeciwbólowe i wkrótce się od nich uzależnił. Stracił wszystko i trafił do więzienia. Tam zerwał z nałogiem, ale powrócił do niego po wyjściu na wolność i skończył zamordowany na brzegu rzeki Charles.

– Freddie? – Leo spogląda na mnie z niepokojem. – Dobrze się czujesz? Zbladłaś.

– Tak... nic mi nie jest – jękam, usiłując się opanować. – Chyba wypłam dziś kilka filiżanek kawy za dużo. – Oczywiście to bzdura. Mogłabym szprycować się kawą i nie miałyby to żadnych konsekwencji. – Zapowiada się to na wspaniały artykuł, Lauren. Właściwie mogłaby powstać z tego książka.

Marszczy brwi.

– Oczywiście ja pisuję tylko powieści – dorzucam pospiesznie, na wypadek gdyby pomyślała, że mogłabym ukraść jej ten pomysł.

– Zgadzam się, to będzie świetny artykuł – wcina się Leo. – Upadek chirurga. Ale książka? Gdzie tu jest romans, erotyczne napięcie?

Lauren się śmieje i groźba konfliktu o literackie terytorium zostaje zażegnana. Kończymy śniadanie i staram się nie zachowywać zauważalnie milcząco, chociaż jestem pochłonięta tym, czego się przed chwilą dowiedziałam. Muszę zostać sama,

by należycie to przemyśleć bez obawy, że ktoś dostrzeże na mojej twarzy kłębiące się we mnie uczucia.

Gdy wracamy do Carrington Square, jest już prawie jedenasta, a mija jeszcze następne pół godziny, zanim mogę wyjść od Lea, nie sprawiając wrażenia nieuprzejmej czy niewdzięcznej.

Zamykam drzwi na zasuwę i wypuszczam z płuc całe powietrze, a potem z trudem łapię oddech. Shaun Jacobs był chirurgiem. Czy mógł być tym chirurgiem, który pchnął nożem Caina? W przeszłości Caina z pewnością nie ma dwóch upadłych chirurgów. A może jednak się mylę, może chirurdzy wykazują szczególną skłonność do działalności przestępczej? Może nie jest niczym niezwykłym, że trafiają do więzień i atakują swoich współtowarzyszy. Ale jeśli to był Boo, dlaczego Cain to zataił? Dlaczego miałby o tym nie wspomnieć?

Nastawiam kawę w ekspresie – bardziej dlatego, że chcę się czymś zająć, spowolnić szaleńczy pęd moich myśli jakąś zwykłą czynnością. Znajduję japoński notatnik, w którym próbowałam nakreślić schemat dotychczasowych wydarzeń, i przeglądam zapiski dotyczące tamtej nocy, gdy Cain i ja natknęliśmy się na Shauna Jacobsa. Zamykam oczy – to wspomnienie wciąż jest wyraźne w mojej pamięci. Cain przez cały czas zachowywał opanowanie. Z pewnością nie byłby taki spokojny, gdyby wiedział, że ten mężczyzna jest zdolny do wbicia mu noża w plecy.

Myślę o bliźnie Caina. Niemal czuję ją pod palcami. Wypukła, długości najwyżej pięciu centymetrów i idealnie prosta. Czysta rana, zadana precyzyjnie i zagojona bez infekcji. I dokładnie w tym samym miejscu, w które został dźgnięty Whit.

Potrząsam głową. Dlaczego Shaun Jacobs miałby dźgnąć Whita nożem? Zastanawiam się nad tym i dochodzę do wniosku, że to tylko zbieg okoliczności.

Wracam do laptopa i spędzam następne dwie godziny na przeglądaniu tego, co już napisałam, wstawianiu opuszczonych słów i oczywiście przecinków. Dzięki

temu mam wrażenie, że robię coś użytecznego, co zarazem nie wymaga wielkiego skupienia.

Około trzeciej wstępuje Marigold. Twarz ma zarumienioną, oczy jej błyszczą, a jej uśmiech jest zaraźliwy.

– Co się stało? – pytam, też się uśmiechając. – Czy coś wygrałaś?

– Nic... wszystko – rzuca, po czym chwyta mnie za ręce i ciągnie w kierunku sofy, żebym z nią usiadła.

Śmieję się, ciesząc się z jej radości, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego jest taka uszczęśliwiona.

– Co się dzieje, Marigold?

– Wiesz, że Whit i ja ubiegłej nocy udaliśmy się na poszukiwanie Caina.

– Znaleźliście go?

– Oczywiście, że nie. Zadzwonilibyśmy.

– Jesteś ogromnie uradowana jak na nieudane poszukiwania.

– Whit i ja... no cóż, my... On później wrócił do mojego mieszkania.

– Och.

Nagle znów jesteśmy nastolatkami i Marigold opowiada mi o pierwszym pocałunku, niezrównanym cudzie odwzajemnionej miłości i urzeczywistnieniu żywionego od dawna marzenia. I jest tak ogromnie szczęśliwa. Na chwilę porywa mnie rwący strumień jej ekscytacji.

– Ty i Whit?

Przytakuje energicznie.

– To wspaniale – mówię.

W tyle głowy słyszę Lauren Penfold mówiącą mi o tych dziewczynach ze złamanymi sercami, które wydzwaniały do redakcji gazety „Rag”, a koleżki i koleżanki Whita im współczuły. Ale kimże jestem, żeby zasiewać ziarno wątpliwości na polu szczęścia Marigold?

Słucham, gdy opowiada szczegółowo o wczorajszym wieczorze, o wszystkich znaczących spojrzeniach i słowach, które skończyły się tym, że ona i Whit splekli

się w miłosnym uścisku. Wzrusza mnie jej szczerą, prostolinijną radość. Marigold niczego nie ukrywa ani nie zataja powodowana ostrożnością czy fałszywym poczuciem godności. Z pewnością Whit to widzi i jest oczarowany tak samo jak ja. Z pewnością ta jej bezbrzeżna miłość nie doprowadzi do katastrofy.

– Gdzie Whit? – pytam, kiedy Marigold w końcu robi na tyle długą przerwę w wychwalaniu go, że mogę wejść jej w słowo.

– Poszedł znowu szukać Caina. – Wzrusza ramionami. – Nie chciał, żebym mu towarzyszyła. Powiedział, że powinnam sprawdzić, co u ciebie.

Chcę jej powiedzieć, że wszystko w porządku, że Cain skontaktował się ze mną, żyje i chwilowo nic mu nie grozi – lecz tego nie robię. Jestem niemal pewna, że w świetle prawa pomagam uciekinierowi i stałam się jego współniczką albo przynajmniej nią będę. Nie ma żadnej potrzeby, żeby Marigold i Whit także złamali prawo – w każdym razie jeszcze nie. Tak więc nic nie mówię.

– Czy Cain się do ciebie odezwał? – pyta.

– Mój telefon nie zadzwonił przez cały wczorajszy dzień.

– Och, Freddie, tak mi przykro. Mężczyźni potrafią być takimi draniami!

Zmieniam temat.

– Marigold, tamtego dnia w bibliotece, kiedy wszyscy pierwszy raz się spotkaliśmy...

– Gdy zabito Caroline?

– Dlaczego się tam znalazłaś? Szczerze.

– O co ci chodzi?

– Czy po prostu przypadkiem akurat tamtego dnia przyszłaś do biblioteki?

Marigold oblewa się rumieńcem.

– Przypuszczam, że teraz to już nie ma znaczenia... Śledziłam Whita. – Wygłaszając to wyznanie, obejmuje trzymaną przed sobą poduszkę. – Szłam za nim.

– Nękałaś go?

– Nie... no, może... Próbowałam dosłownie wpaść na niego. – Przetyka nerwowo. – Przyszłam za nim do czytelnicy i usiadłam naprzeciwko niego, mając nadzieję, że powie coś do mnie albo ja będę miała jakiś powód, by do niego zagadnąć.

– I wtedy Caroline krzyknęła.

– Tak. Gdyby nie to, być może nigdy byśmy się do siebie nie odezwali.

– Czy wiesz, dlaczego Whit znalazł się tamtego dnia w czytelnicy?

Marigold kręci głową.

– Nie wiem. Może pracował nad jakimś artykułem dla „Raga”. Wcześniej nie wiedziałam, że chodzi do tej biblioteki. Pamiętam, że zdziwiło mnie, gdy ruszył w tamtym kierunku.

Stukam palcem w poręcz sofy. Czy Whit również mógł tamtego dnia zostać zwabiony do czytelnicy? Ale było w tym coś więcej. On i Cain siedzieli obok siebie.

– Marigold, pamiętasz, czy Cain już tam był, kiedy przyszłaś, czy może usiadł, gdy wy oboje już siedzieliście?

Marszczy czoło, a potem kręci głową.

– Nie pamiętam, Freddie. Wiem, że ty zjawiałaś się ostatnia i bardzo długo patrzyłaś w sufit.

Uśmiecham się na wspomnienie tego, jak to wszystko się zaczęło.

– A dlaczego pytasz?

– Próbuję ustalić, czy Whit i Cain przypadkiem wpadli na siebie, czy może ktoś to zaaranżował.

– Jak mógłby to zaaranżować?

– Mógł, na przykład, poprosić zarówno Whita, jak i Caina, żeby się tam z nim spotkali – odpowiadam niepewnie.

– Ale po co?

– Właściwie nie wiem. Ale jestem pisarką i nie wierzę w zbiegi okoliczności jako wyjaśnienie czegokolwiek.

Marigold się z tym zgadza.



- Możemy zapytać o to Whita dziś wieczorem przy kolacji.
- Kolacji?
- Tak. Whit mówi, że w Roxbury jest świetna dominikańska restauracja. Kiedy będziemy w tamtej dzielnicy, moglibyśmy ponownie sprawdzić mieszkanie Caina.
- Nie mogę iść – oświadczam stanowczo.
- Dlaczego?
- Ze względu na ciebie i Whita.
- Co masz na myśli?
- Dopiero co odkryliście siebie nawzajem. Nie zamierzam być intruzem.
- Ale nie możemy zostawić cię samej!
- Marigold, poradzę sobie. Muszę popracować, a poza tym istnieje szansa, że przyjdzie tu Cain. Chcę być na miejscu, gdyby się zjawił.

Patrzy na mnie współczująco.

- Skarbie, nie możesz wiecznie siedzieć tutaj, czekając na Caina.

Śmieję się.

- To jeden wieczór, nie wieczność. Nie zrozum mnie źle, Marigold. Bardzo się cieszę z powodu ciebie i Whita, ale naprawdę nie chcę wychodzić dziś wieczorem. Powinniście mieć trochę czasu tylko dla siebie.

Bacnie mi się przygląda i przez moment mam wrażenie, że będzie kontynuowała swoją krucjatę na rzecz tego, żebym do nich dołączyła. Lecz ona ustępuje.

- Dasz znać, jeśli zmienisz zdanie?

– Obiecuję.

- Dobrze... Chciałabym cię prosić o przysługę. – Wygląda na zakłopotaną. – Czy mogłabyś pożyczyć mi sukienkę? Nie mam żadnej, a pomyślałam, że na dzisiejszy wieczór powinnam jakąś włożyć... po prostu dlatego, że... Mogłabym sobie kupić, ale...

Chwytam ją za rękę, żeby przerwać jej głupie tłumaczenie się.

– Oczywiście. Ale, Marigold, nie musisz nosić sukienki. Najwyraźniej Whitowi podoba się, jak wyglądasz.

– Chcę, aby wiedział, że potrafię wyglądać mniej... niestosownie – oznajmia z powagą, co mi przypomina, że ma tylko dwadzieścia trzy lata.

– Z pewnością urzekło go właśnie to, że nie wyglądasz jak każdy, ale jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej, moja garderoba jest do twojej dyspozycji.

Marigold spędza następną godzinę na przymierzaniu w różnych kombinacjach wszystkich moich ciuchów. W końcu wybiera moją najbardziej konserwatywną wełnianą garsonkę. Rzadko ją noszę, zachowując na rozmowy kwalifikacyjne w sprawie pracy. W połączeniu z krótko ostrzyżonymi włosami Marigold, jej wklutymi kolczykami oraz tatuażami widocznymi nad kołnierzykiem, ogólny efekt jest zdecydowanie niespójny, lecz osobliwie kuszący.

– Mogę powiedzieć z absolutną pewnością, że na mnie ten strój nigdy nie wyglądał tak dobrze.

– Czuję się jak księżniczka – mówi Marigold, obracając się.

Właściwie wygląda raczej na progresywną bibliotekarkę, ale jeśli czuje się księżniczką, niech tak będzie.

– Na pewno nie chcesz pójść? – pyta już przy drzwiach.

– Na sto procent. Bawcie się dobrze.



Moja droga Hannah!

Jestem zakłopotany. Jak mogłem kiedykolwiek kwestionować integralność moralną Twojej twórczości? Bardzo się cieszę z powodu szczęścia Marigold i trochę zazdrozczę Whitowi. Ten ostatni rozdział był tym, co nazywam momentem „tak, oczywiście”. Tak, oczywiście, Whit jest zakochany w Marigold. Jak mógłby nie być? Wszystko to wydaje się teraz bardziej realne. Nie powinienem był nigdy w Ciebie zwątpić.

Z żałosnymi przeprosinami

Leo

PS „Wstępuje” to australijski zwrot. Amerykanie powiedzieliby „wpada”.

PPS Zauważam, że trochę postarzyłaś Marigold ze względu na jej magisterium.

## **Rozdział dwudziesty siódmy**

Dopiero po wyjściu Marigold przypominam sobie o policji. Oficer śledcza Dwyer widziała, jak Cain opuścił moje mieszkanie. Jeśli go szukają, obserwują Carrington Square.

Klnę. Tak bardzo pragnę spotkać się z Cainem, jednak wiem, że jeśli wyjdę o wpół do dziewiątej wieczorem do kina Brattle, policjanci podążą w ślad za mną prosto do Caina. Nie mogę do tego dopuścić. Wykluczone, bym zdołała wymknąć się niepostrzeżenie z Carrington Square, ale może gdyby nie było mnie tutaj, gdybym wyruszyła na spotkanie z nim z jakiegoś innego miejsca... Wchodzę do łazienki na trzyminutowe oporządzenie się: umycie zębów, pospieszne sprawdzenie w lustrze, czy nie mam zbyt potarganych włosów, pomalowanie ust błyszczkiem. Z szuflady ze skarpetkami w sypialni biorę schowane tam prawie pięćset dolarów w gotówce – wymieniłam te pieniądze przed przyjazdem do Stanów Zjednoczonych, jednak jakoś nigdy ich nie wykorzystałam – i wsuwam do wewnętrznej kieszeni granatowego płaszcza. Rękawiczki, szalik, portfel. Rzucam okiem na wiszącą na wieszaku czapkę bostońskiego zespołu baseballowego Red Sox i myślę przelotnie o wszystkich tych niedawnych amerykańskich filmach, w których bohater przedstawiany jest jako niewidzialny dzięki czapce baseballowej na głowie. Gdybyż to było prawdą. Przypuszczam jednak, że mogłoby się to okazać trochę mniej skuteczne niż upewnienie się, że nikt mnie nie śledzi. Zostawiam telefon, bo nie jestem pewna, czy policja nie mogłaby go wykorzystać do namierzenia mnie.

Gdy idę w stronę schodów, ze swojego mieszkania wychodzi Leo.

– Freddie, cześć. Dokąd się wybierasz?

Uśmiecham się i czekam, aż zrówna się ze mną.

– Na zakupy.

– Żeby poprawić sobie nastrój? Świetnie. Pójdę z tobą.

– Nie, nie możesz.

Leo cofa się, wyraźnie zaskoczony kategorycznością mojej odmowy.

– Chcę sobie kupić bieliznę. Takie rzeczy dziewczyny robią samotnie.

– Zamierzasz spędzić cały wieczór na kupowaniu majtek?

– Jestem bardzo wymagająca. I chodzi też o wyroby gorseciarskie, które trzeba przymierzać. Podczas takiej wyprawy towarzystwo byłoby dla mnie krępujące.

Unosi dłonie w geście poddania się.

– No cóż, zatem życzę udanych poszukiwań. – Przerzywa. – Jak ci idzie z artykułem?

– Artykułem?

– O Caroline Palfrey.

– Ach tak... chyba dobrze. Muszę zrobić sobie przerwę w pisaniu go... i potrzebuję bielizny. Czyli dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Daj mi znać, gdybyś potrzebowała korektora.

– Na pewno. – Czuję nagle ukłucie poczucia winy z powodu tego, że go tak zbywam. – Chcę ci stosownie podziękować za przedstawienie mnie Lauren. Pozwól, że zaproszę cię w sobotę na lunch.

Uśmiecha się.

– Zawsze z przyjemnością coś z tobą przekazę, Freddie, ale już mi podziękowałaś, a poza tym dla mnie to nie był żaden kłopot.

– Naprawdę jesteś uroczym człowiekiem, Leo. Umówmy się na sobotę. Przedyskutujemy postępy poczynione w pisaniu naszych romansowych manuskryptów.

Odwraca się i rusza z powrotem do swoich drzwi.

– Bądź ostrożna, Freddie. Nie muszę ci mówić, że gdzieś w pobliżu grasuje morderca.

Opuszczam Carrington Square świadoma obecności samochodu policyjnego zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Przypuszczam, że gdzieś tutaj jest także paru pieszych funkcjonariuszy. Mam ze sobą plecak. Spakowałam do niego ubranie na zmianę zostawione przez Caina w moim mieszkaniu, które wczoraj uprałam, dodatkowy gruby szalik, brzytwę, podstawowe przybory toaletowe i kilka batonów czekoladowych.

Starając się nie zachowywać podejrzanie, kieruję się do stacji metra Back Bay na Dartmouth. O tej porze ulice są szczególnie zatłoczone przez ludzi, którzy po pracy wracają do domów albo zmierzają do śródmieścia na obiad. Spędzam kilka minut na szperaniu w sklepikach przed wejściem do metra. Na maleńkim targu warzywnym kupuję dwa jabłka i po chwili wtapiam się w tłum. Przystaję, by dać pieniądze jednemu z bezdomnych wystających przed stacją metra. Dziękuje mi, a ja się zastanawiam, czy Cain kiedykolwiek zebrał w tym miejscu. Odchodzę, czując się winna, ponieważ odchodzę i ponieważ nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić.

Wślizguję się z powrotem w tłum obok dworca kolei Amtrak i przyspieszam kroku, trzymając w ręku bostońską kartę miejską, by przytknąć ją szybko do czytnika przy bramce biletowej. Spostrzegam mój ogon. Mężczyzna w średnim wieku, tęgawy, w skórzanej kurtce. Posuwa się jakieś siedem metrów za mną. Żeby mnie dogonić, musiał zrezygnować z krycia się. Serce wali mi mocno. Jest coś takiego w byciu śledzonym – nawet jeśli wiesz, że podążająca za tobą osoba nie zamierza wyrządzić ci żadnej krzywdy – co sprawia, że chcesz puścić się biegiem. Pohamowuję ten odruch, gdyż to tylko ściągnęłoby na mnie uwagę i uczyniło bardziej dostrzegalną. Wchodzę na ruchome schody i zjeżdżam nimi do pomarańczowej linii metra. Idę przez zatłoczony peron w sam środek ścisku ludzi. Mimo to dostrzegam tego faceta, którego nazywam w myślach Skórzaną Kurtką,

zbiegającego z tupotem po ruchomych schodach. Odczekuję, aż pociąg wjeżdża na peron, a ten mężczyzna ma wzrok utkwiony we wsiadających. Wtedy zdejmuję płaszcz, wbiegam po schodach i opuszczam dworzec kolei Amtrak przez dworzec autobusowy. Stamtąd pędzę do stacji metra Copley. Chyba nikt mnie już nie śledzi, lecz na wszelki wypadek wskakuję do następnego pociągu metra zielonej linii.

Trudno mi pozbyć się uśmiechu z twarzy. Właśnie zgubiłam policyjny ogon! Choć to absurdalne, odczuwam dumę.

Wysiadam na stacji Park Street, wybieram czerwoną linię i wychodzę na Harvard Square.

W kinie Brattle roi się od ludzi. O dziewiątej wyświetlają film *Niezapomniani romans*. Pełno tutaj par w każdym wieku. Czuję się trochę dziwnie, wchodząc do sali samotnie. Biorę mój popcorn, starając się nie rozglądać za Cainem, i znajduję miejsce w niemal pustym rzędzie. Zdejmuję płaszcz i kładę na fotelu obok, mając nadzieję, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu. Nikt nie ma. Przypuszczam, że w tym kinie umawia się wiele par. I czekam. Światła w sali gasną.

– Czy to miejsce jest wolne?

Siłą woli powstrzymuję się przed wyskoczeniem z fotela i objęciem Caina. Podnosi mój płaszcz i siada. Gdy na ekranie lecą napisy początkowe, moja dłoń jest już w jego dłoni, a jego usta na moich.

– Wymkniemy się za około pół godziny – szepcze mi do ucha.

Przytakuję szczęśliwa, że znów jestem obok niego. Moje pytania mogą poczekać. Tutaj, anonimowa w ciemnej sali kina, czuję się bezpiecznie ukryta.

Po mniej więcej czterdziestu minutach filmu wychodzimy oboje w olśniewające światła holu kina Brattle. Cain pomaga mi włożyć płaszcz, bierze mój plecak i wchodzimy po schodach na ulicę. Noc jest zimna i wilgotna. Cain wciąż trzyma mnie za rękę.

– Chodź. Znam miejsce, gdzie będziemy mogli porozmawiać.

Grecka restauracja Zoe's znajduje się przy Mass Avenue, niecały kilometr od kina Brattle. Jest wielka i pełna ludzi. Rzędy boksów z obiciami z czerwonego

plastiku, kilkanaścioro kelnerów i kelnerek, obszerne menu. Zajmujemy jeden z wewnętrznych boksów, z dala od okna. Cain zamawia burgera, ja wybieram bajgiel z serkiem śmietankowym. Odbywamy banalną miłą rozmowę z kelnerką, starając się niczym nie wyróżnić, żeby nas nie zapamiętała. Jedzenie pojawia się niemal natychmiast wraz z głębokimi filiżankami kawy i dzbankiem wody.

W jaskrawych światłach restauracji Cain wygląda na znużonego. Sięgam nad stolikiem i splatam palce prawej dłoni z palcami jego lewej. Przez kilka uderzeń serca tylko spoglądamy na siebie w milczeniu. Wreszcie zaczynam rozmowę.

– Jak się czujesz? Sprawiasz wrażenie wyczerpanego.

Uśmiecha się.

– Niezbyt dobrze spałem. Ale nic mi nie jest.

Powstrzymuję się przed spytaniem go, gdzie spał. Mówię mu o Lauren Penfold i pracy Caroline w „Ragu”.

– Najwyraźniej ona i Whit pracowali nad jakimś wspólnym projektem. Wygląda na to, że znał ją lepiej, niż myślałam.

– To wyjaśniałoby, dlaczego policja przesłuchała najpierw jego – mówi Cain i marszczy brwi. – Ciekawe, czy właśnie dlatego dźgnięto go nożem? Czy mogli pracować nad czymś, co naraziło ich oboje na niebezpieczeństwo?

– Agenci FBI zjawili się w szpitalu, żeby się z nim spotkać. Być może właśnie z tego powodu. – Przetykam nerwowo. – Cain, Lauren Penfold wspomniała też, że Shaun Jacobs był kiedyś chirurgiem.

Przez chwilę wpatruje się we mnie bez słowa.

– Tak – mówi wreszcie. – Ona ma rację. Kiedy przeniesiono mnie do zakładu karnego dla dorosłych, Boo odsiadywał tam wyrok. Nie wiem, co w ogóle robił w Karolinie Północnej, a tym bardziej za co go skazano, ale był tam. Przebywał w tym więzieniu już od roku, więc był czysty.

– I dźgnął cię nożem.

– Na polecenie. – Cain mocniej ściska mi dłoń. – Boo sprzymierzył się z więźniem zwanym Conroy, który w zasadzie tam rządził. Conroy kazał mu mnie



zlikwidować. Osaczyli mnie. Boo powiedział mi, że jeśli nie będę się szamotał ani w ogóle ruszał, może pchnąć mnie nożem w plecy, a ja przeżyję. Będzie bolało, ale wyjdę z tego. Jeżeli będę walczył, niczego nie gwarantuje.

– Więc pozwoliłeś mu, żeby pchnął cię nożem?

– Nie, walczyłem jak szalony. Ale Boo czekał, aż pozostali odpowiednio mnie przygwoździli. – Śmieje się cicho. – Później zawsze twierdził, że uratował mi życie.

– Ale dlaczego? Dlaczego ten człowiek, Conroy, chciał, żeby Boo cię zadźgał?

– Naprawdę nie wiem, Freddie, szczerze. Czymś go obraziłem... albo mogło w ogóle nie chodzić o mnie.

– Jak to?

– Kiedy tam przybyłem, Boo starał się mnie chronić... ze względu na Isaaca Harmona. Rozpoznał we mnie chłopaka, który przez parę tygodni był protegowanym Isaaca. Być może Conroy testował lojalność Boo wobec siebie.

– Och, Boże!

Unosi moją dłoń do ust.

– To było dawno, Freddie.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że zrobił ci to Boo?

– Ponieważ usiłowałem cię uwieść. – Uśmiecha się. – Naprawdę nie chciałem opowiadać ci o moich więziennych bliznach.

Kręcę głową i cofam rękę.

– Freddie, przepraszam... Freddie... proszę, spójrz na mnie. – Oczy mu błyszczą. – Od śmierci Caroline mam wrażenie, jakby moja przeszłość próbowała z powrotem mnie wessać. Nie chciałem cię okłamać, po prostu nie sądziłem, że...

– Wiele zataiłeś.

– Wiele spraw usiłuję pozostawić za sobą. – Znowu sięga po moją dłoń. – Ale przepraszam cię. Nigdy nie chciałem, żebyś poczuła, że nie możesz mi ufać. Możesz.

Powoli wypuszczam powietrze z płuc.

– I ufam ci. Chcę tylko, żebyś ty zaufał mnie. Żebyś mówił mi prawdę bez względu na to, jak okropna może ci się wydawać.

Po krótkim wahaniu kiwa głową.

– Dobrze, co chcesz wiedzieć?

Zastanawiam się chwilę.

– Mogę zjeść kilka twoich chipsów? Nadal jestem głodna.

Przez moment milczy, a potem wzdycha.

– To frytki.

Częstuję się nimi.

– Więc co teraz? Jak długo zdołasz unikać... – Przerywam, uświadamiając sobie, że ktoś mógłby nas podsłuchać i że już samo słowo „policja” może przykuć czyjąś uwagę pośród gwaru rozmów w tle. – ...Gladys. Jak długo zdołasz unikać Gladys?

Tylko przez sekundę wygląda na zdezorientowanego.

– Nie wiem. Chcę się przekonać, czego uda mi się dowiedzieć, zanim spotkam się z Gladys.

– Porozmawiam z Whitem. Zapytam go, nad czym on i Caroline wspólnie pracowali. – Biorę następną frytkę Caina. – Nie sądzisz, że to dziwne, że nie wspomniał o bliskich stosunkach, jakie łączyły go z Caroline?

– Pracowali razem, lecz niekoniecznie musieli być ze sobą blisko – odpowiada Cain. – Poli... Gladys przeprowadziła z nim rozmowę. Być może obawiał się przyznać do relacji, która czyniłaby go podejrzanym.

– Nonsens. Siedzieliśmy wszyscy razem w czytelni, kiedy Caroline została za... kiedy Caroline wyszła.

– Gladys podejrzewa, że miałem współnika. Chyba mogłaby podejrzewać o to samo Whita.

– Jakiego współnika?

Ścisza głos.

– Jak przypuszczam, uważają, że Boo na moje polecenie poprosił Caroline, żeby wyszła, a potem ja poprosiłem go, żeby wyszedł, aby mieć pewność, że nikomu nie powie, i ponieważ byłem na niego zły za to, że nie zdołał się pozbyć Whita – kończy Cain z wyraźną ulgą, że udało mu się posłużyć tym szyfrem.

– To dobra teoria...

– Co?

– ...z wyjątkiem tego, że Caroline nie znaleziono przez kilka godzin. – Myślę o bibliotece, o jej pięknych imponujących salach. – Czy człowiek, który wyglądał i pachniał tak jak Boo, naprawdę mógłby wejść do tej biblioteki, zamordować Caroline i ukryć jej ciało w niespełna dwie minuty, tak że nikt by go nie zauważył?

– Ktokolwiek zabił Caroline, wiedział też dokładnie, gdzie znajdują się kamery monitoringu – dodaje Cain. – One nie zarejestrowały niczego podejrzanego.

– Nasza odwrotność zagadki zamkniętego pokoju. – Spoglądam na Caina. – Tęsknię za tobą. Whit i Marigold wspaniale mnie wspierają, ale brakuje mi ciebie.

Pochyla się nad stolikiem i całuje mnie.

Przez jakiś czas milczymy. Potem mówię mu o Whicie i Marigold, żeby się nie rozpląkać. A także relacji Lauren o erotycznych podbojach Whita. Cain nie wydaje się szczególnie zaskoczony żadną z tych wiadomości.

Zwierzam mu się z mojej obawy, że Marigold mogłaby skończyć jak tamte dziewczyny, które wydzwaniały do redakcji „Raga”, szukając Whita.

– Nie martwiłbym się tym zbyt – mówi. – Marigold wie, gdzie on mieszka.

Uśmiecham się, chociaż to jeszcze bardziej mnie niepokoi. Wspominam o podejrzeniu Marigold, że w dniu śmierci Caroline Whit zjawił się w bibliotece, żeby się z kimś spotkać.

– Czy myślisz, że ktoś mógł zaaranżować to, że obaj znaleźliście się w bibliotece tamtego dnia o tej godzinie?

Cain marszczy czoło, rozważając taką ewentualność.

– Możliwe. Ale w jakim celu?

– Może aby cię odstraszyć.

– Od czego? Od biblioteki? – Kręci głową. – Ten krzyk w gruncie rzeczy nie wpłynął na nic z wyjątkiem tego, że dał nam powód, żebyśmy zaczęli ze sobą rozmawiać. – Sygnalizuje, by przyniesiono nam rachunek. – Dopiero później dowiedzieliśmy się, że ktoś zginął.

Wyjmuję z kieszeni płaszcz plik banknotów. Dwoma dwudziestodolarówkami płacę rachunek i daję napiwek, a resztę wsuwam ukradkiem do kieszeni kurtki Caina. W milczeniu wychodzimy z restauracji Zoe's i ruszamy w kierunku rzeki, oddalając się od ludzi tłoczących się w tym lokalu i w jego pobliżu. Pogoda nadal jest mroźna i ponura, lecz nie myślę o tym. Cain daje mi telefon komórkowy – tak prosty model, że dziwię się, że w ogóle je jeszcze produkują.

– Nie mów nikomu, że ją masz – ostrzega, otaczając ramieniem moje plecy. – To komórka na kartę. Będę mógł do ciebie zadzwonić. Jest w niej zapisany tylko jeden numer, ten. – Pokazuje mi drugą podobną komórkę. – Tak więc możesz skontaktować się ze mną, ilekroć będziesz potrzebowała... albo chciała.

– Czy policja nie zdoła cię namierzyć?

– Nie, jeśli nie dowie się o tym telefonie.

Wkładam go do wewnętrznej kieszeni płaszcz.

– Dziękuję.

– Jest wyciszony, żebyś się nie zdradził, dzwoniąc w niewłaściwym momencie.

Kiwam głową.

– Będę trzymała go przy sobie. – Wtulam się w Caina, podczas gdy zimny wiatr przewiewa mój płaszcz. – Gdzie dzisiaj przenocujesz?

– Nie wiem, ale znajdę sobie jakieś miejsce.

– Nie na ulicy?

– Nie. Wynajmę pokój w hotelu. Policja nie jest w stanie obserwować wszystkich hoteli. Muszę tylko najpierw kupić sobie worek marynarski.

– Worek marynarski? Po co?

– Nikt nie wzbudza większych podejrzeń niż mężczyzna zjawiający się w hotelu bez żadnego bagażu. – Przyciąga mnie do siebie. – Zresztą i tak muszę kupić ubrania na zmianę.

– Zatrzaszczyłam się o to – oznajmiam i mówię mu, co jest w moim plecaku, który niesie.

Śmieje się.

– Gdybym cię tak dobrze nie znał, mógłbym pomyśleć, że już kiedyś pomagałaś uciekinierowi i byłaś jego współniczką.

– Proszę, bądź ostrożny. – Milknę z wahaniem. – Może powinieneś wyjechać z Bostonu. W ogóle opuścić stan Massachusetts.

– Jeżeli wyjadę, nie zdołam się dowiedzieć, kto za tym wszystkim stoi – mówi łagodnym tonem. – A jeśli się nie dowiem, nigdy nie odzyskam mojego dotychczasowego życia.

– Tak, ale byłbyś mniej narażony na to, że zastrzeli cię policja.

Przytula mnie mocniej.

– Odsiedziałem mój wyrok, Freddie. Pogodziłem się z tym, ponieważ bez względu na powód jednak zabiłem człowieka. Ale nie zamierzam pójść do więzienia za coś, czego nie zrobiłem. W każdym razie nie bez walki.

Przytulałam się do niego, zdając sobie sprawę, że nie chcę go puścić.

– Dobrze, więc walczmy.



Droga Hannah!

Wyznamę, trochę mnie razi, że Freddie okłamuje Lea. Czuję się oszukany – mam wrażenie, jakbyś Ty mogła okłamywać mnie. Oczywiście to niedorzeczne. Muszę przypominać samemu sobie, że Leo jest postacią z Twojej powieści, a nie mną. Fakt, że muszę to robić, świadczy o skali Twojego talentu.

Ta kwestia przyszła mi na myśl, kiedy czytałem zakończenie tego rozdziału: czy Cain jest czarny? Czy właśnie dlatego mieszka w dzielnicy Roxbury? Przez cały czas zakładałem, że jest biały. Jeśli jest czarny, prawdopodobieństwo, że zostanie zastrzelony przez policję, znacznie wzrasta, a cała ta ucieczka przed stróżami prawa staje się o wiele bardziej niebezpieczna. Teraz zastanawiam się, czy Freddie jest czarna. I Marigold. Whit wygląda jak „bohater z dawnego komiksu”, więc wiem, że jest biały. Ale uświadamiam sobie obecnie, że nic w manuskrypcie nie rozstrzyga tej kwestii w odniesieniu do Freddie, Caina i Marigold. Uznałem ich za białych po prostu dlatego, że nikt nie wspomniał, by byli czarni. Wiem, że Ty nie jesteś biała, więc być może Twoi bohaterowie też nie są i tylko moje wrodzone uprzedzenia każą mi uważać ich za białych, o ile nie oznajmisz mi, iż jest inaczej.

O rany! Kręci mi się od tego w głowie.

Twój

Leo

PS Miło mi ujrzeć znowu Lea, nawet jeśli jest okłamywany. Chryste, czy on też jest czarny? Naprawdę zaburzasz moje poczucie własnego ja. Być może Leo powinien znaleźć kolejne zwłoki.



Droga Hannah!

W odpowiedzi na twoje pytanie: tak, to rzeczywiście istotne, jaki kolor skóry mają Twoi bohaterowie. Jak już wyjaśniłem, tutejsza policja o wiele bardziej zagraża Cainowi, jeśli jest czarny. Mogliby go zastrzelić, nawet gdyby wszedł do komisariatu z podniesionymi rękami. Ma to znaczenie również w przypadku innych spraw i mogłoby wywrzeć wpływ na fabułę.

Podziwiam Twoją determinację, by ignorować w powieści kwestię koloru skóry, lecz to trochę tak jak ignorowanie w niej wirusa. Nie jest realistyczne. Fakt,

czy Twój bohater jest, czy nie jest czarny, wpłynie na przebieg jego historii – ale być może właśnie to chcesz podkreślić poprzez pomijanie tego aspektu. Czy pragniesz, by czytelnicy powiedzieli sobie, że to nie mogłoby się przydarzyć czarnym, a potem zastanowili się dlaczego? Czy właśnie to mówisz?

W porządku, rozumiem, o co Ci chodzi. Jednak to ryzykowne. Liczysz na poziom samoświadomości czytelników, którego oni być może nie mają. Ci z nich, którzy przyjmą, że osoby występujące w tej powieści są białe, mogą się poczuć zdradzeni i oszukani, jeśli zorientują się, że bohaterowie, z którymi się utożsamili, mogą być czarni. Niektórzy ludzie chcą czytać jedynie o przedstawicielach własnej rasy i nawet tylko możliwość, że dana postać mogłaby być czarna, oznacza dla nich, iż nie jest dostatecznie biała. Tak się po prostu mają te sprawy. A zapewniam cię, nie chciałabyś wkurzyć tych ludzi.

Ja na pewno bym nie chciał. Ale to Twoja książka.

Twój

Leo

## Rozdział dwudziesty ósmy

Gdy wchodzę do Carrington Square, w holu czeka Marigold. Na twarzy ma ślady łez i jest wściekła.

– Gdzie się podziewałaś? – rzuca.

Joe spogląda na mnie otwartymi szeroko oczami i wzrusza ramionami.

– Czeka już dwie godziny – szepcze. – Nie chciała wyjść. Już myślałem, że będę musiał wezwać policję.

Marigold zdejmuje marynarkę i ciska nią we mnie.

– Pomyślałam, że będzie lepiej, jak ci to zwrócę.

Trochę zaniepokojona, że mogłaby ściągnąć także spódnicę, proponuję:

– Chodźmy na górę. Najwyraźniej powinniśmy porozmawiać.

W jej oczach błyska furia, ale Marigold idzie za mną do schodów.

Żadna z nas się nie odzywa, dopóki nie zamykam za nami drzwi mieszkania.

A wtedy Marigold wybucha.

– Gdzie byłaś? – Zaczyna płakać. – Powiedziałaś, że zostaniesz w domu.

– Jesteś zdenerwowana dlatego, że wyszłam? Marigold, co się stało?

Chcę ją objąć, lecz mnie odpycha.

– Wyśmiewaliście się ze mnie? Ty i Whit?

– Whit? Marigold, o czym ty mówisz? Gdzie on jest?

– Odszedł! – krzyczy. – Gdy tylko zorientował się, że nie dołączysz do nas, wyszedł pod pretekstem, że o czymś sobie przypomniał.



– Więc dodałaś dwa do dwóch i wyszło ci dwadzieścia siedem?

Nie jestem pewna, czy wprawia ją w zakłopotanie użyty przeze mnie zwrot, czy fakt, że nic mi nie wiadomo o tym, dlaczego Whit mógłby ją rzucić. Wyciągam do niej rękę.

– Chodź do kuchni. Przyrządę ci kakao i będziemy mogli się nad tym zastanowić.

Ujmuję moją dłoń jak małe dziecko i potulnie idzie ze mną. Sadzam ją przy ladzie kuchennej i zaczynam zagrzewać mleko i kakao.

– Opowiedz mi dokładnie, co się stało.

Marigold ociera oczy grzbietem dłoni. Kładę przed nią pudełko chusteczek higienicznych.

– Whit i ja spotkaliśmy się w restauracji. Gdy mu powiedziałam, że nie chciałaś do nas dołączyć, zdenerwował się. Próbował się do ciebie dodzwonić... – usta znów zaczynają jej drżeć – aby cię zapewnić, że to nie randka.

Wzdrygam się. Zostawiłam mój telefon w mieszkaniu, żeby nie można go było wykorzystać do namierzenia mnie. Nie wiem, czy to możliwe, ale nie chciałam ryzykować. Gdybym odebrała, mogłabym powiedzieć Whitowi, żeby przestał się zachowywać jak łajdak.

– Kiedy nie odebrałaś, wyszedł pod jakimś pretekstem. Nie zamówiliśmy nawet przystawek – mówi i z jej oczu znów ciekną łzy.

Podsuwam jej kubek z parującym kakao i otwieram opakowanie pianek.

Marigold podnosi na mnie wzrok.

– Jeszcze przez jakiś czas siedziałam tam jak idiotka, a potem zaczęłam się zastanawiać, czy przyszedł tutaj. Przyjechałam i portier poinformował mnie, że wyszłaś. Po tym, jak powiedziałaś, że zostaniesz w domu. Wtedy uznałam, że poszłaś spotkać się z Whitem.

Patrzę na nią.

– Teraz, gdy już wypowiedziałaś to na głos, mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jak idiotycznie to brzmi. Poszłam do kina, to wszystko. Zapomniałam

wziąć telefon. Leży na stoliku w drugim pokoju.

– Na jaki film? – pyta wciąż trochę podejrzliwie Marigold.

– *Niezapomniani romans*. Wyświetlano go w kinie Brattle o dziewiątej.

– Wasz portier powiedział, że wyszłaś przed ósmą.

Biedny Joe! Najwyraźniej Marigold go przesłuchiwała.

– Owszem. Szczerze mówiąc, świadomość, że ty i Whit jesteście ze sobą, wzbudziła we mnie tęsknotę za Cainem. Nie chciałam siedzieć tutaj i się zamartwiać, więc wyszłam.

– Żeby go poszukać?

– Na zakupy.

– Co kupiłaś?

– Nic. Może rzeczywiście trochę go szukałam. Tak czy inaczej, wróciłam z pustymi rękami.

Marigold okrąża ladę kuchenną i obejmuje mnie.

– Przepraszam. Po prostu tak długo czekałam na Whita... i to, co się dzisiaj zdarzyło, trochę wytrąciło mnie z równowagi.

– Daję ci słowo, że nie widziałam się z Whitem. Nawet gdybym była skłonna uważać go za kogoś więcej niż przyjaciela, a tak nie jest, nigdy bym...

– Wiem... zachowuję się histerycznie. – Wraca na stół i wrzuca do kakao garść pianek. – Czułam się wczoraj taka szczęśliwa, a dzisiejszy wieczór był taki dziwny. Obawiam się, że na moment postradałam rozum... ale go odzyskałam. – Przypatruje mi się uważnie. – Dlaczego nie wyglądasz na bardziej zaniepokojoną z powodu Caina? – pyta. – Ja się załamalam.

– Jestem starsza od ciebie.

– I dlatego mniej się o niego martwisz?

– Wcale nie. Po prostu łatwiej przychodzi mi czekanie na to, co się wydarzy. – Zmieniam temat. – Jak zamierzasz postąpić z Whitem?

– Co masz na myśli?

– On od ciebie odszedł. – Wciąż pamiętam o tych dziewczynach, które wydzwaniały do redakcji „Raga”. Nie chcę, aby Marigold stała się jedną z porzuconych zdobyczy Whita. – Powinien powiedzieć ci przynajmniej dlaczego.

Bierze wdech.

– Masz rację. Zaraz do niego zadzwonię.

Rozmowa jest krótka. Marigold udaje się powiedzieć tylko: „Cześć, Whit, to ja. Jestem u Freddie” i połączenie zostaje zakończone.

– Co się stało? – pytam, zastanawiając się, czy nie doszło między nimi do jakiejś kłótni, o której Marigold mi nie wspomniała.

– Powiedział, że tu przyjdzie, i się rozłączył.

– Och.

Jest po północy. Naprawdę chciałam już pójść spać, jednak wygląda na to, że będę potrzebna w rozstrzygnięciu problemów miłosnych tych dwojga młodych ludzi.

Whit zjawia się po mniej więcej dwudziestu minutach. Do tego czasu zaparzyłam kawę, gdyż kakao może nie wystarczyć o pierwszej w nocy.

Gdy tylko otwieram drzwi, Whit mnie obejmuje.

– Freddie, Bogu dzięki!

Odpycham go zakłopotana i poważnie zaniepokojona, jak Marigold zrozumie takie zachowanie.

– Do diabła, Whit, co się dzieje?

Spogląda na Marigold i teraz obejmuje ją.

– Cześć, ślicznotko. Przepraszam za dzisiejszy wieczór.

– Słusznie – mówię. Późna pora sprawia, że jestem zniecierpliwiona. – Whit, usiądź i wytłumacz się, żebyście mogli się pogodzić, a ja będę mogła pójść spać. A właściwie... – Zmieniam zdanie. – Nie musisz tłumaczyć się przede mną. Mogłabym już teraz położyć się do łóżka.

Chłopak kręci głową.

– Nie, Freddie, zostań. To dotyczy ciebie.

Osuwam się na fotel, pozostawiając im sofę. Whit mówi poważnym tonem i dopiero teraz zauważam, że nie ma w nim ani śladu jego zwykłej nonszalancji.

– Dziś wieczorem około siódmej – zaczyna – napadnięto moją matkę. Pracowała sama w biurze swojej firmy prawniczej, poza nią nie było tam nikogo. Wygląda na to, że zaskoczyła kogoś włamującego się do szafek z aktami. Zaatakował ją i zostawił na pewną śmierć.

– Chryste Pe!

– Ale nie umarła? – pytam, lękając się odpowiedzi.

– Nie. Tylko straciła przytomność. Gdy ją odzyskała, zadzwoniła na policję. – Odwraca się do Marigold. – Odebrałem telefon od nich tuż po przyjsciu do restauracji. Nie wiem, dlaczego ci nie powiedziałem. Straciłem głowę.

Marigold otacza go ramionami.

– Nie szkodzi. – Zerka na mnie z zakłopotaniem. – Wiedziałam, że był jakiś ważny powód.

– Co z twoją mamą? Jak się czuje? – pytam.

– Mama to twardzielka. A teraz wkroczyła na wojenną ścieżkę. – Whit spogląda na mnie. – Freddie, ona uważa, że to był Cain.

Wpatruję się w niego.

– To niemożliwe.

– Dlaczego? Dlaczego niemożliwe?

Przez chwilę nie potrafię wydobyć głosu. Kiedy Cain dołączył do mnie w kinie Brattle, było sporo po dziewiątej. Nie mogę być jego alibi.

– Ponieważ on by nie...

– Freddie, gdzie byłaś dzisiajszego wieczoru?

– Co takiego?

– Kiedy Marigold powiedziała mi, że zostaniesz dziś wieczorem w domu, zaniepokoiłem się, że grozi ci niebezpieczeństwo.

– Ze strony Caina? To absurd.

– Freddie, on zaatakował moją mamę!

– Jesteś pewien... czy ona jest tego pewna?

– Mówi, że tak.

– Jak miałyby się dostać do biura kancelarii prawnej? To wydaje się niemożliwe.

Whit wzrusza ramionami i pociera twarz.

– Mama przysięga, że to był on. Freddie, gdzie byłaś?

– Wybrałam się na zakupy, a potem poszłam obejrzeć film w kinie Brattle.

– Ciekawe, dlaczego policja nie szukała Caina tutaj? – zastanawia się Marigold.

– Prawdopodobnie uznali, że Freddie nie zaryzykowałaby utraty stypendium, ukrywając uciekiniera.

– Bardziej prawdopodobne jest, że obserwują ten dom – mówię. Nie komentuję tego, czy kryję uciekiniera, czy nie. – Przypuszczalnie zapewnili sobie współpracę pani Weinbaum i Joego. Wykluczone, by Cain mógł przyjść tutaj niezauważony. I śledzą mnie, więc jestem bezpieczna – dodaję, aby pokazać, że mam alibi.

– Dziś wieczorem cię zgubili – replikuje Whit.

– Skąd wiesz?

– Nie odebrałaś telefonu ode mnie, więc wpadłem tutaj sprawdzić, co się z tobą dzieje. Gdy nie otworzyłaś drzwi, zadzwoniłem na policję i dowiedziałem się, że zgubili cię w metrze.

– Powiedzieli ci o tym?

– Powiedział mi to znajomy mojej mamy z bostońskiego wydziału policji.

– Gdyby mnie uprzedzili, że mnie śledzą, ubrałabym się na jaskrawożółto i szła powoli – rzucam szorstkim tonem.

Ogarnia mnie teraz gniew, chociaż nie całkiem wiem na kogo.

Marigold zostawia Whita na sofie i podchodzi do mnie.

– Tak mi przykro, Freddie. My też go kochaliśmy.

– On jeszcze nie umarł – mówię cicho. Odwracam się do Whita. – Przypuszczam, że już mu nie wierzysz.

– Freddie, on napadł na moją mamę!

Nagle przychodzi mi do głowy pewna myśl.

– Czy zarejestrowały go kamery monitoringu?

Whit marszczy brwi.

– Nie. W archiwum biura nie ma kamer, a właśnie tam napadnięto mamę.

– Cain uniknął też kamer w bibliotece – dorzucą Marigold.

Nie potrafię powstrzymać błysku urazy w oczach.

– Freddie, mnie też nie chce się wierzyć, że on to zrobił, ale chyba nie ma już wątpliwości.

Z zaciśniętymi ustami kiwam głową. Muszę pomyśleć. Marigold trzyma mnie za rękę, a Whit przygląda mi się uważnie.

– Przepraszam... to wszystko trochę mną wstrząsnęło. – Przelykam nerwowo i patrzę Whitowi w oczy. – Podobno ty i Caroline pracowaliście razem nad czymś.

Mierzy mnie ostrym spojrzeniem.

– Skąd o tym wiesz?

– Od jednej z reporterek tabloidu „Rag”.

– Dlaczego rozmawiałaś z reporterką „Raga”?

– Ona pisze artykuł o Shaunie Jacobsie, a ponieważ go spotkałam... W każdym razie wspomniała o tym, że ty i Caroline pracowaliście wspólnie nad jakimś projektem.

– Owszem – mówi ostrożnie.

– Powiedziałaś, że ledwie ją znałeś! – rzuca Marigold oskarżycielskim tonem, który jednak nie dotyczy zabójstwa Caroline Palfrey.

Whit wzdycha.

– To przez moich rodziców. Kazali mi pominąć w zeznaniu moją znajomość z Caroline.

– Dlaczego?

– Ponieważ wiedzieli, co dzieje się dalej w tego rodzaju sytuacjach. Nie chcieli, aby godne nazwisko Mettersów zostało wmieszane w śledztwo w sprawie śmierci córki klienta. Nasz projekt nie miał z tym wszystkim żadnego związku, więc o nim nie wspomniałem.

– Czego dotyczył ten projekt?

– Nie ustaliliśmy tego. Caroline wpadała na rozmaite głupie pomysły... Jak powiedziałem, to był mglisty, niesprecyzowany plan, że napiszemy razem jakiś zakrojony na szeroką skalę reportaż śledczy. A ja, prawdę mówiąc, niezbyt się do tego paliłem.

– Dlaczego tamtego dnia przyszedłeś do biblioteki? – pytam. – Żeby spotkać się tam z Caroline?

– Właściwie tak – odpowiada szczerze, jakby z ulgą. – Miała spotkać się ze mną w czytelnii. Wkurzyło mnie, że się nie zjawiała. A potem poznałem was i uznałem, że to jednak nie było zmarnowane popołudnie. – Przełyka nerwowo. – Oczywiście kiedy zorientowałem się, co się z nią stało... – Urywa i przez jego twarz przemyka wyraz bólu.

Marigold wraca do niego na sofę.

– To nie była twoja wina, Whit. Nie wiedziałeś, dokąd poszła Caroline. Nic nie mógłbyś zrobić.

– Cain też nie – zauważam. – Siedzieliśmy tam wszyscy, kiedy ona krzyknęła. On nie mógł jej zabić.

Whit milczy przez chwilę, a potem mówi:

– Policja uważa teraz, że to nie był krzyk Caroline. Sądzą, że to mogła krzyknąć sprzątaczką albo ktoś inny, kto zajrzał pod tamten stół i zobaczył ciało. Że Caroline została zabita jakiś czas przed tym, zanim usłyszeliśmy krzyk.

– Jeśli tak, to dlaczego ta osoba, która odkryła zwłoki, nikomu o tym nie powiedziała?

– Policja przypuszcza, że być może się bała. Albo może zorientowała się, kim jest zabójca, i uciekła. Sprawdzają wszystkie kobiety, które mogły utrzymywać jakieś kontakty z Caroline.

Zamykam oczy, starając się opanować, lecz jestem tak zmęczona, że z trudem udaje mi się je ponownie otworzyć.

– Idź spać, Freddie – mówi Whit. – Ja będę spał dzisiejszej nocy na twojej sofie, po prostu na wszelki wypadek.

– Ja też – dodaje Marigold.

Uśmiecham się.

– Nie bądź śmieszny, Whit. Policja obserwuje budynek. Jestem całkowicie bezpieczna. Odwieź Marigold do domu i jedź do matki. Powinieneś być przy niej.

Spieramy się o to przez parę minut, aż wreszcie oznajmiam, że oficjalnie wyrzucam ich z mieszkania. Marigold proponuje, abyśmy spotkali się dziś na lunchu, a ja się zgadzam, żeby się ich pozbyć. Muszę zostać sama z tym chaosem, zastanowić się, jak mam postąpić. W końcu z ulgą zamykam za nimi drzwi. Jestem wykończona. Gaszę wszystkie światła i gramolę się do łóżka, mając przy sobie komórkę od Caina. I z jakiegoś powodu, którego nie potrafię wyjaśnić, naciągam kołdrę na głowę, zanim do niego dzwonię. Odpowiada zachrypłym, zaspanym głosem:

– Freddie?



Droga Hannah!

O rany! Czy to było literackie wymierzenie mi klapsa? Czy włożyłaś do głowy Marigold mój niepokój o flirtowanie Freddie z Whitem? Po prostu aby pokazać mi, jak absurdalny był mój domysł? No cóż, chyba na to zasłużyłem.

Widzę, że nadal obstajesz przy tym, by nie wspomnieć o zarazie. To poważny błąd, nie mówiąc już o tym, że również utracona sposobność. Pomyśl tylko, o ile łatwiej byłoby Cainowi wymykać się policji, gdyby on i wszyscy inni ludzie nosili maseczki. Nikogo z nas nie da się zidentyfikować. Ten fakt w połączeniu z obecnymi niepokojami społecznymi i zamieszkami to marzenie autora powieści kryminalnych. Ten okres, ta zgroza to dar, Hannah. Odrzucenie go byłoby nieuprzejmością i arogancją.



Pragnąc pokazać Ci, jak ta powieść mogłaby wyglądać, dokonałem poprawek w Twoich wcześniejszych rozdziałach, mocno osadziłem akcję w samym środku tej pandemii. Proszę, odszukaj dołączoną nową wersję twojego manuskryptu. Daj jej szansę, przeczytaj ją uważnie, zamknij oczy i zobacz to, co ja widzę. Wiem, że zmienisz zdanie i przekonasz się do mojej wersji.

Jednakże motyw napaści na matkę Whita to znakomity pomysł! Wrywa Whita z jego szczeniackiej lojalności wobec kumpla i zmusza go wreszcie do dokonania wyboru, po której stronie się opowie. Zastanawiam się, czy dla osiągnięcia tego efektu nie byłoby lepiej, gdyby Cain torturował i brutalnie zamordował Jean Metters, zamiast jedynie napaść na nią. Wiem, że zostawiłaś ją przy życiu, aby mogła wskazać Caina jako sprawcę, lecz można by posłużyć się w tym celu innymi środkami. Zabójcy mają skłonność do eskalowania. To miałyby sens, żeby zbrodnie Caina stawały się coraz bardziej bestialskie. I uważam, że na tym etapie powieści przyspieszyłoby to tempo akcji i podgrzało atmosferę zagrożenia.

Dołączyłem kilka zdjęć zamordowanej kobiety w średnim wieku. Jak widzisz, niewątpliwie była torturowana, zanim poderżnięto jej gardło. Rany piersi i okolicy łonowej wskazują na seksualny aspekt napaści. Maseczka na jej twarzy mogła ułatwić zabójcy sprawę. Przypuszczam, że pod maseczką ta kobieta była dla niego nikim.

Gdy to piszę, przychodzi mi na myśl, że nie wykorzystujesz w pełni postaci Marigold. Ona jest studentką psychologii. Gdybyś skonfrontowała ją z martwym ciałem matki Whita, mogłaby w sposobie jej zamordowania dostrzec jakąś wskazówkę identyfikującą Caina równie wyraźnie jak zeznanie ofiary.

Wyczekuję niecierpliwie tego, jak wykorzystasz te propozycje. Pamiętaj, że z przyjemnością przeczytam twoje przeróbki.

Twój

Leo

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Nawet będąc sama w mieszkaniu, z zamkniętymi wszystkimi oknami i drzwiami, i ukryta pod kołdrą, mówię szeptem. A gdy płaczę, robię to bezgłośnie, żeby Cain nie wiedział o moich łzach, które wsiąkają w poduszkę. Pytam go, gdzie był, zanim spotkał się ze mną w kinie Brattle.

– Próbowałem odszukać pewną kobietę zwaną Mouse. Ona i Boo byli kimś w rodzaju przyjaciół. Miałem nadzieję, że być może będzie potrafiła mi powiedzieć, czy ktoś źle mu życzył.

– Znalazłeś ją?

– Nie.

– Więc nikt nie mógłby potwierdzić, gdzie byłeś wcześniej dzisiaj wieczoru?

– Nie... a co?

Mówię mu o napaści na matkę Whita i jej domniemaniu, że on był sprawcą.

Przez chwilę się nie odzywa. Potem mówi:

– Freddie, przysięgam, że nie...

– Wiem, ale ona utrzymuje, że ty to zrobiłeś, a my nie możemy w żaden sposób dowieść, że się myli.

– Freddie, nie będzie żadnych odcisków palców ani śladów DNA na potwierdzenie jej wersji, ponieważ mnie tam nie było.

– Cain, dlaczego miałaby mówić, że to ty?

– Nie wiem. Pomyliła się? Być może zorientowała się, kim jestem, i dlatego zakłada, że to ja ją zaatakowałem. – Klnie. – Ko by pomyślał, że ta sytuacja może stać się jeszcze gorsza!

– Cain, musisz się postarać o adwokata.

– Wynajmę jakiegoś, zanim oddam się w ręce policji. Obiecuję. Ale jeszcze nie teraz.

Biorę się w garść i ocieram oczy, mając nadzieję, iż Cain nie zorientował się, że płakałam. Na nic mu się nie przydam, łkając i załamując się.

– Pomówię z Jean Metters – oznajmiam stanowczo. – Mogła się pomylić, jak twierdzisz, albo może kłamie. Jeśli to drugie, musimy się dowiedzieć dlaczego.

– Freddie, nie jestem pewien, czy powinnaś...

– Nie martw się, Cain, wiem, co robię.

– Robiłaś to już wcześniej? – pyta i słyszę w jego głosie uśmiech.

– Co najmniej kilkanaście razy.

– Serio, Freddie, będziesz ostrożna? Ktoś zamordował dwoje ludzi. Proszę, nie daj mu powodu, by choćby tylko spojrzeć w twoim kierunku.

– Byłoby to łatwiejsze, gdybym wiedziała, kim on, do diabła, jest.

– Trzymam się w pobliżu – mówi. – Zadzwoń, a będę u ciebie w ciągu kilku minut. Nie mogę pozwolić, żeby coś ci się stało.

Obiecuję, że zadzwonię. Życzymy sobie nawzajem dobrej nocy i w końcu się rozłączamy. Zasypiam z myślą, że Cain jest blisko.

Śpię twardo aż do dziewiątej rano, a kiedy się budzę, mam przed sobą cel. W środku nocy przyszło mi do głowy, jak będę mogła porozmawiać z Jean Metters, więc gdy wstaję z łóżka, wiem, co zrobię.

Whit, Marigold i ja uzgodniliśmy, że spotkamy się w jej mieszkaniu i stamtąd pójdziemy na lunch. Opuszczam dom Carrington Square o jedenastej i udaję się do pobliskiej kwiaciarni, w której kupuję bukiet szklarniowych róż. Na moment ogarnia mnie tęsknota, gdyż ich widok przypomina mi, że takie róże zakwitną

w ogrodzie mojej babci. Ten ogród wyglądałby teraz jak pudełko czekoladek w opakowaniach o jaskrawych, gryzących się ze sobą kolorach. Babcia o każdej porze roku sprowadzała i sadziła kwiaty o nowych barwach: żółte, czerwone, pomarańczowe, niebieskie – wszystkie zasadzone bez żadnego planu.

Z bukietem w ręce łapię taksówkę i podaję kierowcy adres rodziców Whita. To niedaleko, ale niosę kwiaty. Dom Mettersów jest wspaniały – rezydencja w dzielnicy Back Bay z idealnie utrzymanym ogrodem. Kiedy jego rodzice kilka miesięcy temu przebywali za granicą, Whit przeprowadził się do ich domu, by go pilnować, a teraz właśnie miał wrócić do swojego mieszkania, gdy został pchnięty nożem. Ostatnie wydarzenia oraz wygoda sprawiły, że jeszcze nie opuścił tego miejsca.

Przy drzwiach z gotycką kołatką są ochroniarze i kamery.

Podaję jednemu z nich moje nazwisko i oznajmiam, że jestem przyjaciółką Whita umówioną na spotkanie z nim przy lunchu. Mierzy mnie takim spojrzeniem, że zastanawiam się, czy uważa mnie za jedną z tych kobiet, które wydzwaniały do „Raga”. Kontaktuje się z kimś przez telefon, po czym pozwala mi zastukać do drzwi.

Ku mojemu zaskoczeniu otwiera je Jean Metters. Ma siniec nad prawą skronią, ale jest nienagannie ubrana i umalowana przed wyjściem do biura kancelarii.

– Dzień dobry, pani Metters – mówię i wręczam jej kwiaty. – Bardzo się cieszę, że nie została pani poważnie ranna. Whit powiedział nam, co się stało. To musiało być straszne.

Przenosi spojrzenie ze mnie na bukiet, jakby dawanie kwiatów było jakimś dziwnym niepojętym zwyczajem.

– Marigold i ja umówiliśmy się z Whitem, że spotkamy się tutaj przed pójściem na lunch – wyjaśniam. Zerkam na zegarek. – Mam nadzieję, że nie sprawiam kłopotu, zjawiając się trochę wcześniej.

– Może wejdiesz? – proponuje, marszcząc brwi. – Whit już wyszedł. Zadzwoń do niego i dowiem się, co się stało.

Kładzie bukiet na stole w holu i prowadzi mnie przez dom na podwórze z basenem. Po drodze telefonuje do syna. Słyszę, jak mówi:

– No cóż, najwyraźniej wyniknęło jakieś nieporozumienie, ponieważ ona jest tutaj. Doprawdy, kochanie, nie pojmuję, dlaczego musisz wyjść akurat dzisiaj... Czy chcesz, żebym przysłała ją do ciebie? Tak, dobrze. Niestety, nie mam czasu na zabawianie jej, więc po prostu przyjedź jak najszybciej i zajmij się nią.

Zaczynam żałować, że zdecydowałam się zrealizować mój plan. Chyba jednak nie był zbyt dobrze przemyślany.

Jean otwiera drzwi budynku po drugiej stronie basenu, który okazuje się oddzielnym domkiem dla gości.

– Wygląda na to, że zaszła jakaś pomyłka co do tego, gdzie wy troje mieliście się spotkać – mówi, wskazując mi gestem, żebym usiadła w salonie. – Czy zechciałabyś poczekać tutaj? Whit za parę minut po ciebie przyjedzie. Przepraszam, pójdę poszukać wazonu na twoje kwiaty.

To może być moja jedyna szansa, więc ją wykorzystuję.

– Whit powiedział, że uważa pani, iż zaatakował ją nasz przyjaciel, Cain McLeod. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mnie to zmartwiło i zszokowało.

– Cain McLeod to bardzo niebezpieczny młody mężczyzna – odpowiada szorstko. – Cieszę się, że zdołałam go zidentyfikować, zanim skrzywdzi kogoś jeszcze.

Kiwam głową.

– Odkąd o tym usłyszałam, jestem przerażona. Jak dostał się do pani biura?

Patrzy na mnie ostro.

– Zastanawiam się po prostu, czy system bezpieczeństwa w moim domu jest wystarczający, skoro Cainowi udało się pokonać wasz – dodaję pospiesznie.

– Na twoim miejscu nie niepokoiłabym się tym zbyttnio. Wygląda na to, że McLeod obiera sobie za cel ludzi powiązanych z jego wcześniejszym uwięzieniem oraz ich rodziny. – Rusza w kierunku drzwi. – Ale tak, wydaje się, że on rzeczywiście świetnie potrafi omijać strażników i unikać kamer.

- Trudno uwierzyć, że tak panią uderzył.
- On usiłował mnie zabić, Winifredo.
- Zapewniam panią, nie mieliśmy pojęcia, że Cain jest taki agresywny i brutalny.
- Ale znaliście jego przeszłość – zauważa chłodnym tonem.
- W końcu ją poznaliśmy, jednak opisał ten incydent jako działanie w obronie własnej.

Jean przewraca oczami.

– Tak, zawsze chodzi o samoobronę i trudne dzieciństwo. – Mierzy mnie wzrokiem. – Abel Manners w wieku piętnastu lat był już zatwardziałym zbirzem. Zareagował na usiłowania jego ojca nauczenia go dyscypliny, dźgając tego nieszczęsnego człowieka w szyję nożem, który ukrył w tym celu w zasięgu ręki, a potem przyglądał się, jak tamten wykrwawiał się na podłodze. Nie było żadnej możliwości wybronienia go. Gdyby nie był taki młody, groziłaby mu kara śmierci!

Pragnę stanąć w obronie Caina, lecz to nie jest odpowiedni moment, więc się nie odzywam.

– Proszę, jeśli kiedykolwiek jeszcze go zobaczysz, zadzwoń na policję ze względu na mojego syna.

– Ze względu na Whita?

– Jestem jego matką, Winifredo. Niepokoję się przede wszystkim o niego, a McLeod już raz pchnął go nożem. Najwyraźniej uważa, że podczas procesu sądowego powinnam była uzyskać jego uniewinnienie, a jest na tyle podły i bezwzględny, by zaatakować mnie nie tylko bezpośrednio, lecz także poprzez moje dziecko.

– Przykro mi. Nie zamierzałam...

– A teraz wybacz, ale już się pożegnam. Domek dla gości ma osobne wejście, więc Whit będzie mógł przyjść po ciebie bez przechodzenia przez dom. Powinien wkrótce się zjawić. Zapewne wejdzie przez okno w salonie.

Siedzę nieruchomo i czekam, aż Jean wróci przez podwórze do głównego budynku. Sądząc po typowo męskim, przypominającym wspólny pokój w akademiku wnętrzu domku dla gości, wygląda na to, że Whit w nim mieszka. Panuje tutaj pewien bałagan, chociaż zauważalny brak kurzu świadczy niezbitnie, że to miejsce jest regularnie sprzątane. Wyczuwam nikłą woń wody kolońskiej Whita. Fotografie w ramkach albo po prostu przypięte do ściany przedstawiają go grającego w futbol, pijącego alkohol czy otoczonego wianuszkami uśmiechniętych kobiet. Są tu przedmioty związane z Uniwersytetem Harvarda i rozmaity sprzęt elektroniczny. Wrażenie robią na mnie książki na regale. Whit jest bardziej czytany, niż sądziłam. Głównie literatura i biografie laureatów nagrody Pulitzera. W ramce artykuł z gazety „Rag” – jego pierwszy, jak przypuszczam – napisany w stylu reportażu śledczego i dotyczący stosowania sterydów w sporcie studenckim. I znów jestem zaskoczona. Whit dobrze pisze, a wnioskując z tego artykułu, przeprowadził sekretne śledztwo, by zgłębić temat.

Mój wzrok przykuwa nazwisko na grzbiecie jednej z książek leżących w stercie na stole w pobliżu fotela.

To pierwsza powieść Caina. Wyciągam ją ze stosu.

Na czarnej obwolucie jest przedstawiona okratowana więzienna cela o białych ścianach. Książka nosi tytuł *Układ*, który wydrukowano większymi literami niż nazwisko autora. Cytat z „New York Timesa” określa powieść jako „literacki zapis pierwotnej furii”; „Wall Street Journal” nazywa ją „wstrząsającą opowieścią o uwięzieniu i karze”. Są tam też fragmenty kilku recenzji z gwiazdką z branżowych czasopism literackich i określenia takie jak „ośniewający debiut” i „majstersztyk” oraz lista nagród. To pierwsze wydanie i jest mocno sfatygowane. Whit przeczytał książkę Caina, jeszcze zanim się wszyscy poznaliśmy, albo może kupił ją w antykwariacie, przekazaną przez kogoś, kto często ją czytał.

Na podjazd obok domku dla gości wjeżdża SUV Whita. Otwieram drzwi i wychodzę. On i Marigold siedzą z przodu. Sadowię się z tyłu.

– Przepraszam, Whit, sądziłam, że mieliśmy się spotkać tutaj. Okropnie mi głupio. Twoja matka z pewnością uznała mnie za strasznie roztrzepaną.

Whit wzrusza ramionami.

– Nie ma sprawy. A mnie matka też uważa za strasznie roztrzepanego, więc witaj w klubie.

– Jednak cieszę się, bo przekonałam się, że dobrze się czuje.

– Tak, do uśmiercenia mojej mamy potrzeba by jakiegoś pocisku raketowego. Ona jest jak Terminator.

– No cóż, przykro mi, że zakłóciłam jej spokój.

– Powiedziała, że przyniosłaś jej kwiaty. To miłe. Pewnie nawet ci nie podziękowała, niemniej to ładny gest.

Unikam podejrzliwego wzroku Marigold. Czy ona domyśla się, co robiłam w pokoju Whita?

– Konam z głodu. Wybraliście już lokal na lunch?

– Whit zna meksykańską restaurację w Cambridge – mówi Marigold, wciąż uważnie mi się przyglądając. – Chyba że masz coś przeciwko temu?

Błyskam do niej uśmiechem.

– Uwielbiam meksykańską kuchnię. Jedźmy.

Guadalupe to droga meksykańska restauracja.

– Dziś ja płacę – oznajmia Whit, gdy zostajemy posadzeni przy stoliku z lnianym obrusem. – Żeby wynagrodzić wam, że wczoraj wystawiłem was do wiatru.

– Mnie właściwie nie wystawiłeś do wiatru – zauważam. – Jedynie Marigold.

Whit ignoruje mój protest.

– Zamierzam was nakłonić, żebyście spróbowały wszystkich moich ulubionych dań – oświadcza – więc słuszne jest, abym zapłacił za przyjemność zapoznania was z najlepszym tacos w Massachusetts.

Przywołuje kelnera i zamawia dzbanek truskawkowej margarity oraz – bez choćby rzucenia okiem na menu – szereg potraw. Marigold przypomina mu, że jestem wegetarianką, więc dodaje jeszcze kilka. Wygląda to na obłądną ilość



jedzenia jak na meksykańską restaurację, jednak w rzeczywistości pojawiają się talerze z wytwornie niewielkimi porcjami. Mimo to stół jest cały zastawiony potrawami i z trudem nadążamy za poleceniami Whita, żebyśmy spróbowały tej czy tamtej. Wszystkie są rewelacyjne i rozmawiamy głównie o jedzeniu.

Dopiero gdy usiłujemy wepchnąć w siebie jeszcze deser, zmieniamy temat i zaczynamy mówić o Cainie.

– Jak myślicie, gdzie on jest? – pyta Marigold.

– Może wyjechał z Bostonu – sugeruję, głównie, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Nie – mówi stanowczo Whit. – Uważam, że nadal przebywa w mieście.

– Dlaczego?

– Mojej mamie właściwie nic się nie stało. Mnie też nie. Przez wszystkie te lata wyczekiwał zemsty. Nie wyobrażam sobie, żeby wyjechał, nie dokończywszy dzieła.

– A co z twoją opinią, że on „odpokutował swoją winę”? – pytam urażona ze względu na Caina.

– Niemal całkiem wyparowała, kiedy spróbował zabić moją matkę. – Whit się krzywi. – Przykro mi, Freddie. Wiesz, że byłem po jego stronie, i gdyby nie to, że mama bez wahania go zidentyfikowała, nadal stosowałbym wobec niego domniemanie niewinności. Ale mama jest pewna, że to był on.

Przytakuję nie dlatego, że się z nim zgadzam, tylko by go ułagodzić.

– Czy zanim doszło do tej napaści, twoja matka wiedziała, kim on jest?

– Co masz na myśli?

– Czy zdawała sobie sprawę, że Cain to Abel Manners, którego broniła w sądzie jako młodego chłopaka?

– Policja poinformowała ją o tym parę dni temu. – Przygląda mi się przenikliwie. – A dlaczego pytasz?

– Ponieważ ludzie popełniają pomyłki, zwłaszcza gdy są przestraszeni albo ogarnięci paniką – wyjaśniam ostrożnie. – Jeżeli twoja mama wiedziała, kim jest

Cain, mogła przypuszczać, że ją wytropił, i spodziewać się, że dokona jakiegoś rodzaju zemsty. Tak więc kiedy została zaatakowana, była przekonana, że to on.

Zapada cisza.

Pierwsza odzywa się Marigold.

– Myślę, Freddie, że chwytasz się brzytwy...

– Nie. Freddie miałyby rację – przerywa jej Whit – gdyby moja mama była zwykłą osobą. Ale jest doświadczonym świadkiem... niczym gliniarz. Wie, na co zwracać uwagę, jak zidentyfikować sprawcę.

– To nie znaczy, że nie wpadła w panikę i nie mogła się pomylić – mówię, zachowując spokój. – Czy był jakikolwiek inny dowód wskazujący na Caina jako napastnika? Zapisy kamer monitoringu, odciski palców, ślady DNA?

– On wyciągał z szafki mojej mamy akta jego dawnej sprawy z procesu sądowego Abła Mannersa – odpowiada Whit.

To zamyka mi usta tylko na kilka sekund.

– Skąd wiedział, gdzie one są? To sprawa sprzed piętnastu lat. Czy ktokolwiek rozsądny spodziewałby się, że twoja matka wciąż przechowuje akta z procesu sądowego, który odbył się w innym stanie piętnaście lat temu? Nie mówiąc już o tym, że wiedział, gdzie ich szukać. Czy nie wydaje ci się to dziwne?

Na twarzy Whita pojawia się gniewny grymas.

– O czym ty mówisz, Freddie? Że moja matka kłamie?

– Nie. Mówię, że mogła się pomylić. Uderzono ją w głowę. Mogła być zdezorientowana.

– Freddie – wtrąca Marigold – wiemy, że pragniesz wierzyć Cainowi, ale zachowujesz się absurdalnie. On jest niebezpieczny. Czyż to nie oczywiste, że jest wspólnym ogniwem w całej tej sprawie? Jeśli wiesz, gdzie się ukrywa...

– Nie mam pojęcia – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Może przez jakiś czas pomieszkałabyś u mnie? – proponuje Marigold. – Mamy dodatkową sypialnię. Martwię się, że jesteś sama.

Uśmiecham się.

– Nie martw się, radzę sobie. Dom Carrington Square jest obserwowany przez policję, a poza tym ma własny system zabezpieczeń.

– Ktoś ominął cały ten system zabezpieczeń i zrobił zdjęcie twoich drzwi – przypomina mi Whit. – Oczywiście, jeśli założyć, że wierzy się Cainowi, gdy mówi, że zgubił swój telefon.

Wzdycham. Atmosfera robi się coraz bardziej napięta. Zmieniam temat, zanim rozmowa przybierze jeszcze gorszy obrót.

– Przeczytałam twój artykuł dla gazety „Rag”, ten w ramce na ścianie. Jest znakomity, Whit. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak świetnie piszesz.

Oboje wyglądają na zaskoczonych; Marigold także na nieco zdegustowaną.

– Przeczytałaś to? – rzuca Whit.

– Kiedy czekałam, aż po mnie przyjedziesz. Jesteś fantastycznym dziennikarzem.

– Dostawcą fake newsów dla rynsztokowego szmatławca – mówi ze smutkiem.

– Domyślam się, że twoja matka nie akceptuje kariery w dziennikarstwie.

– „Nie, kiedy mógłbyś osiągnąć w życiu o wiele więcej, Whit. Twoim przeznaczeniem jest tworzyć fakty, a nie tylko je relacjonować”. – Whit z goryczą naśladuje matkę.

– Zmieni zdanie po twojej pierwszej nagrodzie Pulitzera – odpowiadam. – Czy zamierzasz kontynuować wasz projekt bez Caroline?

– Być może. To był mój pomysł. Właściwie nie bardzo wiem, jak do tego doszło, że Caroline wmieszała się w ten projekt. Nie powinno się mówić źle o zmarłych, ale ta dziewczyna nie pozwoliłaby nikomu zdobyć nagrody Pulitzera, gdyby mogła ją ukraść.

– Naprawdę? – pytam, starając się nie wydać nazbyt zainteresowana, gdyż wiem, że Whit i Marigold już uznali Caina za winnego śmierci Caroline Palfrey.

– Och tak. Ona była jedną z tych osób, które zawsze znajdują się w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze, by sobie przypisać zasługi, bez względu na to, czyj talent bądź praca naprawdę za tym stoi.

- O rety. Myślałam, że wszyscy kochali Caroline.
- Jasne, po jej śmierci. Wcześniej nie za bardzo.
- Ach tak? Czy ktoś szczególnie jej nie lubił?

Whit mierzy mnie ostrym spojrzeniem. Zorientował się, że go przesłuchuję.

- Lauren Penfold.

Staram się nie okazać zaskoczenia.

- Penfold... Doskonałe nazwisko dla pisarki.

– Ona tak uważa. – Whit wciąż wpatruje się we mnie. – Gdyby sprawcą nie był Cain, podejrzewałbym Lauren.



Droga Hannah!

Czy zamierzasz wplątać w to Lauren Penfold? Współpracującą z Cainem?

Czy to nie jest złamanie co najmniej dwóch przykazań Ronalda Knoxa dotyczących powieści detektywistycznych? Wydaje mi się, że Lauren nie została przedstawiona w manuskrypcie na tyle wcześnie, by można było w zgodzie z regułami rządzącymi tego rodzaju literaturą wmieszać ją w te zbrodnie. Oczywiście reguły są po to, by je łamać!

Widzę, że zdecydowałaś się jednak nie uśmiercić Jean Metters. Szkoda, ale ostatecznie to Twoja książka, niezależnie od tego, jak bardzo mogę być zaangażowany w jej pisanie. Albo może chcesz, żeby Cain spróbował ponownie. Możliwe, że Whit, wróciwszy do domu, zastanie matkę zamordowaną w sposób, jaki wcześniej opisałem. Być może elementem tortury zastosowanej przez Caina jest doprowadzenie do tego, żeby Whit znalazł ją właśnie w takim stanie.

Jak zawsze sprawdzę dokładnie Twój następny rozdział.

Twój

Leo

## Rozdział trzydziesty

Proszę Whita, żeby nie odwoził mnie z powrotem prosto do Carrington Square, tylko wysadził przy księgarni Barnes & Noble na ulicy Boylston.

– Nie mogę na ciebie zaczekać – uprzedza mnie, gdy tam dojeżdżamy.

Kręcę głową.

– Chcę zapomnieć o tym wszystkim i poszperać na półkach. To mogłoby potrwać kilka godzin.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie. I wielkie dzięki za lunch.

Marigold ujmuje moją dłoń.

– Jeśli zmienisz zdanie co do pomieszkania u mnie, po prostu zadzwoń. Powiem Lucasowi, żeby w trakcie twojego pobytu miał na sobie ubranie.

Śmieję się.

– Nie do końca wiem jak, ale poradzę sobie. Bawcie się dobrze.

Macham im na pożegnanie i wchodzę do księgarni. To wielce prawdopodobne, że jeśli pozwolę sobie na szperanie pośród książek, rzeczywiście spędzę w ten sposób resztę dnia, jednak dziś nie mam na to czasu. Proszę więc księgarza o *Układ* Caina McLeoda. Okazuje się on fanem tej powieści i podczas finalizowania transakcji raczy mnie zapewnieniami, że ta historia „z wali mnie z nóg”. Obwoluta wygląda inaczej niż w egzemplarzu Whita. Tło pozostało czarne, jednak ilustracja jest mniejsza i przedstawia niewielkie zakratowane okienko w prawym górnym

rogu okładki. Nad tytułem dodano słowa „Bestseller z listy »New York Timesa«”, a nazwisko Caina wydrukowano większymi literami niż w pierwszym wydaniu.

Płacę za książkę i wracam do domu. Zatrzymuję się, by pogawędzić krótko z Joem, który przyzywa mnie gestem.

– Odkryłem, kto przysłał pani ciasteczka – oznajmia z triumfalnym uśmiechem. – To pan Johnson je zamówił.

– Leo?

– Tak, panno Kincaid. Być może ma pani sekretnego wielbiciela... no, teraz już nie tak sekretnego.

Śmieję się. Oczywiście. Powinnam była się domyślić.

– Leo jest po prostu bardzo życzliwy.

Pukam do drzwi Lea, lecz go nie zastaję. Zapamiętuję, by później złożyć mu wizytę, i wracam do swojego mieszkania.

Odnajduję w byciu samą rodzaj spokojnej ulgi. Wkładam piżamę, zamierzając wśliznąć się do łóżka z *Układem*. Najpierw jednak wyjmuję z torby na ramię japoński notatnik i uaktualniam schemat powieści, którą tworzę. Wpisuję Lauren Penfold, to, co mi powiedziała o Whicie, i co on powiedział o niej. Wracam myślami do spotkania z Lauren, szukając jakiegoś śladu podstępny, jakiegokolwiek oznaki wyrachowania w tym, co mi mówiła. Jednak naprawdę nie potrafię odkryć niczego takiego. Ponadto rozbudowuję schemat, umieszczam w nim atak na Jean Metters i jej domniemanie, że dokonał go Cain. Zastanawiam się, jaki powód mogłaby mieć, aby skłamać, ponieważ rzeczywiście sędzę, że kłamie. Na pewno. Ale dlaczego miałyby to robić? Żeby wysłać Caina z powrotem do więzienia? Dlaczego miałyby tego chcieć? Być może aby dowieść, że to nie skutek jej zaniedbania trafił tam za pierwszym razem? To wygląda na naciągane... Żeby kogoś chronić? Mój schemat staje się siecią krzyżujących się linii, które wskazują na różne możliwości, lecz nie ma w nim żadnego uchwytne wzorca.

Przypominam sobie nagle, że rodzice Caroline Palfrey są klientami firmy prawniczej Jean Metters. Czy mogłaby usiłować chronić ich interesy? Składam

kartki notatnika z powrotem w jego okładkę. Muszę na razie to zostawić, zanim ta zagadkowa układanka doprowadzi mnie do obłądu.

Biorę książkę Caina i włożę pod kołdrę.

Pod poduszką mam komórkę, którą mi dał. Zawsze trzymam ją pod ręką. Rozważam telefon do niego, lecz z jakiegoś irracjonalnego powodu mam wrażenie, że bezpieczniej robić to w nocy.

Tak więc otwieram *Układ*. Z tyłu obwoluty brak fotografii autora, co jest niecodzienne w przypadku amerykańskich wydań w twardej oprawie. Ciekawe, czy to była decyzja Caina?

Czytam przez następne kilka godzin, chociaż tracę świadomość upływu czasu. Ta historia niewątpliwie miejscami ma autobiograficzny charakter – niesłusznie skazany chłopak, który wyrasta na mężczyznę wewnątrz systemu więziennego. Tekst wibruje od ledwie hamowanej furii, która wrze na stronicach, wybuchając niekiedy w scenach szczególnego okrucieństwa. Po opuszczeniu więzienia bohater, Caleb St. John, wyrusza na poszukiwanie zemsty na tych, których obwinia o swoją utratę wolności. W powieści pełno jest sarkastycznego czarnego humoru. Akty wymierzania sprawiedliwości eskalują i przeradzają się w akty przemocy, jednak pomimo tego Cainowi udało się uczynić Caleba postacią sympatyczną. Język utworu, surowy i autentyczny, choć niepozbawiony swoistego liryzmu, zupełnie nie pasuje do Caina, jakiego znam. Ale przecież mnie przed tym ostrzegął.

Chyba mniej więcej o wpół do dziesiątej kończę wyczerpana i szlochająca. Ta książka jest mroczna, ale to mrok aksamitu, w pewnym sensie wspaniały i imponujący. I w gruncie rzeczy nie chodzi w niej o odwet, lecz o ukazanie tego, jak dokonywanie osądu może ukształtować zarówno sądzącego, jak i osądzanego. Gniew Caleba St. Johnsa wydaje się szczerzy i autentyczny, a jego zmagania stanowią odzwierciedlenie zmagania społeczeństwa, by ucywilizować własne destrukcyjne instynkty, ukryć zemstę pod przebraniem resocjalizacji.

I przez siedem godzin myślałam tylko o tym, o niczym innym.

Lecz teraz... teraz muszę porozmawiać z Cainem – o jego książce, o Jean Metters, Caroline Palfrey, Whicie i o nas. Jestem zaskoczona i zaintrygowana tym, co kiedyś się w nim kryło, i tęsknię za nim.

Wstaję, biorę prysznic, przebieram się w czystą piżamę i ścielę łóżko na te niewiele minut, kiedy będę poza nim. Wciąż jeszcze dość pełna po lunchu, przyrządzam sobie na kolację miseczkę płatków śniadaniowych – albo raczej ich amerykański odpowiednik, gdyż już w pudełku są słodsze. Jem na stojąco, jednocześnie przeglądając w telefonie wiadomości. Zamordowanie Shauna Jacobsa zastąpiły świeższe zabójstwa. Morderstwo Caroline wciąż pozostaje newsem. Nie ma żadnej relacji o napaści na Jean Metters, ale znajduję wzmiankę o tym, że powieściopisarz Cain McLeod jest poszukiwany przez policję w celu przesłuchania go w związku ze śmiercią Caroline Palfrey.

Zaskakuje mnie pukanie do drzwi. Uchylam je tylko, bo mam na sobie jedynie piżamę. Wprawdzie to bardzo przyzwoita piżama, a ja na ogół nie bywam taka wstydliva, jednak obecnie mogłaby to być policja – a w takim przypadku powinnam być całkowicie ubrana, najlepiej w rozpinany sweter, który mogłabym naciągnąć sobie na głowę.

To Leo. Otwieram drzwi na pełną szerokość.

– Zobaczyłem światło w szparze nad progiem, więc uznałem, że jeszcze nie śpisz.

– Rzeczywiście. Masz ochotę na filiżankę kawy... albo miseczkę płatków śniadaniowych?

Zagląda do miseczki, którą trzymam w ręku, zawierającej już tylko kilka płatków rozmokłych w reszcie mleka.

– Myślę, że zrezygnuję, chyba że masz herbatę.

– Właściwie to mam.

Leo siada przy ladzie kuchennej, a ja zanurzam we wrzątku torebkę herbaty.

– Już od jakiegoś czasu chciałem wpaść i zapytać, jak ci poszło z policją – oświadcza. – Kiedy wróciliśmy z tamtej wycieczki, byłaś trochę przestraszona.



Tym esemesem ze zdjęciami drzwi moich i Caina. Niemal o tym zapomniałam.

– Policja nie zdołała ustalić niczego poza tym, że te zdjęcia wysłano z telefonu, który Cain zgubił kilka tygodni temu.

– Cain, czyli Przystojniak?

Śmieję się.

– Tak.

– I to ten facet, którego policja chce przesłuchać w związku z zabójstwem tej Palfrey.

– Tak, ale przypuszczam, że tylko jako świadka – kłamię, a Leo prawdopodobnie o tym wie.

– Więc gdzie on jest?

– Słucham?

– Przeczytałem, że policja go szuka... co zwykle oznacza, że nie mogą go znaleźć.

– Nie wiem, gdzie jest. Chyba chciał zebrać jakieś informacje.

– I nie można się z nim skontaktować?

– No cóż, policjanci zabrali jego telefon.

– Powinien sam się ujawnić – mówi stanowczo Leo. – Ze względu na ciebie, jeśli nie dla własnego dobra.

– Nic mi nie grozi – odpowiadam beztroskim tonem.

Spogląda mi w oczy.

– Na pewno?

Wiem, że nie ma na myśli niebezpieczeństwa zagrażającego mi ze strony kogokolwiek innego oprócz Caina.

– Tak.

Leo kręci głową.

– Freddie, ty i ja jesteśmy kumplami, prawda?

– Tak, oczywiście.

– Więc jako twój kumpel trochę się o ciebie martwię.

– Naprawdę nie musisz, Leo.

– Jednak się martwię. Fakt, że jesteś zakochana, mąci ci w głowie.

– Nie jestem...

– Jesteś. Nie udawaj, że nie. A zakochanie to trochę jak odnalezienie Boga. Zaczyna się działać, opierając się na ślepej wierze. Pozwól, że będę twoim głosem rzeczywistości, zanim znajdziesz się w sekcie z Jonestown.

Wykrzywiam się do niego.

– Dobrze, Głosie Rzeczywistości, jaką mądrością pragniesz się ze mną podzielić?

– Odnoszę wrażenie, Freddie, że ludzie znajdujący się w pobliżu Przystojniaka mają skłonność do tajemniczych zgonów. Zatem wynika z tego, że jego poblizze nie jest miejscem, w którym należałoby przebywać.

– Ludzie, którzy tajemniczo zmarli, przebywając w jego pobliżu, przebywali także w moim – zauważam.

– No cóż, przypuszczam więc, że powinnaś się martwić jedynie, jeśli nie jesteś zabójczynią. A jeśli nią nie jesteś, zabija ktoś w pobliżu ciebie. – Dopija herbatę. – Spójrz prawdzie w oczy, Freddie. Wierzysz temu facetowi, ponieważ pragniesz mu wierzyć, ponieważ wygląda na to, że piękne, inteligentne kobiety z jakiegoś powodu czują pociąg do niebezpiecznych mężczyzn... – Urywa nagle, gdy uświadamia sobie, co przed chwilą powiedział. – To nie znaczy, że ty jesteś... Miałem na myśli, że jesteś... wiesz, co miałem na myśli. Przestań się śmiać!

Ale już za późno. Dostałam ataku śmiechu. Kto by pomyślał, że w trakcie rozmowy o tym, czy mój kochanek jest mordercą, usłyszę niezamierzony komplement, który uczyni całą tę sytuację tak krępującą?

– Przepraszam, Leo – mówię, wciąż chichocząc. – Daję słowo, że nie zamierzam wstąpić do żadnej samobójczej sekty. A Cain nie jest niebezpieczny.

– Tak, proszę pani, nie jest. Dopóki ignoruje się fakt, że został skazany za morderstwo.

– Skąd o tym wiesz? – pytam ostro.

– Mam przyjaciela w redakcji dziennika „Boston Globe”, który pracuje nad artykułem o zabójstwie Caroline Palfrey. Obawiam się, że wkrótce dowie się o tym cały świat. Tak więc, nawet jeśli Przystojniak padł niegdyś ofiarą pomyłki sądowej, w co najwyraźniej wierzysz, powinien teraz oddać się w ręce policji.

Do diabła! Wiem, że Leo uważnie mi się przygląda.

– Naprawdę nie mam pojęcia, gdzie jest Cain.

Powoli kiwa głową.

– Jeśli kiedykolwiek poczujesz, że wplątałaś się w sytuację, z którą nie potrafisz sobie poradzić, pamiętaj, możesz zawsze zwrócić się do mnie. Wiem, że nie prezentuję się tak imponująco jak Przystojniak, ale uczynię wszystko, co zdołam, by zapewnić ci bezpieczeństwo, Freddie. Czegokolwiek będziesz potrzebowała, wystarczy, że poprosisz.

Być może wskutek szczerości Lea albo dlatego, że jest już po północy, czuję się nagle spięta, a zarazem ogarnia mnie rozrzewnienie. Odwracam wzrok i mrugam zaciekle, by powstrzymać łzy.

– Dziękuję ci. Jesteś prawdziwym kumplem.

Leo być może obawia się, że zacznę płakać, bo wstaje pośpiesznie i mówi mi dobranoc.

– Nie powinienem był wpaść tak późno... wyglądasz na wyczerpaną. – Przy drzwiach przystaje i odwraca się do mnie. – Freddie, proszę, bądź ostrożna. Cain McLeod okazał się człowiekiem gwałtownym i agresywnym. Wprawdzie sama jeszcze tego nie widziałaś, ale wiesz, do czego jest zdolny. Jeśli spróbuje się z tobą skontaktować, zadzwoń na policję. W Ameryce niewinni ludzie wynajmują adwokatów, a nie uciekają.

Nie spieram się z nim, ponieważ to bezcelowe. Leo nie zna Caina. Nie jest w stanie rozważyć błędnych domniemań, odrzucić zwodniczych poszlak.

Zamykam za nim drzwi. Jego troska trochę działa mi na nerwy. Mam ochotę zirytować się na niego, ale wiem, że tylko stara się mnie chronić. I być może

z pozoru moja wiara w Caina rzeczywiście wydaje się szaleństwem. Uświadamiam sobie, że zupełnie zapomniałam podziękować Leo za te ciasteczka. Może to nie był odpowiedni moment. Może zamiast podziękowania upiekę coś dla niego jutro.

Gaszę wszystkie lampy, gramolę się do łóżka i naciągam kołdrę na głowę. Zdziwiająco, w tym momencie telefon wibruje jak na zawołanie.

– Cain?

– Cześć. – Tym razem nie ma zaspanego głosu jak wczoraj, gdy zadzwoniłam. – Czy to nieodpowiednia pora? Wiem, że jest późno.

– Nie, doskonała. Mam ci wiele rzeczy do powiedzenia i właśnie weszłam do łóżka.

– Wiem.

– Skąd? – pytam zaskoczona.

– Zobaczyłem, że zgasły u ciebie światła.

– Widzisz światła w moim mieszkaniu?

– Tak. Pomyślałem, że zaczekam, aż zgasną, by mieć pewność, że jesteś sama.

Uśmiecham się.

– To trochę aroganckie założenie. – Myśl, że on znajduje się na tyle blisko, by widzieć światła w moich oknach, wydaje się dziwna. Kusząca i frustrująca. – Gdzie jesteś?

– Niedaleko.

– Policja obserwuje Carrington Square.

– Wiem, widzę ich.

Czuję się zaintrygowana i trochę zaniepokojona.

– Gdzie dokładnie jesteś? A właściwie nie, cofam to pytanie. Muszę móc szczerze powiedzieć, że nie wiem, gdzie się ukrywasz. Ale Cain, czy przebywanie tak blisko nie jest trochę ryzykowne?

– To wkalkulowane ryzyko – odpowiada.

Nie słyszę żadnego hałasu w tle. Jest w jakimś cichym miejscu. Zmuszam się, aby przestać próbować się domyślić gdzie. Nie powinnam tego wiedzieć.

– Rozmawiałam dziś z Jean Metters.

– Jak, u licha, ci się to udało?

Mówię mu, w jaki sposób dotarłam do matki Whita, i o mojej rozmowie z nią.

– Cain, ona nie popełnia pomyłki, tylko kłamie. Nie mam co do tego wątpliwości.

– Dlaczego miałyby kłamać? Jestem dla niej nikim. Dawną sprawą, którą przegrała.

– Może myśli, że pozwiesz ją za to do sądu czy coś w tym rodzaju.

Cain się śmieje.

– Ona jest adwokatką. Przypuszczalnie połowa jej klientów chce ją pozwać. Wątpię jednak, czy perspektywa, że ja bym tak postąpił, wydaje się jej na tyle groźna, by zaryzykowała swoją karierę, a być może nawet trafienie do więzienia, fabrykując fałszywe oskarżenie.

– Ale przecież właśnie dokładnie to zrobiła. Musi istnieć jakiś powód jej postępowania.

– Tak, znajdziemy go. Co jeszcze mówiła?

– Chciała, żebym zadzwoniła na policję, jeżeli cię spotkam. Powiedziała, że obowiązkiem matki jest chronienie syna i że powinnam donieść na ciebie, jeśli nie ze względu na mnie, to dla dobra Whita.

– Obowiązek matki – szepcze Cain. – Czy mogła próbować chronić Whita przede mną?

– Przypuszczam, że to możliwe. Policja poinformowała ją, kim jesteś. Powiedziała mi, że przyjechałeś do Bostonu, aby zemścić się na niej poprzez Whita.

– To trochę w stylu produkcji filmowych Marvela, co?

– Być może. Whita pchnięto nożem, a Jean Metters rzeczywiście pasuje do roli głównego czarnego charakteru.

– I znowu, ona jest prawniczką. Ale masz rację, to mógłby być powód.

Opisuję Cainowi lunch z Whitem i Marigold oraz streszczam, co powiedział Whit o Lauren Penfold.

– Według ciebie to możliwe? – pyta.

Marszczę nos, chociaż Cain nie może tego zobaczyć.

– Jeśli to, co mówi o niej Whit, jest prawdą, miała powód, żeby zabić Caroline, może nawet pchnąć go nożem, ale dlaczego miałyby zamordować Boo albo zaatakować Jean Metters?

– Czyli uznałaś, że wszystkie te cztery przestępstwa są z sobą powiązane?

– Są powiązane... poprzez ciebie. A ponieważ nie wierzę, że jesteś zabójcą, w grę musi wchodzić coś jeszcze.

– Musi – mówi cicho i w jego głosie brzmi przygnębienie.

Rozpaczliwie pragnę go objąć, powiedzieć mu, że będzie dobrze.

– Szkoda, że nie wiem, czy policjanci stale obserwują dom – mówię sfrustrowana tym, że on jest tak blisko, a jednak nie mogę się z nim zobaczyć.

– Co jakiś czas oddalają się na kilka minut, gdy idą po kawę. Ale trudno przewidzieć kiedy. Zresztą i tak nie można minąć niepostrzeżenie waszego portiera.

– Więc mógłbyś wejść do budynku, tylko nie obok Joego?

– Tak myślę.

– Zatem ja też mogłabym opuścić dom bez wiedzy policji.

– Wasz portier może mieć instrukcje, żeby zaalarmować funkcjonariuszy, jeśli wyjdiesz.

– Mogłabym użyć schodów pożarowych. Można wyjść nimi z budynku, lecz nie da się tą samą drogą wrócić. – Siadam w łóżku, teraz podekscytowana. – Mogę czekać gotowa, ty zadzwoniłbyś do mnie, kiedy policjanci następnym razem pójdą po kawę, i po prostu zejść schodami pożarowymi.

Przez chwilę panuje cisza. A potem Cain mówi:

– Dobrze. Kiedy zadzwonię, wyjdź z domu do alejki odległej o jedną przecznicę. Znajdę cię tam. Jeżeli nie pojawię się w ciągu paru minut, nie czekaj, tylko wróć.

Zgadzam się i już szukam po omacku ubrania, świecąc telefonem.

– Freddie, jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

– Całkowicie.

– Wobec tego ubierz się ciepło.



Droga Hannah!

Jestem szalenie wzruszony. Odzwierciedliłaś naszą relację w postaci związku między Freddie a moim imiennikiem. On jest jej doradcą, szczerym i prawdomównym. Ona może zawsze zwrócić się do niego, tak jak Ty możesz się zwrócić do mnie. Wzrusza mnie do łez świadomość, że właśnie w taki sposób to odczuwasz. Korespondowanie ze sławną autorką to przywilej, który niezwykle sobie cenię. Tak wiele się od Ciebie nauczyłem; mam nadzieję, że Ty też nauczyłaś się trochę ode mnie. I rad jestem, że mogę po prostu być Twoim oddanym recenzentem. Lecz myśl, że moglibyśmy być dla siebie czymś więcej, że jesteśmy czymś więcej, to spełnione marzenie. Och, do diabła z tą pandemią. Gdyby nie ona, zjawiałabyś się tutaj. Byłbym Twoim przewodnikiem. Pokazałbym Ci niewyobrażalne.

Zawsze Twój

Leo

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Wpycham do plecaka koc podróżny, który kupiłam na lot do Stanów Zjednoczonych. Zrolowany jest nieprawdopodobnie mały. Wrzucam paczkę krakersów, ser, ciasteczka i torebkę cukierków, mały termos z kawą, notatnik, którego używam do nakreślania schematu wydarzeń, dwa komplety bielizny na zmianę i szczoteczkę do zębów. Uświadamiam sobie, że planuję powrót najwcześniej za dwa dni, chociaż nie do końca wiem, kiedy podjęłam tę decyzję. Wsuwam laptop do pokrowca. Być może zabranie go to absurd, lecz nie potrafię się zmusić, by zostawić mój komputer.

Znajduję gotówkę, którą tamtego dnia wyjęłam z szuflady, i chowam do mojej wewnętrznej kieszeni. Na wszelki wypadek biorę paszport.

Nie mam pewności, czy to, co zamierzam zrobić, jest legalne. Prawdopodobnie to pomoc i współudział w dokonaniu przestępstwa, ale postępuję tak od samego początku. Zmieniam komunikat w moim oficjalnym telefonie na oznajmiający, że będę nieosiągalna przez parę dni pracy nad kilkoma kluczowymi scenami mojej książki, więc proszę o nagranie wiadomości. Mam nadzieję, że kupię w ten sposób parę dni u rodziny i Marigold. Zostawiam ten telefon obok łóżka, podłączony do ładowarki, gdyż wiem, że można by go użyć do namierzenia mnie.

Oddychaj głęboko, Winifredo! Siadam. Kiedy miałam osiem lat, spakowałam torbę, żeby uciec z domu. Nie opuściłam nawet podwórza, ale wystarczyła mi ekscytacja planowania tej ryzykownej wyprawy. Tym razem to nie jest dziecięca



zabawa. Ta eskapada będzie miała konsekwencje. Lecz mimo to upaja mnie myśl o ujrzeniu Caina, wyrwaniu się spod nadzoru policji.

Cain dzwoni godzinę później.

– Masz mniej więcej pięć minut.

Wymykam się na korytarz i idę w stronę wewnętrznych schodów pożarowych. O tej porze nocy światła są przyćmione. Wyjście awaryjne znajduje się w pobliżu drzwi mieszkania Lea, więc muszę zachowywać się szczególnie cicho, żeby nie wychylił głowy na zewnątrz.

Schodzę po schodach i opuszczam budynek. Okazuje się to dziwnie łatwe. Ulica jest pusta. Światła latarni wydają się jaskrawe. Nie biegnę ani nie rozglądam się za Cainem, tylko spokojnie ruszam wzdłuż rzędu domów. Alejka ma około siedmiu metrów szerokości, jest nieoświetlona i cicha. Po obu stronach przed tylnymi drzwiami sklepów stoją wielkie metalowe kontenery na śmieci. I po raz pierwszy moje podekscytowanie słabnie w obliczu realności tego, co robię. Słyszę kogoś i odwracam się z nadzieją. Ale to nie Cain. Stary mężczyzna grzebiący w jednym z kontenerów wykrzykuje przekleństwa pod moim adresem i mam ochotę uciec. Zatrzymuję się, niepewna, jak teraz postąpić, i zbyt przestraszona, by jakkolwiek zareagować. Do diabła, gdzie się podziewa Cain?

Zagłębiam się w alejkę, oddalając się od ulicy, tego mężczyzny i kontenera. W ciemności prawie nic nie widzę. Pomędzy wrzaskami starego człowieka słyszę odgłos kroków dobiegający od strony wylotu alejki. Bogu dzięki. Otwieram usta, by zawołać imię Caina, ale czyjaś dłoń zatyka mi je i odciąga mnie do tyłu. Walczę, lecz ręka obejmuje mnie, skutecznie przygważdżając i unieruchamiając. Z przerażenia krew zastyga mi w żyłach, bo chociaż nie widzę jego twarzy, wiem, że to Cain.

Pociąga mnie w dół. Stary mężczyzna znów krzyczy, wywrzaskuje obsceniczne słowa. Ktoś zaczyna do niego mówić.

Szept w moje ucho:

– Freddie, to ja. Nie chciałem cię przestraszyć, ale to gliniarz rozmawia z Zekem.

Przestaję się szamotać, a właściwie wiotczeję pod wpływem ulgi.

– Zeke widział, jak weszłam w alejkę.

– On nie powie niczego glinie. Zresztą myślę, że ten policjant próbuje go przekonać, żeby sobie stąd poszedł.

Po kilku chwilach funkcjonariusz usuwa Zekego z alejki. Przykucamy niżej, gdy omiata okolicę światłem latarki, dokonując pobieżnej inspekcji, a potem rusza z powrotem w kierunku ulicy.

Odwracam się wreszcie do Caina. Całuje mnie delikatnie.

– Cześć – mówi.

– Śmiertelnie mnie przestraszyłeś!

– Przepraszam. Bałem się, że ten gliniarz cię zobaczy. – Ujmuje moją dłoń. – Nie będę miał ci za złe, jeżeli zechcesz wrócić.

Przecząco kręcę głową.

– Czy właśnie tutaj się ukrywałeś?

Unosi brew.

– Tutaj? O Boże, nie! Nie zaproponowałbym ci zamieszkania na ulicy.

Wychodzimy drugim końcem alejki i kluczymy bocznymi uliczkami. Cain wie, dokąd idziemy, ja nie mam pojęcia. W końcu orientuję się, że zatoczyliśmy koło i jesteśmy przy ciągu budynków naprzeciwko Carrington Square. Przemierzamy niewielki park, przechodzimy przez jakiś płot i nagle znajdujemy się na czymś tylnym podwórzu. Potem Cain po prostu otwiera drzwi i wchodzimy do domu. Boję się, że zostaniemy zaraz zastrzeleni przez słusznie rozgniewanego właściciela za włamanie i wtargnięcie.

Cain zamyka za nami drzwi i zaszuwa rygiel. Mój wzrok powoli przystosowuje się do ciemności. Wygląda na to, że weszliśmy przez kuchnię.

– Facet będący właścicielem tego domu spędza zimniejsze miesiące na Bahamach. Nawet w lecie rzadko tu bywa.

– Skąd wiesz?

– Sam mi powiedział. Jakies trzy lata temu mój agent przyprowadził mnie tutaj na party.

– A skąd masz klucz?

– W ogrodzie stoi posąg Wenus z ukrytym schowkiem, w którym facet trzyma zapasowy klucz. Otwiera się go, naciskając pierś Wenus. Był taki dumny z tego schowka, że mi go pokazał. Właściwie każdy gość, który był wtedy na tym przyjęciu, wie, gdzie jest ten klucz. – Cain się krzywi. – Prawdę mówiąc, ten facet to kretyn.

– Byłeś tu przez cały czas?

– Nie. Przypomniałem sobie o tym miejscu i kluczu ubiegłej nocy i postanowiłem spróbować się tu dostać, chociaż w gruncie rzeczy nie sądziłem, że mi się uda. Jak powiedziałem, to było kilka lat temu. Mógł już dawno sprzedać ten dom. Wchodzę po zapadnięciu zmroku i wychodzę przed świtem, a poza tym uważam, żeby nie zapalać świateł w pokojach z oknami, aby nikt się nie dowiedział, że tu jestem. Kiedy cała ta sprawa się skończy, powiem mu, że korzystałem z jego domu, i przeproszę.

– Czy policji nie przyjdzie na myśl, żeby tu zajrzeć?

Kręci głową.

– Ten facet nie jest moim przyjacielem. To była po prostu jedna z setek imprez, na które chodziłem. Larry, właściciel, to potentat w branży internetowej. Chyba uważa ten dom trochę za norę niewartą uwagi. Nie zadał sobie nawet trudu, by zainstalować alarm. Dziw, że nie koczują tu cała banda ludzi. – Bierze mnie za rękę. – Chodź, coś ci pokażę.

Prowadzi mnie po schodach na górę, do sypialni. Zasłony są zaciągnięte. Gestem zachęca mnie, żebym zerknęła przez wąską szparę między nimi.

Wzdycham cicho, zaskoczona, chociaż wiedziałam z grubsza, gdzie stoi ten dom. Znajdujemy się niemal naprzeciwko Carrington Square, po drugiej stronie

ulicy. Widzę moje okna, a także wóz policyjny zaparkowany przed budynkiem, i zdaję sobie sprawę, że Cain stąd do mnie zadzwonił.

Potem prowadzi mnie do pomieszczenia zupełnie pozbawionego okien i zapala lampę. To pokój telewizyjny z ekranem na ścianie i ogromną sofą ulokowaną pod przeciwległą ścianą. Sądząc po leżących na sofie złożonych kocach, Cain spał tutaj. Na podłodze przy gniazdku elektrycznym ładuje się jego laptop i telefon. W pokoju panuje chłód, jednak wydaje się tu całkiem przytulnie w porównaniu z mroźnym powietrzem na dworze.

Z uśmiechem zdejmuję plecak.

– Spakowałam się z myślą o nocowaniu gdzieś pod drzwiami albo na ławce w parku. Wzięłam nawet jedzenie.

Cain uśmiecha się do mnie.

– Dobrze, że pomyślałaś o jedzeniu. W szafkach kuchennych Larry’ego jest tylko wódka i oliwa truflowa, a nie możemy przecież zamówić pizzy.

Wypakowuję moje zapasy. Cain kpi ze mnie łagodnie na widok termosu, ale nie odmawia napicia się kawy. Kulimy się pod kocami na sofie i rozkładamy strony mojego japońskiego notatnika. Razem przeglądamy sporządzane przeze mnie sumiennie zapiski, mając nadzieję, że dzięki naszym kolektywnym wspomnieniom być może dostrzeżemy w nich jakiś wzorzec. Ostatnie, co zapamiętuję, to że rozmawiamy o Marigold, Whicie i Jean Metters i że czuję pod policzkiem ciepło muskularnej klatki piersiowej Caina. Nie bardzo wiem, które z nas zasypia pierwsze.

Budzę się, gdyż wyczuwam, że Cain się obudził. Jest przenikliwie zimno i nadal ciemno.

– Musimy się pospieszyć, jeżeli chcemy wziąć prysznic i wyjść stąd przed świtem.

– Możemy wziąć prysznic?

– Pewnie. Korzystam z łazienki przy głównej sypialni. Gorąca woda trochę cię rozgrzeje – dodaje, gdy zaczynam dygotać.

– Nie mów mi, że masz ręczniki – rzucam, przeciągając się.

– W szafce w łazience są czyste. – Wstaje i wyciąga ku mnie rękę, żeby pomóc mi podnieść się z łóżka. – Idź pierwsza. Ja wezmę prysznic po tobie.

Łazienka sąsiadująca z główną sypialnią jest ogromna i luksusowa: lśniące białe kafelki, armatura pokryta matowym chromem. Wyjmuję z szafki dwa ręczniki i biorę szybki prysznic. Używam mydła w płynie o miodowym zapachu i szamponu ekskluzywnej marki, jakiej nigdy nawet nie widziałam. Gorąca woda usuwa otępienie spowodowane zbyt krótkim snem i sprawia, że przestaję drzeć z zimna. Gdy wychodzę z łazienki, okazuje się, że Cain już spakował wszelkie ślady naszej obecności w pokoju telewizyjnym. Podczas gdy bierze prysznic, wracam do okna w sypialni i zerkam przez szparę w zasłonach. Na ulicy nadal stoi zaparkowany wóz policyjny, chociaż nie potrafiłabym stwierdzić, czy ten sam. Ciekawe, jak długo potrwa, zanim zaczną podejrzewać, że nie ma mnie w domu? Przypuszczam, że do wieczora, kiedy zapewne zastanowi ich, dlaczego w moim mieszkaniu nie palą się żadne światła. Albo, co całkiem możliwe, Marigold zadzwoni na policję, gdy nie będzie mogła się ze mną skontaktować.



Moja droga Hannah!

Co u Ciebie? Ja przez minione kilka dni nieustannie rozmyślałem o naszej powieści.

Wczoraj poszedłem zrobić sobie test covidowy w prowizorycznym punkcie przy Copley Plaza. Nie byłem chory – pomyślałem po prostu, że wypróbuję tę procedurę. Ciekawe, czy przebicie komuś mózgu przez nozdrza byłoby interesującą sceną śmierci? Być może nie da się zabić w taki sposób. Możliwe, że jedynym groźnym skutkiem byłaby lobotomia. Zobaczę, czy uda mi się natrafić na jakieś zdjęcia ofiar podobnego zabójstwa – z czystej ciekawości. Przypuszczam, że nadal jesteś zdecydowana pominąć temat wirusa. Już się z tym pogodziłem.

Ostatni rozdział naprawdę mi się spodobał. Nareszcie Freddie przynajmniej na moment waha się w swoim absurdalnym zaufaniu do Caina. Mogłabyś nadać tej scenie w alejce jeszcze bardziej przejmujący wyraz, gdyby Cain zachował się wobec Freddie nieco brutalniej – na przykład uderzył ją pięścią albo trochę podduśił. Mógłby się usprawiedliwić, że wziął ją za kogoś innego, ale przez krótką chwilę ujrzelibyśmy jego prawdziwą naturę.

Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że Cain jest czarny. Naprawdę powinnaś już na początku powieści powiadomić o tym czytelników. Jeżeli nie chcesz napisać tego wprost, może mógłby nosić przez cały czas bluzy z kapturem.

Pomyśl o tym, Hannah, i pomyśl o mnie.

Zawsze Twój

Leo

## Rozdział trzydziesty drugi

Kiedy wychodzimy, niebo jeszcze nie zaczęło się rozjaśniać. Cain zamyka drzwi na klucz i wkłada go do kieszeni. Wracamy tą samą trasą, którą tu przyszliśmy.

– Dokąd idziemy? – pytam, wkładając ręce w kieszenie bluzy z kapturem.

Moja znajomość Bostonu jest w najlepszym razie kiepska i gdy przemierzamy alejki, zataczamy koła i wybieramy skróty, czuję się kompletnie zagubiona.

Ale Cain wie, dokąd zmierza, a raczej dokąd zmierzamy. Bierze mnie za rękę.

– Na śniadanie.

– Och, Boże, tak... i na kawę.

– Jasne. Nie mów, że nie potrafię ugościć dziewczyny.

Restaurację Old Mate prowadzą Australijczycy. Serwują tu kawę latte i cappuccino, pastę z awokado i tosty z vegemite. Personel nosi brązowe bluzy z kapturem z kangurzymi uszami, z wyhaftowanym młodym kangurkiem wyglądającym z torby. Trochę to kiczowate, ale lokal roi się od ludzi przychodzących na śniadanie, a wielu z nich to Australijczycy.

Cain wysuwa dla mnie krzesło przy stoliku w kącie sali.

– Pomyślałem, że możemy porozmawiać tutaj, gdzie twój akcent nie będzie się szczególnie wyróżniał.

Jego spryt mógłby mi zaimponować, gdybym nie była całkowicie skupiona na perspektywie napicia się prawdziwej kawy.

Cain daje znak kelnerce, która przyjmuje nasze zamówienia. Proszę o dużą kawę latte i awokado na toście z vegemite; jako że jesteśmy w Ameryce, podają je wraz z frytkami. Cain zamawia jajka na bekonie, które to danie najwyraźniej chciano uczynić bardziej australijskim poprzez dodanie smażonego banana. Czuję się tym nieco urażona, ale jestem głodna i nie zamierzam głośno wyrażać kulinarnego oburzenia.

Po kilku miesiącach spędzonych w Stanach Zjednoczonych australijski akcent rozbrzmiewający wszędzie wokół nas wydaje mi się dziwny i niecodzienny. Uświadamiam sobie, że wszędzie indziej mój głos zwróciłby uwagę ludzi na mnie i Caina. Tutaj nasza rozmowa ginie w ogólnym gwarze.

Najpierw omawiamy zabójstwo Caroline Palfrey, które wydaje się stanowić epicentrum wszystkich późniejszych zdarzeń. Mimo to nadal nie jestem przekonana, czy ma ono jakiś związek z tym, że Cain i Whit poznali się właśnie tamtego dnia.

– Zakładając, że to prawda – mówi Cain, szturchając widelcem banan smażony na głębokim oleju, jakby sprawdzał, czy nie jest żywy – osoba, która ściągnęła nas wszystkich do biblioteki, musiałaby wiedzieć o mnie oraz o powiązaniu rodzin Whita i Caroline z moją sprawą sądową sprzed lat.

– Czy cokolwiek z tego jest tajemnicą?

– Właściwie nie, ale jak wiesz, nie rozgłaszam tego. Można znaleźć to wszystko w archiwach, jednak trzeba by wiedzieć, gdzie szukać.

– Jean Metters nie musiałaby wcale szukać.

– Ale dlaczego miałyby chcieć zabić Caroline albo pchnąć nożem własnego syna? To nie ma sensu.

– Może Whita dźgnął ktoś inny z zemsty za śmierć Caroline? Może to sprawa między Mettersami a Palfreyami?

Cain się uśmiecha.

– To jest Boston, a nie Ozarks, gdzie morduje się ludzi jak w serialu.

Nie chcę pozwolić, żeby zlekceważył tę teorię.



– Jedno wiemy na pewno: Jean Metters kłamie, że ty na nią napadłeś. Nie myli się, lecz kłamie. Dlaczego miałaby to robić, jeśli nie jest zamieszana w tę sprawę?

Cain marszczy brwi.

– Chyba że się mnie boi.

– Nie nadążam.

– Jeśli sądzi, że zagrażam jej albo Whitowi, mogłaby postanowić „pomóc” policji w znalezieniu dowodu przeciwko mnie. – Decyduje się spróbować banana. – Policja powiedziała jej, kim jestem, dwa dni przed tym, zanim Jean została napadnięta, więc czas się zgadza.

– Dlaczego miałbyś stanowić zagrożenie dla któregokolwiek z tych dwojga?

– Może Jean Metters uznała, że kiepsko się spisała, broniąc mnie, i przypuszcza, jak ci powiedziała, że chcę się zemścić. – Unosi głowę i patrzy mi w oczy. – Nie chcę.

– Wiem, chociaż nie całkiem pojmuję dlaczego. Ja na twoim miejscu bym chciała. – Wypijam łyk kawy latte i rozkoszuję się pierwszą dawką kofeiny. Kawa jest tak smaczna, jakby zaparzano ją w Melbourne. – Cain, oni cię nie skażą za morderstwo, prawda? Mogą cię podejrzewać, nawet aresztować, ale w gruncie rzeczy nie mają żadnego dowodu, że kogokolwiek zabiłeś. Z pewnością sąd umorzyłby taką sprawę?

– Pokładasz wielką wiarę w amerykańskim systemie sprawiedliwości, Freddie.

– Ale mam rację, tak? Dysponują wyłącznie poszlakami i nie znajdują niczego bardziej konkretnego, ponieważ nie jesteś winny. – Gdy to mówię, zaczynam być co do tego przekonana. – Oni niczego przeciwko tobie nie mają.

– Przypuszczam, że działają, opierając się na założeniu, że nie trzeba mieć dowodów, jeśli uzyskało się przyznanie się do winy.

– Ale nie uzyskali... przecież ty nie...

– Nie, oczywiście, że nie przyznałem się do winy. Miałem na myśli tylko to, że mogą nie martwić się brakiem konkretnych dowodów. Spodziewają się, że zdołają mnie skłonić do przyznania się.

– Nadal musimy znaleźć ci prawnika – mówię stanowczo.

Przytakuje.

– W momencie, gdy zatrudnię adwokata, będę musiał oddać się w ręce policji. Chcę zyskać pewność, że dowiedziałem się wszystkiego, czego mogłem, zanim zgarną mnie z ulicy. – Odkłada nóż i widelec. – Boo ostatnio zdobył trochę pieniędzy. Oczywiście zabalował za nie, ale najwyraźniej miał coś na kogoś.

– Kogoś szantażował?

– Na to wygląda.

– Zrobiłby coś takiego?

– Bez chwili namysłu. Zasady moralne, jakimi kierował się w życiu, były dość pragmatyczne. – Cain marszczy brwi. – Jeden z jego kumpli uważa, że Boo wiedział coś o zabójstwie Caroline Palfrey.

– Czy to możliwe?

Cain wzrusza ramionami.

– Możliwe. Boo lubił zaglądać do tej biblioteki. Mógł tam być tamtego dnia.

– Więc jeśli rzeczywiście coś zobaczył i szantażował mordercę, wynika z tego, że ten morderca mógłby chcieć go zabić.

– Tak, być może. – Przez chwilę się waha. – Jest pewien gość, nazywa się Darryl Leonowski. Prowadzi jadłodajnię dla ubogich w East Boston. Boo regularnie tam bywał, grał w szachy z Darrylem.

– Rozmawiałeś z nim?

– Rozważałem to.

– Ale boisz się, że on zadzwoni na policję?

– Istnieje taka możliwość.

– Ja mogłabym z nim pomówić. Policja być może nawet jeszcze mnie nie szuka.

– Zrobiłabyś to? Okropnie się czuję z tym, że mieszam cię w to wszystko.

– Ustaliliśmy chyba, że już jestem wmieszana. – Wyjmuję z plecaka notes. – O co mam go zapytać?

Przez jakiś czas omawiamy te pytania, a potem dopadają mnie wątpliwości.

– Czy nie powiedziałaś już policji wszystkiego, co wie?

– Być może. Jednak wiem z doświadczenia, że trudno prowadzić jadłodajnię dla ubogich, jeśli w pobliżu płacze się policja. Niewykluczone, że chętniej pogadałby z tobą.

– Czy powinnam pozbyć się mojego australijskiego akcentu? No wiesz, żeby trudniej mnie było rozpoznać – pytam, naśladowując, na ile potrafię, modulację głosu Caina.

Wybuchają śmiechem.

– Nie, proszę, nie rób tego. Najlepiej nigdy.

– Jakże to nieuprzejme! Jeśli chcesz wiedzieć, właśnie dokładnie tak brzmisz.

Płacimy rachunek i przejeżdżamy autobusem przez most do East Boston. Cain ani na moment nie traci czujności, wypatruje mundurów policyjnych i każdego, kto mógłby zbyt uważnie się nam przyglądać. Ja możliwie jak najrzadziej się odzywam.

Jadłodajnia dla ubogich mieści się w dawnym kościele. Zostawiam Caina na zewnątrz i wchodzę do środka. Wnętrze kościoła zastawiono stołami na kozłach; większość z nich jest zajęta. Wielu klientów to starsi ludzie, chociaż niektórzy wyglądają mi na nastolatków. Zebrani zachowują się cicho. Niewielu rozmawia przy jedzeniu, a jeśli już, to szeptem.

Podchodzę do kontuaru, gdzie serwuje się gorące potrawy. Młody mężczyzna w bluzie z kapturem poplamionej sosem podaje mi talerz.

– Dziękuję, ale przyszedłam zobaczyć się z Darrylem – mówię. – Przepraszam, że nie znam jego nazwiska, ale muszę z nim pomówić w ważnej sprawie. Ty przypadkiem nie jesteś Darrylem? – pytam z nadzieją.

– Nie, mam na imię Jack – odpowiada, wskazując dużą plakietkę z tym imieniem przypiętą na piersi.

Głupio mi, że jej nie zauważyłam. Jack się rozgląda. Nikt nie stoi w kolejce do kontuaru.

– Zostań tutaj, przyprowadzę go. Jeśli zjawi się ktoś po żarcie, powiedz, że za moment wrócę.

Czekam więc, starając się nikomu zbytnio nie przyglądać.

Jack wraca dość szybko.

– Darryl jest w magazynie – oznajmia, pokazując na drzwi. – Po prostu wejdź tamtędy.

Dziękuję mu. Za drzwiami znajduje się długi ciemny korytarz, a przy nim kilka pomieszczeń.

Z końca korytarza dobiega głos.

– Tutaj, ostatnie drzwi po lewej. Uważaj, światło nie działa.

Włoski na karku stają mi dęba ze strachu, ale powtarzam sobie: „Nie bądź śmieszna, to były kościół”.

Znajduję Darryla w ostatnim pomieszczeniu. To mężczyzna w nieokreślonym wieku, z okazałym brzuchem. Jasnorude włosy zapewne w jego młodości miały ognisty kolor. Nosi czarną bluzę z kapturem. Napis na niej głosi: „Poznaj Chrystusa, poznaj życie”. Mężczyzna obficie się poci, otwierając pudła i ustawiając puszki z żywnością w sterty na półkach.

Przedstawiam się.

Ściska mi dłoń.

– Miło mi cię poznać, Winifredo. Jack powiedział, że chcesz ze mną pomówić.

– Owszem. Chciałabym cię zapytać o Shauna Jacobsa.

Unosi głowę i mierzy mnie surowym spojrzeniem.

– Shauna? Wiesz, że on...

– Tak, wiem. Właśnie z tego powodu przyszedłam się z tobą zobaczyć.

– Znałaś Shauna?

– Spotkałam go, jednak nie mogę powiedzieć, że naprawdę go znałam. Ale myślę, że ty go znałeś.

Uśmiecha się łagodnie i wzdycha.

– Tak. Był trochę zrzędlawy i świetnie grał w szachy, nawet nietrzeźwy. – Spogląda na mnie. – Dlaczego interesujesz się Shaunem?

Cain przygotował mnie na to pytanie. Powiedział: „Nie da się okłamać ludzi, którzy pracują z bezdomnymi. Zorientują się”. Więc mówię Darryłowi prawdę.

– Mężczyzna, którego policja uważa za zabójcę Shauna, to mój przyjaciel.

– I uważasz, że jest niewinny.

– Wiem, że jest niewinny,

– A skąd to wiesz, Winifredo?

Mówię mu o tamtej nocy, kiedy Cain i ja natknęliśmy się na Shauna Jacobsa.

– Gdyby Cain chciał zabić Boo, mógłby to zrobić wtedy i byłoby to w obronie własnej, ale tego nie zrobił. Nawet nie zadzwonił na policję ani nie udał się do szpitala z obawy, że mogłoby to spowodować aresztowanie Shauna.

Darryl nie wygląda na przekonanego.

– Posłuchaj, Darryl, ostatecznie rzecz w tym, że wierzę Cainowi. I wiem, że Shaun niedługo przed śmiercią znalazł jakieś źródło pieniędzy. Twierdził, że wie coś o zabójcy Caroline Palfrey.

Darryl spogląda na mnie przenikliwie.

– Caroline Palfrey... tej kobiety z biblioteki?

Przytakuję. Widzę, że właśnie coś sobie uświadomił.

– Shaun opowiedział mi historię o dziewczynie, która krzyknęła, co sprawiło, że wszyscy pomyśleli, że zginęła.

– W bibliotece?

– Nie powiedział. Wówczas myślałem, że to po prostu jedna z jego historyjek w stylu „kobiety są przyczyną wszelkiego zła”. Nie zwróciłem na to szczególnej uwagi.

Staram się pohamować podekscytowanie. Coś mamy.

– Czy tylko tyle powiedział o tej dziewczynie, która krzyknęła?

– Wspomniał, że dostała za swoje, a teraz on dostanie za swoje.

– Co miał przez to na myśli?

– Nie wiem. Musisz zrozumieć, że Shaun czasem mówił rzeczy nie tylko nieracjonalne, lecz wręcz niespójne.

– Myślisz, że mógł ją zabić? Tę dziewczynę, która krzyknęła.

Darryl zastanawia się, a potem potrząsa głową.

– Nie wiem. Shaun potrafił wybuchnąć i rzucić się na kogoś, ale zamordowanie młodej kobiety i ukrycie ciała wydaje się nie w jego stylu.

Przypominam sobie, że Cain mówił coś podobnego o wybuchach agresji Boo. Czy to możliwe, że wszyscy nie doceniliśmy zdolności Shauna Jacobsa do popełnienia wyrachowanego morderstwa?

– Czy ostatnio zrobił albo powiedział coś jeszcze, co uznałeś za dziwne?

– Większość z tego, co Shaun mówił i robił, była dziwna. Ale rzeczywiście przyniósł mi pudełko donutów. Wcześniej nigdy tego nie zrobił.

– Donutów?

– Tak, bardzo wykwintnych. Miały smaki obmyślane przez kogoś będącego niewątpliwie na haju, ale były pyszne. – Uśmiecha się z zawstydzeniem. – Przyznaję, że odtąd czasami kupuję sobie pudełko takich dziwnych ciastek.

– Jak się nazywa sklep, z którego pochodziły te donuty?

– Wokół Dziurki.

Ta relacja o donutach osobliwie mnie porusza, ponieważ nie wiem, co oznacza i co mam o tym myśleć. Nagle znów nie jestem niczego pewna.

Dziękuję Darrylowi za rozmowę. Wzrusza ramionami.

– To żaden kłopot. Shaun nie był dobrym człowiekiem, lecz nie był też całkiem zły. Mam nadzieję, że nie mylisz się co do swojego przyjaciela. Niełatwo pogodzić się tym, że kocha się mordercę.

A ja zastanawiam się przelotnie, czy mówi o mnie, czy o sobie.

Cain obejmuje mnie ramieniem dopiero w odległości dwóch przecznic od kościoła. Czekał na mnie przed drzwiami, ale udaliśmy, że się nie znamy, w razie gdyby przyglądał się nam Darryl albo ktoś inny. Mam wrażenie, że eksploduję; pragnę jak

najszybciej podzielić się z Cainem wszystkim, czego się dowiedziałam. Idziemy do parku LoPresti na nabrzeżu, gdzie nikt nam nie przeszkodzi. Park jest prawie pusty, z wyjątkiem kilku zdeterminowanych biegaczy przemierzających z tupotem zamarzniętą promenadę oraz gdzieś kogoś wyprowadzającego psa na spacer. Powietrze jest zimne, czyste i nieruchome i rozciąga się stąd spektakularny widok zarysu budynków Bostonu na tle nieba. Idziemy wolnym krokiem po nabrzeżu i Cain osłania mnie od wiatru wiejącego znad wody. Zaczynam mu opowiadać, co usłyszałam od Darryla.

– Po prostu krzyknęła? Ale po co?

– Nie wiem, lecz to wyjaśnia, dlaczego nie znaleziono ciała, gdy przeszukiwano tamtą część biblioteki. To krzyknęła Caroline, ale nie wtedy zginęła.

Cain w zamyśleniu kiwa głową.

– To brzmi sensownie. Jednak oznacza też, że nie mam już alibi dotyczącego zabójstwa Caroline.

– Ale nikt inny również nie ma – zauważam, po czym opowiadam mu o donutach z cukierni Wokół Dziurki.

– Ulubionej cukierni Marigold?

– Tak. – Przełykam ślinę. – Wiemy, że Marigold kochała się w Whicie na długo przed tym, nim wszyscy się poznaliśmy. A Lauren Penfold powiedziała, że on czasami udawał, że jest związany z Caroline, aby zniechęcić inne dziewczyny.

– Myślisz, że to Marigold pchnęła go nożem?

– A co, jeśli uznała, że zdradził ją z Caroline? Wiemy, że znała adres domu jego rodziców, w którym mieszkał, i jeśli pamiętasz, początkowo była główną podejrzaną, zanim policja nie skupiła się na tobie.

Cain wypuszcza powietrze z płuc.

– No dobrze, przyznaję, że to możliwe, ale Boo? Ona nigdy go nawet nie spotkała.

– Być może jednak spotkała. Może ją szantażował, ponieważ widział, jak zabiła Caroline.

Cain spogląda na mnie.

– Czy ona aż tak bardzo kocha Whita?

– Nie wiem. Ja kocham ciebie, ale nie sędzę, że zabiłabym kogokolwiek, aby zwrócić na siebie twoją uwagę...

Urywam zawstydzona tym, co przed chwilą powiedziałam, i patrzę na niego jak królik schwyty w snop świateł reflektorów samochodu.

Cain śmieje się cicho, obejmuje mnie i przytula.

– Ja też – mówi, a potem mnie całuje.

Znów ruszamy przed siebie, milcząc przez jakiś czas, by nie zepsuć tej chwili.

– Musimy porozmawiać z Whitem – mówię wreszcie.

– Dlaczego?

– Jeżeli zabójczynią jest Marigold, grozi mu niebezpieczeństwo. Już raz dźgnęła go nożem, a jeśli on czymś ją rozczaruje...

– Masz rację. Dzwon do niego.



Droga Hannah!

Trochę mnie martwi, że przedstawiasz Freddie jako nieco zbyt naiwną. Z pewnością do tego czasu już zdaje sobie sprawę, że to Cain jest mordercą – nawet jeśli go kocha. Szczerze mówiąc, bulwersuje mnie też jej nielojalność wobec Marigold. To rozumiałe, że Cain chce rzucić podejrzenie na kogoś innego, ale na litość boską, przecież Freddie ma być przyjaciółką Marigold!

Wybacz mi ten może zbyt ostry protest, ale nie cierpię nielojalności. Według mnie to najgorsza z przewin i powinna być karana z najwyższą surowością. Mogę Cię tylko ostrzec, Hannah, żebyś nie podążała dalej tą drogą. Zlekceważyłaś wiele moich wcześniejszych sugestii, więc zastanawiam się, czy być może rozważasz nawet uczynienie ostatecznie z Marigold twojej sprawczyni.



Możliwe, że stałaś się zazdrosna o moją sympatię dla niej. Ale możesz być pewna, że ona nie stanowi dla Ciebie żadnego zagrożenia, chyba że sama to sprawisz. Nie mogę tolerować nielojalności.

Twój

Leo

PS Nie uszedł mojej uwadze gwałtowny wzrost liczby bluz z kapturem w tym rozdziale. Rani mnie grubiańskość tej złośliwości – ja tylko staram się pomóc. Umieszczasz akcję tej książki w Ameryce, więc nie możesz ignorować aspektu rasy. Należy go wyraźnie przedstawić. Jeżeli bohater powieści nie jest biały, nie możesz traktować go tak, jakby był. To po prostu absurd. A jeśli jest biały, nie może mieszkać w dzielnicy Roxbury, jeśli nie wyjaśnisz czytelnikowi, dlaczego właśnie tam. Zauważam, że nawet po tylu godzinach, jakie poświęciłem na poprawienie Twoich wcześniejszych rozdziałów, na przerobienie ich tak, aby uwzględniały pandemię, Ty ani nie wyraziłaś mi wdzięczności za moje wysiłki, ani nie sprostowałaś pominięć w Twoim manuskrypcie. Jestem w najwyższym stopniu rozczarowany. Zastanawiam się, czy może tutaj również w grę wchodzi zazdrość. Czy obawiasz się, że potrafię napisać Twoją powieść lepiej od Ciebie? Rzecz jasna, nie muszę dodawać, że proponuję, abyś usunęła wszystkie te bluzy z kapturem i zastąpiła je kilkoma pieprzonymi maseczkami!



Droga Panno Tigone!

Potwierdzając naszą wcześniejszą rozmowę telefoniczną, informujemy, że zidentyfikowaliśmy mężczyznę znanego Pani jako Leo Johnson. Uważamy za możliwe, że niedawno przyjechał on do Sydney pomimo restrykcji covidowych, podając się za powracającego z zagranicy obywatela australijskiego, konsultanta medycznego bądź urzędnika służby dyplomatycznej. W tym ostatnim przypadku mógłby uniknąć obowiązkowego wymogu odbycia kwarantanny.

Oczywiście zmobilizowaliśmy naszych agentów oraz powiadomiliśmy władze Australii, aby zapewnić Pani ochronę.

Proszę odszukać dołączone zdjęcia Wila Saundersa alias Lea Johnsona. Pan Saunders ma profesjonalne przygotowanie z zakresu ochrony porządku publicznego, które – jak uważamy – umożliwiło mu do tej pory wymykanie się władzom. Jest podejrzany o popełnienie kilku morderstw na terenie Bostonu. Gdyby go Pani zobaczyła, proszę się do niego nie zbliżać ani nie pozwolić mu zbliżyć się do Pani, i natychmiast powiadomić naszych agentów.

Zapewniam Panią, że ta sprawa wkrótce się skończy.

Z poważaniem  
agent specjalny Michael Smith  
Federalne Biuro Śledcze (FBI)

## Rozdział trzydziesty trzeci

Odszukuję notes, w którym nagryzmoliłam numery telefonów Marigold i Whita, i dzwonię do niego.

– Freddie! Nadal ze mną rozmawiasz?

– A dlaczego miałabym nie rozmawiać?

– Myślałem, że może jesteś na mnie zła za to, co mówiłem o Cainie. Szczerze, Freddie, gdyby nie napadł na mamę, nadal stosowałbym wobec niego domniemanie niewinności. Czasami jednak trzeba dać sobie z kimś spokój i wycofać się, zanim będzie za późno.

– Whit, gdzie jesteś?

– U siebie, w domku dla gości.

– Sam?

– Tak, chociaż Marigold obserwuje dom.

– Co takiego? Ona cię szpieguje? Dzwon na policję!

Prycha kpiąco.

– To tylko Marigold. Trochę to irytujące, ale też jakby seksowne.

– Whit, to nękanie. Nie możesz...

– Dla niej to gra wstępna. Przychodzi tu, kiedy się czymś trochę zdenerwuje.

– Nie, Whit, nie zostawaj sam na sam z Marigold!

– Freddie, nie wiem, jak wy tam w Australii randkujecie, ale to polega właśnie na byciu z kimś sam na sam...

– Whit, myślę, że Marigold zabiła Caroline.

Na moment milknie zszokowany.

– Co takiego? Zwariowałaś?

– Wysłuchaj mnie, Whit. Caroline nie krzyknęła wtedy, kiedy zginęła. Zabito ją później. Myślę, że Shaun Jacobs to zobaczył i szantażował Marigold. Spotkała się z nim w tej cukierni z donutami, Wokół Dziurki. To od początku była Marigold.

Whit przez chwilę się nie odzywa, a potem mówi:

– Freddie, chwytasz się brzytwy. Wiem, że nie chcesz, żeby to był Cain, ale...

– Do diabła, Whit, nie wpuszczaj jej! Wezwij pomoc.

– Uważam, Freddie, że być może to ty potrzebujesz pomocy – mówi ostrym, gniewnym tonem. – Wiem, że martwisz się z powodu Caina, ale nie możesz odwracać kota ogonem i oskarżać swoich przyjaciół. – Przerywa, a gdy znów się odzywa, w jego głosie jest mniej wrogości. – Wiesz co, może po prostu przyjedź tutaj. Obiecuję, że wysłucham wszystkiego, co wydaje ci się, że odkryłaś. A jeśli masz rację, będziesz mogła ochronić mnie przed Marigold.

Niemal widzę, jak wypowiadając to ostatnie zdanie, przewraca oczami.

Szczeka jakiś mijający mnie psiak.

– Czy to był pies? – pyta Whit. – Gdzie jesteś?

Rozłączam się, ogarnięta nagle paniką.

Cain, który stał na tyle blisko, żeby móc zorientować się w przebiegu rozmowy, delikatnie bierze ode mnie telefon. Wyjmuje z niego kartę SIM i wyłącza go.

– Chodź – mówi. – Złapiemy taksówkę i pojedziemy na Summer Street.

– Dokąd? – pytam, chociaż znam odpowiedź.

Co innego moglibyśmy zrobić.

Cain ma posępną minę.

– Uratować Whita.

Gdy siedzimy w taksówce, mocno trzymam dłoń Caina, wiedząc, że cokolwiek się zdarzy, prawdopodobnie będzie musiał zgłosić się na policję. A właściwie, jeśli policjanci pilnują domu Mettersów, Cain zostanie aresztowany w chwili, gdy się tam zjawimy. Proponuję, żeby mnie wysadził i pojechał dalej, ale się nie zgadza.

– Upewnijmy się, że Whitowi nic się nie stało, a potem powtórzmy policji to, co powiedział ci Darryl – mówi cicho. – Może istnieje jakieś inne wyjaśnienie.

Wysiadamy z taksówki przed domem rodziców Whita. Nie ma ani śladu obecności policji, co – prawdę mówiąc – mnie zaskakuje. Spodziewałabym się co najmniej dwóch funkcjonariuszy pilnujących tej rezydencji, jednak być może ustawianie wozu patrolowego dniem i nocą przed domem każdego z nas byłoby nadużywaniem środków bostońskiego wydziału policji. Nie widzę nawet prywatnych ochroniarzy, których napotkałam przy frontowych drzwiach, gdy poprzednio tu byłam.

Cain rzuca mi spojrzenie, też wyraźnie zdziwiony brakiem jakiegokolwiek ochrony – zwłaszcza po niedawnej napaści na Jean Metters.

– Może ochroniarze towarzyszą matce Whita w jej firmie prawniczej, czy gdziekolwiek jest – mówi, marszcząc brwi.

Prowadzę go na drugi podjazd. Mijamy główny budynek i basen, idąc w kierunku domku dla gości.

Pukam.

Nikt nie otwiera.

– Whit, to ja, Freddie.

Nadal nic.

Cain naciska klamkę – drzwi nie są zamknięte na klucz. Teraz już zaczynamy się oboje niepokoić.

Wchodzi pierwszy, ja za nim.

A potem wszystko dzieje się naraz, chociaż te sekundy zdają się rozciągać, tak że każde z wydarzeń uwydatnia się wyraziście w swojej grozie. Trzask. Huk eksplozji, gdy pocisk opuszcza lufę, i głuchy odgłos, kiedy wbija się w ciało Caina.

On obraca się i upada przede mną, odsłaniając mi widok na Whita trzymającego rewolwer i drżącej Marigold z ziemistą twarzą. Osuwam się na kolana przy Cainie, a ktoś krzyczy. Możliwe, że ja, nie jestem pewna. Szukam na ciele Caina źródła krwotoku i przyciskam dłoń do miejsca, w które, jak sędzę, weszła kula.

I wrzeszczę na Whita:

– Ty idioto, on nie zamierzał zrobić ci krzywdy! Przyszliśmy ci pomóc!

Marigold idzie do innego pokoju i wraca z ręcznikami. Klęka obok mnie.

– Freddie, odsuń rękę.

– Nie.

– Ręcznik lepiej zatamuje krew niż twoja dłoń – mówi, składając jeden z nich, by posłużył za kompres.

Powoli odsuwam dłoń. Marigold przykładą ręcznik do rany i go przyciska. Cain jest przytomny, zadziwiająco spokojny, chociaż niewątpliwie cierpi.

– Odejdźcie od niego – poleca Whit, nie opuszczając rewolweru. – To niebezpieczny morderca.

Marigold cofa się odruchowo. Ja ignoruję Whita i ponownie przykładam kompres, który wypuściła.

– Freddie, odejdz od niego! – krzyczy Whit.

– Jeśli odsunę dłoń, on może się wykrwawić.

– Przyszedł tutaj nas zabić!

– Nie, przyszedł ze mną, żeby ci pomóc!

– Freddie! – mówi z trudem Cain przez zaciśnięte zęby i natychmiast kieruje uwagę na niego. – Freddie, Whit posłał Marigold do tej cukierni z donutami... pamiętasz?

Klnie – może z bólu, a może dlatego, że uświadomił sobie prawdę.

I wtedy ja też to sobie przypominam. Whit polecił Marigold cukiernię Wokół Dziurki – była jego ulubionym miejscem, zanim stała się takim również dla niej. Być może w ogóle bym o tym nie pomyślała, gdyby nie strzelił do Caina. Odwracam się i wpatruję w Whita.

– O Boże, to byłeś ty. To od początku byłeś ty.

– Co takiego? – Marigold reaguje pierwsza. – Odebrało ci pieprzony rozum?

Ale Whit wygląda niemal, jakby poczuł ulgę. Podchodzi i staje nade mną i Cainem.

– Cain, ty przez cały czas wiedziałeś, co? Wyczuwałem, że wiesz.

Cain przyciska dłoń do ręcznika, obraca się na bok i unosi z wysiłkiem do pozycji siedzącej, opierając się plecami o ścianę. Z trudem łapie oddech i mówi:

– Nie miałem o tym pojęcia aż do teraz, ty cholerny durniu. Myślałem, że jesteś zbyt głupi, by potrafić zrobić cokolwiek bardziej skomplikowanego niż jedzenie donutów!

– Cain... – zaczynam.

Wiem, że Whit do niego strzelił, ale na litość boską, on wciąż ma broń!

Whit go kopie.

Cain przeklina, a ja usiłuję osłonić go własnym ciałem.

– Odsuń się od niego, Freddie – mówi Whit, ponaglając mnie ruchem lufy rewolweru.

– Whit, dlaczego zabiłeś Caroline? – pytam, próbując zyskać na czasie.

Z pewnością któryś z sąsiadów usłyszał odgłos wystrzału i już wezwał policję.

– To była tylko głupia kłótnia – odpowiada. – Nie zamierzałem...  
Rozmawialiśmy, a potem... potem ona już nie żyła.

Słyszę cichy jęk Marigold.

– O co się kłóciliście?

– Chciała się wycofać z pierwotnego planu. Sama to wszystko rozkręciła, a potem zmieniła zdanie.

– Co rozkręciła?

– Zbieranie materiałów do artykułu o Cainie McLeodzie, mordercy i autorze bestsellerowej powieści. To był jej pomysł... ona to wszystko zaaranżowała. Ściągnęła go do biblioteki, dała nam powód, żebyśmy zaczęli ze sobą rozmawiać...

– To dlatego krzyknęła.

– Powiedziała, że nic nie łączy lepiej obcych sobie ludzi niż wspólna tajemnica. To było proste i okazało się, że miała rację. Nagle staliśmy się wszyscy kumplami. – Znowu wybucha z furją. – Właśnie tego nie mogła znieść! Tego, że to ja, a nie ona, usłyszę tę historię, będę sekretnie nagrywał. To ja będę dokonywał obserwacji, zaprzyjaźnię się z mordercą. Zdecydowała nagle, że lepiej, aby to ona zamiast mnie zbliżyła się do Caina. – Z odrazą potrząsa głową. – Spotkaliśmy się znowu w bibliotece później tamtego wieczoru i oznajmiła mi, że zmieniła plan i że ja... ona... Nie zamierzałem tego zrobić, ale nie mogłem pozwolić, żeby tak po prostu mnie zastąpiła i zaprzyjaźniła się z wami.

Marigold ma w ręku telefon. Uwaga Whita jest skupiona na mnie i Cainie. Kontynuuję wypytywanie go.

– Ale Shaun Jacobs zobaczył, że ją zabiłeś... i zaczął cię szantażować.

– Tak. Skąd mogłem wiedzieć, że ludzi takich jak on wpuszczają do biblioteki? – Pomimo brawury Whita w jego oczach pojawiają się łzy. – Gdyby nie Jacobs i jego smród, strażnik mógłby spostrzec mnie... i Caroline. W tej sytuacji mogłem wepchnąć jej ciało pod stół i po prostu odejść, podczas gdy strażnicy usiłowali wyrzucić Shauna z biblioteki.

– Ale on potem dowiedział się, gdzie mieszkasz, i dźgnął cię nożem?

– Tak... uznał się za Batmana i postanowił wymierzyć sprawiedliwość za śmierć Caroline. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie zdołam po prostu kupić jego milczenia.

– Więc go zamordowałeś – warczy Cain.

– No cóż, biorąc pod uwagę, że wcześniej pchnął mnie nożem, nazwałbym to działaniem w obronie własnej. – Głos mu się łamie. – Nie cierpiał. Nawet się nie obudził.

– Whit – mówię łagodnym tonem – rozumiem. Z Caroline to był wypadek, a z Shaunem Jacobsem... samoobrona czy coś w tym rodzaju. Ale dlaczego teraz to robisz? Wiesz, że Cain nie zamierzał wyrządzić ci krzywdy.



– Ale wyrządził! – Whit teraz łka. – On i ty... nawet Marigold... grzebaliście w tej sprawie jak jakiś durny gang Scooby’ego. Nie chcieliście zostawić tego w spokoju. Ciągłe wypytywaliście ludzi, ustalaliście fakty... Było tylko kwestią czasu, zanim coś odkryjecie. Dlaczego nie mogliście po prostu odpuścić?

– Policja chce aresztować Caina za twoje zbrodnie!

– Nie zdołaliby niczego mu udowodnić... on tego nie zrobił! – Whit znowu krzyczy jak zirytowane i rozczarowane dziecko.

– Whit, musimy wezwać karetkę dla Caina – mówię. Ręcznik już przesiąkł krwią, lecz nie powstrzymał krwotoku i widzę, że Cain słabnie. – Nie uda ci się po prostu ukryć go pod stołem i odejść.

– To była samoobrona – rzuca z desperacją. – On jest poszukiwany za morderstwo! Nikt mnie nie obwini.

– Ja cię obwinę. Powiem policji wszystko...

– Freddie, nie! – wykrztusza Cain, po czym błagalnym tonem usiłuje przekonać Whita. – Ona nie pisnie ani słowa. Zresztą i tak jej nie uwierzą. Wczoraj uciekła z domu i odtąd mi pomaga. A Marigold będzie wobec ciebie lojalna. Nie musisz się nimi przejmować. Na litość boską, stary, wypuść je.

Whit się waha.

Dobiega wycie syren. Cain klnie.

– Już za późno. – Whit znowu łka. – Wziąłeś mój rewolwer i zastrzeliłeś dziewczyny, a potem, zanim zdołałem ci go wyrwać, popełniłeś samobójstwo. Chryste!

Celuje w moją głowę.

I znowu ta chwila wydaje się trwać w nieskończoność. Być może tak się dzieje zawsze z ostatnią chwilą w życiu. Czekając na śmierć, patrzę na Caina. Wyciąga ku mnie rękę. Marigold rzuca się z tyłu na Whita. W porównaniu z jego zwałistą postacią jest drobna, ale zaciekła. Whit odwraca się, żeby strząsnąć ją z siebie. Podrywam się z podłogi i łapię go za rękę. Sama nie wiem, co robię, ale kopię go, okładam pięściami i drapię paznokciami. Gryzę go w nadgarstek, a on wypuszcza

z dłoni rewolwer, a potem Marigold i ja zmieniamy się w coś w rodzaju krzyczących derwiszów, gdy walczymy, by uniemożliwić mu odzyskanie broni.

Nagle tracę równowagę na śliskiej od krwi podłodze i upadam.

Tak więc leżę na ziemi, gdy rozlega się huk wystrzału, i nie mam pojęcia, skąd dobiegł. Rozbrzmiewa kolejny wystrzał, a ja pełzną w kierunku Caina. Jest półprzytomny. Wtulam się w niego i zamykam oczy, gotowa na śmierć.

Ale nie słyszę trzeciego wystrzału, tylko krzyki.

Gdy zostaję odciągnięta od Caina, szamoczę się, nie chcąc już umrzeć bez walki. Ktoś wciska kolano w moje plecy i skuwa mi ręce z tyłu. Dopiero teraz orientuję się, że to policja. Nie wiem, czy funkcjonariuszom bostońskiego wydziału policji kiedykolwiek dziękował ktoś, kogo pojmali, ale niemal tracę zmysły z ulgi, wdzięczności i strachu. Błagam ich, żeby nie pozwolili Cainowi umrzeć. Słyszę, jak Marigold protestuje i przeklina, Whit płacze niczym zrozpaczone dziecko, a potem dobiega mnie głos Jean Metters, która domaga się respektowania jej praw i chce wiedzieć, dlaczego syn jest w kajdankach.



Droga Hannah!

Żałuję, że nie możemy spotkać się osobiście. Regulamin więzienny jest dość drakoński i dotychczas byłem całkowicie pozbawiony możliwości komunikowania się z zewnętrznym światem. Jednakże, jak powiedział Cain, w więzieniach obowiązują swoiste społeczne zasady, a ja wykorzystałem je, by móc wznowić naszą korespondencję. Mam nadzieję, że dostałaś kosz ciasteczek, który Ci wysłałem. Miano go zostawić na Twojej ladzie kuchennej. Bardzo chciałbym wiedzieć, jak się skończyła Twoja najnowsza powieść. Czy cała ta fantastyczna czwórka przeżyła finał? Jak Freddie zniosła to, że jej kochanek okazał się mordercą? Przypuszczam, że będę musiał poczekać, aż książka zostanie wydana, żeby móc wypożyczyć ją z więziennej biblioteki i dowiedzieć się, jak to się skończyło – przynajmniej dla nich.

Niestety, w najbliższej przyszłości nie będę mógł wrócić do Australii. Ledwie zdążyliśmy spojrzeć na siebie, zanim mnie pojmano. Czuję się zraniony tym, że nie odwiedziłaś mnie przed moją ekstradycją. Prosiłem o to kilkakrotnie w trakcie tych dwóch dni, gdy przebywałem w australijskim areszcie, ale nie przyszłaś i straciliśmy szansę spotkania się, porozmawiania o naszej pracy i naszym życiu. Nieważne. Jestem człowiekiem lojalnym i cierpliwym. W końcu spotkamy się na żywo. Już się na to cieszę.

A tymczasem wiedz, że jeśli będziesz mnie potrzebowała, zawsze możesz na mnie liczyć.

Twój Leo

## Rozdział trzydziesty czwarty

W komisariacie Justine Dwyer przynosi mi filiżankę herbaty. Po raz setny pytam, co z Cainem.

– Jest na sali operacyjnej – odpowiada.

– Umrze?

– Nie wiem. Lekarze robią wszystko, co w ich mocy.

Pyta, czy ktokolwiek zaproponował mi coś do jedzenia.

– Nie jestem głodna.

Podaje mi torebkę chipsów.

– Wzięłam ją, na wypadek gdybyś była głodna. Czy czujesz się na siłach odpowiedzieć na kilka pytań?

Opowiadam jej o wszystkim. Nie mam wrażenia, że to przesłuchanie policyjne. Nie zdaję sobie sprawy, że ona zadaje pytania. Po prostu mówię. Przypuszczam, że już nie podejrzewają Caina, więc nie jestem wrogo nastawionym świadkiem czy jak tam nazywają osobę, która wierzy w niewinność podejrzanego.

Justine mówi mi o obmyślonym przez Whita i Caroline planie napisania artykułu śledczego dla tabloidu „Rag”.

– Dzięki znajomościom ich rodzin wiedzieli o przeszłości Caina. Oczywiście każdy dziennikarz śledczy mógłby spłodzić artykuł o skazaniu i uwięzieniu McLeoda. Wprawdzie nie było to wiedzą publiczną, ale też nie tajemnicą państwową. Jednak Caroline i Whit pragnęli napisać coś lepszego. Zamierzali

zbliżyć się do Caina, a potem wyrzucić na nim presję... i napisać artykuł o tym, czy mordercę rzeczywiście można zresocjalizować.

– W jaki sposób chcieli wyrzucić na nim presję? Czy właśnie dlatego Caroline krzyknęła w bibliotece?

– Nie. To miało dać Whitowi pretekst do nawiązania przyjaźni z Cainem. Ponoć to był pomysł Caroline. Zamierzali później w gruncie rzeczy prowokować i zmanipulować Caina podobnymi sztuczkami, aby...

– Aby się przekonać, czy kogoś zabije? – pytam z niedowierzaniem.

Justine przytakuje.

– Coś w tym rodzaju.

– Ale przecież te esemesy, zdjęcia drzwi przysyłano mnie, nie Cainowi.

– Widocznie Whit usiłował wzbudzić w tobie nieufność do Caina. Przez cały czas miał jego telefon.

– Ale to oznacza, że on przysłał mi zdjęcie swoich drzwi w tę noc, kiedy został dźgnięty nożem...

– Bycie dźgniętym nie było częścią planu. Zdjęcie miało wytrącić cię z równowagi, sprawić, żebyś zaczęła się zastanawiać, czy to Cain je wysłał. Mój partner ma teorię, że Whit tamtej nocy być może zamierzał napaść na swoją matkę. – Justine potrząsa głową. – Wymyślił to już bez Caroline, gdy zaczął się bać, że zostanie zdemaskowany, a nie chciał zrezygnować z całego pomysłu, który uważał za swoją szansę. Powiedział nam wtedy, że nie ma pojęcia, kto go zaatakował, ponieważ obawiał się, że jeśli Jacobs zostanie aresztowany, powie nam, co widział.

Pocieram twarz.

– Whit opowiedział wam o tym wszystkim.

– Po tym, jak jego adwokatka, którą nawiasem mówiąc, jest jego matka, poleciła mu, żeby nic nie mówił. – Wzrusza ramionami. – Doprawdy, jakie bywają rodziny!

Wypuszczają mnie i Marigold, podczas gdy Cain wciąż jest operowany. Policja zawozi nas obie do szpitala, żebyśmy tam czekały. W poczekalni panuje tłok. Znajdujemy sobie krzesła i czekamy. Zjawia się chirurg i rozmawia ze starszą parą. Być może kobieta jest matką Caina, a mężczyzna to jej partner. Uświadamiam sobie, że pomimo tego, co zdarzyło się między nami obojgiem, formalnie jestem dla Caina obcą osobą, nie mam prawa dowiedzieć się, jak udała się operacja ani nawet czy w ogóle ją przeżył.

Kobieta płacze, mężczyzna ją pociesza. Przyglądam się temu przerażona. Czy Cain zmarł? Och, Boże, czy tak to się kończy?

Marigold klnie cicho i wstaje. Podchodzi do tej pary i inicjuje rozmowę. Chociaż przyglądam się temu, w gruncie rzeczy nic do mnie nie dociera. Wszyscy troje odwracają się i patrzą na mnie, a potem Marigold przywołuje mnie gestem.

Zmuszam mięśnie do działania i podchodzę z wysiłkiem. Widocznie Marigold dostrzega mój stan, bo krzyczy:

– Cain żyje! Jest na sali pooperacyjnej!

Kilka innych osób odwraca się i na ich twarzach pojawia się wyraz ulgi. Wygląda na to, że sporo ludzi zjawilo się tu z powodu Caina.

Docieram do tych trojga. Marigold dodaje:

– Wyjęli kulę. – Obejmuje mnie uszczęśliwiona. – On wyjdzie z tego.

Mam ochotę krzyczeć z radości i szlochać, ale nie jestem tak pozbawiona zahamowań jak Marigold, więc panuję nad sobą, chociaż z trudem.

Kobieta ujmuje mnie za rękę. Tak jak przypuszczałam, jest matką Caina. Dziękuje mi.

– Policja powiedziała, że mój syn mógłby zginąć, gdyby dwie młode kobiety nie powstrzymały napastnika – mówi łagodnym głosem.

Opowiadam jej, że Cain nawet już leżąc z krwotokiem, próbował przekonać Whita, że my obie nie stanowimy dla niego zagrożenia, usiłował nas ochronić.

Marigold mówi jej, że Cain mnie kocha. Tak po prostu – jak pięciolatka wyjawiająca sekret.

– Wiecie, Cain jest zakochany we Freddie.

Spoglądałam zmieszana na jego matkę. Nawet nie znam jej imienia.

Słowa Marigold wyraźnie ją zaskakują, jednak nad podziw szybko się opanowuje.

– Domyślałam się, że w jego życiu ktoś jest. – Nadal trzyma moją dłoń. – Nazywam się Sarah Manners, a to mój brat Bill. Bardzo miło nam cię poznać.

Bill ściska mi dłoń, gdy jego siostra ją puściła.

– Mamy wobec was dług wdzięczności – mówi. – Abel nie powiedział nam, że wpadł w kłopoty. Dowiedzieliśmy się o tym, dopiero gdy do drzwi Sarah zapukała szukająca go policja.

– Przypuszczam, że nie chciał was niepokoić – odpowiadam, nieśmiało broniąc Caina. – Poza tym wszystko to stało się tak szybko.

– Abel... – Sarah przerywa, uśmiecha się i poprawia. – Cain zawsze starał się sam rozwiązywać swoje problemy.

– Tak... i wszyscy wiemy, do czego go to doprowadziło – mruczy Bill.

– Nie zwracaj uwagi na te słowa mojego brata – mówi do mnie Sarah. – Kocha Caina niczym własnego syna.

Ponieważ Cain jeszcze przez jakiś czas pozostanie w sali pooperacyjnej, idziemy do szpitalnego barku. Tam przy kawie opowiadamy matce i wujowi Caina o wszystkim, co się wydarzyło. Marigold szczerze przedstawia swoją relację z Whitem. Oświadcza, że traktuje to jako rodzaj spowiedzi.

– Wszyscy bardzo lubiliśmy Whita – precyzuję. – Daliśmy mu się zwieść.

– Wygląda na to, że ten chłopak jest zaburzony – mówi Sarah.

Bill chrząka.

W końcu Cain zostaje wybudzony i przetransportowany do zwykłej sali, więc Sarah i Billowi wolno się z nim zobaczyć.

Marigold i ja siedzimy w poczekalni, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

Oboje wracają i oznajmiają nam, że lekarz Caina zgodził się, abyśmy też mogli go odwiedzić.

– Pytał o ciebie – szepcze Sarah, gdy jej dziękuję.

Marigold zatrzymuje się przed drzwiami pokoju Caina.

– Dam wam najpierw kilka minut sam na sam – oświadcza, popychając mnie naprzód.

Subtelność słońca, jak to zwykle u niej.

Cain jest podłączony do licznych kroplówek i aparatów medycznych. Odwraca ku mnie głowę i posyła mi uśmiech, który porusza mnie do głębi.

– Wciąż jestem trochę otumaniony – odzywa się schrypniętym głosem. – Więc nie zwracaj zbytnej uwagi na to, co mówię.

– Przecież nigdy nie zwracałam – odpowiadam, ujmując go delikatnie za rękę.

Ma w niej wenflon, więc muszę bardzo uważać.

– Mama powiedziała, że wszyscy wyszliśmy z tego żywi.

– Owszem.

Czuję, że lekko ściska mi dłoń.

– To dobrze – mówi.

Wtedy wchodzi Marigold.

– Chryste Pe! – szepcze, spoglądając na Caina, i wydaje się nagle onieśmielona.

Przez jakiś czas rozmawiamy cicho. Właściwie chyba niewiele mówimy. Co tu można powiedzieć? Wiem, że gdzieś głęboko wewnątrz czuję się szczęśliwa. Udręczona tym, co się stało, niepewna, co będzie dalej, ale szczęśliwa. W końcu zjawia się pielęgniarka i subtelnie wyprasza mnie i Marigold. Całuję Caina i obiecuję, że przyjdziemy znowu. Puszczam jego dłoń, co sprawia, że doznaję w palcach wrażenia pustki, i muszę powstrzymać chęć, by znów go dotknąć.

Pielęgniarka krząta się pogodnie wokół niego, badając puls, temperaturę i ciśnienie krwi.

– O Boże, jak ominiemy reporterów? – mówi Marigold, kiedy czekamy na windę.

Spoglądam na siebie. Mam krew na koszuli i kurtce. Marigold również jest zbryzgana krwią. Mamy niewielkie szanse na przemknięcie niepostrzeżenie obok



chmary przedstawicieli mediów. Lecz w tym momencie po prostu brak mi sił, by stawić im czoło.

Gdy drzwi windy się otwierają, omawiamy możliwe sposoby ucieczki, więc dopiero kiedy zamykają się za nami, zauważamy mężczyznę w kącie kabiny.

Leo.

Wpatruję się w niego, wytrącona z równowagi jego obecnością tutaj.

Uśmiecha się.

– Pomyślałem, że być może mnie potrzebujesz.

# Przewodnik czytelniczy

## Pytania do dyskusji

1. Gdy Freddie, Whit, Cain i Marigold pierwszy raz piją razem kawę, Freddie czyni uwagę, że był to początek jej przyjaźni z mordercą. Kogo w tamtym momencie podejrzewaliście?
2. Pojawiające się w książce mejle przypominają nam regularnie, że historia Freddie jest fikcją. Czy to w jakiś sposób wpłynęło na wasz odbiór zawartej w powieści zagadki kryminalnej?
3. Freddie, Whit, Marigold i Cain bardzo szybko stają się bliskimi przyjaciółmi. Czy kiedykolwiek zawarliście przyjaźnie w podobny sposób? Jakie okoliczności (inne niż fikcyjne niebezpieczeństwo) sprzyjają według was nawiązaniu tego rodzaju nagłych intensywnych przyjaźni?
4. Marigold apeluje do pozostałych: „Jej krzyk był wołaniem o pomoc, a my go usłyszeliśmy”. Czy czujecie się odpowiedzialni za los nieznanym ludzi? Jak skuteczna jest interwencja postronnej osoby?

5. Opiszcie rolę, jaką odgrywa sąsiad Freddie. Leo. W jaki sposób wpływa on na punkt widzenia Freddie?
6. Czy uważacie, że pozostali bohaterowie powieści traktują serio stalkerskie zachowanie Marigold? Jak byście zareagowali, gdyby któreś z waszych przyjaciół postępowało tak jak ona?
7. Freddie kilkakrotnie powątpiewa w swoje zaufanie do Caina, jednak w gruncie rzeczy nigdy nie zmienia o nim zdania. Co według was jest powodem jej lojalności?
8. Leo w mejlach nalega, aby Hannah określiła rasę swoich bohaterów, i wskazuje, że w powieści, której akcja rozgrywa się w Ameryce, ten aspekt mógłby drastycznie odmienić ich doświadczenia i punkty widzenia. Jakie są zalety wyraźnego sprecyzowania w powieści rasy jej bohaterów, a jakie potencjalne wady?
9. Caroline i Whit zamierzali sprawdzić, czy uda się im sprowokować Caina do powrotu na drogę przestępstwa. Jak myślicie, co by się stało, gdyby zrealizowali swój pierwotny plan? Co ich eksperyment mówi o naszym stosunku do skazanych przestępców?

# Wywiad z autorką

**Wątek poboczny przedstawiony w mejlach od Lea mrozi krew w żyłach i wzbogaca historię Freddie o kolejny poziom fikcji. Dlaczego zdecydowałaś się użyć go jako ramy powieści?**

Prawdę mówiąc, pisałam inną powieść, kiedy w mojej głowie narodził się wstępny zarys tej. Akcję tamtej powieści również umieściłam w Stanach Zjednoczonych. Mieszkam w Australii, więc aby mieć pewność, że wiernie przedstawię lokalny koloryt, pozyskałam pomoc przyjaciela – też powieściopisarza i, co istotne, Amerykanina przebywającego w tamtym czasie w Stanach. Wymienialiśmy mejle i wykonywał dla mnie czarną robotę, ilekroć potrzebowałam jakichś szczegółów dotyczących danego miejsca. Mój przyjaciel (nazwijmy go Leo) okazał się bardzo solidnym i skrupulatnym researcherem. Przysyłał mi nie tylko informacje, lecz także zdjęcia, mapy i materiały filmowe dotyczące aspektów, które według niego mogłyby uwiarygodnić realia, w jakich rozgrywa się moja powieść. Tak więc w tym celu przysłał mi plik wideo ukazujący miejsce zbrodni, którą popełniono parę przecznic od jego domu. Ten filmik przedstawiał głównie furgonetki koronera i kordony policyjne (żadnych zwłok), ale kiedy wspomniałam o nim mężowi, zareagował tak: „Dobry Boże, mam nadzieję, że Leo nie zabija ludzi po to, by móc przysyłać ci materiały”. Hm. Oczywiście, że tego nie robił – daję słowo! – ale wydało mi się to wspaniałym pomysłem na powieść.

Tak więc podjęłam tę decyzję, będąc w samym środku pisania innej książki. Umieściłam ten pomysł w tyle głowy i dojrzywał tam, dopóki nie ukończyłam

tamtej powieści. Kiedy byłam gotowa zabrać się do następnej, którą ostatecznie zatytułowałam *Kobieta w bibliotece*, wiedziałam, że zaczniesz się do słów „Droga Hannah...”.

**Jak podkreślono w tych mejlach, w nadchodzących latach współcześni powieściopisarze będą musieli podejmować starannie rozważone decyzje, czy uwzględnić w swoich książkach pandemię koronawirusa, czy nie. Co o tym myślisz w odniesieniu do własnej twórczości?**

Pandemia koronawirusa nie dość, że jest katastrofą na skalę planetarną, to w dodatku stawia współczesnych powieściopisarzy przed trudnym dylematem. Koronawirus stanowi element naszej obecnej rzeczywistości – ignorowanie go to trochę jakby ignorować telefony komórkowe czy komputery. Taka strategia pisarska w najlepszym razie sprawiłaby, że powieść już w chwili powstania byłaby przestarzała, a w najgorszym – uczyniłaby taką powieść niewiarygodną.

Niemniej odtąd dla pisarzy prawdziwą pokusą staje się umieszczenie fabuły wszystkich naszych książek w 2019 roku. Dzięki temu uniknęlibyśmy komplikacji i rozproszenia uwagi czytelnika, jakie COVID-19 wprowadza do przedstawianych opowieści. Trudno w powieści ograniczyć zakres czegoś takiego jak pandemia, pozwolić jej odegrać tylko jakąś niewielką rolę bez zdominowania całej narracji. To jak umieszczenie akcji książki we Francji w 1917 roku tak, by nie stała się opowieścią o wojnie. To możliwe, lecz problematyczne. Co więcej, pandemia jeszcze nie przeszła do historii i być może długo pozostanie towarzyszącym nam doświadczeniem – w tym momencie nie jesteśmy pewni, co z tego wszystkiego wyniknie. Ona zmienia perspektywę i tło wszystkiego, więc jest niemal niemożliwe napisanie współczesnej powieści, która za rok pozostanie nadal współczesna, zaś umieszczenie akcji w bliskiej przyszłości, w której pandemia się skończyła, to ryzyko.

To jednak nie oznacza, że nie powinno się próbować – tylko dlatego, że to trudne i ryzykowne. Według mnie wyzwaniem jest napisanie o pandemii w sposób na tyle twórczy, by uzupełniła ona opowiadaną historię, a nie ją zdominowała – tak

aby powieść stała się w pewnym sensie ponadczasowa i była współczesna nie tylko teraz, lecz także za rok czy dziesięć lat. W *Kobiecie w bibliotece* wprowadzam pandemię, uwzględniając właśnie ten dylemat. Leo domaga się jej włączenia, Hannah odmawia umieszczenia jej w swojej powieści, a ja wpuszczam ją do mojej.

**Cain staje się podejrzanym w sprawie zabójstwa Caroline po części z powodu jego pierwszej powieści. Czy kiedykolwiek obawiałaś się, że coś podobnego mogłoby przytrafić się tobie?**

Ha! Wszyscy autorzy powieści kryminalnych zapewne mają bardzo obciążającą historię swojego googlowania!

Opublikowanie powieści to niebezpieczne przedsięwzięcie z bardzo wielu powodów. Powieść jest dziełem nie tylko umysłu autora – zawiera również mnóstwo jego emocji. Wypuszczenie jej w świat w nadziei, że spodoba się czytelnikom, to trochę jak wysłanie twojego dziecka do szkoły w nadziei, że znajdzie tam przyjaciół. To ekscytujące i w pewnym sensie wspaniałe, lecz także budzące lęk. Martwisz się bardziej, niż kiedykolwiek przypuszczałaś – ewentualnymi nieprzychylnymi recenzjami, słabą sprzedażą, a przede wszystkim tym, że czytelnikom książka się nie spodoba.

**Jesteś także autorką cyklu powieści kryminalnych z Rowlandem Sinclairem. Czy pisanie pojedynczej powieści, takiej jak ta, wydaje ci się czymś znacząco odmiennym od tworzenia cyklu powieściowego?**

W pewnym sensie pisanie pojedynczej powieści to jak pisanie pierwszej powieści cyklu. Wszystko może się zdarzyć, ponieważ nie tworzysz, opierając się na historii ustalonej we wcześniejszych tomach. Przeszłość każdej postaci jest tajemnicą do odkrycia. Każda z tych postaci musi pozyskać zainteresowanie czytelnika i jego emocje bez odwoływania się do jej wcześniejszych przygód, które tworzą więź z czytającym. Sądzę, że największą różnicą między pojedynczą powieścią a pierwszą częścią cyklu jest wymóg pożegnania się z bohaterami. Trzeba umieć zakończyć zajmowanie się nimi, dojść wraz z nimi do punktu, w którym można

będzie spokojnie pozostawić tych bohaterów ich własnemu losowi. Może to być trudne, przynajmniej dla pisarza. Gdy powieść jest ukończona, autor ma za sobą setki godzin spędzonych z jej bohaterami. Stawia razem z nimi czoło wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwom, więc niełatwo mu ich porzucić. Przypuszczam, iż co najmniej kilka nieoczekiwanych sequei powstało tylko dlatego, że autor bardzo tęsknił za swoimi bohaterami i zapragnął do nich powrócić.

# Podziękowania

Impulsem do powstania tej powieści stał się list napisany przez mojego drogiego przyjaciela i kolegę po piórze, L.M. Vincenta, którego korespondencję, wskazówki i zachęty bezwstydnie zmieniałam w coś złowrogiego. Larry, dziękuję Ci za twoją hojność i wnikliwość.

Szkic tej powieści został nagrodzony stypendium Create Grant fundacji Copyright Agency's Cultural Fund. Fundacja wspierała mnie w jej pisaniu w trakcie tego roku, który był, mówiąc najogólniej, trudny. Czułam się zaszczycona, zdobywając to stypendium, i pozostaję za nie ogromnie wdzięczna.

Manuskrypt powieści został sprawdzony na wszelkie stosowne sposoby przez Michaela Blenkinsa, Leitha Henry'ego i Roberta Gotta w Australii, oraz wspaniałą Barbarę Peters w Stanach Zjednoczonych. Nie potrafię dostatecznie wyrazić Wam wdzięczności za Wasz czas, Wasze wsparcie, rady i entuzjazm.

Moja błyskotliwa i pełna pasji agentka Jill Marr propagowała ten manuskrypt i znalazła dla niego doskonałe miejsce u Anny Michels i Diane DiBiase z wydawnictwa Sourcebooks, które wypieściły go w możliwie jak najlepszą powieść. Ogromnie Wam dziękuję za wiarę w moje dzieło i Wasz wkład w jego powstanie. Jestem Wam szczerze wdzięczna.

Beth Deveny zredagowała tekst i nadała mu formę, dzięki czemu czytelnicy nie natkną się na żadne ślady moich literówek.



A potem nadzwyczaj utalentowany zespół wydawnictwa Sourcebooks przekształcił moją opowieść w opublikowaną książkę. I oto ona. Bardzo Wam dziękuję, że ją kupiliście.

## O autorce

Sulari Gentill jest autorką wielokrotnie nagradzanego cyklu historycznych powieści kryminalnych Rowland Sinclair WWII Mysteries, umiejscowionego w Australii lat trzydziestych ubiegłego wieku, którego bohaterem uczyniła Rowlanda Sinclaira, bogatego dżentelmena i artystę, a zarazem detektywa amatora. Dziesiąty tom tego cyklu, *Where There's a Will*, został opublikowany w Stanach Zjednoczonych przez wydawnictwo Poisoned Pen Press w styczniu 2022 roku.

Jako S.D. Gentill stworzyła cieszący się uznaniem cykl przygodowych powieści fantasy Hero Trilogy, na który składają się: *Chasing Odysseus*, *Trying War* i *The Blood of Wolves*.

Jej powszechnie wychwalana powieść *After She Wrote Him* zdobyła tytuły Target Recommends w 2020 roku oraz Apple's Best Book of the Month w kwietniu 2020. W Australii, gdzie Sulari Gentill mieszka, książka ta uzyskała nagrodę Ned Kelly Award za najlepszą powieść kryminalną oraz znalazła się w finale nagrody Davitt Award.

Sulari Gentill należała do sponsorowanej przez Australia Council delegacji stowarzyszenia Australian Mystery Writers, która w 2019 roku odbyła podróż po Stanach Zjednoczonych, przedstawiając amerykańskim czytelnikom australijską literaturę kryminalną. Ostatnio Sulari zdobyła stypendium Copyright Agency Cultural Fund.

Sulari mieszka ze swoją rodziną i kilkoma ukochanymi zwierzętami w niewielkim miasteczku w australijskich Górach Śnieżnych na farmie zajmującej się uprawą trufli. Pozostaje niezmiennie zakochana w sztuce opowiadania historii.

# Spis treści:

Karta tytułowa

Recenzje

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty  
Rozdział dwudziesty pierwszy  
Rozdział dwudziesty drugi  
Rozdział dwudziesty trzeci  
Rozdział dwudziesty czwarty  
Rozdział dwudziesty piąty  
Rozdział dwudziesty szósty  
Rozdział dwudziesty siódmy  
Rozdział dwudziesty ósmy  
Rozdział dwudziesty dziewiąty  
Rozdział trzydziesty  
Rozdział trzydziesty pierwszy  
Rozdział trzydziesty drugi  
Rozdział trzydziesty trzeci  
Rozdział trzydziesty czwarty  
Przewodnik czytelniczy  
Pytania do dyskusji  
Wywiad z autorką  
Podziękowania  
O autorce  
Karta redakcyjna

TYTUŁ ORYGINAŁU:

*The Woman in the Library*

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik

Wydawczynie: Agata Garbowska-Karolczuk, Maria Mazurowska

Redakcja: Marta Stochmiałek

Korekta: Beata Wójcik

Projekt i ilustracja na okładce: © Urszula Gireń

The Woman in the Library by Sulari Gentill.

Copyright © 2022 by Sulari Gentill.

By arrangement with the author.

Translation rights arranged by the Sandra Dijkstra Literary Agency.

All rights reserved.

Copyright © 2023, Niegrzeczne Książki an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Janusz Maćczak, 2023

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2023

ISBN 978-83-8321-662-1

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | [www.WydawnictwoKobiectwo.pl](http://www.WydawnictwoKobiectwo.pl)



Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek